

# IWONA BANACH

KOMEDIA  
KRYMINALNA



## GERIATRYCZNE BIURO ŚLEDCZE

Zajazd pod Szalonym Mnichem



SKARPA WARSZAWSKA

**IWONA  
BANACH**

**GERIATRYCZNE  
BIURO ŚLEDCZE**

Zajazd pod Szalonym Mnichem



SKARPA  
WAR  
SZAW  
SKA



# Spis treści

Karta redakcyjna

GERIATRYCZNE BIURO ŚLEDTCZE  
Zajazd pod Szalonym Mnichem

Redakcja  
*Monika Orłowska*

Korekta  
*Bożena Sigismund*

Skład i łamanie  
*Lukasz Slotorsz*

Projekt graficzny okładki  
*Agnieszka Kielak*

Zdjęcie wykorzystane na okładce  
©AdobeStock

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2024

© Copyright by Iwona Banach, Warszawa 2024

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze  
ISBN 978-83-83293-78-3



**Wydawca**

Agencja Wydawniczo-Reklamowa

Skarpa Warszawska Sp. z o.o.

ul. Borowskiego 2 lok. 24

03-475 Warszawa

tel. 22 416 15 81

[redakcja@skarpawarszawska.pl](mailto:redakcja@skarpawarszawska.pl)

[www.skarpawarszawska.pl](http://www.skarpawarszawska.pl)





Konwersja: [eLitera s.c.](#)

**G**eriatryczne Biuro Śledcze powinno świętować rozwiązanie sprawy, jednak było od tego jak najdalsze. Rany cięte i tłuczone trochę przeszkadzały i zadyszka dawała im w kość.

Trochę, nie tak całkiem, całkiem, ale jednak byli wykończeni.

To już nie były te czasy, żeby mogli łapać, więzić, zatrzymywać czy razić (czymkolwiek poza brakiem oglądy) bez konsekwencji zdrowotnych, ale i tak praca przy śledztwie dawała im satysfakcję.

Potrafiliby docenić szanse, jakie dało im życie i znajomości w policji.

Już zresztą następnego dnia Ada, gdy tylko wstała, zobaczyła na stole kartkę, jedną z tych, które czasem zostawiała jej Melka, żeby wytłumaczyć, co narozrabiała i ewentualnie dłaczego to nie jest jej wina. Bo to nigdy nie była jej wina. Tyle że tym razem sprawa dotyczyła przyszłości.

Ada aż się zjeżyła, przypomniawszy sobie o ciąży Melki. Z Mateuszem. Pomyślała, że dziecko, które z tego związku przyjdzie na świat, może ten świat zniszczyć, zważywszy na cechy, które odziedziczy po rodzicach. Wybuchowa ciekawość świata, bezpretensjonalne olewanie zasad, brak jakichkolwiek hamulców... Ada aż zadrżała.

Zaczęła czytać list.

*Cześć, ciotka, wszystko się pokręciło i postanowiliśmy z Mateuszem zadbać o naszą przyszłość i o przyszłość naszego potomstwa.*

Ada szeroko otworzyła zdumione oczy. Czyżby coś do nich jednak dotarło? I dlaczego pisze „potomstwo”, a nie „dziecko”? Czyżby to znaczyło, że jest w ciąży, nie daj Boże, mnogiej? W każdym razie przekaz był zdecydowanie pozytywny. Melka dorosła. Wkrótce jednak te radosne myśli uciekły z głowy Ady w popłochu.

*Spodziewamy się trojaczków.*

Prawie zemdląca.

*Jak wiesz, w życiu i oczywiście dla zdrowia psychicznego trzeba myśleć nie tylko o dzieciach, ale i o sobie, o swoich pasjach i przyjemnościach, inaczej człowiek przestaje być tym, kim jest. A my nie chcemy tak żyć. Pomyśleliśmy, że pragniemy się realizować i wstąpić do Aniołów Piekieł. Jeździć po Los Angeles na wypasionych harleyach, ale niestety. Nie da się. Nie znamy angielskiego, a tutaj u nas Aniołów Piekieł nie ma! Tak więc postanowiliśmy przyłączyć się do satanistów, to prawie to samo, tylko bez motorów.*

– O Boże – jęknęła Ada. Z tyłu za domem coś zawyło. Ponieważ koty rzadko wyją, pomyślała, że to może sataniści.

*Dodatkowo to zapewni przyszłość przynajmniej jednemu z dzieci, my na rodziców takiej gromadki nie bardzo się nadajemy, oddamy im jedno lub dwoje, może im się przydadzą na jakąś ofiarę czy coś.*

– Aaa! – wrzasnęła Ada, zagłuszając wycie z za domu, teraz w wyobraźni wyło nienarodzone dziecko Melki i Mateusza.

Nie wiadomo, jakie będą, bo ostatnio trochę nadużywaliśmy narkotyków, potem dodaliśmy psychotropy, kiedy przeszliśmy na LSD było zajebicie, tylko lekarze mówią, że to szkodzi na ciążę, ale w sumie dziecko to dziecko, nie ma się czym przejmować. Jakoś sobie poradzi.

– Ona jest pierdolnięta! – jęknęła Ada, ubierając się pospiesznie.

Odwróciła list na drugą stronę.

*No dobra, to wszystko podpucha, żeby wam pokazać, że bywa gorzej, niż wam się wydaje. My nawet nie jesteśmy w ciąży, a w Prasławcu nie ma satanistów, tylko zdefraudowaliśmy trzysta złotych z kasy bufetu, żeby uratować psa od takiego zбочzonego faceta, co go szkolili. To miał być pies na baby. No i teraz kłopot. U mnie nie może zostać, bo koty i mama się nie zgodziła, powiedziała, że to nie pies, ale wycior, u Matiego też nie, dlatego musi zostać u ciebie.*

*Przywiązałam go z tyłu domu, może koty go nie zagryzą.*

Ten list, typowy internetowy żart, nie powinien był na Adę zadziałać, ale zadziałał.

Wyraźnie oglądała za mało memów.

Ada w poczuciu ulgi pobiegła za dom.

Tak, to, co wyło, było chyba psem. Z naciskiem na „chyba”.

Koty nie zdołały go zagryźć, choć próbowały. Popatrzyła na to coś i naprawdę nie wiedziała, jak to zakwalifikować.

Miał pyszczek trochę jak u małego kajmana, oczy wielkie i okrągłe. Sierść sztywną, burą z ciemnymi i jaśniejszymi pasemkami, nastroszoną we wszystkie możliwe strony, wyglądał jak szczotka do mycia butelek i był koszmarnie brzydki.

Z pyska wystawał mu różowy jęzor, który majtał się na wszystkie strony. Jego brzydota jednak była tak zdecydowana, że aż przechodziła na stronę piękna, nieco od tyłu, to prawda, ale jednak przechodziła. Był po prostu pięknym koszmarnikiem.

– Ciekawe, jak on mógł być wyszkolony. Jako co? Pies na baby? Jak to pies na baby... To paskudztwo miałoby być psem na baby?

Od jakiegoś czasu jakaś myśl nie dawała jej spokoju, ale była tak niekonkretna, mglista i niewyraźna, że Ada nie była w stanie jej sobie uzmysłowić. Coś zaważyła, była tego pewna, ale nie wiedziała co.

Pomyślała o psie na baby i nagle to do niej dotarło. Babka! To znaczy Kościuchowa!

Przez ostatnie dwa tygodnie nie spotkała jej ani razu, nie rozmawiała z nią, a że jej telefon znaleziono na miejscu zbrodni, to i zadzwonić się do niej nie dało. Jakimś cudem Kościuchowa wypadła jej z głowy. Ada właściwie nie przemawiała się niczym, ale było jej trochę głupio, że najpierw zabrała babę do klubu, potem ją upiła, a w końcu zgubiła na całe tygodnie.

To było paskudne, miała wyrzuty sumienia.

Żeby im zapobiec, ubrała się szybko i wzięwszy wyciora do butelek na smycz, pobiegła z nim na spacer w kierunku domu Kościuchowej.

Pomyślała, że psa trzeba będzie jakoś nazwać.

Pies był, co prawda, Melki, ale jak znała życie, na pewno zostanie psem śledczym i dołączy do GBŚ.

Była na Melkę wściekła.

Owszem, defraudacja była czymś paskudnym, niemniej pieniądze zostały spożytkowane na uratowanie... tego czegoś, co przez cały czas wyglądało jak zjeżona szczotka.

Jego kolor sugerował, że mogła służyć do mycia starych rur kanalizacyjnych.

Mimo wszystko Ada była radosna i rozpięta ją pozytywna energia.

Co było w tej sytuacji cudne, to to, że nie będzie dziecka, nie będzie satanistów i całej reszty. Zastanawiała się, czy te wszystkie wymienione w liście używki były prawdą, co by ją załamało, ale postanowiła, że sprawdzi to później. Teraz chciała tylko wyjaśnić kwestię Kościuchowej, a zaraz potem stojący do góry nogami świat powinien wrócić na swoje miejsce.

Szła z nadzieją na ostateczne i jakieś polubowne załatwienie sprawy, choć drażył ją podskórny niepokój.

Kościuchowej coś ostatnio nie było widać za bardzo w mieście.

Czyżby coś jej się stało?!

Oby nie!

Dom kobiety stał niedaleko miejsca, gdzie rozegrała się zbrodnia, ich pierwsza w karierze GBŚ, i wcale to sprawie nie pomagało, bo Ada miała naprawdę



złe skojarzenia z tym wszystkim, a dodatkowo wycior zachowywał się nagan-  
nie.

Weszła na podwórko Kościuchowej. Nic. Żadnego poruszenia, dźwięku, na-  
wet zwykłych codziennych odgłosów życia.

Zapukała do drzwi domu. Też nic. Żadnego poruszenia, dźwięku ani nawet  
zaproszenia, choć, jak się przystawiło ucho do drzwi, to coś bulgotało.

Ucho oczywiście przystawiła, a nawet dwa, bo nie od parady była śledczą.  
Właściwie była bardziej bufetową śledczą, ale mimo wszystko to zobowiązy-  
wało.

Zapukała raz jeszcze. Bez skutku, potem nacisnęła klamkę. Każdy by tak  
zrobił, zwłaszcza że gulgot przypominał ostatnie objawy życia osoby dławiącej  
się na cały głos pierogami.

Ewentualnie duszonej przez ośmiornicę, ale ostatnio nie widziano zbyt  
wielu ośmiornic w okolicy.

Drzwi się otworzyły jak w najlepszym horrorze, takim, przy którego ogląda-  
niu widzowie wrzeszczą z przerażeniem: „Nie idź tam!”.

Oczywiście weszła.

Poszła w kierunku gulgotu.

W końcu, po sprawdzeniu łazienki i kuchni, które były po drodze, weszła do  
salonu. Na podłodze leżała Kościuchowa.

Nie było ani śladu ośmiornicy, ani śladu pierogów, ale smród był straszny.

Kobieta żyła, choć nie wyglądała za dobrze. Wokół niej walały się butelki po  
wódce, piwie i winie oraz nie do końca przetrawione resztki kaszanki, a ona  
sama, widać to było wyraźnie, schudła chyba z dziesięć kilo.

Ada jej natychmiast pozazdrościła, ale tak to jest. U jednych wódka idzie  
w bioderka, u innych z bioderek wymiata.

Tu wymiatała, bo oprócz Kościuchowej i butelek na podłodze było też pełno  
zaschniętych plam organicznego pochodzenia.

– Edziu – zadzwoniła do jednego ze swoich kolegów z GBŚ – weźcie no pato-  
loga i migiem do Kościuchowej!

Takie postawienie sprawy było rozsądne.

Patolog był jedynym zaprzyjaźnionym lekarzem, który mógł się stawić na  
ich wezwanie szybko i bez zbędnych pytań.

– Dobra, już lecimy – powiedział Edziu, zrozumiawszy wszystko, jak należy.  
Czyli zupełnie nie tak, jak trzeba, bo choć patolog też lekarz, to jednak nieco  
specyficzny.

Kobieta była w bardzo złym stanie.

Jak ktoś pije przez tyle dni, to kac bywa naprawdę potwornie bolesny.

– Pani Kościuchowa, co się stało?! – zawołała Ada, kiedy kobieta otworzyła nieco zakaprawione oczy.

– O Boże, diabeł! – zawołała, budząc we wszystkich przerażenie, bo tego typu zwidy, szczególnie w takim momencie, są niebezpiecznym objawem, ale po chwili dodała, wskazując drżącą ręką gdzieś za Adę: – Diabeł tasmański!

– A nie, to tylko pies – sprostowała Ada. – Lepiej pani powie, co się stało!

Tak postawione pytanie było bardzo zasadne, bo Kościuchowa mimo swoich licznych wad jak dotąd alkoholicką nie była. Do picia, i to tak aktywnego, coś musiało ją skłonić.

– Aaa – wyjęczała Kościuchowa. – Olga do mnie dzwoniła.

Jak jeden telefon może zrobić z takiej kobiety jak Kościuchowa takie nieszczęście, nie wiedział nikt, jednak Ada postanowiła się tego dowiedzieć i to wszystko jakoś usystematyzować.

– Kto to jest Olga? – zaczęła w pewnym sensie od początku.

Odpowiedź na to pytanie musiała poczekać, bo kobietą targnęły mdłości.

– Córka – wyjaśniła w końcu Kościuchowa. – Została zamordowanaaa – dała płaczliwie.

– Czyja córka? – zdziwiła się Ada, bo żadnej Olgi nie знаła i w sumie nie była pewna, czy to ta córka została zamordowana, czy ta Olga, która też przecież musiała być czyjąś córką.

Patolog zajął się ledwie żywą Kościuchową i posadził ją na dupie, bo postawienie jej na nogi w tym momencie było zadaniem niewykonalnym – kobieta była wymordowana, wyniszczona i zmarnowana w najwyższym stopniu.

Oparła się łokciami o stół, wlała w siebie sporo płynów z witaminami. Zwróciła, potem powtórzyła tę czynność trzykrotnie, ale w końcu jakoś doszła do siebie, choć nadal wyglądała marnie.

– Olga to moja przyjaciółka. Miała córkę. I ta córka została... Ooo – rozpląkała się – zamordowanaaa.

– A co na to policja? – Ada już ostrzyła sobie zęby.

– Niiic – wyjęczała. – Nic nie mogą zrobić! Nic! Drzwi zamknięte, okna zamknięte, a ona z nożem i łapą przy stole.

Ta przemowa była nieco zagmatwana. Ada zrozumiała okna i drzwi, ale nie zrozumiała noża i łapy.

– Z nożem przy stole? – zapytała, usiłując skojarzyć to, co da się skojarzyć w takich momentach. Siedzenie z nożem przy stole nie jest karalne ani nawet dziwne. Szczególnie kiedy się coś, na przykład, kroci albo je.

– Przy stole? Jadła coś i się udławiła? Z nożem w ręku? Tak?

Rozumowanie, choć logiczne, nie okazało się jednak prawidłowe.

– Nie, nie z nożem w ręku. Z nożem w plecach, ale fakt, przy stole.

Oczy wyobraźni Ady, bo właśnie nimi teraz zobaczyła tę malowniczą scenę, trochę wyszły z orbit oczodołów, bo jednak nie była całkowicie pozbawiona sumienia. Nie lubiła makabry, choć morderstwa jak najbardziej. Takie eleganckie. Z minimalną ilością krwi, bez wnetrżności na ścianach i mózgu na meblach.

– A co z tą łapą? – zapytała po chwili, bo przypomniała sobie, że była w wypowiedzi Kościuchowej jakaś łapa. – To gdzie ta łapa była? Też na stole czy w plecach? Obcięta, oberwana?

– Łapa na książce! Otwartej.

– Jaka? – ponagliła. – Odcięta?

– Łapa była odciśnięta! Ludzka. Na książce. Bardzo! Łapa Szalonego Mniacha.

– A nie ręka? – Ada odróżniała części ciała zwierzęce od ludzkich.

– No ręka, ale bardziej łapa z pazurami! No znaczy to człowiek. On jest człowiekiem, ale to była łapa, nie ręka.

– A kto to jest ten Szalony Mnich? – Przez chwilę zastanawiało ją, dlaczego coś jej to mówi. Szalony mnich zdecydowanie obił się jej o uszy, ale jakoś tak z daleka, bo nie kojarzyła go za bardzo. – Zaraz, czy pani mówi o tej... jak to nazwać? Oberży?

– To jest zajazd, Zajazd pod Szalonym Mnichem. Taki hotel, tu zaraz... Ta Olga, moja przyjaciółka, jest właścicielką, a jej córka tam pracowała.

Ada poczuła zew krwi, zew przygody, czy cokolwiek tam jeszcze ją wzywało. W stosunku do Kościuchowej czuła się winna. Po pierwsze chciała jej pomóc, a po drugie była ciekawa, co tam się stało i dlaczego policja aż tak bardzo odpuściła sprawę. No i liczyła, że może uda się w to wejść.

Prawda była taka, że mogli wkroczyć do akcji dopiero po tym, jak policja całkiem odpuściła dochodzenie, ale raz, że warto było się czegoś dowiedzieć, a dwa – istniała miłość.

– Edziu, Purchawa! Natychmiast!

– O, co ty? Co to to nie... – usiłował negocjować, ale nie miał siły przebicia. Dalby wszystko, żeby nie musieć rozmawiać z Purchawą już nigdy, przenigdy, nawet przez telefon, ale Ada była nieprzejednana.

– Nawet nie próbuj! Purchawa natychmiast!

Miłość Purchawy do Edzia mogła im pomóc.

\* \* \*

Purchawa po ostatnich sukcesach umocniła swoją pozycję na komisariacie, a jako policjantka mogła bardzo wiele i bardzo wiele wiedziała.

Nadal też kochała Edzia. Była to miłość wyrachowana.

Mnóstwo takich jest. Jedni kochają dla pieniędzy, inni dla sławy, ale nie, Purchawa kochała Edzia dlatego, że to było dla niej idealne wyjście. Edzio był starszy i nie rokował, a to dawało jej wszelkie szanse na wielką niespełnioną miłość, te niespełnione zaś właśnie dlatego, że niespełnione, bywają zdecydowanie trwałe.

I piękne, a nawet romantyczne, choć zestawienie Purchawy i romantyzmu było dość karkołomne.

I było to uczucie beznadziejne, bezsensowne i pozbawione jakichkolwiek widoków na przyszłość, ale miłość podobno nie wybiera.

Edzio bardzo chciał kontaktu z kobietą. A najbardziej kontaktów z kobietami, ale był wybredny.

Nie z Purchawą.

Kiedy ktokolwiek go zapytał, dlaczego przed Purchawą ucieka, miał jedną odpowiedź.

– Nie jest moim ideałem.

Ta odpowiedź natychmiast prowokowała do kolejnych pytań:

– A jaki jest twój ideał kobiety?

– Bez penisa.

– Purchawa ma penisa?

– Nie, ale to baba z jajami, a ja wolę takie bez jaj.

Nie to, że była brzydka, nie, była nawet ładna, przystojna, zgrabna, niestety bardzo często biła facetów. Każdy widział, jak podczas aresztowania używała siły i była bardzo skuteczna, a w bójce w barze bez zastanowienia potrafiła kopnąć chłopą w klejnoty tak, że aż uszami mu wychodziły.

I gdyby nie pewne zajęcia z samoobrony, dawno już udałoby jej się Edzia usidlić albo choć zainteresować. Niestety. W czasie zajęć była tak skuteczna, że Edzio się załamał, stwierdził, że nie potrzebuje w domu ani w łóżku maszyny do zabijania. Potem przez dwa tygodnie kulał i chodził skulony, chroniąc klejnoty, a to tylko z powodu jej popisów.

Nie widział siebie przy niej w innej niż połamanej formie.

Ona jednak, choć miała jaja, to nimi nie myślała.

Zobaczyła na wyświetlaczu jego numer i natychmiast się uśmiechnęła do siebie. Z zadowoleniem, ale i niekłamana złośliwością.

Edzio, oczywiście tego nie wiedząc, z drżeniem w głosie zapytał naiwnie:

– Cześć, co u ciebie?

Purchawa przeanalizowała przekaz i od razu wiedziała, że skoro nie dodał „Purchawy”, to chciał być grzeczny, a bywał grzeczny, tylko kiedy czegoś chciał. Potem pomyślała, że nigdy nie dzwonił towarzysko i bez przyczyny, tak więc potwierdziła w myślach podejrzenie, że czegoś od niej potrzebuje, no i ostatnie – nigdy nie dzwonił sam z siebie, a kiedy ją dostrzegł, przechodził na drugą stronę ulicy i chował się w bramach, sądząc, że ona tego nie widzi, a skoro nie zadzwonił sam, to ktoś mu kazał. Kto? Oczywiście Ada, samozwańcza szefowa GBŚ.

Zanim Edzio zdążył zrobić wdech, do wszystkiego dołożyła jeszcze ostatnie wieści oraz kilka podejrzeń i wypaliła.

– A, chodzi ci o to morderstwo w Zajeździe pod Szalonym Mnichem? – zapytała, wprawiając go w niemałe osłupienie.

Obie strony tego układu były od siebie zależne i na sobie korzystały. Po pierwsze policja mogła się wiele dowiedzieć z pokątnych działań biura, bo nie dysponowała takimi siłami, jak trzeba. Dodatkowo detektywi z GBŚ znali się na pracy w policji i na prawie oraz na procedurach.

GBŚ nie miało takich uprawnień, jakich by chciało. Musiało więc jednak podporządkowywać się policji, co nie było takie złe, bo strzelać bynajmniej nie mieli ochoty.

– Jedźcie tam! – powiedziała rozkazującym tonem Purchawa, wprowadzając Edzia w stan takiego zaskoczenia, że aż usiadł.

Purchawa wiedziała, że w ten sposób będzie miała na miejscu kogoś ze swoich, a żadnych innych swoich, tych służbowych, oddelegować nie mogła, poza tym chciała sobie podporządkować Edzia, jeżeli nie jako mężczyznę, to choć jako pracownika.

I dać prztyczka w nos Adzie

– No ale...

– Nic nie wiem – odpowiedziała – Nic zupełnie nie wiem. Babka, to znaczy kobieta, nawet nie stara, była zamknięta w pokoju, drzwi zastawione stosami książek, okna trzeba było wybijać, żeby wejść. Tarasowe. Nóż wbity w plecy. Głupota totalna, to wszystko tak zrobione, jakby miało sugerować samobójstwo, ale kto sam sobie wbija nóż w plecy?! Co tam u was tak dziamga? – zareagowała na dziwaczne poszczekiwanie psa typu wycior.

– Nic nie dziamga – obruszył się Edzio, bo dziamganie nie należało do sprawy. – No to jakie macie... – Jakimś cudem nie był w stanie przebić się przez potok jej słów.

– Żadnych – odparła Purchawa pośpiesznie – choć ta łapa... No wygląda to na ingerencję sił nadprzyrodzonych – dodała jak najbardziej poważnym głosem.

Purchawa poczekała chwilę, aż Edzio po drugiej stronie linii skamienieje ze zgrozy, bo była zazwyczaj osobą praktyczną i pragmatyczną, po czym rozśmiała się, jakby chciała zaprzeczyć temu, co przed chwilą powiedziała.

Było to celowe.

Teraz z jednej strony nikt nie mógł jej posądzić, że wierzy w siły nadprzyrodzone, ale nikt nie mógł też jej zarzucić, że nie uprzedzała.

Taka gra pozorów, która była jej potrzebna dla jej własnych, niecnie prywatnych celów. No i jeżeli coś jest, choćby w rozumieniu świadków, nadprzyrodzone, to z pewnością ci świadkowie, żeby się nie ośmieszać, nie będą o tym rozmawiać z policjantami, a z kimś takim jak ludzie z GBS będą.

I z Melką, która jest sama tak nadprzyrodzona, że bardziej nie trzeba.

Zresztą czy coś jest czy nie jest nadprzyrodzone, często zależy od punktu widzenia.

– Ja pierdołę – jęknął Edzio i próbował odłożyć słuchawkę. Tak jak robił to kiedyś jeszcze w pracy, kiedy posługiwali się telefonami na tarczę. I one miały widelki. I on na te widelki chciał tym telefonem trafić. A że dzwonił przez komórkę, to tą komórką trafił do miski z okladami i mokrymi ścierkami, którymi wycierano Kościuchową. Naprawdę mogło być gorzej, obok stała ta druga miska, do której zbierano to, co się z Kościuchowej wydostawało.

– Czy ona to powiedziała? – zapytała Ada, która oczywiście rozmowę słyszała, bo telefon był ustawiony na głośność. Purchawa jako zwolenniczka tego typu pomysłów nie mieściła im się w głowach.

Ada jednak w pewnym sensie to rozumiała. To znaczy nie te siły nadnaturalne czy nadprzyrodzone, ale to, co Purchawa chciała przekazać. Nie wiedzą

nic, dają im wolną rękę, sami nic nie robią, ale jak coś się uda, będzie to za-  
sługa policji, a jak nie to geriatryczni detektywi dostaną po dupach.

Całkowicie to akceptowała i wiedziała, że to nic nadzwyczajnego. Tak jest  
zawsze. Teraz nawet się cieszyła, bo Purchawa niejako patronowała ich uczest-  
nictwu w tej sprawie.

Zostali przez nią tam wysłani. Pobłogosławieni. Dostali pozwolenie. To już  
było coś. Nie będzie konieczności wypiekania ton łapówek, przynajmniej cza-  
sowo, żeby się czegokolwiek dowiedzieć.

Kościuchowa też słyszała tę rozmowę i coś sobie kalkulowała.

– Ja nie wiem, jak z tym waszym barterem, bo nie wiem, co wam mogę dać.  
Ja nawet sadu nie mam – jęknęła.

– Ależ, pani Czesiu, nic nie szkodzi! – Edzio elegancko postarał się o złago-  
dzenie jej wyrzutów sumienia, choć barter lubił.

W jego ramach dostawali przeróżne produkty i bardzo to sobie cenili, no ale  
sprawa była ciekawa, więc mogli ją wziąć i bez tego. Już jej pragnęli.

– No ale mogę was zakwaterować i wyżywienie dam, to znaczy ta moja przy-  
jaciółka da – stwierdziła. – Przecież musicie gdzieś mieszkać, dojeżdżać nie bę-  
dziecie. Trzy pokoje załatwię. Pani z Melką, a faceci po dwóch. Teraz po tym  
morderstwie to gości nie ma za bardzo, bo policja odradzała, potem będą, więc  
się odkują.

– A pani?

– Ja wezmę sobie do pokoju tego diabła tasmańskiego. – Kościuchowa wska-  
zała na psa, co załatwiło sprawę.

\*\*\*

Zajazd pod Szalonym Mnichem był dość znany, ale tylko w okolicy i w sieci, po-  
nieważ mieścił się w miejscowości Mnichowoła, która nie leżała na żadnym  
szlaku turystycznym.

Nie był specjalnie dochodowy, ale też jego właściciele nie narzekali na brak  
gości. Nie był także zwyczajnym hotelem, czy jak kto woli zajazdem. Miał rów-  
nież inne zalety, ale tylko dla specjalnych gości, którzy przyjeżdżali odpocząć,  
zresetować się, odnowić energię duszy i ciała. Tak w każdym razie się reklamo-  
wał.

Goście, którzy tu przebywali, nie byli to goście z drogi, bo przypadkiem  
trudno było tam trafić, ale tacy, którzy znaleźli to miejsce przez Internet, napi-

sali, zapłacili i zdecydowali się przyjechać, nie licząc na jakieś turystyczne fajerwerki.

Oni szukali tu czegoś całkiem innego i to dostawali.

Dostawali też całkiem ładną miejscowość, bardzo elegancki zajazd, naprawdę dobrą kuchnię i tereny prawie całkowicie pozbawione turystów, co było nie do pogardzenia, zwłaszcza że zajazd oferował pewne atrakcje związane z wyciszeniem, medytacjami i wszystkim, co można było osiągnąć bez specjalnie dużych nakładów finansowych ze strony właścicieli.

Choć gości dość drogo to jednak kosztowało.

Poza kucharzem, właścicielką mieszkającą w domku obok, jej zamordowaną córką i kilkoma osobami z personelu był tam też ktoś zwany alienistą, co wszystkich fascynowało.

Nazwa ta przed powstaniem psychiatrii określała osobę zajmującą się chorobami psychicznymi, ale i wtedy, i teraz brzmiała o wiele przyjaźniej niż określenie „lekarz psychiatra”, zwłaszcza że osoba, która się tym zajmowała, nie była ani lekarzem, ani tym bardziej psychiatrą, jedynie „doradcą duchowym”, ale i tak miała superwzięcie.

Ci, którzy przyjeżdżali, uważali się za wyjątkowych, więc alienista im jak najbardziej pasował.

Nazwa zajazdu powstała trochę dlatego, że nazwa miejscowości Mnichowo miała jakiegoś mnicha sugerowała.

Mógł być to, co prawda, albo mnich, albo mniszka, ale mniszki są jednak nudne i dodatkowo „pod mniszką” bardzo źle się kojarzy. Bardzo seksualnie, niestety, bo mniszki noszą spódnice. Został więc mnich. Nie był to mnich katolicki. Mógł być jakiś tybetański albo chiński, albo nawet buddyjski. W każdym razie obcy.

Dlaczego zajazd został nazwany Pod Szalonym Mnichem?

Walczył o prymat z mrocznym, ale szalony wydał się właścicielom bardziej obiecujący.

Tak więc mnich jako taki, szalony czy nie, najprawdopodobniej nie istniał.

Dlaczego więc zabił?

Bo na to właśnie wszystkim wyglądało.

Zdjęcie, które podesłała im Purchawa, zrobiło na wszystkich wrażenie. Była to fotografia odbitej łapy z dorysowanymi jakby pazurami. Nie trzeba dodawać, że fotka była mroczna. No i tak jakby trochę... szalona, bo to, w czym odcisnęto łapę, było krwią. A pazury też dorysowano krwią. Nie był to więc odcisk



przypadkowy, ale całkowicie celowy, a więc został zostawiony przez kogoś, kto nie tylko potrafi zabijać, ale i babrać się w ludzkiej krwi.

I po coś to zrobił.

Krew była krwią ofiary, odcisk, zakładano, był odciskiem mordercy, dla wielu mnicha, ale ten mnich musiał mieć na sobie jakieś rękawiczki, bo odcisk nie posiadał ani jednej linii papilarnej.

Założenie, że nieistniejący, wymyślony mnich zamordował córkę właścicielki zajazdu, aż rzucało się w oczy swoją nedorzecznością, ale każdy brał to pod uwagę.

Ludzie lubią takie rzeczy. To daje szansę na całkiem przyjemny dreszczyk i sporo emocji, oraz w jakimś sensie jest o wiele bezpieczniejsze od zwykłego, całkowicie realnego zagrożenia. Realne bywa na wiele sposobów niebezpieczne. Prawdziwy morderca, taki z krwi i kości, może się czaić wszędzie, zabić każdego, w domu i w zagrodzie oraz na ścieżce zdrowia, nie mówiąc już o krzakach, a taki nadprzyrodzony nie morduje przecież ot tak. Musi mieć jakieś ważne powody, a więc jest mniej niebezpieczny, mimo że przechodzi przez ściany.

\*\*\*

Melka się ucieszyła, że jadą do Mnichowoli, bo od zawsze interesowała się ezoteryzmem i duchami, których nawet kilka wywołała.

Melka się nie ucieszyła, że będzie dzielić pokój z ciotką, ale nie miała wyboru.

Ponieważ Mnichowola leżała dosłownie o piętnaście kilometrów od Prasławca, zapakowali się w samochód Huberta i na dwie tury, wraz z psem i Kościuchową, pojechali do tego eleganckiego jak najbardziej zajazdu, na pobyt na który tak zwyczajnie to nie bardzo ich by nawet było stać.

Takie miejsca owiane nimbem magii, dobrego jedzenia i elegancji z dodatkiem zajęć terapeutycznych na „everestalnym”, jak twierdziła Kościuchowa, poziomie są drogie.

Zajazd był bardzo eleganckim miejscem.

Już widząc bramę i podjazd, można się było spodziewać, że zwykłej kurzej czy nawet przepiórczej jajecznicy się tam nie podaje, no chyba że taką doprawioną solą z morza bezkسیężycowego i łzami nietoperza z dodatkiem truflif i złotych płatków, na bułce wypiekanej w japońskich dolinach przez tybetańskich mnichów.

Albo mnichów wypiekanych w tybetańskich kotlinach, ale oni są zazwyczaj żyłaści.

Ada wysiadła z samochodu i zaszokowana popatrzyła na Kościuchową, która od razu wiedziała, o co chodzi w tym spojrzeniu.

– Zajazd? – zapytała Ada. – To powinno się nazywać pałac de lux!

– A co ja wiem? – odburknęła Kościuchowa. – Coś z podatkami, zezwoleniami, jakimiś gwiazdkami, dość, że podobno ta nazwa im się bardziej opłaca. Olga mówi, że jakoś sobie radzą, więc jej wierzę.

To, że jakoś sobie radzą, było widać i bez tej wiary.

Wszystko tu było piękne, eleganckie i wypiełgnowane.

Bryła budynku bardziej przypominała piękny nowoczesny dwór albo pałacyk opakowany gdzieniedzie w chromowaną nowoczesność.

Podjazd był obsadzony hortensjami, pełno było tam pergoli, miejsc do medytacji i ławeczek. Poza tym była tam też inna budowla, wyglądająca jak stara karczma. Rustykalna, ale elegancka. Do tego jakieś inne budynki w dali, też rustykalne, oraz piękna stara studnia. Trochę to było obrosnięte pokrzywami i krzakami w stylu równie rustykalnym, co nieco przesadnie zaniedbanym, ale modnym. Potem okazało się, że to rewolucyjna permakultura i tak właśnie ma być. Podejście w stylu: „A nich tam sobie rośnie, co chce, bo ja nie mam do tego głowy, a ogrodnikowi trzeba by płacić”.

– To samotnia – oświadczyła Kościuchowa, wskazując głową na zachwaszczone włości.

– Jaka samotnia?

– No mnisia. Przecież ten mnich musiał gdzieś mieszkać. Samotnie, to nie był jakiś rozpustny mnich. I spał na katafalku. Takim czarnym, bardzo trumiennym. Więc jest katafalk. Nowoczesny, laserowy, z wibracjami. Pomaga różnym ludziom na schorzenia. I masażery ma na stopy i na głowę.

– Katafalk? Do masażu? Wibracjami? – zdziwiła się Ada. – Jakies to makabryczne...

– A się przyjęło. – Kościuchowa wzruszyła ramionami. – Choć rzeczywiście no, tak jakby...

– No właśnie. Katafalk nie najlepiej się kojarzy – zaczęła Melka, ale Ada ją uciszyła.

– Ale pomaga, to najważniejsze – burknęła Kościuchowa.

– No ale... Z tego, co... To znaczy, że jak? On istniał? – Ada nie umiała się jakoś pogodzić z katafalkiem i ze śpiącym na nim mnichem.

– Nawet jak nie istniał, to musiał gdzieś spać. Prawda? Kiedyś Bareja, ten od Misia, mówił, że istnieje prawda czasu i prawda ekranu!

– No i? – Ada spojrzała na Melkę z zaniepokojeniem.

– No i to, że teraz ludzie mówią, bo ten Bareja to już nie może, że istnieje jeszcze prawda kreacji, nieważne jaka, ale ma do tej kreacji pasować – wybuchła Melka. – No bo jak? Taka milionerka, jakaś tam sławna, to co ona ma do zaoferowania? Nic. A jak siebie stworzy od nowa, to od razu ma wzięcie! I już ją kochają!

Melka, choć wielką myślicielką nie była, doskonale rozumiała ten problem. Rozumiała, dlaczego milionerki chodziły (jako biedne, małeńkie dzieci) w dziurawych butach, choć nie chodziły. Musiały, bo gdyby nie przeżyły biedy, nie wpisałyby się w ideę przekazu, od zera do milionera. Od milionera do milionera już tak dobrze nie brzmi i zupełnie się nie sprzedaje.

No bo dzieci milionerów, jak już wyrosną z bobasa, są niemodne i wszyscy je hejtują, bo to rozwydrzeni smarkacze.

A takie milionerki z Insta wszystko robią same, każda chce oświadczyć, że ona tymi rękami, znaczy tymi cycami złotonośnymi i tym makijażem wielkopowierzchniowym wszystko zdobyła i nie żadne fotoszopy, tylko prawdziwe łzy potu na siłowniach i suplementy łykane tonami.

Ale nie było łatwo! W sumie fotoszop się zaczął.

I cierpiały!

Musiały cierpieć! Tak to nie działa. Jakby było łatwo, to się nie liczy, to znać każdy wie, że łatwiej zaczynać z tatusiowym milionem, ale nikt nie chce o tym mówić. Bo zaraz jakiś hejter jeden z drugim po chamsku pyta, a co, jak tatuś nie ma milionów? Żenada!

Dlatego wiecej i bogaci, albo tylko bogaci, podrasowują sobie życiorysy, żeby pokazać, że cierpienie było ich udziałem. Wielkie cierpienie. Że hejt, bieda, a czasem też wredni rodzice byli ich udziałem, a mimo to wszystko im pięknie wyszło.

I te pazurki, i te oczka, i te cysie, choć one dopiero po kolejnej operacji.

I ząbki też im wyszły, i to niestety całkiem, ale one to po tureckich zabiegach.

I nagle się okazuje, że co druga milionerka nie miała co jeść. I to jest prawda, choć wszyscy myślą o chlebie, a ona o kawiorze.

Melka jako emocjonalnie rozwinięta przez celebrytizm internetowy i wszelkie możliwe zjawiska ezoteryczne czuła całą sobą, że ma rację.

– No ale co z tą samotnią? – Ada nalegała na wyjaśnienia.

– Opowiadają, że on tam sobie mieszkał, a teraz to jest miejsce odpowiednie do medytacji i takie tam. Bo tam krąży jego energia – wyjaśniła Kościuchowa.

Ada westchnęła i popatrzyła na okolicę z zainteresowaniem.

– Ładna ta samotnia – westchnęła.

– Właśnie. Olga zbudowała to wszystko kilka lat temu – oznajmiła Kościuchowa.

W tym momencie coś przeleciało obok nich i pobiegło z zielono-turkusowym łopotem w kierunku samotni, ale przeciąwszy trawnik, biegło dalej jakby w las.

– Zgroza! Zgroza! Zgroza! – Biegając, wołało kobiecym głosem, zachrypłym i trochę zardzewiałym, jakby od naużywania rozpuszczalników i odrdzewiaczy albo choć alkoholu.

– Nie zwracajcie uwagi, to wariatka – powiedziała Kościuchowa i niczego więcej nie tłumacząc, ruszyła do drzwi zajazdu.

Poszły za nią. Oczywiście chciały się dowiedzieć, co to za wariatka i co to za zgroza, ale mogły poczekać. Pewnych rzeczy przyspieszać się nie powinno.

Tym bardziej że Kościuchowa nie wyglądała na specjalnie poruszoną.

Weszły do głównego budynku, bo Hubert pojechał po Edzia i Mundka oraz po Mateusza.

W holu przyjęła je Olga, przyjaciółka Kościuchowej. Aż trudno było sobie wyobrazić dwie bardziej różne kobiety.

Kościuchowa była zwykła, swojska i codzienna oraz dość zwyczajnie ubrana. Olga zwiewna, kolorowa, szalona i ubrana tak, że nie było wiadomo, co właściwe ma na sobie – czy są to spodnie, czy jednak sukienka, i czy to, co ma na głowie, to turban zawiązany na włosach czy zrobiony z włosów. Miała długie, chyba doczepiane, dredy. Twarz Melki aż rozświetliła się z zachwytu.

– Mowy nie ma! – warknęła Ada, widząc ten zachwyt dziewczyny i dopowiadając sobie jego efekty.

– Ale ciotka... Takie długie, wplatane, a jak nie dredy, to choć warkoczyki kolorowe, żeby mi się majtały! Cudne są. Plizzz!

– Nie ma mowy, najpierw praca, potem cała reszta. – Ada dała jej trochę nadziei, choć nie wyobrażała sobie Melki z dreadami.

Przed oczami przemknęły jej zwykłe domowe obrazy. Melka i elektryczna maszynka do mięsa, Melka i sokowirówka, Melka i pralkosuszarka, o wentylatorach nie wspominając, i te obrazy wcale nie nastroiły Ady pozytywnie.

W każdym z nich widziała zwłoki, urwane głowy albo choć oskalpowaną Melkę.

Kiedy w końcu wyobraziła sobie Melkę koło frytkownicy z rozgrzanym tłuszczem, aż jęknęła z bólu. Wyobrażenia to straszna rzecz.

Oczywiście Melka była pełnoletnia, więc nie musiała pytać ciotki o takie rzeczy, ale... No cóż, ciotka była jej pracodawczynią. Jedyłą, jak dotąd, której udało się przy Melce nie zwariować, dziewczyna musiała to brać pod uwagę.

– Proszę. – Olga wskazała im fotele w recepcji. – Moja pracownica zaraz się paniami zajmie.

– A kiedy porozmawiamy? – zapytała Ada, bo jak to ona, lubiła wszystko stawić na jedną kartę. Nie przyjechały przecież na wypoczynek.

– No cóż. Pani od razu mogę powiedzieć, że przydałby się pani porządny detoks psychiczny, bo pominąwszy ciałopozytywność, to trochę jest pani za dużo, no i odtruwanie emocjonalne też dobrze pani zrobi. Nie proponuję ćwiczeń, bo to przeżytek, ale takie uspokojenie umysłu doskonale wpływa na ciało.

Adę zatchnęło.

Właścicielka rozejrzała się, wskazała palcem na Melkę.

– A tu widzę zbyt dużo chaosu emocjonalnego w połączeniu z przedawkowaniem seksu. Wyciszenie i umartwienie. Noc na katafalku, mniszek i będzie lepiej.

Melka pisnęła.

– Żadnych katafalków – warknęła. – Mniszków też nie potrzebuję ani mniichów! Co ja, pedofil jaki jestem? Mniszków nie chcę!

– Mniszek to zioło.

– A zioło to lubię zapalić – ucieszyła się Melka, wywołując konsternację właścicielki.

– To już nie rozumiem. – Olga nie reagowała na znaki, które dawała jej Kociuchowa.

– Nie o to mi chodziło – burknęła Ada, nieprzyzwyczajona do tak obcesowych ingerencji w jej wybory życiowe i żywieniowe.

– A no tak – westchnęła właścicielka i trochę jakby natychmiast zmiękła. Zmałała i zbladła. – Tak, tak. Teraz rozumiem, staram się jakoś trzymać, ale same wiecie, jakie to trudne.

Ada chciała powiedzieć, że nie wie, bo nigdy jeszcze nie zamordowano jej córki, ale się powstrzymała, bo taki tekst z pewnością by nie pomógł.

– Chodźcie – rzuciła właścicielka z rezygnacją i poprowadziła je na górę, a potem przez jakieś drzwi na taras. Przeszły kilkanaście metrów i stanęły przed dużym tarasowym oknem. Było wybite.

– Tak to wyglądało.

Zajrzały do pomieszczenia, które wyglądało na gabinet. Jego ściany wyłożone były półkami pełnymi książek. Pośrodku stało eleganckie, stare biurko.

Przy biurku fotel, w rogu jakaś rzeźba.

– Tu siedziała – wyjaśniła Olga z zaskokiem, a może przerażoną odrobinę miną. Takie wspomnienia, i to jeszcze na świeżo, nikogo nie cieszą.

– I drzwi były zamknięte?

Ada przyjrzała się drzwiom, które widać było z tarasu.

– Tak, zamknięte i zastawione stosami książek. Nikt nie mógł tędy wyjść ani wejść, bo te stosy by upadły, a książki były ustawione jedna na drugiej. Tak jak zawsze.

– Tak jak zawsze? – powtórzyła Ada, bo to mogło mieć znaczenie.

– Bo widzi pani, moja córka była dość drażliwa. Często się wściekała. Nie lubiła konfrontacji. Jak się na coś zdenerwowała, to zamykała się tutaj, zastawiała drzwi książkami i nie chciała z nikim rozmawiać, tylko warczała, jak ktoś się tu pojawiał.

– I?

– I żeby się zorientować, czy już jej przeszło, to zawsze kogoś na taras podsyłałiśmy, żeby zajrzał i zobaczył, w jakim jest stanie. I normalnie to działało. Zawsze.

– A wtedy?

– A wtedy to był wrzask taki, że wrony spłoszyło! Maryśka, moja pokojowa, zobaczyła, jak córka leży na biurku z nożem w plecach i ta łapa...

– Było ją widać?

– Córkę było.

– O łapę pytam.

– Nie, dopiero jak wybiliśmy to okno i weszliśmy z policją, to zobaczyliśmy, że czytała jakąś książkę.

– Jaką?

– Oj, nie wiem, policja ją zabrała. I tam była ta łapa.

– No dobra, ale może jest tu jakieś inne wejście? Wyjście? Przejście? – zapytała Melka, chcąc błysnąć.

– Nic z tych rzeczy, okno tarasowe zamknięte było od środka, a drzwi do pomieszczenia zamknięte na zatrask, ale też zastawione. Nikt nie mógł wejść ani wyjść. Już mówiłam.

– I ona tak często czy dopiero ostatnio?

Przez chwilę słychać było tylko zażenowane westchnienia Olgi, po czym kobieta zdecydowała się odpowiedzieć.

– Czy często? Od zawsze taka była! Musicie zrozumieć, Natalia była bardzo trudna.

– Jak bardzo? – Ada kula żelazo, póki nie ostygło, bo Olga nie wydawała się osobą skłoną do zwierzeń.

– Koszmarnie. – Kolejne westchnienie powiedziało o wiele więcej, ale i Olga się trochę rozgadała. – Ona miała na zajazd inny pomysł. Chciała tak jakby iść bardziej w nowomodne terapie, ja znowu miałam ochotę zachować wszystko tak jak jest.

– Niespecjalnie rozumiem...

– Bo widzi pani, takie miejsce musi zarabiać, ale teraz to każdy liczy się z groszem, kto tu przyjedzie? Tu nic nie ma! W pobliżu zero atrakcji, są owszem lasy, ale jak ktoś chce na grzyby, to nie płaci za hotelowe luksusy, woli coś bardziej rustykalnego, żeby jeszcze mieć gdzie sobie to wszystko ususzyć, czy tam zamarynować, a tu? Przecież nie będą suszyć grzybów na kominkach? To byłoby... Nawet jeżeli nie okropne, to za drogo wychodzi, dlatego postanowiłyśmy do naszej działalności dołożyć centrum odnowy duchowej. I tak nawet dobrze działa, mamy jogę, medytacje, masaż kamieniami, takie różne, a Natalia wymyśliła sobie jeszcze terapię dla par.

– I?

– No wprowadziła to. Jakoś.

– I było dobrze?

– No nie! Terapię dla par to koszmar. Wie pani, jak ktoś idzie na terapię do jakiegoś gabinetu, a potem wraca do swojego domu, to jest bardzo w porządku, w domu jest zazwyczaj kilka pomieszczeń, każdy idzie do siebie i przetrawia to, co usłyszał, w samotności, ale jak terapię ma w hotelu i w tym hotelu po tej terapii pozostaje, to naprawdę koszmar. Wyobraźcie to sobie, ludzie naprawdę niechętnie wydają pieniądze. Takie pary biorą jeden pokój z oszczędności, a później?

– Nieprzyjemnie?

– Całonocne awantury, chłanie na smutno do rana, pobicia... naprawdę paskudnie. Niestety nasz terapeuta stawia na szczerłość.

– I co w tym złego?

– Nikt nie chce być w skórze męża, który właśnie się dowiedział, że ona tylko udawała orgazmy, a on ma małego, a przecież to przyszc. Istnieją jeszcze zdrady. Jedna babka to potem usiłowała męża Sokratesem zatłuc.

– Sokrates? Jakiś rodzaj broni? – Kościuchowa też była ciekawa.

– Popiersie – odburknęła Olga – gipsowe.

– Przeżył?

– Mąż tak, Sokrates nie.

– Czyli pani była przeciwna temu, co córka chciała zrobić? – Ada też chciała ustalić pewne rzeczy. – Ale, o ile mi wiadomo, to przecież pani jest właścicielką? Nie mogła pani jakoś tego załatwić?

– Może załatwiła? Zabiła ją i teraz kłamie?!

Melka dostała kopniaka w goleń, ale reakcja Olgi na to pytanie była zupełnie spokojna.

– Wierście mi, że chciałam, ale jednak była moja córką.

– A nie mogła pani jej zwolnić?

– Natalia była konfliktowa. Bardzo. Niby wykształcona, zdolna, a nawet kreatywna, ale z ludźmi nie umiała żyć, w zeszłym roku trzy razy ją wylali z pracy. Ostatnio pracowała w urzędzie gminy, wylali ją, bo bez przerwy się z ludźmi kłóciła, w urzędzie pracy też. No co miałam zrobić? Nie chciałam, żeby zdechła z głodu. No i jeszcze ta samotnia.

– To znaczy?

– Chciała ją zburzyć.

– Ale co to – Ada chciała tak odpowiedzieć, żeby niczego nie sugerować – co to ma do rzeczy? W całym tym układzie?

– Bo ona uważała, że to przeżytek, że takie miejsca nie powinny stawiać na mistycyzm, że mnich nam jest niepotrzebny, ale wszyscy woleli jednak jej nie ruszać. Takie jakby... czy ja wiem? Przepychanki się zrobiły i w zajeździe, i poza nim, bo ludzie jakoś w tego mnicha się wciągnęli.

– Miała wrogów – podsumowała Ada, bo takie pytanie było bezcelowe, a jednak Olga odpowiedziała.

– Nawet nie, nie powiedziałabym, że miała wrogów, po prostu ludzie jej nie lubili.

Możliwe, że Olga jako matka, która swojej córki też za bardzo nie lubiła, zapomniała o tym, że pewne uczucia potrafią eskalować.

Zeszli na dół, bo usłyszeli, że podjeżdża Hubert.



Babka z recepcji, ubrana w nienaganny fartuszek prawie pielęgniarski, co z powodu niektórych aspektów działalności było tutaj istotne, przydzieliła im pokoje.

Były bardzo eleganckie.

\*\*\*

Hubert i Edzio wyszli z zajazdu trochę się rozejrzeć. Jako pretekst pożyczili psa. Teraz, co prawda, był pod opieką Kościuchowej, ale był też doskonałym uprawomocnieniem ich wędrówki po krzakach.

Zresztą był.

Jak tylko widział kobiety, po prostu był.

Nie wiadomo było, czy to efekt tresury czy jego naturalne zachowanie. Zauważyli jednak, że był tylko na piękne kobiety.

Te z dużym biustem.

Był wrednym seksistą w psim wydaniu. Na facetów nie był.

Postanowili obejrzeć sobie teren, samotnię, park, a nawet pobliski las, a do tego pies był bardzo przydatny jako pretekst. Dwóch facetów spacerujących samotnie wzbudza podejrzenia, to mogą być włamywacze, alkoholicy, jakiś gender albo mormoni, a ci sami faceci z psem już nie.

Psy wzbudzają zaufanie.

\*\*\*

Mundek i Mati też ruszyli przed siebie, ale oni poszli „do miasta”, to znaczy oczywiście żadnego miasta tu nie było, nie było też wsi, była taka trochę miejsko-wiejska osada, w której królowała niska zabudowa z niewielkim ryneczkiem otoczonym sklepami. Było tu właściwie wszystko, jak na taką miejscowość.

Jedna droga przechodziła przez całą tę zbieraninę budynków, rozdzielając ją na pół, choć niedokładnie. Z jednej strony był kościół, cmentarz i apteka, z drugiej urząd gminy, szkoła podstawowa z przedszkolem i szpital.

To znaczy szpitala nie było, ani teraz, ani nigdy go nie było, choć obiekt stał, był to zrujnowany, opustoszały budynek z powybijanymi oknami, z którego ukradziono wszystko, co się dało, łącznie z rurami i kablami.

Kiedyś wybudowano go w nadziei na przyłączenie Mnichowoli do Prąsławca, ale że miasto zaczęło się rozbudowywać w innym kierunku, pomysł zarzucono.

Budynek został. Trochę straszyl, ale nie nadawał się nawet dla bezdomnych, bo tutejszych nie było, a ci miejscy, praslawscy, uważali, że dojazdy są zbyt obciążające.

Nie straszyl tu nawet żaden duch. Zresztą jaki duch, szanujący się, prawdziwy, pradawny duch chciałby straszyc w takim „plastiku”?

Czasami straszyla tu miejscowa wariatka, ale nikt jej nie brał na poważnie.

Mundek i Mati zetknęli się z nią na drodze, kiedy wyskoczyła z pobliskich krzaków i wrzeszcząc, pobiegła w kierunku cmentarza.

– Zgroza! Zgroza! Zgroza! – zawiadomiła ich na cały głos, po czym się oddaliła, zostawiając ich w osłupieniu.

– Panowie się nie przejmują – powiedziała przechodząca nieopodal kobieta, która z zainteresowaniem obejrzała sobie te dwa męskie egzemplarze, ani chybi świeżo zakwaterowane w zajeździe. Jeden był dla niej trochę za stary, drugi trochę za pryszczaty.

– No, nie żeby coś, ale dlaczego ona tak krzyczy?

– To wariatka! – Kobieta wzruszyła ramionami.

– To znaczy...

– Nic nie znaczy, jak w zajeździe postanowili wprowadzić terapię dla par, to jej odwaliło.

– A co ma terapia do... Zgrozy? – Mundek zadał to pytanie całkowicie szczerze, bo nie był w stanie zrozumieć.

– A ma, ma. Bo to, widzi pan, znaczy państwo, no, panowie – zdecydowała się w końcu – oni tam seks uprawiają.

– Znaczy kto?

– Te pary!

– No, ale pary to jakby zawsze, to znaczy, mogą? No bo nie ma zakazu, prawda? Jak para, to jakby samo się rozumie, że seks.

– Ale to jest rozpasanie! Bo one, te pary, to ten seks temu facetowi pokazują, a on im mówi, że to tak, a to nie tak, że niedokładnie takie.

– Co niedokładnie? Co niedokładnie można w seksie? – zapytał Mati, mało jeszcze doświadczony w kontaktach z takimi osobami.

– No choćby trafić?!

– Pokazują?! – zdziwił się Mundek. Nigdy nie był na żadnym seansie terapii dla par, na żadnym innym zresztą też nie, poza kinowym i raz spirytystycznym, ale wydawało mu się, że nie na tym to polega.

– O panie! – Kobieta aż się zaczerwieniła. – A potem normalnie straszne rzeczy się dzieją. Normalnie zgroza! Poważnie! Jeden to z nożem latał, ale w sumie to nie najgorsze, najgorsze to że mnicha obudzili tym seksem i on jakby...

– Obudzili mnicha seksem?

– Bo oni ten seks w tej samotni. Tam to robią, tak mi jedna taka mówiła. No a to takie miejsce bardziej jakby święte dla niego. No bo mnich to jakby święty jest, no dla kogoś czy tam dla siebie, ale jest. Bo to jakby nie jest kierowca ciężarówki czy jakby piekarz, to mnich!

– Ale co to za mnich?

– O... szalony! Prawdziwy szalony mnich! Taki w kapturze.

– Zakonnik?

– Ale że nasz? Kościelny? Nie, normalny zakonnik to nie, bo takiemu naszemu zakonnikowi to mordować nie pasuje, to musi być jakiś satanistyczny albo chiński. I on napisał, że zamorduje wszystkie osoby na k...

– Ale gdzie napisał?

– O tu. – Kobieta podsunęła Mundkowi zdjęcie w telefonie. Uwiecznioną na nim ścianę zdobił napis „zajębię wszystkie k...” i zdecydowanie nie był przesłaniem mnicha, nawet satanistycznego.

Mundek zakrztusił się śmiechem, ale że nie wypadało się śmiać, postanowił sprawę nieco zagadać.

– Gdzie to pani znalazła?

– Jak gdzie? W szpitalu!

– W szpitalu są na ścianach takie napisy? – Mati prawie zemdlął z wrażenia, bo próbował zająć się graffiti i bardzo chętnie przyozdobiłby jakąś ścianę, a w szpitalu jak najbardziej.

– No jasne, że są.

– Ale w jakim szpitalu?! – Mundek rozumiał przesłanie napisu i nie przypisywał go mnichowi, szalonemu czy też nie, oraz wiedział, że ludziom, którzy mają nazwiska lub imiona na k, nic nie grozi, o ile nie wykonują najstarszego zawodu świata, ale nie znał jeszcze takiego szpitala, w którym takie rzeczy byłyby legalne.

– No tu, u nas! – Kobieta wzruszyła ramionami, a potem wskazała na bryłę koszmarka z boku drogi, trochę zasłoniętą drzewami.

Tak to jest, że ludzie przyzwyczajają się do niektórych nazw. Gdyby ktoś powiedział „ruina”, nikt by nie zrozumiał, choć budynek był ruiną, dla tutejszych jednak był to i pewnie na zawsze miał być szpital.

\*\*\*

Wariatka zawróciła. Podbiegła do nich i wrzasnęła:

– Zgroza! Zgroza! Zgroza! – Popatrzyła na ich zaszokowane miny i uciekła, śmiejąc się jak opętana. Wiedziała, że to, co pokazała, było zaledwie wstępem do tego, co dopiero zamierzała zrobić.

Są tacy, którzy na starość szydełkują albo remontują stare samochody, są tacy, co poświęcają się czytaniu książek albo kontrolowaniu moralności sąsiadów, a są tacy, którym odbija.

To był ten przypadek.

\*\*\*

Posiadanie własnego mnicha, i to dodatkowo szalonego, było dla Mnichowoli wielkim szczęściem i wszyscy się zastanawiali, jak tego mnicha wykorzystać.

Nie mógł przecież leżeć odłogiem!

Każdy chciał i, co ciekawe, każdy mógł jakoś się na mnicha załapać, problemem był tylko sam mnich, ale nikt się nim za bardzo nie przejmował.

W miejscowym barze serwowano specjalne dania, które nazywano na przykład „sałatka mnicha” albo „kotlet mnicha”. Było to coś, co serwowano tylko przyjezdnym, bo zazwyczaj składało się z resztek z dnia poprzedniego albo nawet tygodnia, jeżeli nie miesiąca (najbardziej trujący był bigos mnicha), „flaki mnicha” jednak się nie przyjęły.

Były też drinki mnicha, czyli coś, co udawało miód pitny, a było berbeluchą z mieszaniny tanich win.

Były plastikowe figurki, rękodzieło, naiwne malunki naśladowujące Nikifora albo usiłujące go naśladować.

Mnich był wygodny, bo jako że nie istniał, można było mu wmówić wszystko.

Tylko że pewne rzeczy, choć nie istnieją, potrafią zaistnieć.

Choćby w umysłach.

I tak nagle wszyscy zaczęli się przejmować mnichem. Że to nie wypada, tamto nie pasuje, że należy chronić dziedzictwo mnichowolskie. Nie wolno sztydzić, nie wolno opluwać, a disco to już naprawdę przegięcie, przecież on był mnichem, a mnisi nie uznają takiej muzyki.

Mnich zaczął w Mnichowoli rządzić.

Zaczęto tworzyć mu legendę. A ponieważ robili to wszyscy naraz, i to bez konsultacji, bywała niespójna.

W każdym razie nie był mnichem katolickim, to wiedzieli wszyscy, bo jednak był szalony, a to jakoś nie pasuje do ogólnie przyjętych zasad.

Potrzebowali mnicha mrocznego, niebezpiecznego i choć trochę groźnego, bo to przyciąga młodych, a tylko oni płacą. Starzy oszczędzają na wszystkim.

\* \* \*

Hubert i Edzio poszli z zajazdu najpierw do samotni, a potem ruszyli jeszcze trochę się rozejrzeć po terenie. Ich pretekst, pies, ciągał ich po wszystkich krzakach i zaroślach, obwąchiwał, co się dało, oraz znaczył teren; w końcu był psem, choć wyglądał jak szczotka i zachowywał się jak odkurzacz.

Mieli ochotę obejrzieć sobie dokładnie teren, ale się odrobinę zawiedli, nic tu nie było, nic poza starą, dość zmurszałą studnią w pokrzywach.

– Studnia? Tutaj? – zapytał Edzio przebiegającą kobietę w turkusach.

– Mnisia – odburknęła. – Starodawna.

– Biorą z niej wodę? – zapytał Mateusz, po czym aż prychnął. – Tfu, co ja gadam, nie biorą?

– A bo ja wiem? Jest kanalizacja.

– Myślałem, że pani tu mieszka albo pracuje – odpowiedział Edzio podstępnie.

– Nie, nie, ja jestem strażniczką płomienia! – sprostowała kobieta, wzbudzając spory popłoch.

– Strażniczką? Płomienia? – Mateusz aż jęknął, bo w jednej grze RPG miał taką postać, ale nie była aż tak wiekowa. Kobieta musiała mieć koło siedemdziesiątki.

– Jakiego płomienia?

– Wiary! – odwarknęła kobieta, a Edzio natychmiast się przestraszył, bo wiara aż tak ostentacyjna jakoś do niego nie przemawiała.

– Znaczy w kościele?

– Nie! W ogrodzie. Przecież chodzi o naszego mnicha!

– Co pani gada?

– No bo mnich tu mieszkał. I dlatego musimy podtrzymywać płomień wiary, bo inaczej on nas wszystkich wymorduje – dodała z satysfakcją. – Już zaczął przecież.

I tu się jakoś Edziowi poszczęściło, bo choć nie rozmawiał jeszcze z nikim z zajazdu, to trochę o sprawie wiedział, zresztą tych z zajazdu zostawił sobie na koniec, bo po pierwsze Purchawa miała wszystkie zeznania, po drugie na dotarcie do mieszkańców miał jeszcze czas, a ta obca kobieta mogła mu chyba sporo powiedzieć.

– A to słyszała pani o tym zabójstwie?

– Jakżebym miała nie słyszeć? To znak, że się zaczyna, że on jest wściekły i będzie zabijać.

– No ale nożem?

– A dlaczego nie nożem? On może wszystko.

– Przechodzi przez ściany?

– Kto wie? – odparła kobieta. – Może się bilokuje, może mieć taki dar. Bilokacji. Mnisi mogą taki mieć. I on tak: jest tu i jest tam, a nawet gdzie indziej.

Dar bilokacji Edziowi do niczego nie był potrzebny, motyw za to bardzo by go ucieszył.

– Ale dlaczego ją zabił? Bo zabił, tak?

– No jasne, że tak. Była wredna!

Błady strach powinien w tym momencie paść na wszystkich mieszkańców, bo jak wiadomo każdy ma swoje za uszami i nie ma ani jednej osoby na świecie, żeby ktoś w jakimś momencie nie nazwał go wrednym.

Psy i koty też pod to podlegają.

– Nie, no, co pani pieprzy?! – westchnął Hubert.

– Nie pieprzę, ty gówniarzu jeden! Pewnie jesteś z tych, co to tu się kurują i w ogóle. Ona chciała rozwalić naszą samotnię! Rozumiecie?! Mnicha samotnię rozwalić...

– Ale ta samotnia to...

– Odwieczne miejsce rozmyślań mnicha. Od-wie-czne, bo on jest od-wieczny.

– To zostało zbudowane ledwie kilka lat temu – zauważyła ze śmiechem Olga, która pojawiła się na chwilę w ogrodzie. – Pani Lipcowa, pani oszalała. I pani, i cała ta wasza szajka!

– Wcale nie! To zostało zbudowane na miejscu świętego miejsca! O! – warknęła Lipcowa.

– Jak na miejscu świętego miejsca? – Edzio pomyślał o cmentarzu, ale nic nie wskazywało, że jest to w tym miejscu logiczne.

– To była lepianka! – ryknęła Olga. – Lepianka, kretyńko! Wszystkie jesteście niespełna rozumu! – Takie ostentacyjne stwierdzenie znaczyło, że albo kobiety się bardzo lubią, co raczej nie wchodziło w grę, albo wojna między nimi trwa od dawna i wszelkie słowa są dozwolone.

– Zgroza, zgroza, zgroza! – wrzasnęła kobieta i pobiegnęła przed siebie szerzyć dezinformację.

Ogólnie można powiedzieć, że jest wiele rodzajów dezinformacji, bo każdemu potrzebna jest inna, to znaczy nie jest nikomu potrzebna, ale od czasu kiedy ludzie przestali wierzyć w bajki, w reklamach trzeba ich jakoś bajerować. Kiedyś mówiło się: „Patrzcie, to jest najlepszy odkurzacz w Polsce”, później: „numer jeden na świecie”, potem: „lepszy od konkurencji”, ale to już wypociny, teraz do domu przychodzi ktoś z konkurencji i mówi: „Ma pani odkurzacze innej firmy? Niech pani uważa, one zagryzły dwóch facetów, a ostatnio odgrażały się, że będą wybuchać”.

Lipcowa działała w dezinformacji mistycznej, a to jest bardzo ważne, bo o ile odkurzacz zagryzający dwóch facetów może nie trafić do świadomości ludzi, którzy ukończyli choć sześć klas szkoły podstawowej, to mistyczne możliwości nieistniejącego mnicha są nieograniczone. On może wszystko. Choćby dlatego, że nikt nie jest w stanie udowodnić, że nie.

Lipcowa należała do grupy osób, które gdzieś po siedemdziesiątce zorientowały się, że trochę w życiu im nie wyszło, i natychmiast postanowiły osiągnąć sukces.

Sukces jest teraz obowiązkowy, nie ma, że nie chcesz. Musisz! No i one w to weszły.

Ich mężowie nie byli milionerami, dzieci nie robiły doktoratów w New Yorku, ich gospodarstwa nie produkowały sera z mleka jaków ani kaszanki z krwi węży morskich, o serze ze ślimaków nie wspominając, a świat żądał, żądał... no sukcesów... na skalę światową!

Całe szczęście, że dawał też pole do popisu w tym zakresie. Wystarczyło najpierw coś sobie wymyślić, potem to coś osiągnąć i to by było na tyle.

Kowalska doznała sukcesu, robiąc szalik na drutach wysokiego napięcia, była nawet w Polsce. Martwa, ale była. Mańkowska zasłynęła jako pierwsza polska pływaczka wysokogórska. Trochę się połamala, pływanie bez wody na Rysach nie popłaca, ale trafiła do TVN-u. A Lipcowa? No cóż, założyła krąg wielbicieli szalonego mnicha. I działała w nim bardzo prężnie.

Na swoje pięć minut w telewizji jeszcze czekała, ale to miało nastąpić już wkrótce, w co wierzyła. Spędzała całe godziny, ba dni i noce, na badaniu, czy

nie dochodzi do obrazu mnicha, oraz pilnowała jego dziedzictwa. Żadna stacja TV jeszcze do niej nie dzwoniła, ale i bez tego kobieta terroryzowała wszystkich, a to też sukces.

Edzio przytrzymał psa, który złapał za zielono-turkusową dzierganą spódnicę i wygryzł w niej sporą dziurę, przez co natychmiast zaczęły się z niej ciągnąć nici.

– To naprawdę wariatki – oznajmiła Olga, chcąc wrócić do zajazdu.

– Ale co z tą lepianką?

– A co ma być z lepianką? – Właścicielka wzruszyła ramionami z miną osoby całkowicie niezainteresowanej tematem. Wręcz znudzonej.

– No, była powiązana z mnichem? – naciskał Edzio.

– O tyle o ile. – Kobieta się roześmiała. – Dla Lipcowej na pewno.

– Ale jak?

– Trzymaliśmy tam ziemniaki, mnich lubił jeść ziemniaki... Nie, no, to wygłup! Wierzy pan w takie mistyczne przekręty?

Olga zadała to pytanie, bezczelnie wierząc, że żaden szanujący się mężczyzna w wieku Edzia nie odpowie twierdząco, nawet gdyby bardzo chciał, bo to trochę jakby wstyd dla rodzaju męskiego. Nikt by mu tego nie wybaczył.

– Nie bardziej niż w suplementy diety! – odburknął Edzio. Chciał być dowcipny. Nie udało się. W takich miejscach warto uważać na słowa.

Olga się obruszyła, i to bardzo.

– O, drogi panie! To nie jest dobre podejście! Czy pan wie, że wyciąg z ziół polnych z naszego zielnego ogrodu mógłby panu pomóc na krosty? – rzuciła nieco złowieszczo.

– Nie mam krost! – obraził się Edzio.

– Ja mam! – zawołał ochoczo Hubert. – Na przyrodzeniu – dodał po chwili.

– Na pana nie zadziała! – powiedziała Olga i odeszła.

– Ale dlaczego?! – jęknął Hubert, zawiedziony.

Nie opowiedziała.

Edzio podejrzewał, że czymś w rodzaju placebo łatwiej wyleczyć coś, co nie istnieje, więc wcale się nie zdziwił.

– Dziś wieczorem Mateusz weźmie Melkę i pójdzie się dowiedzieć wszystkiego o tym stowarzyszeniu.

– Ale da radę? – jęknął Hubert, stryj Mateusza. – I czy zechce? Tam są same starocie!



– Nie wiesz tego! – Edzio powiedział to bez przekonania. Nie spodziewał się w towarzystwie strażniczki ognia młodych ludzi.

– Nie wiem, ale wiem! – westchnął Hubert.

– To będzie robił za siły młodości, zawsze są mile widziane. Trzeba ogarnąć, co to za ludzie. Wejść w to, zrozumieć. To może mieć sens i... – zawahał się – znaczenie.

\* \* \*

Kobiety zostały zaprowadzone do przeznaczonych dla nich pokoi. I powstał problem. W pokoju Melki i jej ciotki było tylko jedno łóżko, no może i łożo, ale jedno.

– O nie! Mowy nie ma! – jęknęła Melka. – Nie będę spała z tobą w jednym łóżku! To chore! – Prawie się rozplakała. – Ty chrapiesz, a poza tym... To łóżko... nieee. Ono jest za małe!

Melka zgodziła się dzielić pokój z ciotką, ale, na litość boską, nie łóżko!

– Darowanemu koniowi się w zęby nie zagłada! Nie płacimy za noclegi – burknęła Ada. – Nie wypada nam marudzić!

Ada miała w tym względzie swoje przemyślenia, Melka swoje.

– Tak, jasne, bo ty nie szanujesz naszej pracy! Nie płacimy, ale harujemy jak woły! Odkrywamy tajemnice, a jak ja będę cokolwiek odkrywała, jak nocami nie zmrużę oka?! – wrzasnęła na cały głos, wściekła. Perspektywa kotłowania się z ciotką na jednym łóżku i walki o kołdrę wcale jej się nie uśmiechała.

– Już tak się będziesz zaharowywać, pewnie jeszcze na śmierć! – obruszyła się Ada, choć jej także sypianie z Melką nie za bardzo się podobało.

– Śmierć? Jaka śmierć?! – zawołała, wchodząc, jakaś kobieta w nienagannym fartuszk. Chyba przechodziła obok, bo wpadła z przestrachem w oczach i zaczęła w pokoju szukać zwłok.

– Nie, to tylko z przepracowania – wyjaśniła Ada.

Kobieta popatrzyła na Adę, a potem na Melkę.

– Wy tak razem? W tym jednym? Łóżku? Jesteście te... No, znaczy... – usiłowała grzecznie się dowiedzieć, czy Ada i Melka są parą. To było aż widać po jej oczach i zaróżowionych z ekscytacji policzkach.

Niektórzy ludzie wszędzie doszukują się podtekstów.

– Nie, co pani?! – Melka aż pisnęła z oburzenia. – To moja ciotka! I ja nie wiem, jak my damy radę tak razem w tym łóżku spać, przecież to będzie katastrofa!

– No, któraś zleci i się zabije! – oświadczyła pracownica ze zrozumieniem. – Dam paniom inne – wyjaśniła i wyszła z pokoju. – No, bierzcie bagaże i chodźcie!

Musiała być jakaś ważna, skoro sobie pozwoliła na coś takiego bez wiedzy i zgody właścicielki.

– I szefowa się zgodzi?

– A mnie to wszystko jedno! Ważne, że dwie baby w jednym łóżku nie będą spać, bo jak to wygląda?! Mnich by się zdenerwował! Idą no, idą!

Ani jednej, ani drugiej nie trzeba było powtarzać.

Poszły za pracownicą i po chwili były w niebie, to znaczy każda w swoim wrzescie odrębnym niebie sypialnym.

Pokoiki, które im przydzieliła, były dwa, maleńkie, ale oddzielne, może nie należały do specjalnie luksusowych, ale z pewnością były lepsze niż ten poprzedni. Jedyny kłopot był taki, że znajdowały się z tyłu. Toteż żeby do nich dojść, należało wyjść na taras, a potem wejść w zupełnie inny korytarz i stamtąd dopiero wejść do pokoju.

Wcale im to nie przeszkadzało, zwłaszcza że nie była to zima, a pokoje miały łazienki.

\* \* \*

– Już wiem, co mnie tam ruszyło – zakomunikowała Purchawa, gdy zadzwoniła do Edzia. Odebrał, bo musiał, teraz był już na nią skazany.

– Taak? – zapytał, udając, że ziewa. Za nic na świecie nie chciał, żeby pomyślała, że się ucieszył, choć trochę jednak się ucieszył.

– Statyczność – stwierdziła Purchawa. – To było jakieś takie statyczne, no...

– Czyli?

– Uporządkowane, wręcz upozowane, jak scena w teatrze.

Purchawa podesłała Edziowi zdjęcie. Miała rację, było w nim coś dziwnego. Przede wszystkim ofiara na wpół siedziała za stołem, na wpół na nim leżała, co prawda z nożem w plecach, ale jakoś tak zdecydowanie spokojnie. Nie było w tym nic z walki, nic z zaskoczenia. Ręce miała wyciągnięte do przodu, twarz na biurku. Pomiędzy rękoma rozłożona była książka.

– Bo zobacz, ten ktoś zadał jej cios od tyłu. Musiał za nią stanąć. Nie ma szans, żeby go nie zauważyła. Musiała wiedzieć, że tam jest, widzieć go. Siedziała tyłem do półek, po lewej miała drzwi i stopy książek, oraz schodki na górę, bo tam jest taki dodatkowy tarasik wewnętrzny z książkami, a po prawej

okno tarasowe i rzeźbę. Na wprost bibliotekę i kominek. Musiała znać swojego mordercę, no chyba że...

– Że co?

– Był niewidzialny?

\* \* \*

– Podano! – zawołała jakaś kobieta, wałąc w gong, i wszyscy z głodu i z ciekawości poszli do jadalni.

Był to dobry moment, żeby poznać komplet przebywających tu gości oraz personel, ten oczywiście ważniejszy, bo ten mniej ważny jadał o innych porach i do tego w kuchni.

Obiad był naprawdę wykwintny. Zupa zielona i papkowata z grzankami. Do tego sałatka z awokado, też zielona i też trochę papkowata, i też z grzankami.

– Obiad wygląda pięknie – pochwaliła Ada, patrząc ze zdziwieniem na Kościuchową.

– No, koszmar, prawda? – Ta ostatnia westchnęła. – Wykwintne wcale nie musi być dobre, a poza tym to lunch, nie obiad, obiad jest wieczorem.

– Zna pani tych ludzi? – Ada oczywiście musiała się dowiedzieć jak najwięcej. Kościuchowa pod stołem, jak prawdziwa członkini jakiegoś tajnego stowarzyszenia, podała jej kartkę.

Ada przeczytała, że przy stoliku pod oknem siedzą państwo Adam i Ewa Rajowie, są na terapii.

– To na pewno pseudonimy, podobno oni są sławni i nie mogą się nikomu przyznać, że mają problemy w związku.

Wszyscy z zaciekawieniem popatrzyli na parę, ale nikt ich nie rozpoznał. Może rzeczywiście byli sławni w jakiejś dziedzinie, ale jest teraz tyle różnych dziedzin, tyle specjalizacji, że nie da się wiedzieć wszystkiego.

Przy drugim stoliku siedziała inna para. Ci wyglądali bardzo zwyczajnie i tak samo zwyczajnie się nazywali – Dżesika i Mefju Karolak. Oni też byli na terapii małżeńskiej. Dodatkowo był jeszcze Albert alienista, czyli guru ośrodka w sprawach terapii.

Przy innym stoliku siedziała Olga z jakimś mężczyzną, który okazał się byłym mężem jej zmarłej córki i zarazem kucharzem, a dwa stoliki dalej siedziały dwie panie: Marcelina zażywająca odnowy duchowej oraz Letycja na terapii uspokajającej mocy oddechu.

Przy samym kominku siedziała kobieta w zielono-turkusowej spódnicy z dziurą.

– To ona tu jada? – zdziwiła się Ada, która pamiętała, że kobieta latała z wrzaskiem po terenie ośrodka i wcale nie robiła wrażenia zaprzyjaźnionej ani nawet akceptowalnej.

– Przychodzi, ma prawo – westchnęła Kościuchowa – bo tu można wejść, jak się chce wykupić posiłek, to praktycznie restauracja, hotel, zajazd, a nie coś zamkniętego, i ona często przychodzi. Ma ochotę, to czemu nie? Jutro pół wioski tu przyjdzie, gdyby nie wykwint tej kuchni, to byłiby wszyscy, ale niektórzy mają alergię na ceny, a inni wolą flaki.

Siedzieli przy sporym stole i wcale się nie rozkoszowali. Nie smakowało im. Nie byli przyzwyczajeni do jedzenia w tym kolorze. Dla Edzia, Huberta i Mundka jedzenie powinno być brązowe lub brunatne, dobrze przypalone i poczerniałe po bokach, z pewną ilością połyskliwych, tłuszczowych plam i ewentualnie z dodatkiem ziemniaków. Dla Mateusza mogło być jakiegokolwiek, o ile było pizzą, Melka kreowała się na elegancką panią, więc była zachwycona strategicznie, ale jej zachwyty nie miał wiele wspólnego z samym jedzeniem, ona po prostu czuła, że coś takiego ma obowiązek zachwycać. Patrzyła na swoje danie oczarowana, dopóki ktoś nie wypadł z kuchni i nie wydarł jej z wrzaskiem półmiska.

– Cholera jasna, cholera jasna, mówiłam, nie stawiać na stole, to nikt mnie nie słucha!

– Ale moja sałatka! – jęknęła Melka, rzucając się do walki o półmisek.

– To nie sałatka – burknęła kucharka. – To zielsko królików.

\*\*\*

– Pani Lipcowa, jak pani smakuje? – zapytała złośliwie Olga, podchodząc do siedzącej przy samym kominku kobiety, jak dotąd znanej już wszystkim z wrzasków.

– Takie sobie, na pewno nie będę najedzona – odburknęła. – Zresztą te ceny u was to zgroza! – mruknęła, używając chyba swojego ulubionego słówka.

Olga uśmiechnęła się z satysfakcją i z równą satysfakcją odwróciła do siedzących w drugim końcu pomieszczenia detektywów.

– A państwa zapraszam ze mną – rzuciła do członków GBŚ. – Mam dla was miejsce do pracy. – powiedziała, dając im do zrozumienia, że dość już tego leżakowania, czas do roboty.

Poszli za nią w stronę kuchni, gdzie skręcili na taras, a za nim do pomieszczenia, które było salonikiem, ale rzeczywiście nadawało się na coś w rodzaju biura.

Już chciała wyjść, kiedy Ada ją zaczepiła.

– A za co córkę zwolnili z urzędu gminy? – zapytała, bo przypomniawszy sobie to, co im mówiła sama właścicielka nieco wcześniej. Możliwe, że nie miało to znaczenia, ale też możliwe, że mogło mieć. W sprawach związanych z pozbawieniem kogoś życia ważny jest motyw, a motywy nie zawsze są tam, gdzie najłatwiej je zobaczyć.

Olga westchnęła, a potem aż usiadła z wrażenia.

– Był u nas taki program, swoi dla swoich, no chodziło o to, że nasi przedsiębiorcy dawali produkty, a gmina miała jeden dom wyremontować, wiecie, tak jak w tym programie, co w telewizji był, ale wszystko poszło nie tak, bo zgłosili jednych, rzeczywiście bidoki straszne, nawet łazienki nie mieli, remont by im się przydał, to się sponsorzy od armatury nie zgodzili, bo jak to, gdzie oni się będą pchać ze złotymi kranami w taką bidę, zgłosili drugą rodzinę, ta też nie pasowała, bo zasiłkowcy, że no jakby co, to nie utrzymają. Po co dawać, jak zaraz jeden z drugim wyrwie ze ściany i sprzeda, no to Natalia powiedziała, żeby piętro wyremontować w szpitalu, tym nieczynnym, i bezdomnym oddać, żeby mieli na start, to się awantura zrobiła, że porządny człowiek nie ma na panele ani na kafelki hiszpańskie, a bezdomnym będą dawać? No i się na nią wściekli i ją zwolnili.

– I wszystko przepadło?

– Co?

– No ten remont?

– A nie, jednemu wyremontowali chałupę, on kuzynem jakiegoś ważniaka był, no i wszyscy się zgodzili, bo doceni, godny i będzie wiedział, jak promować, ale ludzie jak to ludzie, chałupę mu spalili.

– Jezus Maria – jęknęła Ada.

– A co? Za darmo dostał! – Do pomieszczenia wdarła się Lipcowa, zaczepiając się swoimi kolorowymi dziergankami, o co się dało. – Tak to być nie może, ale mnie tam to pikuś...

– Co pani tu robi i dlaczego pani tu weszła? Nie ma pani tu wstępu!

– Jeszcze czego! – mruknęła kobieta. – Muszę z nimi porozmawiać, w końcu to sprawa mnicha.

– To sprawa mordercy, a nie mnicha!

– Przecież to mnich ją zamordował.

– Zamknij się pani?! Mam dosyć tego głupiego gadania! Mnich nikogo nie zamordował! Mnisi nie mordują, a ten szczególnie, bo nie istnieje! I proszę stąd wyjść – warknęła Olga zdecydowanie.

Ludzie w mnicha wierzyli na wiele sposobów, najpierw po prostu zaczęli wierzyć w to, że istniał, później, że był mnichem, potem, że mieszkał w okolicy, a wreszcie, że miał moce.

A od tego do wiary w to, że mógł kogoś zamordować, to mgnienie oka.

Jedynym problemem było jakieś konkretne dlaczego.

– Jak tam sobie pani chce! I tak w końcu z nimi pogadam! – obruszyła się Lipcowa. – Zgroza! – dodała na koniec i miała już wyjść, ale Mateusz przypomniał sobie polecenie Edzia.

– A pani to podobno coś działa, jakoś z ludźmi, coś. Straż pożarna, ochotniczka czy jak? Strażnicy płomieni, tak jakoś?

– Nie straż pożarna! Żadna pożarna! I żadnych płomieni. Tylko strażnicy płomienia wiary! Wiary! – odpowiedziała zaszokowana Lipcowa, bo miała swoje lata i wiedziała, że coś takiego się nie zdarza, młodzi ludzie nie odzywają się do starych. Nigdy, przenigdy, no chyba że udają jakiegoś wnuczka w potrzebie.

– To ja się zapisuję – stwierdził Mateusz – razem z Melką – zdecydował za koleżankę.

– Ale oni tam nie mają terapii dla par. – Pani Olga aż się obruszyła. – Nie idźcie tam, tam jest niebezpiecznie! – zawołała, widząc, jak oboje wychodzą z pomieszczenia wraz z Lipcową.

\*\*\*

Małe miejscowości są bardzo skondensowane we wszystkim: w miłości, w nienawiści, ale i w każdym innym aspekcie. W dużym mieście wszystko jest bardziej rozrzedzone. Na trzech nienawidzących się sąsiadów przypada kilku obojętnych, a nawet jeden czy dwóch miłych, tu wszyscy trzej mieszkają obok siebie, a na innych nie ma już miejsca.

Ludzie są o wiele bliżej siebie i fizycznie, i psychicznie. Jest jeden sklep, jeden market, jeden hydraulik. Tu była też jedna fryzjerka i jedna knajpa, to znaczy dwie, ale zajazd się jako knajpa nie liczył, był raczej restauracją, więc knajpa jednak była jedna.

Dlatego wszyscy doskonale się znali.

Ludzie myślą, że takie małe społeczności to cud, że mieszkańcy się wspierają, że jeden za wszystkich i takie inne socjologiczne bzdury, ale nie. Takie miejscowości to wielkie siedlisko plotek i pełen pomówień kocioł zawiści.

Teraz Melka i Mateusz szli za Lipcową, zastanawiając się, dokąd ona ich prowadzi i jak wrócić do zajazdu, bo przecież nie znali tych okolic.

– A pani to co sądzi o tym morderstwie? – zagadnął Mateusz, żeby nie stracić okazji.

– Zgroza – odpowiedziała mu Lipcowa i nie wyglądało na to, że chłopak dowie się więcej.

– A dużo jest tu u was tych strażniczek? – zagadnęła Melka, ale jej też niewiele się udało uzyskać.

Staruszka popatrzyła na nią ze zgrozą, naprawdę ze zgrozą.

– O, ho ho! – odparła i nie była to odpowiedź, która cokolwiek by im powiedziała. – No dalej, dalej, co wy się tak wleciecie? – burknęła Lipcowa przyspieszając. – Idzicie czy nie?

Biegli za nią prawie truchtem.

\* \* \*

Kiedy z zaimprovizowanego biura wyszli już Melka z Mateuszem i Lipcową, Ada postanowiła trochę przycisnąć właścicielkę.

W końcu tylko ona była w stanie udzielić konkretnych informacji na tym etapie śledztwa.

– Czyli, jak rozumiem, córka w tym gabinecie była sama. Nikt nie mógł tam wejść ani wyjść?

– Właśnie – westchnęła Olga.

– Nie słyszeliście krzyków? Odgłosów walki?

Niczego nie słyszeli, zresztą to, co powiedziała Edziowi Purchawa, też wszystkich zaintrygowało.

– Ktoś za nią stanął, a ona się nie przestraszyła?

– Mogła go znać?

– To zależy, kto to był.

– A ten mąż?

– To były mąż, ale mieli dobre układy. On by jej nie zabił.

– Bo co? Bo muchy by nie skrzywdził? – Ten argument bywał często nadużywany i przynajmniej u nich nie miał siły przebicia.

– Nie, nie o to chodzi, po prostu nie miał po co – odparowała dość ostro Olga.

– A pieniądze?

– Ona nie miała żadnych, to znaczy pracowała, zarabiała, ale nie miała majątku. Wszystko tutaj należy do mnie.

– A jakieś inne motywy? Seks? Zdrada? Takie tam? – Hubert postanowił wyłożyć swoje teorie na ławę. To zawsze się sprawdzało, bo ludzie często reagovali alergicznie na takie teksty, uważając je za insynuacje, i niekiedy, choć nie zawsze, coś im się ulewało.

– Nie, bo raczej nie miała żadnego partnera. Nikogo nie mogła zdradzić, a poza tym ona miała taką naturę, że nie była za bardzo zainteresowana związkami.

– To co to może być?

– Jedynie ten cholerny mnich.

– Że on ją zabił?

– Nie, że zabito ją z jego powodu, ale... Jaki to był powód? Nie mam pojęcia, może obraziła czyjeś uczucia?

– Religijne? – dopowiedziała Ada.

– A gdzie tam! Mnich to nie żadna religia! Mnich to wymysł! I nie jest katolicki. Nie ma nic wspólnego ani z wiarą, ani z Kościołem. Ja to podejrzewam, że ktoś się ukrył na górze, na galerijce, a kiedy ona się zaczytała, zszedł i ciach, zabił.

– Można tam się ukryć? – Edzio bardzo się zdziwił tym pomysłem.

– Można jak można, ale Natalia była mało spostrzegawcza i chodziła trochę z głową w chmurach, a jak już wsadziła nos w książkę, to w ogóle świat mógłby się walić, a ona nie reagowała.

Postanowili iść do gabinetu, który był miejscem zbrodni, i wydelegować kogoś na galerijkę.

– Pani nie wejdzie, bo wszystko by się zarwało – oświadczyła Kościuchowa, patrząc na Adę krytycznym wzrokiem. – Mnie to się wydaje, że pan Hubert dałby radę, niby trochę za wysoki, ale chudzina.

Wszyscy popatrzyli na to coś, co nazywano galerijką, i nie znaleźli tam nic, co mogło służyć za zasłonę. Nic, co chroniłoby przed wzrokiem, a morderca, jeżeli planował zabójstwo, to przecież nie liczył na samo roztargnienie ofiary.

Była to dość stara dębowa biblioteka, składająca się z czterech regałów przytwierdzonych do ściany, a na górze ktoś zrobił coś jakby tarasik, szeroki na pół



metra i długi na całą szerokość biblioteki. Ze schodkami. Drobna, szczupła osoba mogła tam wejść i nie zawalić tej konstrukcji, ale tylko taka.

I naprawdę nie było tam żadnego miejsca, żeby się schować.

\* \* \*

– No dalej, co się tak mazgaicie, co się tak wleczenie?! – utyskiwała Lipcowa, wciąż przyspieszając. – Idziecie czy nie?! No?! – pokrzykiwała, jakby chciała ich zdenerwować albo zniechęcić.

Biegli za nią prawie truchtem. Pożalowali swojej decyzji, pomyśleli, że nie musieli tak od razu za nią leźć, lepiej było się umówić.

Było coraz paskudniej, robił się wieczór, a oni nawet nie wiedzieli, gdzie są i dokąd idą.

Lipcowa krążyła, kluczyła, przyspieszała.

Zwiedzili chyba całą wioskę i porządnie się zamotali.

Czuli się, jakby rzeczywiście prowadziła ich wertepami w kierunku jakiegoś miejsca tajnych schadzek, bo było coraz dziwniej, a kiedy dotarli pod zrujnowany szpital, zrobiło się jeszcze gorzej.

– Eee? – zapytała Melka, patrząc to na Lipcową, to na Mateusza. Jej pytanie nie zostało w zasadzie zwerbalizowane, bo nie wiedziała, o co pytać. Po co tu przyszli? No, niby wiedzieli, ale dlaczego tutaj? Podejrzewali dlaczego... Coś tu musiało być, a może ktoś?

Miejsce tajnych spotkań? Nie pasowało do wieku Lipcowej, bo takie opuszczone budynki to jednak nie są klimaty dla starszych pań.

Licyli, że będzie to spotkanie jakoś zaplanowane, może codzienne, albo cotygodniowe, nie widzieli, żeby kobieta do kogokolwiek dzwoniła, a jednak wydawało im się, że prowadziła ich do swoich koleżanek. Chyba...

– No co eee, co eee? Nie podoba się? – warknęła Lipcowa i weszła na teren przed budynkiem, a potem odsunęła dyktę i weszła przez dziurę w drzwiach do szpitala.

Nie mieli ochoty na takie eksperymenty, ale w ich wieku bardzo trudno jest powiedzieć: „Nie, ja odpuszczam, nie idę”, bo po pierwsze to wstyd, po drugie zmęczeniem nie mogli się wymówić, bo baba była starsza od nich o jakieś czterdzieści lat, a wcale się nie skarżyła.

Niechętnie, ale poleźli za nią.

– To już niedaleko – powiedziała, zmuszając ich do wspięcia się na pierwsze piętro po potłuczonych schodach bez barierek. Potem na drugie.

Kiedy tam weszli, było ciemno, zimno i do hotelu daleko, albo nawet gorzej, oni nie wiedzieli w ogóle, jak do tego hotelu wrócić.

I, co było jeszcze gorsze, nie było światła. Baba świeciła sobie komórką, nie słyszeli żadnych głosów, nie wydawało się, że tam ktokolwiek może być.

Szpital był ogołocony ze wszystkiego – wyrwano sedesy i umywalki, skuto kafelki ze ścian, gdzieś powyrywano nawet instalację elektryczną. Szpital został odłączony od zasilania, kiedy prąd załatwił dwóch zbieraczy złomu, którzy wrywali kable pod napięciem. Wioska więcej takich efektów nie przagnęła. Po odłączeniu o wiele bezpieczniej się kradło.

Teraz była to szpitalna, nieco porozbijana skorupa bez jakiegokolwiek zawartości.

Tak więc było dziwnie. Mrocznie i głucho, co trochę dziwiło i Melkę, i Mateusza. Spodziewali się jakiegoś gwaru, odbitych echem od ścian głosów, szurania czymkolwiek, a tu nic.

Nagle babka zatrzymała się w swoim biegu i odwróciła do nich.

– Zostańcie tu. Ja zaraz wracam – rzuciła i ruszyła przed siebie coraz szybciej i szybciej, w końcu zaczęła biec całkiem nawet szybko.

– Juhuuu! – wrzasnęła.

I wyskoczyła przez okno.

\*\*\*

– Jak mogła nie zauważyć? – zdziwiła się Ada, patrząc na konstrukcję. – Nawet gdyby ktoś leżał na tym podeście, toby było go widać!

Olga wzruszyła ramionami i wyszła, jakby sprawa śmierci jej córki nie obchodziła jej aż tak bardzo.

– Sami państwo rozumieją, muszę zająć się gośćmi – dodała zza drzwi, ale jakoś jej nie zrozumieli. Wydała im się strasznie zasadnicza.

Rzadko kiedy ktokolwiek tak szybko przechodzi do porządku dziennego nad taką stratą, no a tu nie dość, że Olga była matką zmarłej, a więc jednak bardzo bliską osobą, to jeszcze od tego tragicznego wydarzenia nie minęło wcale tak dużo czasu.

Spodziewali się łez, a nie sarkazmu, nawet ukrytego za profesjonalizmem.

– One się nie kochały – wyjaśniła im Kościuchowa, która łączyła z nimi i za nimi, jakby miała do tego prawo i jakby była pełnoprawną członkinią biura, a przecież nic, no może poza wiekiem, jej do tego nie upoważniało.

O ile układy między matkami a córkami bywają różne, o tyle od matek żąda się bezwzględnej miłości do dzieci.

– Jak bardzo się nie kochały?

– Tak jakoś nawet całkiem bardzo – wyjaśniła Kościuchowa. – Strasznie się różniły i nie umiały się dogadać, zupełnie, Olga jest zasadnicza, twarda, a tamto to było cielę! I to wcale nie jest prawda, że nie miała nikogo. Ona z tym alienistą kombinowała, zresztą kombinowała z każdym. Znacie to powiedzenie, że ktoś ma oczy na mokrym miejscu?

– No ale co mają do tego oczy? Płakała bez przerwy? – zdziwił się Mundek.

– Nie, ale miała serce na romantycznym miejscu. Zakochiwała się bez pamięci. Co chwila. W każdym. To znaczy w facetach, ale bardzo często.

– A ile ona miała lat?

– Pięćdziesiąt, ale zachowywała się jak nastolatka. Wzdychała jak parowóz. I to nie jest prawda, że ją wywalili z urzędu z powodu tego konkursu.

– A dlaczego ją wywalili?

– Bo zakochała się w sekretarzu gminy, a on żonaty był i ta żona się dowiedziała.

– Czyli jednak był romans i jakaś zdrada?

– Nie było. Ona się tylko zakochiwała, tak romantycznie. I wzdychała. Łaziła. Prezenty wysyłała. Była taka jak stalkerka. Przynosiła na przykład jedzenie i mówiła, że żona nie umie gotować, i takie inne.

– I?

– I zwyczajnie, żadna żona tego nie pochwałała. A tę babę w urzędzie pracy zwyzywała, to było u nas w Prasławcu, bo tu nie ma urzędu pracy, to zwyzywała, że powinna o męża zadbać, a nie pazury sobie robić i po fryzjerach latać, bo taki biedny i nieszczęśliwy. I żeby do pracy się zabrała, nawet do byle jakiej, to mężowi nowy telewizor kupi. Taka do mężczyzn uczuciowa była.

– To rzeczywiście jakaś dziwna była ta Natalia.

– I dlatego nie rozumiem, że ktoś ją zabił.

– Bo dziwnych trudniej się zabija? – Ada aż prychnęła ze złości, bo nie chciała, żeby Kościuchowa za bardzo się wtrącała do ich pracy, do ich wewnętrznych spraw.

– Nie, ale ona była nieszkodliwa! Nic nigdy nie zrobiła, niczego nie doprowadziła do końca. Była nielogiczna. Nikomu nie zagrażała.

– Widocznie komuś jednak czymś zagroziła. Choć skoro była nielogiczna i niczego nie doprowadzała do końca...

– W miłości, ale w sprawach życiowych to potrafiła o swoje walczyć.

Nawet najspokojniejsze jednostki mogą komuś zagrozić, bo taka sytuacja wcale od nich nie zależy. Często nie zabija się za coś dokonanego, ale za coś, co mogłoby się dokonać, a jeszcze bardziej za wiedzę.

Wiedza to coś, co może zagrażać życiu i zdrowiu, coś, co zabija. Tylko czy ona coś wiedziała, czy tylko morderca o tę wiedzę ją posądzał? Coś przecież komuś zawiniła. W czymś przeszkadzała.

– Olga twierdziła, że była trudna – westchnął Edzio.

– I była! Możecie mi wierzyć! Dogadać się z nią to była masakra!

\* \* \*

Melka popatrzyła na Mateusza, a potem na okno w końcu korytarza.

– Czy to jest drugie piętro? Czy ja mam przywidzenia? – zapytała, blada jak ściana.

– Tak, to jest drugie piętro i obyśmy oboje mieli przywidzenia. Przecież ona, kurwa, nie mogła wyskoczyć przez to okno!

Problem polegał na tym, że choć nie mogła, to jednak wyskoczyła.

Popatrzyli na typowy korytarz szpitalny oświetlony teraz dwiema latarkami z telefonów komórkowych, długi, wąski, poznaczone po bokach otworami futryn, bo drzwi się komuś przydały, z oknem na końcu w poprzecznej ścianie, też zięjącym bezokiennym otworem w czarną noc.

– Nie mogła! – potwierdziła Melka, po czym zaczęła wrzeszczeć: – Aaa! Aaa! Aaalee wyskoczyła!

– Zamknij się! – warknął Mateusz. – Chodźmy tam!

Już chciał podejść tych kilkanaście metrów i spojrzeć w otchłań nocy, ale Melka go złapała za bluzę.

– Mowy nie ma! Potem będą tam nasze ślady! Jak nic wyjdzie, że ją wypchnęliśmy. Przecież ona nie mogła tego przeżyć! Nie miała szans!

Mało kto musi się w życiu skonfrontować z taką sytuacją i ludzie zazwyczaj działają na instykt, jednak oni mieli trochę wiedzy śledczej, niewiele, ale na tyle dużo, żeby się przestraszyć i zdawać sobie sprawę z konsekwencji.

– To co robimy? Uciekamy?

– Coś ty? Cała wieś widziała, jak za nią szliśmy! Jak ją znajdą w kałuży krwi, to od razu będzie wiadomo, kto ją zabił. Przecież to nawet wyglądało tak, jakbyśmy ją śledzili.

– Albo gonili.

– Ktoś nas wrobił... Trzeba zadzwonić do Edzia.

\* \* \*

– Masakra! – zawołał Mateusz do telefonu. – Masakra, krwawa masakra, weźcie Purchawę i przyjdźcie tutaj, ona gdzieś tu leży, spadła! Nie mogła przeżyć! Nie miała szans! Ona nie żyje!

– Zabiłeś Melkę, kretynie?!

\* \* \*

Ewa i Adam Rajowie, jak się wszystkim wydawało, wcale nie nosili nazwiska Raj, a takie podali tylko dlatego, żeby nie podawać własnych, bo możliwe, że nie byli nawet małżeństwem.

Mogło to nie mieć wcale jakiegoś moralnego znaczenia, ale mogło chodzić o coś zupełnie innego. Może nie chcieli się afsizować bo terapia małżeńska to coś, co źle świadczy o małżonkach, i ludzie potem się śmieją?

Poza tym wyglądało na to, że państwo Rajowie za nic w świecie nie chcą budzić podejrzeń, toteż właśnie dlatego je budzili.

– Para na terapii i ani jednej kurwy? – stwierdziła, a właściwie zapytała Maryśka, pokojowa, która niejedno widziała i z niejednego pokoju wynosiła brudy.

Ponieważ w naszych warunkach, gdzie terapię uważa się za coś wstydliwego, pary tak długo czekają z jej rozpoczęciem, że to, z czym przychodzą, często nie jest już małżeństwem, ale związkiem, często sakramentalnym, dwóch krwiożerczych bestii próbujących się nawzajem pożreć.

Brak swojskich kurew jako przerywnika w konwersacji mógł świadczyć o tym, że jeszcze są dla nich szanse, dla nich jako pary, albo że już im na sobie zupełnie nie zależy oraz, co też możliwe, że planują zamach terrorystyczny.

– Ta Letycja wczoraj przez telefon też kurwami rzuciła, ale ona nie była na terapii dla par. Tylko na oddechowej.

Swojski przecinek, funkcjonujący wbrew pozorom w wielu językach, zawsze zbliża ludzi.

– Oj tam, oj tam, może się przewentylowała. Mówią, że ona pali jak smok. – Jaśka, zmienniczka i koleżanka Maryśki, wzruszyła ramionami.

– Słyszałam, że dupę komuś skopie i że doniesie, gdzie trzeba. Tylko tyle, to nie są prawdziwe groźby! To tylko takie babskie gadanie. Pewnie z fryzjerką

rozmawiała.

Obie z wielką przyjemnością podsłuchiwały pod drzwiami, ale należało je zrozumieć. To, co robiły w zajeździe, to była ciężka, nudna i żmudna praca, coś im się od życia należało, a poza tym takie podsłuchiwanie wcale nic nie daje, bo co pokojowa z pipidówki zrozumie z kawałka rozmowy jakiejś klientki z Wrocławia czy innej z Warszawy? Nic.

One nawet nie wiedziały, co to jest ukulele. Podejrzały, że to wibrator.

Obie wiele już widziały, ale rzeczywiście najbardziej fascynowały je sprawy małżeństw. Można było liczyć i na trochę seksu, i na mordobicie. To lepsze niż telewizja, no a w pracy telewizji oglądać nie mogły.

– Te pary z terapii to powinny mieć po dwa pokoje, bo czasami to naprawdę strasznie wrzeszczą.

– A to zależy od Alberta, bo jak stawia na szczerość, to bywa źle, a jak na uczucia, to jakoś dają radę. Ci drudzy to normalnie wczoraj się bili.

– Ci drudzy?

– No Karolakowie.

– I to jest normalna reakcja! – pochwaliła Maryśka stanowczym głosem.

– No, ale trochę jakby... nie powinni. Tu ludzie są.

– Albert przesadził z tymi zdradami! Wiesz, jak jest, on potrafi doprowadzić ludzi do szału. Nie powinien pytać o takie rzeczy. No weź, ile razy pani zdradziła męża? No nie powinien.

Obie westchnęły nad smutnym losem Dżesiki.

– Albo ona nie powinna mówić. No bo wiesz, raz czy dwa przejdzie, ale dwa-naście? I to w ostatnim miesiącu? Kobiety powinny mieć swoje tajemnice!

Albert, alienista, w sumie dość zwyczajny niby terapeuta bez legalnych papierów, którego zatrudniono, bo innego nie było (i nikt się nie kwapił do pracy na tę wiochę), zresztą na alienistę papierów się nie wymaga, potrafił z ludzi wyciągnąć bestie.

Twierdził, że to dla ich dobra, dlatego więc wczorajsza awantura w pokoju Dżesiki i Mefju Karolaków wszystkim wydawała się czymś naturalnym, a spokojna noc u Rajów nie.

\*\*\*

– Zabijeś Melkę?! – wrzasnął jeszcze raz Edzio, wywołując panikę na twarzach wszystkich obecnych.

Szybko ustawił telefon na głośność.

– A gdzie tam, nie! Co wy? Nie, nie zabiłem, gdzie, nie Melkę! Ona sama skoczyła! No! – W panice usiłował sobie przypomnieć, jak nazywała się ta kobieta, strażniczka wiary, ale nie był w stanie.

– Czego się nazarłeś, gówniarzu!? – wrzasnął Hubert. – Gdzie jesteś? I gdzie ona jest?

– No chyba leży. Pod oknem. Przecież wyskoczyła! Mówiłem.

– Ale gdzie? Do cholery?! Przecież nawet nie wiemy, gdzie jesteś!

Teraz określenie miejsca było bardzo ważne, a nie zawsze ono jest takie proste, istnieją nazwy codzienne, nazwy ulic, nazwy zwyczajowe, a nawet towarzyskie. Jedno miejsce może być nazywane na wiele różnych sposobów, ale największy problem stanowi takie, którego nie sposób nazwać wcale.

– W takim wielkim opustoszałym budynku, pod oknem, zabita.

– A ty gdzie jesteś?

– W środku.

– W środku czego?

– Tego cholerstwa!

– Dlaczego Melka wyskoczyła przez okno? – wrzasnęła Ada, która nie mogła zrozumieć, co się stało z jej siostrzenicą, która, owszem, nie należała do najrozsądniejszych, ale tendencji samobójczych nie miała nigdy.

– Nie wyskoczyła!

– To co?

– Jezuu, nic! Mówię, że to zgroza wyskoczyła, nie Melka. Melka jest tu, koło mnie.

– Żyje? – zapytała na wszelki wypadek Ada, nieco uspokojona.

– Rzyga – westchnął Mateusz. – Zestresowała się! Przestań rzygać, wariatko! – wrzasnął w jakąś pustkę, bo jego wrzask odbił się echem. Daliby sobie głowy urwać, że mrocznym.

– Ale gdzie to jest?

– No, tu gdzieś, to taki duży budynek. Opustoszały. Byliśmy tam dzisiaj, obok.

Kościuchowa zasłabła. Popatrzyła na Adę, potem powoli odwróciła się do Edzia, spojrzała dziwnie na Huberta.

– Czy ja jestem przeklęta? – zapytała takim głosem, jakby pytała, czy ktoś może podać jej sól. – Marecka, Natalia, a teraz Melka. Czy ja jestem? Przeklęta? Ja? Naprawdę?

– Ale dlaczego? Dlaczego akurat pani?

– Przez jej nazwisko! – zawołała Maryśka, pokojowa, która oczywiście musiała być w pobliżu i wcale nie podsłuchiwać. – Przecież Kościuchowa to trochę jak kostucha!

– Aaa! – wrzasnęła kobieta i padła.

Jej stwierdzenie trochę wszystkich zaskoczyło. Fakt, Marecka, no cóż, była jej sąsiadką, więc Kościuchowa mogła jej śmierć odebrać osobiście. Natalia była córką przyjaciółki, więc też jakby mogła, a Melkę znała...

– Pani Olgo! – wrzasnęła Ada. – Pani Olgo, Kościuchowa nam padła, co mamy zrobić? Macie tam lekarza? Bo biję ją po pysku i biję, i nic, nie wraca do świadomości.

– Niech pani przestanie, jeszcze protezę jej pani połamie. Mamy naszego alienistę. On pomoże. Idźcie do samotni, tam jest takie ustrojstwo, wygląda jak katafalk, tam ją połóżcie – zaordynowała.

– Zaraz, zaraz. – Mundek się nagle zorientował i nic sobie nie robiąc z Kościuchowej, zaczął się zastanawiać nad miejscem pobytu Mateusza. – Coś takiego tam było, jak spacerowaliśmy. Takie duże, zrujnowane...

– No tak, to tu – westchnął chłopak. – Chyba szpital?

Nie spodobało się to reszcie.

– Po coś tam polazł, debilu?! – Mundek musiał się jakoś wyżyć, bo stres jednak wymaga pewnych akcentów werbalnych, ale był delikatny, skoro to nie była nawet kurwa.

– Zgroza nas tu przyprowadziła. Weźcie Purchawę, tam muszą być zwłoki...

– Nie. Najpierw sami zobaczymy! Muszę się upewnić! – oświadczył Edzio. – Na Purchawę przyjdzie jeszcze czas. Hubert! Samochód – rozkazał władczo, czym zyskał sobie kuksańca pod żebra.

Co prawda, miejscowość była niewielka, ale samochód to zawsze jednak szybszy środek transportu niż spacer, a nawet trucht.

– Wiesz, jak tam dojechać? – zapytał Edzio, niepewny, jaka to odległość.

– Nie, ale Mundek chyba wie, zresztą jakoś przecież dam radę. Najpierw załadujcie mi Kościuchową, daję oznaki życia?

Dawała.

\*\*\*

Czekanie na ekipę Geriatrycznego Biura Śledczego było koniecznością. Mateusz i Melka byli dziwni i nieobliczalni, ale otarli się o sprawy karne tego typu i doskonale wiedzieli, że trzeba do nich podchodzić bardzo odpowiedzialnie,



jeżeli nie chce się mieć kłopotów. Co za kłopoty, ktoś zapyta, skoro nie byli winni?

Wszelkie możliwe, odpowie każdy realista, który kiedykolwiek zetknął się z policją.

Nieważnie, czy jesteś winny czy niewinny, ważne są dowody, dlatego lepiej po prostu ich nie dostarczać. Owszem, byli widziani z Lipcową, owszem, razem z nią weszli do zniszczonego budynku, niby nikt ich nie powinien był widzieć, ale jak ktoś zna życie i takie wioskowe środowiska, to nawet grabarz i pielęgniarka szkolna ich widzieli, choć ani jednego, ani drugiego w tym czasie nie było na miejscu.

Tak to już po prostu jest.

Teraz w ciemnościach, bo szkoda im było baterii telefonów, oparci o ścianę czekali, nasłuchując.

Takie nasłuchiwanie sprawiało, że byli coraz bardziej przerażeni, bo im bardziej się słuchało, tym więcej się słyszało. Każdy chrzęst, chrobot, konwersacja skrzypiących gałązek za oknem czy wypaczające się płytki PCV, tynk odpadający płatami ze ścian, ptasi skrzek oraz jęk starej rury w rozbebeszonej łazience – wszystko to nagle nabierało znaczenia.

Najgorzej było z oddechami. Były tak głośne jak sapanie lokomotywy, odruchy zaś wymiotne Melki przypominały ryk lwa.

Bali się. Bo brali pod uwagę coś, czego nie powinni byli brać. Mordercę.

Było to nielogiczne, ale logika w tej sytuacji w ogóle nie miała nic do gadania.

Melka, owszem, była mimożą, zawsze się wszystkim przejmowała, świat pojmowała ezoterycznie i wszędzie czuła harmonię sfer oraz szczebiot istot eterycznych. Teraz była świadkiem czegoś, czego nie rozumiała.

To ją pokonało.

Kobieta wyskoczyła z okna tak, jak stała. Nie było w niej nic z samobójczyni, żadnego wahania, żadnych rozterek duszy, nic, tylko juhuhu i hop.

Tego się nie dało zrozumieć. Ani odzobaczyć.

– Ktoś ją zahipnotyzował? – zapytała, bezwiednie szukając jakiegoś rozsądnego wytłumaczenia tej tragedii.

– No co ty? Jak? Tu? Przecież tu nikogo nie było. Chyba że gdzieś, kiedyś, ale nie tu i teraz. Ona po prostu wyskoczyła. Jakby chciała uciec.

– Przed kim?

– Jak to przed kim? Przed nami!

– Jezus Maria! Czyli ją zabiliśmy, choć jej nie zabiliśmy?! Przecież to horror! To było ponad jej siły. Groza śmierci dopadła ją tak bardzo, że aż nie była w stanie ustać na nogach, mimo pomocy Mateusza.

Oparła się o ścianę i zjechała na dół.

Siedziała tak, porykując, choć jej ryki w postaci nerwowych odruchów wymiotnych były już tylko pustymi odgłosami.

– Ale dlaczego? Dlaczego ona to zrobiła?! – jęknęła w końcu. – Dlaczego? Nawet jeżeli uciekała, to nie mogła inaczej?! Nie jesteście zagrożeniem! Przecież nie jesteście, prawda?

– Wiesz, może wcale tego nie zrobiła? – powiedział cicho Mateusz, ale w tych słowach było całe mnóstwo nadziei.

– Mieliliśmy zwidy? – prawie radośnie podchwyciła Melka. Chłopak natychmiast jednak tę nadzieję jej odebrał.

– Nie, ale są jeszcze inne możliwości, a co, jeżeli miała na dole materac? – Teraz on zawarł w głosie wielkie pokłady nadziei, niezdecydowanej i nieśmiałej, ale jednak nadziei.

– Zgłupiałeś? W jej wieku nawet materac by ją zabił. Zresztą jak? Skąd? To musiałyby być ukartowane, a ona nie wiedziała, że z nią pójdziemy. I to są dwa piętra. Nawet taki materac jak dla kaskaderów by nie pomógł.

– No to tam jest coś, jakaś drabinka? – Mateusz szukał rozwiązania.

– I skakała na drabinkę? Skakała?! Zdurniałaś? Wyjść może by i wyszła, ale nie juuuu i hop! Jak by trafiła? Nie, no co ty. To jest jakieś... Nawet na daszek by nie wskoczyła w tych ciemnościach. I bez spadochronu!

– Ze spadochronem też by nie dała rady, nie otworzyłyby się – odburknął Mateusz, bo tak czy tak jego też to ruszyło. Nie znał kobiety, ale widział ją żywą. A teraz? Teraz widział ją martwą, oczywiście tylko oczami wyobraźni, ale te oczy miał bardzo sprawne.

Leżała tam roztrzaskana, rozplaszczona, w swoich turkusach, powykęciana, normalnie jak jakaś szmaciana lalka. Nie był w stanie o tym myśleć.

Niestety myślał, bez przerwy i na okrągło odtwarzał tę tragedię i jej konsekwencje. Pewnych rzeczy nie da się zatrzymać.

Zadzwonił telefon.

– Już do was jedziemy, nie ruszajcie się stamtąd. Nic nie róbcie, my tylko odniesiemy Kościuchową na katafalk i już tam u was jesteśmy.

– Na katafalk? Czy ona też nie żyje?!

Kościuchową wtłoczono do samochodu.

– Na katafalk – zarządziła Ada, bo mimo wszystko, choć do samotni było tylko kilka kroków, to samochodem jednak bliżej, a jeżeli nie bliżej, to łatwiej.

– Mnie?! Na katafalk?! – wrzasnęła Kościuchowa, budząc się ze swojego stanu omdlenia jak najbardziej wściekła.

– Musimy.

– Ani mi się ważcie! Jadę z wami, gdziekolwiek was nogi, tfu, koła poniosą! Żadnych katafalków, już dość mam tych trupich pomysłów!

Jej wściekłość sprawiła, że nie byli pewni, czy ona naprawdę zemdląca i teraz się ocknęła, czy tylko udawała, żeby zrobić na nich wrażenie.

Ruszyli zaopatrzeni we wszelkie możliwe latarki.

Kiedy na tle czarnego nieba pojawił się ich mroczny obiekt pożądania, który odcinał się od tego nieba burą bryłą z czarnymi oknodołami wybitych szyb, zaparkowali dość blisko, pośród stert śmiecia i zaczęli się zastanawiać, dokąd mają iść.

Nie chcieli iść do Melki i Mateusza, w każdym razie nie od razu, najpierw chcieli się udać do miejsca, w którym powinni znaleźć zwłoki. Domniemane czy nie, bo przecież nie mogli być pewni. Owszem, Mateusz był czasami rozsądny, ale czasami nie był, nie mieli pewności, w jakim stanie znajduje się teraz, po drugie woleli zobaczyć zwłoki (albo ich nie zobaczyć), a dopiero później porozmawiać z dziećmi.

No i potem, po tej jakże koniecznej konfrontacji, wezwać Purchawę. Była ostatecznością, więc liczyli, że żadnych zwłok nie znajdą i nie będzie potrzebna.

– Gdzie dokładnie jesteście?

– Na drugim piętrze – odpowiedział Mateusz, odebrawszy pospiesznie telefon.

– Chodzi mi bardziej o to, z której strony, w którym skrzydle, żeby się zorientować, w którym miejscu mogła spać.

– Jak weszliśmy klatką schodową, to skręciliśmy w lewą stronę, ona pobiegła do samego końca, czyli z lewej strony, nie z tyłu i nie z przodu, tylko z boku.

Poszli w tamto miejsce, świecąc latarkami to sobie pod nogi, to w górę.

Nagle Hubert stanął jak wryty.

– O ja pierdołę. Ona naprawdę tu leży! – zawołał zaszokowany. Jakoś się nie spodziewał, że to, co opisały im dzieciaki, może być prawdą.

Kobieta, bo bez wątplenia to była kobieta, leżała tam roztrzaskana, rozplaszczona, w swojej czerwonej, zwiewnej sukience, powykręcana, normalnie jak jakaś szmaciana lalka. Głowę miała rozbitą, leżała twarzą do ziemi, a jej nogi wyglądały, jakby miały po dwie pary kolan. Nie było wątpliwości, że jest martwa.

– Znaleźliśmy ją. – Hubert zadzwonił do Mateusza.

– Jezus Maria – jęknął chłopak. – Boże, miałem nadzieję, że... Cokolwiek. Ona naprawdę to zrobiła. Masakra. Zabiliśmy ją! – zawył w rozpacz, bo takie sytuacje nie są ani przyjemne, ani komfortowe, nawet jeżeli oni sami w żaden fizyczny sposób się nie przyczynili do tego, co się stało, ogarnęło ich poczucie winy, a jest to poczucie ze wszech miar paskudne, wszechogarniające i nieracjonalne.

Melka znów zaczęła zwracać. Skrajnie zdenerwowanie tym właśnie się u niej objawiało. Pomyślała, że ona nie nadawałaby się na towarzyszkę Indiany Jonesa, bo nawet kamery by zarzygała.

– Idziemy do was – jęknął Mateusz, ale Hubert mu zabronił.

– Siedźcie tam. Czekamy na Purchawę. Musi was przesłuchać na miejscu. Lepiej, żeby sama wszystko zobaczyła. To naprawdę poważna sprawa. Czy ona, ta kobieta, wyglądała, jakby chciała popełnić samobójstwo?

Takie pytanie po fakcie nie zawsze daje właściwe odpowiedzi, bo ludzie, myśląc wstecz, zaczynają wszystko inaczej interpretować, a przecież w danej chwili ani przez moment nie pomyśleli o czymś takim. Babka była żwawa, upierdliwa, wciąż ich poganiała, nie, nie wyglądała na kogoś, kto chce się zabić, raczej na kogoś, kto chce dać im popalić.

Teraz jawiła im się jako śpiesząca na spotkanie śmierci turkusowa walkiria w podeszłym wieku, która nie mogła się tego spotkania doczekać.

– Nie, no ale przecież co ja wiem? Ja się na takich sprawach nie znam. Może ktoś, kto się na tym zna, by to zauważył, ale dla mnie była taka sama jak wcześniej – powiedział Mateusz do komórki i westchnął. – Jeszcze sobie telefonem przyświecała.

– Miała telefon?

– W tej spódnicy miała takie wielkie kieszenie, jedną jej pies odgryzł, ale druga była cała i tam go trzymała, jak szliśmy. Jeszcze się bałem, że jej się ta spódnica spruje, bo co chwila się jej nitki z dziury o coś zaczepiały, a nie chciałem oglądać jej gołej dupy. I co, znaleźliście?

– Jeszcze nie dotykaliśmy ciała, a w tych ciemnościach to niewiele widać, ale pewnie telefon gdzieś tam leży.

Kościuchowa łąziła pomiędzy nimi. Zasepiona, zaaferowana i jakaś taka zdecydowanie namolna, podchodziła do każdego i każdemu usiłowała coś tłumaczyć, co w tym momencie denerwowało wszystkich, bo nie był to dobry czas na pogaduchy.

– Ale... – zwróciła się do Ady, szarpiąc ją za spódnicę jak małe dziecko matkę, co wywołało u kobiety sprzeciw.

– Nie teraz! Pani Kościuchowa nie teraz! – warknęła wściekle.

Kościuchowa poszła do Edzia, ale tylko machnęła na nią ręką, odganiając się przed nią jak przed natrętną muchą. Wyraźnie nie mogła się przebić.

– Ale... – zaczęła Mundka.

– Nie teraz! Nie widzi pani, że mamy zwłoki?! – ryknął na nią.

Zrezygnowała.

– Jeszcze chwila, a będziemy mieli tu Purchawę z technikami. Czekać tam i nic nie róbcie, nie ruszajcie się z miejsca. – Mundek komenderował Mateuszem, ale w sumie raczej dla jego własnego dobra. Lepiej było nie zacierać ani nie mnożyć śladów.

Kiedy tylko to powiedział, w oddali usłyszeli syreny policyjne.

Mateusz się ucieszył.

Tylko na chwilę.

– Ooo, ooo – wydukała Melka, wyciągając rękę w kierunku okna, za którym zabłysła jakaś poświata.

Mateusz popatrzył w tamtą stronę bezwiednie, bo ręki Melki nie dostrzegł, choć poczuł ruch, ale poświatę zobaczył jak najbardziej.

Za oknem stała Lipcowa.

– Aaa! – wrzasnęli oboje, widząc, jak światło, błękitne i nierealne, naprawdę bardzo niezwykle, unosi się w czerni nocy. Za oknem. Zresztą byli w takim stanie umysłu i nastroju, że wszystko wydawało im się niezwykle i niesamowite. Kto wie, czy nie pozaziemskie.

– Aaa – powtórzyli jeszcze raz, głośno i panicznie. Byli pewni, że objawił im się duch. Duch zamordowanej przez nich kobiety, z makabryczną poświatą na twarzy, wiszący jakoś tak w powietrzu, za oknem, w ciemności.

Świecił na niebiesko. Nie cały, ale trochę świecił.

Melka znów dostała fali odruchów wymiotnych. Nie miała już nawet czym zwracać, ale nadal się bardzo starała.

– Aaa! – wrzasnęła. – To ona! Ona! Ratunku!

– No czego się drą? – zapytała postać zza okna wrednym, ale niezbyt uduchowionym głosem. – No mówiłam przecież, że wrócę!

Nie czekali na więcej. Wpadli do pierwszej z sal, koło których stali, i usiłowali się jakoś schować. Nie było to ani łatwe, ani za bardzo skuteczne, bo w sali nie było niczego, nawet starego łóżka, pod które mogliby się wcisnąć. Nic, tylko gołe odrapane ściany i porozwalane okna. Jakiś połamany mebel, z którego zostały ledwie nogi, o które się potknęli. Wbili się w jeden z kątów po przeciwległej stronie od wejścia, przytulili się do siebie i wrzeszczeli w panice.

– Ona tu jest! – wrzasnął Mateusz do telefonu. Wybrał numer na chybił trafił, więc jako że ostatnio rozmawiał z Hubertem, zadzwonił właśnie do niego.

– Melka?

– Nie, tak, nie...

– To się zdecyduj!

– Nie rozumiesz! Ona tu jest!

Hubert miał dość makabry.

– Zwariowałeś? Jaka ona? Co się dzieje? Mów, bo nie ręczę za siebie!

– Ona, ta martwa kobieta, tu jest! Za oknem!

– No przecież wiem, że jest! Znaleźliśmy ją! Purchawa z technikami robią jej zdjęcia. O co ci chodzi, bo nie rozumiem?

– Jej duch tu jest – rzuciła Melka piskliwie.

– Jasne! Duch! Melka, czy ty mogłabyś przestać?! To nie jest zabawne! Znowu te twoje ezoterycznie klimaty cię dopadły? Ogarnij się, nie jesteś dzieckiem! Duchów nie ma!

Ten był. Podszedł do nich, sapiąc.

Ten fakt im nie umknął, ale, choć go zarejestrowali, nie wyciągnęli odpowiednich wniosków, po prostu stwierdzili, że sapie, widocznie taka jego natura.

– No, czego się chowacie! Przyszłam po was! – dodał duch po chwili.

Jeżeli duch kobiety, którą właśnie zamordowałeś (chcący, czy niechcący, to bez znaczenia), zjawia się przed tobą w błękitniej poświacie i oświadcza, że po ciebie przyszedł, to nawet jeżeli nie wierzysz w duchy ani w życie pozagrobowe, jesteś w stanie się... Tak. Mateusz się posikał ze strachu.

Melka jeszcze gorzej.

Nie należy im się dziwić.

Purchawa była bardzo zaintrygowana całym zamieszaniem.

– Myślicie, że to może mieć coś wspólnego z tamtym morderstwem?

Jako rasowa policjantka bardzo lubiła wszystko ze sobą łączyć. Czasami te połączenia były karkołomne jak sos czosnkowy z lodami karmelowymi, ale na ogół coś z tego wyciągała. Teraz, zważywszy na niewielką miejscowość, mnicha i niedawne zabójstwo, niemalże mistyczne, jak chętnie twierdziła, miała sporo racji, zadając to pytanie.

– Najprawdopodobniej tak – odpowiedziała Ada, przeciągając słowa.

– To wiele zmienia – ucieszyła się policjantka. Jej radość sprawiła wszystkim sporo przykrości. Tak to już bywa.

– Zabierzesz nam sprawę? – Edzio aż jęknął ze zgrozy, traktując to morderstwo jako zdecydowanie ostry nóż w jego osobiste plecy.

– Ależ skąd! – zaprzeczyła pospiesznie policjantka. – Tylko będę tu przyjeżdżać codziennie, żeby was przypilnować. – Puściła do niego oko, co go zmroziło do szpiku kości. – Mówicie, że oni to widzieli, ci wasi szczytle? – upewniła się. – Chodźmy ich zapytać co i jak, ale trochę to dziwne.

– Co?

Przemieścili się za róg budynku i podeszli do głównego wejścia zasłoniętego dyktą, po czym ruszyli w górę.

– No bo przecież przyjechaliście tu dziś rano, tak? To jak mogli widzieć? Ona tu leży co najmniej dwa dni.

– Niemożliwe – wtrąciła Ada, wspinając się z trudem, bo jej tusza i potłuczone schody wcale nie pomagały.

– Jak niemożliwe? Dlaczego? – Rozmowa z Adą była dla Purchawy nieprzyjemną koniecznością, ale w takich sprawach nawet zdanie bufetowej może mieć znaczenie.

Purchawa pewne rzeczy kalkulowała sobie na zimno. Nie mogła oddelegować tu policjantów. Co mogła zabrać, zebrać i skatalogować, leżało już w szafach na dowody, więcej jak na razie zrobić nie mogła. Owszem, gdyby miała ludzi... Nie miała i nie zanośliło się na to, że mieć będzie, i to nie tylko dlatego, że był to okres urlopów, ale też dlatego, że takie miejsciny jak Praslawiec czy Mnichowola nie są priorytetem. Za mało tu przemocy. Kibole nie tłuką się na każdym rogu ulicy, po dopalacze trzeba jechać do miasta, żaden diler narkotyków na dorobku tu nie zagląda, bo nie ma chętnych, a nawet gdyby byli, to co to dla nich ruszyć dupę i podjechać do Wrocławia? Nic. Dlatego zaistniała tu jedna z tych wysoce niesprawiedliwych sytuacji społecznych, która trochę z ogródkami mówiła mniej więcej tyle, że jak chcą mieć u siebie posterunek, a oczywi-

ście chcieli, bo każdy chce, to muszą zacząć się wreszcie mordować choć na trochę większą skalę.

– Nie może tu leżeć od dwóch dni. To nieprawdopodobne. Dziś z nią rozmawialiśmy, nie dalej jak dwie godziny temu!

– Poważnie? – Purchawa aż przystanąła na schodach, zaskoczona.

– Poważnie – potwierdził Edzio. – Sam widziałem, jak wyszła z dziećmi z zajazdu. Była żywa.

– A nie była duchem? – Purchawa się skrzywiła.

To sarkastyczne pytanie może by jakoś przeszło bez echa albo okraszono je drobnymi zgryźliwościami, gdyby nie to, że właśnie dotarli na drugie piętro.

– W lewo – nakazał Mundek. – Mieli tu gdzieś czekać.

Weszli w pusty, ciemny, zrujnowany korytarz.

– Jakoś tu cicho – powiedziała zdziwiona Ada, nie wiedząc, że trafili na taktyczną przerwę we wrzaskach.

– A czego się spodziewałaś? Że będą tańczyć i śpiewać? – odburknął Hubert.

Możliwe, że powiedział to w złą godzinę. One naprawdę istnieją i złośliwie czają się na ludzi, żeby im zrobić krzywdę albo choć na złość trochę im doko-pać. Żeby pokazać, że żaden człowiek nie może być pewny dnia ani godziny, nie może być pewny swego. Nie, istnieje coś poza człowiekiem, coś, co potrafi naprawdę spaskudzić wszystko.

Czasami jest to właśnie zła godzina, ale oczywiście nie tylko. Zdarza się, że to niestrawność.

Nagle z pomieszczenia po prawej stronie usłyszeli przeraźliwy, zwielokrotniony echem, pelen przerażenia wrzask.

\* \* \*

– Nie dostaniesz nas! Apage, Satanas! – wrzasnął Mateusz i rzucił w nią nogą od stołu. Było to jedyne, co udało mu się wymacać. Melka zdobyła kilka płytek PCV, bo nikt ich teraz nie kradł, więc wałaly się po podłodze, ale były częściowo połamane.

– Przestań, zdurniałeś? Zrobisz mi krzywdę! – zawołała zjawa.

– I o to chodzi! – ucieszył się Mateusz.

– Chcesz mnie zabić?! – zawołała ponownie zjawa, osłaniając się rękoma, przez co błękitnawe światło jakby jeszcze bardziej załalo jej nierzeczywistą twarz.



– Nie można cię zabić, ty nie żyjesz! – odkrzyknął chłopak.

Zjawa na chwilę zamarała, pomacała się po brzuchu, co było widać, bo pomacała się ręką, w której trzymała telefon z włączoną latarką, po czym westchnęła.

– No, ładnie, czego wyście się nażarli? A może to jakiś gaz? Myślałam, że odcięli, ale kto wie? Coś wam zaszkodziło.

Jeżeli człowiek w panice, a na dodatek podatny człowiek, taki jak Melka i Mateusz, którzy mieli umysły otwarte na ezoterykę i mistycyzm tak bardzo, że mocniej już się nie da bez trepanacji, coś sobie ubzdura, to trudno go od tego odwieść.

Dlatego tyle osób wierzy bezgranicznie, że widziało UFO, choć była to tylko delirka, albo że usta glonojada przeszczepione kobiecie to przejaw piękna, a nie chorych pomysłów.

Dlatego wszystko, co mówiła zjawa, brali sobie głęboko do serca. A może i jeszcze głębiej, bo aż ich ścisnęło w dolku.

– Muszę się wami zająć – powiedziała zjawa, co zrozumieli bardzo opacznie i dość makabrycznie.

Gdyby nie oglądali horrorów klasy C, może by trochę pomyśleli i zdaliby sobie sprawę, że taka zjawa przecież niewiele może, nie ma kłów, nie uniesie siekiery, nie jest w stanie nawet ich złapać, ale oni horrory oglądali. Z wielką przyjemnością i samozaparciem. Wszelkie możliwe.

Wrzasnęli i rzucili się do ucieczki, ale drogę na korytarz zagradzała im zjawa, więc biegli prawie po ścianach. Melka nawet próbowała na Batmana, ale źle się to dla niej skończyło.

Stojący na korytarzu ludzie, wszyscy z GBŚ z Purchawą oraz Kościuchową włącznie, usłyszeli wszystko, co się działo, choć w pierwszej chwili nie byli pewni, skąd te dźwięki i rozmowy dochodzą. Budynki mają swoje tajemnice. Tajemnice dotyczące dźwięków nie są bardzo niebezpieczne, człowiek słyszy nocne wrzaski, soczyste kurwy albo odgłosy seksu i naprawdę nie wie, z którego mieszkania dobiegają. Co do zapachów, to te mogą już być o wiele niebezpieczniejsze.

Pewna pisarka, pisząca w pomieszczeniu obok kuchni (swojej własnej), zawsze przypalała ziemniaki. Nigdy nie czuła zapachu spalenizny, ale sąsiad z piętra niżej czuł ją codziennie. Nawet myślał, że to jakaś choroba. Wygoogłał sobie zaawansowanego raka odbytu, co według pewnego portalu powodowało wyczuwanie zapachu spalenizny. Nawet zaczął się samodzielnie leczyć. Zastosowane przez niego metody lecznicze – nacieranie tych miejsc papryką chili

habanero – doprowadziło go do szpitala, z którego uciekł z obawy przed zachowaniem.

Nie byli w stanie określić, skąd dochodzą dźwięki.

Do tego wszystkiego strasznie trudno było znieść potworny pisk Melki, która rozbiła sobie głowę, i wrzask jeszcze kogoś.

Wpadli w końcu do jednej z sal (nie była pierwsza na ich drodze) i w świetle latarek policyjnych zobaczyli Melkę na podłodze, Mateusza skulonego w kącie i zasłaniającego się krzyżem z dwóch nóg stołowych, jakby zobaczył wampira, oraz stojącą na środku pomieszczenia Lipcową, której mina naprawdę była bezcenna.

Niedowierzaniem, jakie malowało się na jej twarzy, można by obdzielić pułk wojska.

– Jezus Maria! – wrzasnęła Ada. – Pani przecież nie żyje! – Po czym, chcąc sprawdzić, jak bardzo jest realna, dowaliła jej kopniakiem w łydkę. Bała się dotknąć ją ręką.

Ada niczego już nie rozumiała, a że tego stanu bardzo nie lubiła, musiała go na kimś odreagować. Kiedy pracowała jeszcze w bufecie, nie było z tym problemu, dzięki temu nauczyła się dystynkcji (co było konieczne, bo odreagowywanie czegośkolwiek na oficerach źle się kończyło).

Nigdy jeszcze niczego nie odreagowywała na zjawie czy, jak kto woli, duchu. Spróbowała.

To nie było to, czego jej było trzeba.

– Nie, no kurwa! – krzyknęła Lipcowa, rozcierając goleń. – Czy wyście poszaleli, czy się naćpali? Jak nie żyję?! Myślałam, że tylko im odbiło, ale wy? Przecież wiem, że żyję! Czuję!

– Ja już nie wiem, co się dzieje, ale pani nie żyje! Nie może pani! Widzieliśmy pani zwłoki! – sapnęła z przejęciem Ada.

– Ale... – Kościuchowa znów próbowała coś powiedzieć, choć wyraźnie nadal nikt nie chciał jej słuchać.

– Co, do cholery jasnej?! – wrzasnęła Ada, wściekła, bo jak była wściekła, pozwalala sobie na nieprzebieranie w słowach i warczenie na wszystkich.

– To nie były jej zwłoki! – wrzasnęła z kolei Kościuchowa. – Próbuję wam to powiedzieć, ale nikt nie chce mnie słuchać!

Pomysł, że zwłoki znalezione na dole mogą nie należeć do Lipcowej, nie powstał im w głowach. Po prostu połączyli fakty. Była z Melką i Mateuszem, wyskoczyła przez okno, zabiła się. To musiała być ona. Proste i logiczne, ale logika

nie zawsze się sprawdza. Rzeczywiście była z Melką i Mateuszem, rzeczywiście wyskoczyła przez okno, jednak jakimś cudem się nie zabiła. To musiała być ona, ale to nie była ona.

Problem z przynależnością zwłok w tej chwili objawił im się bardzo wyraźnie.

– Jak nie jej, to czyje?

– A cholera wie, ale nie jej! – stwierdziła Kościuchowa. – Nie wiem, nie znam, zresztą widziałam ją tylko od tyłu, ale patrzcie, Lipcowa jest niższa, starsza, grubsza, więc tamta to nie ona.

W tym momencie do głosu doszła sama zainteresowana.

– O co tu chodzi, do cholery? Jakie zwłoki i dlaczego miałyby być moje?! – zapytała. – I gdzie? I jakim cudem ktoś wpadł na pomysł, że ja nie żyję? Dlaczego?

– Bo wyskoczyła pani przez okno!

– Przez nic nie wyskakiwałam! Zwariowaliście? – obruszyła się, ale po chwili zrobiła niepewną minę, jakby coś sobie przypominając. – A, to! No to mogło trochę tak wyglądać – wymamrotała. – Ale tam jest taras! Gdybyście wyjrzeni, to zobaczylibyście, że to tylko pół metra wysokości! Poleciałam do domu posprzątać! Nie mogłam wpuścić ludzi do tego syfu, kurze niepościerane, serwetki porozwalane. No... Wstydziłam się.

– Ale dlaczego?

– Dlaczego się wstydziłam? – zapytała chyba złośliwie niedoszła zjawka. – Porządni ludzie się wstydzą bałaganu! I kurzy! I wszystkiego! Nie wypada, żeby dom wyglądał jak chlew, no nie wypada! No chyba że nikt nie patrzy.

Miała chyba jeszcze coś do powiedzenia, ale jej przerwano.

– Dlaczego wyskoczyła czy tam wylazła pani przez to pieprzone okno?!

– Bo tędy jest bliżej do mnie, do domu! – wyjęczała Lipcowa.

– Jakim cudem?

– Mieszkam z tyłu, więc albo muszę obejść od jednej strony całą posesję szpitala, albo od drugiej, ale jak wejdę na drugie piętro i obejdem tarasem kilka metrów, to jestem naprzeciw domu, kilka schodków i już. Prosto pod same drzwi, tylko głupek by nadkładał drogi!

Są podobno miejsca na świecie, gdzie miasta nie wytyczają dróg i nie kładą chodników, dopóki ludzie nie wydepczą sobie ścieżek. A kiedy już to zrobią, ładnie się je betonuje i zamienia w chodniki.

U nas chodniki swoje, a ścieżeczki swoje. Tak już musi być, bo inaczej byłoby zbyt wygodnie, a na to nie można pozwolić. Ludzie mogliby doznać szoku albo

coś. Takie nienaturalne narażenie na piękne, ergonomiczne i do tego jeszcze funkcjonalne drogi mogłoby być niebezpieczne dla zdrowia mieszkańców.

– Zaraz, ale skoro ona żyje... To kto tam leży?

– Ktoś, kto...

– Został zamordowany?! – jęknęła Kościuchowa.

– Zaraz, skąd taki pomysł? – burknęła Ada, a Purchawa jej przytaknęła.

– Przecież to mógł być zawał – mruknięła policjantka, jak to zwykle w takich momentach, żeby sprawę zagmatwać, bo gmatwanie jednak zawsze coś daje. Na przykład czasami wykrywa mordercę.

Jak to było raz, kiedy policjantka powiedziała, że żona faceta zmarła właśnie na zawał, a ten niepokieszony mąż złapał się za serce i zawołał całkowicie bezwiednie:

– Po takiej ilości cyjanku?!

No, tuzem intelektu to on nie był, to trzeba przyznać.

– Ale jak zawał? A te obrażenia?

– Mogła dostać zawału na dachu.

– Właśnie, tylko co ona robiła na dachu?!

– No to coś innego, o, albo to mógł być zwykły wypadek, mogła chcieć wyskoczyć na ten taras i zamiast tego spaść?

– Albo ktoś ją zepchnął?

– Albo to samobójstwo! O tak! To mogło być samobójstwo! – krzyknęła Melka, po czym znów dostała odruchu wymiotnego.

– Ależ wy kombinujecie... Cokolwiek to było, to najpierw trzeba się dowiedzieć, kto tam leży. Czy któraś z pań może w tym względzie pomóc?

Było trochę kłopotu, bo tylko Ada i Kościuchowa widziały zwłoki, ale z oddali i leżące twarzą w dół, dwie pozostałe panie, czyli Melka i Lipcowa, w ogóle zwłok nie widziały, a Purchawa wołała nikomu zdjęć nie pokazywać, bo były naprawdę krwawe.

– Macie może jakiś pomysł? – rzuciła i zamilkła, bo po takim tekście czasami było aż za dużo pomysłów. W większości nierealnych.

Chciała jakoś uściślić te ewentualne pomysły i już otwierała usta, ale zadzwonił jej telefon. Odebrała. Przez chwilę milczała, hymkając i potakując, a następnie, zwróciwszy się najpierw do telefonicznego rozmówcy, a potem do obecnych w szpitalu ludzi, powiedziała:

– Dobrze, że miała dowód, to sprawdźcie mi tę Malwinę Chrobotek, może coś gdzieś na nią jest. Któraś z pań kojarzy to nazwisko?

– Malwina Chrobotek? Nie – westchnęła Kościuchowa. – Nie słyszałam.

Członkowie GBS oczywiście też nigdy tego nazwiska nie słyszeli.

– Ale, że Malwina? Chrobotek? – zdziwiła się Lipcowa, co jakoś wszystkich zaskoczyło, bo wydawało się, że ona zna tę kobietę. Albo choć kojarzy nazwisko.

– Zna ją pani?

– Nie, oczywiście, że nie! – Lipcowa obruszyła się tak, jakby znajomość z tą kobietą była oznaką zdżiczenia obyczajów albo satanizmu. – Po prostu spotkałam ją ze dwa razy w zajeździe, była tam na terapii rozluźniającej czy coś.

– Ktoś ją pani przedstawił?

– Nie, a co?

– No to skąd zna pani nazwisko?

Lipcowa prychnęła, jakby to było po prostu zenująco proste.

– Oni tam tego cholernego RODO nie przestrzegają. Albert wpada do jadalni i krzyczy: „Malwina Chrobotek, terapia rozluźniająca” i każdy już wszystko wie, ale to w sumie i tak lepiej niż u wenerologa w Prasławcu, tam to znowu aż za bardzo przestrzegają. Nazwiska nie podadzą, żeby się paliło i waliło.

– I?

– No wywołują tak: „przechodzona rzeźączka do gabinetu” albo „kiła z powikłaniami po recepty”, albo „wysypka oralno-genitalna, proszę wejść” – oświadczyła Lipcowa.

Wszyscy popatrzyli na nią, skonsternowani.

– Była pani chora? Wenerycznie? – zapytała Ada złośliwie, bo skoro tak dobrze wiedziała, to po coś tam przecież poszła.

– A co pani?! Z mężem byłam. Złapał coś. Nie wiem, chyba na basenie. Jak jeszcze żył.

Możliwość, że złapał coś po śmierci, wszystkich przeraziła.

– Ale co to ma do pani Chrobotek? – zapytała Purchawa.

– Nic, ale chodzi o to, że ona była w zajeździe. Przez cały czas, ostatnie trzy tygodnie i nagle zniknęła i właścicielka bała się powiedzieć, bo policja kazała wszystkim zostać na miejscu. Myślała, że wróci.

\*\*\*

Istnieją w życiu niecodziennym, bo umiejscowionym nieco poza obszarem tego codziennego, pewne zjawiska, które choć „w oczy” wyśmiewane, to jed-

nak są (choć pokątnie) uznawane za bardzo istotne, ba niezwykle fascynujące, a nawet pozwalają zarobkować.

Zarobkowanie na naiwności ludzkiej nie jest zakazane.

Te zjawiska to istnienie grup społecznych takich jak uzdrowiciele, czarownicy i szamani.

Każdy powie, że właściwie to czegoś takiego nie ma, że w Indiach może, że w Afryce też, ale gdzie? U nas? Niemożliwe. My jesteśmy bardzo cywilizowani.

A jednak.

Oczywiście jest to nieco zakamuflowane, trochę ukryte, trochę inne, choć wcale nie tak bardzo.

Na pewno inaczej się nazywa.

Szamani źle się kojarzą, bo przypisuje im się wpadanie w szal, trans i takie rzeczy, które trochę ludzi współczesnych, nawet tych naiwnych, odstrasza. Czarownictwo też jakoś niespecjalnie ludziom odpowiada, bo to domena starych bab i zabobonu, a uzdrowiciele jednak muszą mieć efekty.

Albert wybrał drogę pośrednią, która wcale nie prowadziła przez uniwersytet medyczny ani nawet przez jakikolwiek wydział psychologii czy psychiatrii.

Podszkolił się z totalnej biologii i zatrudnił w zajeździe jako trener.

Osobisty, personalny, wielozadaniowy, indywidualny i grupowy. Oraz diler specjalnych tabletek z suplementami.

Nie były zakazane. Nie szkodziły, a nawet nie pomagały. Po prostu świetnie się sprzedawały, a on uważał, że coś takiego, coś w rodzaju placebo, doskonale uaktywnia siły organizmu do samodzielnego radzenia sobie z chorobami, kiedy ciało musi zacząć zarabiać, bo terapia wywołuje pustki w kieszeni.

To mu dawało status uzdrowiciela, ale nie wymagało udokumentowania dokonań, bo nie przychodzili do niego ludzie z ulicy, którzy żądali natychmiastowych efektów, tylko zamożne panie, które za pomocą bardzo drogiego oddychania i równie drogiego rozluźniania mięśni chciały naprawić swoje małżeństwo albo podejście do życia.

To było łatwe.

Bo on nie leczył grypy, kiły czy gorączki, co to to nie! On leczył dusze.

To było wygodne, dobrze płatne i nie powodowało nadmiaru kłopotów. Ani oczekiwań. Bo jak ktoś ma wysypkę i chce jej się pozbyć, to za wyleczonego uznaje się wtedy, kiedy wysypka znika, a z duszą jest zupełnie inaczej, wystarczy komuś powiedzieć, że jest wyleczony, a jeżeli ma się odpowiedni autorytet, to pacjent w to uwierzy.

Albert bardzo lubił tę pracę, bo w zasadzie dawała mu ona pieniądze i niewiele od niego wymagała. Musiał być tylko elokwentny, miły i sugestywny.

To ostatnie było naprawdę w porządku i on to potrafił.

Co prawda, jego sugestie nie zawsze były odbierane jak należy, ale to już nie była jego wina.

Sugestia to nie rozkaz, trzeba umieć ją odczytać.

Raz zasugerował pacjentce, żeby coś zmieniła w swoim życiu, i ona go posłuchała, zmieniła męża. Naprawdę nie to było zamysłem sugestii Alberta, kobieta była bardzo tęga, wypijała dziesięć litrów napojów słodzonych dziennie, nadużywała alkoholu i jadła same chipsy, było co zmieniać, a ona zmieniła męża.

Mąż też się zmienił i z miłego człowieka zmienił się w bestię, nie, nie wobec żony, wobec Alberta, no ale takie są blaski i cienie pracy z materiałem ludzkim.

Teraz Albert siedział i przygotowywał się do sesji z Adamem i Ewą, kiedy do samotni przy zajeździe wpadła Olga.

– Ta Chrobotek, na czym ona u nas jest? Była? Znaczy, no na czym? – Olga bardzo nie chciała za dużo powiedzieć, ale telefon od Purchawy ją przestraszył.

– Na sesjach rozluźniających. Zestresowana była. Zasugerowałem jej...

– No właśnie o to chciałam zapytać. Co jej powiedziałaś? Niektórzy są podatni na sugestie.

To pytanie od razu zasugerowało problem, bo Olga dawała Albertowi dużo swobody i nie ingerowała w to, co on robił, mówił czy zalecał. Mógł robić, co chciał, byle był czysty, grzeczny i punktualny. Trochę wiarygodności też by nie zaszkodziło, ale tu zawsze dało się jakoś sprawę odkręcić. Jednej parze raz w sobotę zasugerował bujanie w obłokach, a w niedzielę dziwił się, że się połamali na paralołtni, no ale on wcale im nie kazał tego robić.

– Co jej zasugerowałem? No latanie, żeby sobie polatała. – Albert wzruszył ramionami. – Taka spięta była jakaś. Nerwowa. Latanie rozluźnia.

– O ja pierdołę! – wrzasnęła Olga. – Przecież ty jesteś niebezpieczny! – do-dała z naganą w głosie. – Po tamtej aferze niczego się nie nauczyłeś? To sobie teraz baba polatała, kurwa. Tfu, przepraszam. – Olga dość szybko opanowała furję, która wylewała się u niej przekleństwami. – Zabiłeś ją, kretynie! – dorzu-ciła po chwili oskarżycielskim tonem.

– Co pani? Zasugerowałem, żeby wykupiła zajęcia z paralołtni, wiadomo, u Maksa! Tylko tyle! Była jakaś katastrofa czy co?

– Była, to znaczy nie było, w każdym razie nie u Maksa, ale tak to owszem, straszna. A może? Może u Maksa? – Przerwała, po czym zadała mu kolejne py-

tanie, nie bardzo wyjaśniając, o co dokładnie jej chodziło. – Ty, słuchaj, a mojej córce też może coś sugerowałeś?

O ile sugerowanie czegokolwiek uczestniczącym w terapii gościom zajazdu było jak najbardziej w porządku, to jednak pracownicy byli z tego wyłączeni, ale też Albert bardzo cenił swoje finanse, więc za darmo się nie udzielał.

– Zwariowała pani? Ona nie chciała ze mną rozmawiać. Warczała na mój widok. Nagminnie, codziennie podważała moje dokonania... Opluwała moje wykształcenie! – poskarżył się ze zboląłą miną.

– Wykształcenie? Przecież ty nie masz wykształcenia?! – burknęła Olga, która jako osoba go zatrudniająca wiedziała to najlepiej.

– A totalna biologia? Przeszedłem wszystkie możliwe kursy internetowe. Moje zdolności terapeutyczne, moje...

– Dobra, rób, co chcesz – westchnęła, po chwili jednak złapała się za usta. – Nie! Nie rób, nic nie rób. Nic nikomu od tej chwili niczego nie sugeruj! Powstrzymaj się.

– Ale co się stało? – Albert, mężczyzna podobny do aktora grającego w reklamie potu, tej, w której pot zalewa go wiadrami, długi, chudy i zdecydowanie wymoczkowaty, Albert nie pot, zrobił zdziwioną minę, na którą Olga zareagowała wściekłością.

– Ta Chrobotek skoczyła z dachu szpitala! Postanowiła chyba polatać i się zabiła. Rozumiesz? Z pierdła nie wyjdiesz!

Albert, choć niespecjalnie mu było do śmiechu, to jednak się roześmiał, i to bardzo sarkastycznym, złośliwym śmiechem.

– Pani Olgo?! Z całym szacunkiem, ale co pani wygaduje? Jak ktokolwiek mógłby mi coś takiego udowodnić?! Sugestia nie ma odcisków palców, byliśmy sami. Nie ma nic, żadnych zapisków, nagrań, nic, więc jak?

– Czyli jednak zasugerowałeś jej samobójstwo?

– W życiu! Zwariowała pani? Po co? Dlaczego? Nie znałem jej. Zasugerowałem odrobinę paranoję, bo mam układ z kolegą, że on mi podsyła pacjentów, jak widzi kogoś zestresowanego, a trudno nie widzieć, ludzie stresują się przed lotem, a ja podsyłam jemu z tego samego powodu. On zarabia i ja zarabiam, a pośrednio pani też.

– A słuchaj, kiedy ona była u ciebie ostatnio?

– Jakies dwa dni temu? Może trzy.



– A pamięta pani może, kiedy widziała tę kobietę po raz ostatni? – Purchawa zaczęła iść schodami na dół, zaraz się jednak zatrzymała. Wybrała w telefonie jakiś numer i po chwili zaczęła się wymądrzać do któregoś ze swoich podwładnych.

– Zrobiliście już tam wszystko? No, nie gadaj, rusz dupę! Kończcie to i natychmiast do budynku. Dach też, ale nie tylko. Sprawdźcie okna na pierwszym i drugim. I ten taras na drugim też.

Przez jakiś czas słuchała, ale nie za bardzo usatysfakcjonowało ją to, co usłyszała.

– Nie mogła? No dobra, z pierwszego mogłaby przeżyć? Nawet jeżeli nie, nie próbujcie się migać! – Odwróciła się do Lipcowej. – No?! Co pani tak milczy? Kiedy ją pani ostatnio widziała?!

Zastraszanie w wykonaniu Purchawy było czymś wręcz naturalnym, ona nie umiała inaczej.

Lipcową zatkało, a Purchawa natychmiast wyszukała sobie kolejne ofiary.

– Wy dwoje – warknęła do Melki i Mateusza. – Ruszcie dupy! Chcę zaraz wszystkich przesłuchać! Skąd wiedzieliście, że tam leżą zwłoki?

To pytanie oczywiście było zrozumiałe, bo jakim cudem wezwano policję? Ktoś musiał coś wiedzieć.

– Bo wyskoczyła przez okno – mruknęła Melka.

– Ta Chrobotek?

– Nie, ja wyskoczyłam, a co do pytania, to tak ze trzy dni temu.

Purchawa może nie chodziła z głową w chmurach, bo to po prostu do niej nie pasowało, ale zachowywała się, jakby była oczadziąta. Możliwe więc, że chodziła z głową w krwawych obłokach.

– Wyskoczyła pani z okna trzy dni temu?!

– Nie, godzinę temu!

– To dlaczego pani żyje?!

– Bo przecież nie wyskoczyłam, to znaczy wyskoczyłam, ale nie śmiertelnie! – Rozmowa Lipcowej z Purchawą była klasycznym przykładem tego, w jaki sposób z nikim nie należy rozmawiać, ale to zawsze tak jest, kiedy ktoś siedzi we własnych myślach, jest zaaferowany swoimi sprawami, a ktoś inny zmusza go do interakcji, nie do końca precyzując pytania i dając czas na sformułowanie odpowiedzi.

– Edziu, weź się zajmij tymi ludźmi, co? Ja naprawdę nie mam siły na takie gadki, a baba na dodatek starszawa, jakby coś, to będzie, że się znęcałam!

– Gdzie starszawa, gdzie starszawa!? – obruszyła się Lipcowa. – Ja nawet osiemdziesiątki jeszcze nie mam! I to bardzo nie mam! Nie będzie mnie tu pani dyskryminować wiekowo!

Młodość to sprawa względna nie tylko na Facebooku; Lipcowa była bardzo młoda jak na swój wiek, ale Purchawa nie lubiła kobiet, nie lubiła starszych kobiet, młodszych kobiet, kobiet w ciąży i dzieci. Nie lubiła ludzi, nad którymi nie wypadało się pastwić, wrzeszczeć i ogólnie – tych, których nie wolno było zastraszać.

Niby nikogo nie wolno, ale jak Purchawa jako dość nieduża policjantka rodzaju żeńskiego pastwiła się nad stukilogramowym osiłkiem, to jednak wzbudzała w kolegach podziw, mimo że osiłek był w kajdankach.

Purchawa wolała tutejsze przesłuchania scedować na Edzia. Nie na zawsze, potem oczywiście musiała je omówić i zaakceptować, ale teraz musiała zająć się sprawami czysto technicznymi, bała się, że jej podwładni, a zwłaszcza technicy, coś ominą. Coś, czyli jakieś miejsce, z którego coś dałoby się wyczytać. Dach był oczywisty, ale nagle wydało jej się, że warto sprawdzić też inne miejsca, inne okna, bo przecież nie tylko samo miejsce, z którego wypadła ofiara, mogło mieć znaczenie.

– A, jeszcze jedno – powiedziała, stając już na jednym z ostatnich schodków na parterze. – Macie coś na temat poprzedniego incydentu?

Było to pytanie retoryczne, jak najbardziej. Doskonale wiedziała, że gdyby mieli, to już dawno by jej donieśli, czy to telefonicznie, czy teraz na miejscu. Zapytała, bo chciała komuś choć odrobinę dokopać.

– Nie, no coś ty, dopiero przyjechaliśmy – burknął Hubert. – Nie wymagaj od nas niemożliwego!

– Właśnie – dołożyła Ada. – Chociaż... – Zmitygowała się, widząc oświetloną reflektorami stojących pod szpitalem radiowozów wściekłą minę Purchawy. – Te małżeństwa, co przyjechały na terapię par, są ciut podejrzone. Trzeba je sprawdzić. I mąż ofiary, ale jeszcze nikt z nim nie rozmawiał.

– Myślicie, że to on? – Purchawa trochę się rozchmurzyła. – Fajnie by było – westchnęła.

Mąż ofiary jest ofiarą idealną. Prawie wcale nie trzeba się nim przejmować, czy jest mężem obecnym, byłym czy nawet przyszłym, zawsze w sytuacjach tego typu świeci się na czerwono. Nie zawsze jest winny, niestety, ale zawsze warto go obejrzeć dokładnie i pod światło.

Był tylko taki problem, że przy dwóch zbrodniach bardzo rzadko mąż jest mężem obu ofiar – jakimkolwiek, terazniejszym, byłym czy przyszłym, w ja-

kiejkolwiek konfiguracji – i wtedy to jakoś się komplikuje.

Najlepiej rokuje morderczy bigamista, potem wkrótce były, a na końcu dopiero ewentualny, ale mąż to mąż.

\* \* \*

Noc, która nastąpiła po tym, jak wrócili do zajazdu i nie zjadłszy kolacji zwanej tu obiadem poszli spać, była ciężka dla wszystkich.

Nie jedli nic, bo nie byli w stanie niczego przelknąć.

Noc była paskudna szczególnie dla Kościuchowej, gdyż... No cóż, kobieta się przeliczyła.

Nigdy nie miała psa. Jako że mieszkała w Prasławcu, a Prasławiec był miasteczkiem aspirującym do miana miasta, nikt nie trzymał tam psów na łańcuchu.

Ona też nie.

Psa do towarzystwa, typowego kanapowca, jakoś nigdy nie chciała mieć, a o psach wiedziała mniej więcej tylko tyle, co niektórzy o koniu, kiedy twierdzą, że „koń jaki jest, każdy widzi”.

Była wyznawczynią podejścia, że „pies to pies” i owszem, to nie jest z zasady błędne, choć oczywiście błędne jest prawie całkowicie. I mimo że zdecydowanie rzadko pies bywa kotem, to jednak takie przekonanie może mocno szkodzić i psu, i człowiekowi.

Kiedy więc została z psem sama, postanowiła sprawę załatwić raz na zawsze. Po swojemu. Była przekonana, że da radę.

– Tu śpisz! – Gestem pokazała psu podłogę koło drzwi i poszła się położyć.

Zanim doszła do połowy pomieszczenia, pies był już w jej łóżku i leżał grzecznie na poduszce.

Ściągnęła go i wykonała poprzednią czynność jeszcze jakieś sześć razy.

Zawsze z tym samym skutkiem.

Około pierwszej w nocy była tak zmęczona, że wydarła poduszkę spod psa i położyła się obok niego. Nie miała wyjścia. W chwilę potem zasnęła.

Nie spała długo, bo poczuła, że dopadła ją zmora. Ta sama, o której opowiadała jej babcia. Wielka, chuda i niebezpieczna. Usiadła jej na piersiach i zaczęła wysysać z niej oddech. Makabryczna, czarna, śmierdząca i sapiąca zmora.

Kościuchowa obudziła się z krzykiem.

Nie zobaczyła zmory.

Na jej piersi spał pies. Nie cały, tylko jego przednia część. Nie ważył dużo, ale śmierzdział zaskakująco.

Zgoniła go z siebie oraz z łóżka i usiłowała zasnąć, ten jednak postanowił się napić. Psia miska była pusta. Nienawykła do takich spraw Kościuchowa jej nie napełniła.

– Noc jest od spania, a nie od chleptania – oświadczyła i zasnęła.

Pies złapał miskę w zęby.

Rzucił nią raz, potem drugi.

Dźwięk metalu walącego o podłogę obudził kobietę skutecznie.

Nalała psu wody. Postanowiła iść spać.

Pies jednak zakomunikował cichym skowytem pod drzwiami, że nie ma spania. Albo spacer, albo kłopoty.

Gdyby Kościuchowa знаła się na psach lub choć znała tego jednego konkretnego, wiedziałaby, czy to jakiś podstęp czy może naprawdę pilna potrzeba.

Bała się go wypuścić samego.

Była trzecia w nocy, kiedy z trudem zapięła mu smycz, bo widząc tę zapowiedź spaceru, oszalał i zaczął skakać po łóżku, stoliku i ścianach.

W końcu udało im się wyjść.

Kobieta liczyła na to, na co wszyscy posiadacze psów liczą każdą ciemną nocą, kiedy pupil odstawi taki numer.

Liczyła, że wszystko pójdzie szybko i sprawnie.

Jednak pies pogardził trawnikiem pod oknami, po obwąchaniu zrezygnował z trawy koło dróżki. Nie zaufał klombom. Węsząc zawzięcie, wciągnął Kościuchową za budynek zajazdu, ale zamiast się załatwić, węszył dalej.

No szlag – pomyślała kobieta, widząc w oddali kogoś idącego dróżką w kierunku samotni. Nie zabrałam woreczków.

Kościuchowa przestraszyła się, że ktoś ją opieprzy. W końcu tereny zajazdu, a szczególnie trawniki i klomby, nie powinny być usiane kupkami.

– Bierz się do roboty! – warknęła do psa, bo miała już dość tych manewrów.

Niestety, psy miewają swoje nawyki.

Usłyszawszy to słowo, które niestety często jest psom wpajane przez nieodpowiedzialnych właścicieli i domorosłych treserów, pies zamienił się w mechanicznego diabła tasmańskiego, wyrwał smycz i rzucił się na idącego ścieżką człowieka.

Postanowił wykonać polecenie i go zagryźć. Był trochę zdziwiony, ale wiadomo – rozkaz to rozkaz.

– Wra!łhryyywr! – Z gardłowym rykiem lwa dławiącego się jeżem dopadł ofiary.

Wiedział, że powinien rzucić się ofierze do gardła. Było ono jednak trochę za wysoko, ale łydki też się nadały.

Ofiara wrzasnęła i zaczęła uciekać.

Pies nie mógł na to pozwolić. Był dobrym psem.

\*\*\*

Melka miała dość. Znów nie spała i to ją bardzo męczyło.

Po pierwsze Ada chrapała.

Co prawda, Melka nie spała z nią w jednym pokoju, ale ściany w tym obiekcie nie były dość grube jak na dźwięki, w które natura wyposażyla gardło Ady.

Początkowo dziewczyna zasnęła, wymęczona wydarzeniami. Niestety, potem obudziła się też wymęczona odgłosami dobiegającymi z pomieszczenia obok. Wyszła z pokoju, bo miała przemożną ochotę waleniem w drzwi i wrzaskiem „otwierać, policja” obudzić ciotkę, a następnie szybko wrócić do łóżka i jakoś zasnąć, ale odwiodły ją od tego światła i mnich.

Ponieważ do ich pokoików, tych, które przydzielono im po odmowie spania na jednym łóżku, wchodziło się z tarasu, po wyjściu człowiek od razu trafiał nie na korytarz, ale w ciemną noc.

Noc powinna być oczywiście romantycznie rozgwieżdżona, ale nie była. Była paskudnie ciemna i ponura. Padało. Melka wyszła i stanęła przy barierce, kuląc się z zimna w swojej pizamce na ramięczkach kupionej właściwie dla Mateusza, a nie do spania, tyle że innej nie zabrała.

To, co zobaczyła, było zastanawiające.

W miejscach, gdzie ludzie się mordują, nawet nóż do deserów budzi podejrzenia, a cóż dopiero nocne spacerunki dziwnych typów.

A jeżeli nie zna się ani ludzi, ani miejsca, ani zwyczajów, wszystko może wydać się niezwykle podejrzane.

Z tarasu, na którym stała Melka, widać było teren z tyłu zajazdu, a mimo to światła samotni, usytuowanej na prawo, też były dość widoczne. Ktoś szedł.

Melka wróciła po telefon, żeby zerknąć na zegarek. Tych noszonych na rękę nie uznawała.

Była trzecia w nocy.

Melka pomyślała, że oczywiście może to być jakiś stróż nocny albo ochroniarz, ktoś, kto łązi po terenie służbowo, a nie prywatnie, problem w tym, że

wyglądał jak mnich.

Choć od wczoraj połowa populacji tych okolic kojarzyła jej się z mnichem.

Ten dodatkowo miał długą szatę i chyba kaptur, tego nie mogła być pewna, bo widziała go w ciemnościach i tylko od tyłu, ale szedł tak, jakby coś ograniczało mu ruchy. Jeżeli wziąć pod uwagę możliwości Melki, jej wyobrażeń i ezoteryczne pomysły, to wcale nie musiał być mnich, mógł to być ktoś szlafroku i z biegunką.

W tym momencie gdzieś przodu zawył, a raczej zacharczał, pies.

A potem psia strzała wypadła zza budynku, dopadła idącego człowieka i rzuciła się na niego z zębami.

– Wracaj tu, paskudo! – Zza budynku, śladem psa, wytruchtała Kościuchowa.

Mnich rzucił się do ucieczki.

Pies oszalał. Słychać było jego warczenie. I coś, co sprawiało wrażenie, że nie jest psem, tylko zębatym mikserem na pełnych obrotach.

Melka oczywiście nie mogła zostawić tej sytuacji bez komentarza, ale nie miała do kogo jej skomentować. Zdjęcia by nie wyszły, a choćby i tak, to jednak w sprawie o morderstwo udział facebookowych znajomych był całkowicie kluczony, nawet ona to wiedziała, dlatego zadzwoniła do Mateusza.

– Mati, czy ty widzisz to co ja?

– Jeżeli jakimś cudem oglądasz goły tyłek mojego stryja, to jak najbardziej tak – odpowiedział wymęczonym głosem. – I te, gwiazdki przed oczami też się liczą?

– A, to nie – westchnęła. – Ja patrzę z tarasu na dwór.

– A ja właśnie walczę z przemożną ochotą uduszenia stryja poduszką. Masakra, jak on chrapie. I jest goły!

Na szczęście Mateusz i Hubert dostali pokój z dwoma oddzielnymi łózkami i golizna Huberta polegała raczej na tym, że gacie z niego zlazły, a nie na jakimś ekshibicjonizmie.

– To chodź tu do mnie – zaproponowała Melka z wielką ochotą, a nawet nadzieją. Mateusz dawał jej, poza innymi zdecydowanie przyjemnymi aspektami i możliwościami, także szansę na to, że wreszcie z kimś pogada i pokaże komuś, co się dzieje. Świat teraz się nieco zmienił, rzeczy i wydarzenia, których się z nikim nie dzieli, nie istnieją.

– Kiedy ja nie mam pojęcia, gdzie ty mieszkasz – stwierdził z wielkim żalem Mateusz, co rzeczywiście było prawdą, bo jakoś mu nie pokazała, gdzie jest jej

pokój, a wytłumaczyć nie umiała.

– Po prostu wyjrzyj przez okno, na tyły – powiedziała, bojąc się, że wszystko się skończy, zanim ona zdoła do niego się dostać. – Wyjrzyj i zobacz, tam nasz Wycior chyba kogós zagryza.

Pies imienia jeszcze nie miał, ale powoli zostawał Wyciorem.

– Jesteś pod moim oknem? – Mateusz nie był w formie.

– Nie wydurniaj się, wyjrzyj. Widzisz mnicha?

– Tego, co spierdała? Widzę.

– No właśnie i co o tym sądzisz?

– Ma za długą spódnicę! – stwierdził Mateusz, ziewając.

– Nie może mieć spódnicy, jest mnichem. Oni nie noszą spódnic, oni najwyżej noszą szaty.

– Jak zwał, tak zwał, i to długie i to długie, ale to może być jakaś kobieta – mruknął Mateusz i ziewnął jeszcze raz ogłuszająco, wprost do telefonu. Mógł mieć rację. Był bliżej i obserwował scenę z parteru.

– Idę do ciebie! – oświadczyła Melka, co trochę go ucieszyło, a trochę nie, bo pokój ze stryjem, którego na ogół nazywał wujem, bo tak było łatwiej, nie gwarantował żadnych przyjemnych możliwości. – Mam samodzielny pokój – dodała, bo nie była pewna, czy on o tym wie albo czy zdaje sobie z tego sprawę. – Czy to nasz pies? – zapytała jeszcze, kierując się do pokoju po sweter, ale cały czas trzymając telefon przy uchu.

– To oszalałe coś? – Mateusz też się trochę bardziej obudził. – Chyba tak, widziałem tam Kościuchową, chyba wyszła z nim na spacer.

– O trzeciej w nocy... – zdziwiła się Melka. – Wyraźnie jej zależy na psieku, może zostanie z nią na zawsze?

Gdyby Kościuchowa to usłyszała, z pewnością wpadłaby w szal i ze zgrozy zagryzła Melkę.

Na szczęście nie usłyszała. W tej chwili nienawidziła Wyciora z całego serca.

Resztę nocy spędzili razem. Wycior z Kościuchową w jednym łóżku, Melka z Mateuszem w innym.

\*\*\*

Ada ocknęła się jakoś tak w środku nocy i usłyszała jęk.

– Hej ty, Melka! – zawołała, tłukąc w ścianę. – Koszmary masz czy jak? Dlaczego tak piszczysz, co ty wyprawiasz? Jakiegoś ataku dostałaś? Ściany mi się

trzęsą.

– Nie, żaden atak, ciociu. Spokojnie! To tylko seks! – odpowiedziała jej Melka. – Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzamy!

Ada już nie zasnęła.

\* \* \*

Z rana wszyscy byli niewyspani, naprawdę wszyscy. Z pewnością winna była denatka, bo takie tajemnicze zgony nie pomagają spać spokojnie, ale nie tylko. Winna była też zapowiedź przesłuchania oraz przeszukania kilku pomieszczeń, w których kiedyś, za życia, mogła przebywać kobieta.

Policja nie szukała niczego konkretnego, bo w tym momencie nie było jeszcze pewne, czy coś zginęło, czy nie, ale przeszukanie miało pomóc stwierdzić choćby, czy coś zostawiła.

Co zostawiła i ewentualnie dlaczego.

Co innego można powiedzieć o zamiarach kobiety, która zostawia w hotelowym pokoju kosmetyki i ubrania, a zabiera laptop, a co innego o takiej, która znika wraz z walizkami, a zostawia na przykład drukowaną instrukcję budowy bomby.

Na razie nie stwierdzono niczego konkretnego, a niepokój udzielał się wszystkim.

U mieszkańców zajazdu ten niepokój nie był kwestią jakiegoś strachu, ale jednak ludzie czuli się nieswojo, a poza tym morderca też pewnie nie był zachwycony, problem w tym, że zachwycony czy nie, jakoś dobrze się ukrywał.

Edzio i Ada usadowili się w niewielkim pomieszczeniu przeznaczonym na biuro.

– Czyli kogo musimy przesłuchać? – Ada położyła na stoliku kartkę, na której zaczęła wypisywać nazwiska.

– Wszystkich – burknął Edzio. – Olgę weźmiemy na koniec, ale męża, tego ich terapeutę, te dwie kobiety, dwie pary małżeńskie, pokojową... I w ogóle resztę personelu. Personel przesłuchasz ty – rozkazał Adzie.

– Ale dlaczego akurat ja? – zdziwiła się, bo liczyła, że będzie razem z nim siedzieć w biurze i słuchać spowiedzi potencjalnych winnych.

– Bo ty znasz się na ludziach, ale nie znasz się na mordercach – odparował szorstko – a nie wydaje mi się, żeby zabił je ktoś z personelu.

Trzeba sobie powiedzieć, że Edzio przez personel rozumiał te osoby, które pracowały w zajezdzie, ale tylko jako pokojówki, sprzątaczk i pracownicy



kuchni (na przykład terapeuty do personelu nie zaliczał). Zakładał, że osoby pracujące na takich podrzędnych stanowiskach mogły oczywiście zamordować pierwszą ofiarę, bo coś do niej miały. Była jednak pracowniczko z nimi związana. Nie powinny natomiast mordować tej drugiej, bo gości przecież się nie morduje. Jeżeliby ktoś z personelu w ogóle rozważał taki pomysł, to mogłoby to być niebezpiecznym precedensem, na pokusy narażeni by byli zwłaszcza kelnerzy i kucharze.

Mimo to pomysł Edzia nie przypadł Adzie do gustu.

– Od razu wyklucasz?

– Nie, ale pomysł. Dwa zgony w jakieś dwa tygodnie? Jeden to osoba tutejsza, znana wszystkim. Uwikłana w zawodowe i rodzinne zależności. Drugi obca. Coś musiało się stać, że doszło do zabójstwa. Te dwie coś musi łączyć.

– A co to zmienia?

– Nic, ale gdyby to był ktoś z personelu, to... No wiesz, co spowodowało to coś? Te akty agresji? Coś nieoczekiwanego. Prawda?

– No, niby tak.

– Co nieoczekiwanego mogło dotyczyć tych dwóch różnych osób? Znały się?

– Pani Olgo – Ada wyskoczyła z pomieszczenia, widząc przechodzącą właścicielkę. – Czy ta Chrobotek i pani córka się znały?

Olga przystanąła.

– No oczywiście! Musiały się znać! Przecież ona tu była chyba trzy tygodnie. Natalia załatwiała wszystkie formalności, więc jasne, że tak.

– Ale ja pytam o to, czy znały się nie tak o stąd, ale w przeszłości? W życiu.

– O, tu pani nic nie powiem, córka nie spowiadała mi się ze swoich przyjaźni, ja sądzę, że nie, ale mogę się mylić.

– A ktoś inny? Jej mąż?

– Chodzi o to, czy znał Natalię? Na litość boską, był jej byłym mężem, musiał ją znać, nikt tak dobrze nie zna kobiety jak jej były mąż.

– Bardziej chodziło mi o tę drugą, ale w sumie, dlaczego on tu pracował? To znaczy pracuje?

To pytanie wcale nie było aż takie dziwne. Zazwyczaj kontakty między byłymi małżonkami koncentrują się na ostrzu noża, a czasami i ranią.

– Pani to chyba nie ma pojęcia, o czym pani mówi! – Olga się obraziła. – To, że się rozstali, nie oznacza jeszcze, że musieli się nienawidzić i że ja muszę mieć do niego jakieś anse!

– Nie nienawidzili się? – Edzio zapytał o to, bo wiedza, którą posiadał, pracując w prasławieckiej policji, mówiła mu, że to byłby ewenement. Rzadko kiedy ludzie rozwodzą się z miłości, i to do siebie samych.

– Nie, no. – Olga westchnęła z rezygnacją. – Żarli się jak wściekle koty.

– A pani w tej sprawie wzięła jego stronę i dlatego została? To znaczy dlatego go pani nie wywaliła?

– Też nie, ale Korneliusz jest genialnym kucharzem! Co miałam zrobić? Interes to interes. Nie zdajecie sobie sprawy, jak trudno teraz o dobrego kucharza.

\*\*\*

Śniadanie podano i zjedzono w ponurej atmosferze, tak jakby wszyscy czuli się albo winni, albo zagrożeni.

Nie pomogły jajka po benedyktyńsku, kawior, awokado z sosem aioli ani croissanty z borowikami i szynką parmeńską.

Śniadanie zrobiło wrażenie, ale nie poprawiło atmosfery.

Ludzie w większości prawdopodobnie byli wykończeni sytuacją. Nikt nie lubi być uważany za mordercę, nawet sam morderca, a co dopiero wszyscy niewinni, których przecież podejrzewano, bo podejrzewano dokładnie każdego.

Policja, która po poprzedniej zbrodni już przychyliła się do decyzji, by wszystkich wypuścić do domów, znów zmieniła zdanie i zakazała opuszczania zajazdu, a nawet radziła, by przebywający tu ludzie nie oddalali się zbyt daleko z jego terenu. Było to podyktowane przekonaniem, że turyści, jak to turyści, nagle będą mieli ochotę zwiedzić zrujnowany szpital i zobaczyć, gdzie to się stało, a w takiej sytuacji można było się spodziewać powtórki z rozrywki, a może nawet kilku powtórek, bo bieganie po dachu i wyglądanie przez niezabezpieczone okna często źle się kończy, i to nie tylko dlatego, że turyści są nieostrożni, ale i dlatego, że zrujnowane budynki są... No, jak by to powiedzieć, zrujnowane i niektóre ich elementy mogą nie być dostatecznie trwałe.

\*\*\*

Rozpoczęły się przesłuchania. Nieoficjalne, bo w wykonaniu GBS, ale bardzo ważne, bo po nich miały nastąpić te prawdziwe, policyjne. Dodatkowo oddelegowano do nich posterunkowego Michałka, który wszystko rejestrował.

Początkowo chcieli przesłuchiwać ludzi „zniecka”, tak jak stali, gdzieś na korytarzu albo przy stoliku w jadalni, ale był z tym kłopot, bo takie coś dawało

może jakieś informacje, ale też roznosiło plotki, bo każdy mógł słuchać, a zatem postanowili robić to trochę tak, trochę tak.

Posterunkowy im pomagał.

Purchase tylko jego mogła oddelegować z posterunku, bo miała na głowie festiwal. I to nie było jakie. Festiwal Brzuchów Piwnych, który odbywał się we wsi obok i zawsze powodował falę zatrzymań i przepełnienie izby wytrzeźwień.

Na pierwszy ogień poszedł kucharz Korneliusz i zarazem były mąż pierwszej ofiary, ale tylko dlatego, że Olga kazała im go przesłuchać natychmiast, bo na obiad miał robić królika po meksykańsku, a to wymagało jego obecności w kuchni.

– Nie zabiłem jej – powiedział, nawet nie czekając na pytanie, gdy tylko wszedł i usiadł. – Tej drugiej też nie, ale gdybym mógł? Kto wie? Ja nie jestem aż taki odważny. Czasami tego naprawdę żałuję, choć do więzienia mi się nie śpieszy. Natalia to był koszmar! Ona była potworna. Może nie cieszę się, że ktoś ją zabił, ale mordercę chętnie bym ucałował.

– Ucałowałby go pan?

Korneliusz roześmiał się z zadowoleniem, trzęsąc całkiem pokaznym i możliwe, że piwnym brzuchem.

– Nawet gdyby miał trąd i opryszczkę! – zawołał donośnie.

– Ale dlaczego? – To pytanie kłębiło się w głowach wszystkich.

– Pan jej nie znał! – westchnął. – Była koszmarnikiem. Była kimś tak pokręconym, pojebanym i szkodliwym, że proszę mi wierzyć, nie chciałby jej pan poznać żywej. Kazała mi iść na operację bariatryczną! Żebym schudł, ale jak by to wyglądało? Chudy kucharz jest niewiarygodny! No i potem jest ścisła dieta, a ja kocham jeść!

– To dlaczego w ogóle się pobraliście? – To nieco niestosowne pytanie zadała oczywiście Ada, która od lat marzyła o ślubnym kobiercu i wszelkich ślubnych pomysłach, białych sukniach, uniesieniach i wszystkim tym, czym mogą się pochwalić panny młode. I tak jak wiele z nich tylko na tym się koncentrowała, bo o reszcie drogi małżeńskiej myślała niewiele, o ile w ogóle.

W zasadzie nie chciała wychodzić za mąż dla męża, ale dla ślubu.

– Stare dzieje, ale mniej więcej dlatego, że początkowo byłem tak zakochany, że brałem wszystko za dobrą monetę. Wie pani, na początku to ona nawet chrapała cudownie, a potem... Przeszło mi.

– A coś konkretnego?

– Upierdliwa była, jak się na coś zapała, to nie było przeprosić, zawsze musiało być tak jak ona chciała, zapytajcie Olgi, ile ona się jej natłumaczyła, że samotnia ma zostać, a ta nic. Zburzyć, wywalić, zrównać z ziemią! Wszystko dookoła. Dosłownie wszystko.

– Ale dlaczego? – Ada już drugi raz słyszała o czymś takim, ale nie rozumiała, o co chodzi. Dlaczego rozwalenie tego niewielkiego budynku tak poróżniło wszystkich.

– Tu korty miały być – wyjaśnił Korneliusz. – Trzeba powiedzieć, że nie byłoby to wcale takie złe, ale ona chciała też zbudować wielką salę terapeutyczną. Zajazd nie przynosi takich dochodów, jak by mógł. To proste, finansowo miała rację, ale życiowo nie bardzo. Korty i sala byłyby dochodowe.

– Korty i sala? Byłoby na to miejsce?

Teren przylegający do zajazdu nie był jakiś gigantyczny, poza tym wioska też za duża nie była, rozbudowa takiego ośrodka mogłaby się może i udać, ale czy plany finansowe by się ziściły?

– Jeżeliby rozebrać jeszcze tę chatę, w której mieszka jej matka, to tak.

O istnieniu chaty nie wiedział nikt z obecnych. Wszyscy chyba sądzili, że właścicielka i personel mieszkają w zajeździe.

– Mieszka oddzielnie? Dlaczego? – Ada nie mogła tego pojąć.

– Zwyczajnie, żeby nie zwariować. Żeby nie słyszeć co pół godziny, że turkusowy papier toaletowy się skończył, a różowy nie pasuje do bielizny.

Wymagania klientów w takich miejscach bywają czasami naprawdę niebywałe. Są tacy, którzy potrafią dzwonić do właściciela po północy, skarżąc się na to, że skończył im się szampon, są tacy, którzy żądają wymiany ręczników o czwartej nad ranem, a wcale nie tak rzadko i tacy, którzy mają ochotę na obiad z trzech dań o trzeciej w nocy. Ale turkusowy papier zaszokował wszystkich.

– Macie turkusowy papier? Toaletowy? Poważnie?

– Mamy wszystko – burknął. – No dobra, przesadzam, ale nasi klienci płacą bardzo dużo, więc i wymagają. Robimy, co się da, żeby im w dupę wleźć bez mydła, żeby znów przyjechali i zostawili trochę grosza. Usługi tego typu takie po prostu są.

Jego podejście nie było czolobitne w stosunku do gości, ale w stosunku do ich portfeli jak najbardziej.

– A ta Chrobotek? – zapytał Hubert.

Był ciekaw, czy i w stosunku do niej kucharz będzie aż taki bezwzględny, jednak wyraźnie jego nienawiść do byłej żony nie przeniosła się na inne ko-

biety.

– O, ona była bardzo nieszczęśliwa – westchnął. – Właśnie rzucił ją mąż. I to dla jej własnej matki. Wyobrażacie to sobie? – zaperzył się. – Poważnie. Własna matka ukradła jej chłopca. Masakra. Przyjechała, żeby się odbudować psychicznie, ale coś poszło nie tak. Wydaje mi się, że miała romans z Albertem.

– Romans z Albertem? Niemożliwe, przecież to wasz terapeuta! Tak po prostu nie wolno. Etyka zawodowa i te rzeczy... – Ada się wręcz zacietrzewiła.

– Nie wolno, ale często się zdarza, że kobiety zakochują się w terapeutach. I ja nie mówię, że on miał z nią romans, ale że ona miała z nim.

– Tak się da?

– Jasne. To trochę jednostronne, ale czasami się sprawdza.

– I myśli pan, że on ją zabił? Tę Chrobotek?

– Nie, czy ja wiem? Nie wydaje mi się. Bo wy pewnie myślicie, że jeżeli ktoś zabił jedną, to zabił i drugą. Prawda?

– No zazwyczaj tak jest. To znaczy nie, nie zazwyczaj, ale bardzo często. Bo to jest tak: w Warszawie w tym samym momencie z pewnością przebywa, a nawet działa kilkuset morderców, w takim, powiedzmy, Jaśle kilkunastu, w Praslawcu może dwóch, trzech, ale w miejscowości wielkości Mnichowoli? Nawet jeden to za dużo! Tak więc, owszem, zakładamy, że to jeden morderca.

Kucharz wzruszył ramionami, jakby takie drobiazgi nie miały znaczenia.

– A jesteście pewni, że ta Chrobotek nie popełniła samobójstwa? Bo to mogło być tak, że ona zabiła Natalię, a potem skoczyła z dachu. Wtedy tak, to wszystko by się ułożyło. Ona zakochała się w Albercie, zabijając Natalię mogła, no wiecie, liczyć, że Albert ją zechce, była zamożna.

– On taki łasy na forsy?

– Jak lis na kurczaki.

– Ale jest pan pewien, że Albert z nią sypiał? Z pana byłą żoną? – Ada wiedziała, że wredne byłe żony są tak puszczalskie, że w wyobraźni byłych mężów potrafią sypiać nawet z krasnalami ogrodowymi, co najczęściej jest pomówieniem.

– Wiem, że sypiała. No z kimś. Nie widziałem, nie siedziałem pod jej łóżkiem, ale słyszałem, jak seksualnie piszczała, więc sypiała. A tylko Albert jest pod ręką. Więc na pewno z nim.

\*\*\*

Kościuchowa poszła na śniadanie nieco później niż inni, bo psy sikają nie tylko raz dziennie, czy raz nocnie, więc musiała iść z Wyciorem na spacer.

Była straszliwie zmaltretowana.

– Uciekł mi – oświadczyła, siadając obok Melki i Mateusza. – Całą noc mnie maltretował, a teraz uciekł, ale to dobrze, bo drugiej takiej nocy bym nie przeżyła.

Ponieważ jednak śniadanie już się kończyło, wzięła tylko swój talerzyk i musiała sobie radzić jakoś sama.

– Co będzie na obiad? – zapytała przechodzącej kelnerki.

– Znaczy na kolację?

– Na obiad.

– Bulgogi, takie koreańskie danie – powiedziała kelnerka – a wieczorem kurczak po meksykańsku.

– Buldogi? Jezu, to oni tu psy podają?! – jęknęła Kościuchowa. – Idę szukać tego durnego psa, bo jak go dopadną, to znajdziemy go w pierogach!

W tym momencie do jadalni zajrzała Ada.

– Idźcie do tego zrujnowanego szpitala i zróbcie tyle zdjęć, ile się da, a potem do tej baby.

I Melka, i Mateusz zrozumieli, co miała na myśli.

– Nie wiemy, gdzie mieszka – mruknął niezadowolony Mateusz, licząc na jakieś ulgi w obowiązkach, ale się przeliczył.

– Wiecie! Mówiła, że prosto za szpitalem. Po tarasie w dół. No już. Nie leńcie się.

– Z całą stanowczością odmawiam – odwarknęła jej Melka. – Mieliśmy się zajmować młodymi przestępcami, a nie starymi wariatkami.

Melka miała inne plany i zamierzała je zrealizować.

– Ja ci dam z całą stanowczością kijem po dupie, jak jeszcze raz piśniesz za ścianą! Zboczeńcy!

– No co, ciotka?

– Nic, ciotka! Ty wczoraj w nocy w jakiejś rui byłaś?! Do rana nie spałam!

– Ale ciotka pruderyjna. No i co się stało? Trzeba było przyjść do nas!

– Nie jestem aż tak zboczona. No już, do roboty!

– Nie spaliśmy z powodu tego mnicha.

I tu nastąpił problem, bo o mnichu nic jeszcze nie zdążyli Adzie powiedzieć. Nikomu zresztą nie zdążyli.

– Ta, jasne, objawił wam się? I dlatego pieprzyliście się jak króliki, wyjąć jak stado makaków?!

– Ciotka, przestań.

– Sama mówiłaś, że uprawiacie seks – obruszyła się Ada.

– Żartowałam! Ty na żartach się nie znasz?! Obgadywaliśmy mnicha, bo on latał po terenie.

– Nocą? W piżamie?

– Nie, w spódnicy latał i pies go pogryzł, nasz Wycior, bo go Kościuchowa na niego poszczuła.

– Nie, no co wy pieprzyście? Kościuchowa poszczuła kogoś psem? Nasłała psa na człowieka?

– No tak bardzo człowiekiem to on nie był. Mógł być kobietą – westchnął Mateusz i ogólnie bardzo mu się to nie opłaciło.

Niby żart był przedni, ale ani Melka, ani Ada na tym żarcie się nie poznały.

– Czyli ktoś był pogryziony? – Ada nagle się zastanowiła. – Obandażowany? Kulał?

\* \* \*

Po wyjściu kucharza, który musiał się zabierać do bulgogi i kurczaka po meksykańsku, Edzio, Mundek i Hubert zostali w biurze sami, bo Ada wyszła do toalety, a posterunkowy poszedł zapalić.

– Wiesz, co to te bulgogi? – zapytał Mundek, który jak każdy mężczyzna lubił jeść.

– Nie, ale to nie są psy, to jakaś wołowina. Po koreańsku.

– No to dziś nam dadzą wycisk. Po koreańsku, po meksykańsku, normalnie mózg nam wypali – jęknął Hubert.

– I nie tylko mózg! – dodał Edzio ze złowieszczą miną. – Ja tego nie tknę. Jeszcze pamiętam ostatnią wizytę w kiblu po kebabie z ostrym sosem. Trzy lata temu! Masakra.

– To co będziesz jadł?

Kwestia żywienia była istotna, bo trudno tu było cokolwiek kupić. Możliwe, że w sklepie były jakieś konserwy i bułki, nie zdążyli sprawdzić.

– Podobno tu we wsi obok jest Festiwal Brzuchów Piwnych. Słone paluszki tam z pewnością mają i one na sto procent nie są po meksykańsku.

– Słuchaj – Hubert podjął sprawę, która od dłuższej chwili dręczyła wszystkich trzech – czy my jesteśmy pewni, że ona nie popełniła samobójstwa?

To pytanie było istotne, bo w takim przypadku zupełnie inaczej patrzy się na sprawę.

Niestety nie byli.

Edzio, który z przeraźliwym smutkiem i niechęcią poddał się dyktatowi potrzeb, zadzwonił do Purchawy.

– Słuchaj, czy my jesteśmy pewni, że ona nie popełniła samobójstwa? – powtórzył dokładnie to, co powiedział Hubert. Purchawa się roześmiała.

– Nie, nie jesteście! – odparła z kokieterią. – Oczywiście, że nie jesteście! – dodała głosem pełnym zmysłowych podtekstów. Edzio zadrzał po raz kolejny.

– No to jak? – zdenerwował się.

– Nijak! Nie jesteście i nie musicie być pewni, ale my jesteśmy! – powiedziała, czym spowodowała u Edzia chęć mordu telefonicznego. Zamarzył o tym, że włązi w telefon, wyłazi z drugiej strony, dusi Purchawę, aż jej oczy wychodzą na wierzch, a język sinieje, i wraca na swoje miejsce zadowolony i spełniony, a ona tam dogorywa.

– Czy mogłabyś... – Zazgrzytał wszystkimi możliwymi zębami, pewien, że z plomb poszły mu iskry, ale jeszcze się mitygował. Nienawidził tej potwornej baby!

– No już, już – uspokoiła go, rozkosznie modulując głos. – Już mówię, otóż robiliśmy zrzuty z budynku, nic z nich nie wyszło, bo manekin nam wybuchł, ale i tak wiemy. Z pierwszego nie mogła, boby się nie zabiła, a była zabita. Z drugiego nie mogła, bo tam jest ten taras i by nie skoczyła, a gdyby skoczyła z tarasu, toby leżała gdzie indziej. Z trzeciego mogła i z dachu mogła.

– Ale co? Spaść, skoczyć czy zostać wyrzucona? – Edziowi jakoś to się nie kalkulowało.

– Skoczyć to mogła z dachu.

– Ale co to zmienia?

– No bo z trzeciego mogła zostać wypchnięta.

– Nadal nie rozumiem. – Edzio właśnie usiłował nie zagryźć telefonu.

Purchawę jednak ta konwersacja chyba bawiła.

– Oj dobra, już mówię. Ślady walki. Na trzecim znaleźliśmy ślady walki. Została zamordowana.

– Ja cię kiedyś, kur... – Edzio się zagotował.



– No! Ostrożnie ze słowami! – Purchawa była szczęśliwa jak dziecko. Wiadomo, że nawet wściekłość i nienawiść są lepsze od obojętności, a jak się nad nimi popracuje, to coś z tego wyniknie.

Purchawa kochała bardzo, ale jak już kochała to układ hate to love jej najbardziej pasował, i to wcale nie książkowy, ale życiowy. To był pomysł, który wydawał się jej najcudowniejszym układem. Śniła, że dominuje nad mężczyzną. Nie w takim sensie! Jeżeli ktoś teraz wyobraził sobie Purchawę w czarnym, skórzanym stroju dominy z pejczem w rękę, to powinien iść po leki uspokajające, nie, ona dominowała, albo chciała dominować, wiedzą i godnością osobistą. I mężczyzna, ten z marzeń, jej nienawdził, choć ją kochał, ale w końcu musiał przyznać, że ona jest lepsza, i poddawał się jej urokowi.

Edzio rzucił telefonem o ścianę.

Potem, ze łzami w oczach, poszedł, podniósł go i przyłożył do ucha.

Tak, to była nokia.

– Dobrze, przepraszam – powiedział, dławiąc w sobie nienawiść do Purchawy.

\*\*\*

Melka i Mateusz poszli do Lipcowej, ale nie dotarli nawet do zrujnowanego szpitala. Zaczęło lać tak, jak tylko to możliwe.

Zawrócili.

Tyle że w deszczu tak samo ciężko się idzie, jak i zawraca, bo nie jest to kwestia dojścia, ale samej drogi.

Nie wiedząc, co zrobić, postanowili znaleźć miejsce, gdzie mogliby przeczekać.

Liczyli na to, że takie gwałtowne ulewy nie trwają specjalnie długo.

Zaczęli się zastanawiać, gdzie by tu się ukryć.

Wielkiego wyboru nie mieli, z jednej strony był kościół, cmentarz i apteka, z drugiej urząd gminy, szkoła podstawowa z przedszkolem i szpital.

– Kościół! – zawołała Melka.

– Oszalałaś? A co nam powiedzą w kościele? – zaperzył się Mateusz.

– Nic nam nie powiedzą, bo nie idziemy tam nikogo przepytwać! Chcemy tylko przeczekać. I kościół jest najbliżej! – Melka doskonale wiedziała, czego chce.

– A w aptecce mogą sprzedawać parasole – stwierdził Mateusz, przeważając odrobinę szalę zwycięstwa na swoją stronę.

Wiejskie apteki, o ile gdziekolwiek jeszcze takie istnieją, mają trochę bardziej rozbudowany asortyment niż te miejskie. Oficjalnie dlatego, że ludzie na wsi są zdrowsi, więc kupują mniej leków, a coś sprzedawać trzeba, nieoficjalnie dlatego, że apteka też sklep i zarabiać po prostu musi.

– No i w kościele jest zimno! – oświadczył Mateusz.

Wygrała apteka.

Weszli, ociekając deszczem i starając się nie otrzępywać zbyt gwałtownie.

– Czy to wy siedzicie w zajeździe i szukacie morderców? – przywitała ich od progu kobieta, która nawet nie stała za ladą, była jedną z przeczekujących deszcz klientek.

Było ich sporo.

– Nie, no nie za bardzo szukamy – wyjaśniła Melka, bo szukanie morderców bywa mieczem obosiecznym i czasami lepiej się do takich rzeczy nie przyznawać, jeżeli to nie jest konieczne.

– No nie ma co się krygować, cała wieś już wie. – Kobieta wydawała się lekko obrażona ich odpowiedzią.

– Ale my przyjechaliśmy dopiero wczoraj – westchnął Mateusz – to skąd pani może to wiedzieć?

– A bo to Lipcowa nie opowiadała? – Kobieta roześmiała się z wyższością.

– A, Lipcowa, to ta, co lata i krzyczy „zgroza”. – Tym razem westchnęła Melka, żeby upewnić się co do osoby tej wytwórni plot, choć właściwie nie było w tym nic zdrożnego.

– Musi – odparła kobieta z zaafowaną miną. – Mnich jej kazał.

– Ale jak? – zdziwili się oboje, bo i Melka, i Mateusz zdawali sobie sprawę, że mnich nie jest jakąś konkretną osobą fizyczną, nawet jeżeli istnieje.

– Zwyczajnie! Nawiedził ją! – Kobieta powiedziała to dość niepewnym głosem, jakby czekała na reakcje innych obecnych, a było ich kilkoro.

– Ona kłamie jak z nut, nikt jej nie nawiedził! – rzucił mężczyzna najbliższej lady.

Atmosfera zaczęła gęstnieć.

– Nawiedził! Sama mówiła! – Kobieta, która z nimi rozmawiała, stanęła w obronie Lipcowej.

Kwestia prawdy jest zawsze względna.

– Powinna iść do psychiatry, jak ma takie nawiedzenia – rzuciła kobieta stojąca za ladą. Wyraźnie farmaceutka albo jakaś technik farmacji. – To mogą być omamy!

– Kłamie! Ona nie ma żadnych omamów! Jak może ją nawiedzić mnich, przecież on nie istnieje?! – Głosy podekscytowanych klientów zaczęły się zlewać w dość zacięty gwar.

– Istnieje!

– W dupie istnieje! Żadnego mnicha nie ma! – Ludzie zaczęli się przekrzykiwać.

– Ale był!

– Był, nie był. Nikt nie wie. Odczepcie się od mnicha!

– Ta, jasne! Odczepcie się? On jest dobrym mnichem!

– Jak dobrym, jak morduje?!

– Nie morduje!

– No to kto morduje? Mnich morduje! Wszystkich stamtąd niedługo nogami do przodu...

– O ty szmato! – Teraz gwar był tak skłębiony jak i tłum klientów apteki.

– Sama jesteś szmatą! – wrzasnęła jakiś mężczyzna. – Mnich jest morderczy! Nie słyszeliście? Szalony jest! Wszystkich was zabije!

Melka nie była pewna, czy w tej wypowiedzi należało się doszukiwać osoby trzeciej czy pierwszej. Czy facet zapowiadał mnicha i jego mordercze zamiary, czy wypowiadał się we własnym imieniu.

– Proszę przestać! – krzyknęła aptekarka. – Jest czy nie ma, apteka to nie miejsce na takie przepychanki!

– Pani tu nie ma nic do gadania! – wrzasnęła jedna z kobiet. – Pani nietutejsza!

– Ale nie będziecie się bić o mnicha?! – zawołała aptekarka. – Proszę, uspokójcie się.

Nie miała siły przebicia.

Już się bili.

Nie były to walki bardzo krwawe, w każdym razie jeszcze nie były, ale zapowiadały się nieźle.

W ruch poszły dwie parasolki, karton reklamujący krem na hemoroidy, torebka damska, torebka męska i pięści oraz pazury.

Melka i Mateusz schowali się w niszy między przedłużeniem lady a drzwiami, bo bić się nie chcieli. Nie byli skłonni stawać po żadnej ze stron.

Mnich ich interesował, ale nie aż tak bardzo, żeby dla niego ryzykować zębami.

Niestety, istniał czy też nie, wywoływał kontrowersje i rękoczyny, był dobrem kultury i jako taki miał swoje prawa.

Więś dzieliła się na tych, którzy w mnicha wierzyli, na tych, którzy na mnichu zarabiali, a to nie to samo, i na tych, którzy nie wierzyli, bo nie zarabiali, ale chętnie zmieniliby zdanie.

Ci, którzy zarabiali, walczyli o jego istnienie, nawet w niego nie wierząc, ci, którzy nie zarabiali, walczyli o nieistnienie, żeby tamci natychmiast przestali zarabiać, więś była i jest od zawsze społeczeństwem bardzo mocno zainteresowanym dochodami sąsiadów. Miasto też, bo to ciekawe sprawy, ale w mieście słabiej widać, kto, ile i na czym zarabia.

– Ona ich morduje, nie żaden mnich! – wrzasnęła w pewnym momencie starsza kobieta pracowicie walczą w kolejkowiczów kartonem reklamującym krem na hemoroidy.

– Lipcowa? – zapytała, właściwie nie licząc na odpowiedź, Melka.

– A jaka tam, kurwa, Lipcowa, pani zostawi Lipcową w spokoju, właścicielka zajazdu, ta Olga morduje! Bo to jej się opłaca!

Ta teza była dość dziwna, bo mordowanie ludzi to i stres, i zagrożenie więzieniem. W przypadku właścicielki zajazdu dochodziła jeszcze utrata klienta, czyli dochodu, więc trudno to było zrozumieć.

– Jak? Jak mordowanie może się opłacać? Przecież to bezsens – zapytała spod lady Melka, która teraz czuła się jak PRL-owska karkówka albo dwa kilo zwyczajnej.

– A bo to ludzie się nie dowiedzą? – wyjaśnił waleczny facet oderwany od walki wręcz.

– Się dowiedzą, ale to raczej nie jest dobre, bo jak ludzie się dowiedzą, to i policja.

– A tam policja, ludzie, ludzie najważniejsi! – Bardzo rozochocony wałnął w półkę i zawył, bo mały palec u ręki też bywa przy złamaniach bolesny jak mały palec u nogi.

– No ale jak to?

– No po pierwsze przyjadą zobaczyć, a pod drugie, jak pomyślą, że mnich morduje, to znaczy, że istnieje, nie? No bo jakby nie istniał, toby nie mordował, no? Czyli się opłaca. Mnich zyskuje na znaczeniu, a ona na nim zarabia.

– Ale ja nadal nie rozumiem. – Mateusz mimo wszystko usiłował wyciągnąć jakieś korzyści z siedzenia pod ladą. Ciosy go nie dosięgały, bo ludzie bili się między sobą. Bili się w imię czegoś dla nich istotnego, co oczywiście nie dotyczyło obcych, ale wrzaski i pokrzykiwania mogły wiele powiedzieć.

– Taki mnich to wielkie dobro! Mistyczne, a może i magiczne, ludziom tego potrzeba!

– Ludziom mądrość by się przydała, a nie jakieś nieistniejące mnichy – stwierdził mężczyzna, który wszedł do apteki, przeszedł nietknięty przez walczących, którzy się rozstąpili przed nim jak Morze Czerwone przed Mojżeszem, i zniknął za ladą.

– Ma rację pan magister, ale tableteków na mądrość to jakoś nie sprzedajecie! A?

– Na micha też nie!

– O jak nie, o jak nie? A sama sprzedawczyni mówiła, że do lekarza Lipcową wysłać trzeba. To znaczy, że na micha są, tylko wy ich nie chcecie dać.

Nastrój zaczął się nieco poprawiać. Melka pomyślała, że albo ludzie tutaj szanują magistrów farmacji, albo ten jest nietutejszy.

– Ale co pan tam może wiedzieć o mnichu, jak pan z Prasławca! – zawołała jedna z walczących, rozwiewając wszelkie wątpliwości.

– Ale Olga nie może być morderczynią! Córkę własną by zabiła? – rzucił Mateusz, prowokując tłum do wypowiedania opinii. Takie opinie może nie są jakimś konkretnym dowodem w śledztwie, ale często służą czemuś innemu. Potrafią naprowadzić rozmowę na tematy, o jakich by się nikomu nie śniło.

– Możecie mówić, co chcecie, bo jej nie znacie! Ona jest zachłanna na pieniądze. I na mnichu zarabia. Jak ona mogła? Jak mogła tak nazwać zajazd? „Pod Szalonym Mnichem”, przecież to wstyd! Pod? To jakby chciała mu w dupę zaglądać! To powinno być zakazane!

– No, a ta jedna, co tu była, to ona mówiła raz, jak ja byłam, nie, pani magister? – Kobieta zażądała potwierdzenia, które uzyskała, możliwe, że dla świętego spokoju. – Że ludzie sobie tak o umierają i nawet nie wiedzą, co się z nimi dzieje po śmierci! O, tak mówiła, a teraz co? Sama umarła. Zabili ją jak nic!

– Ale co to za jedna? – zainteresowała się Melka.

– Ta taka, co tam w zajęździe mieszkała. I ona tak czasami gadała, to znaczy nie cały czas, wcześniej to nie, bo to wiecie, oni tam z tego zajazdu to wielkie pany! Do ludzi się ot tak nie odezwą, nie ma szans, ale wtedy to jakoś ją naszło i się odezwała.

– No, ale to było tylko takie filozoficzne stwierdzenie.

– Jakie tam filozoficzne. Nie, to było takie normalne, jakby ona coś do kogoś miała, że może oni groby będą rozkopywać, znaczy nie ludzi, ale pewnie mnicha? Bo jakby taki grób znaleźli, toby im było dobrze. Zaraz by go sobie zabrali i w ogóle.

– Mnich nie ma grobu!

– Niedługo będzie miał. Już się Lipcowa o to postara. Nie ma tak, że zasłużony obywatel tak o nic nie ma. Musi mieć, Mnichowola to wola mnicha, a jakby on wołę miał, to na pewno o swoim grobie by pomyślał. A tak nic nie ma i za niego trzeba jakoś pomyśleć.

– Zajazd ma.

– Zajazd to sobie możecie w dupę wsadzić. My mu grobowiec zrobimy i jeszcze może jakiś kopiec Kościuszki mu się usypie.

Ludzie zaczęli się trochę gwałtowniej okładać i przepychać. Dyskusja nabierała mocy, ognia i tempa.

Po jednym z rzutów reklamą prezerwatyw pękła szyba przy ladzie, ale się nie rozsypała, bo była plastikowa.

– Drodzy państwo! Przestańcie – pisnęła proszącym głosem kobieta zza lady.

– Spokojnie, pani magister, spokojnie. My tu mamy sprawy do załatwienia! – krzyknął pan z torebką i zamachnął się swoją torebkową bronią.

Walnęło.

Ktoś pchnął pana w wystawę.

W chwilę potem pękła szyba. Ta już rozsypała się z kretesem, ale to była szyba wystawowa.

– Szefie! – zawołała farmaceutka zza lady. – Ja to nie wiem, trzecia w tym tygodniu poszła i co my zrobimy?

– Nie wiem, trzeba będzie jakoś to załatwić. Monitoring jest?

– Oczywiście, szefie. Kamerki włączone na full.

Melka i Mateusz patrzyli na walki ze sporym zdziwieniem.

– Często się tak biją?

– Normalnie to nie, ale wystarczy wspomnieć o mnichu, a już się kotłują. Nawet mieliśmy taką tabliczkę „W tym miejscu nie rozmawiamy o mnichu”, ale to działało odwrotnie, jeszcze bardziej prowokowało.

Wieś była szalenie podzielona.

Wszyscy jednak interesowali się mnichem, bo wiadomo – coś takiego da się spieniężyć.

Jeżeli ktoś powie, że owszem, wszystko da się spieniężyć, ale nieistnienia się nie da, to nie będzie miał racji. Właśnie w tym momencie jedna z osób robiła zdjęcia zniszczeń i wysyłała je do portalu internetowego z podpisem „walki o nieistniejącego mnicha”, oraz „nie istnieje, a jednak zabija”.

Ludzie wiedzą, co daje im chleb.

Jednak Melka i Mateusz zupełnie nie wiedzieli, co o tym myśleć.

Olga jako morderczyni była brana pod uwagę, to oczywiste, ale nie w taki sposób. Uważali, że, owszem, mogła zabijać, ale nie dla pieniędzy. Uważali, że Olga jako morderczyni była możliwa, ale musiałyby mieć jakiś motyw, a nie takie coś jak zwiększenie zainteresowania zajazdem poprzez morderstwo.

Owszem, podtrzymując legendę mnicha, oczywiście na tym mnichu zarabiała, ale to nie było takie, jak trzeba. I pieniądze za małe, i motyw rozmyty, i ta córka... No, trochę to się nie trzymało kupy.

Jak się potem okazało, apteka była częstym miejscem mnisich przepychanek, bo tylko tam się dało.

W urzędzie gminy byli ochroniarze, w kościele nie wypadalo, szkoła i przedszkole były zamknięte, a w sklepie baba dawała na zeszyt i ludzie nie chcieli jej podpaść.

A uczucia w stosunku do mnicha trzeba było gdzieś wyładować.

Właściciel nawet nie wzywał policji. Wszystko załatwiał we własnym zakresie.

\* \* \*

Ada, nie dowierzając przesłuchaniom swoich kolegów, podeszła do siedzących przy kawie dwojga małżonków. Tych mniej ekspresyjnych.

Adam i Ewa Rajowie nie wyglądali na parę w kryzysie.

Wiedzieli, że prędzej czy później zostaną znów przesłuchani, bo o ile Natalię, córkę właścicielki, znali tylko z kontaktu przy przyjeździe i zapisach, o tyle tę drugą znali o wiele lepiej, bo jednak niektóre zajęcia, choćby te z poczucia własnej wartości, mieli wspólne.

No i czasami siadali przy jednym stoliku podczas posiłków.

– Nie wiemy, kto ją zabił – powiedział Adam.

– Ani nawet dlaczego – dodała Ewa.

– I w ogóle wcale nas to nie interesuje – powiedzieli prawie razem.

– A wy to tak zawsze zgodni jesteście?

– Oj, jesteśmy, oczywiście, my tu jesteśmy z innych powodów.

– Z jakich?

– No, wie pani, jesteśmy celebrytami, w naszym zawodzie pewne sprawy to naprawdę konieczność. Celebrytyzm opiera się na oglądalności, a oglądalność

wymaga kontrowersji, to proste. Amerykańscy badacze zrobili test i sprawdzili dwa zdjęcia, na jednym była zwykła, gładka skóra, na drugim taka z trądzikiem i wie pani co? Ta z trądzikiem oglądana była siedemdziesiąt razy częściej. To, co ładne i przyjemne, nie ciekawi.

– Ale do czego zmierzacie?

– Przyjechaliśmy na terapię, żeby to rozgłosić.

– No ale przecież...

– Tak, tak. Najpierw ogłosimy, że jesteśmy w separacji. Wzrośnie klikalność, potem puścimy zdjęcia z awantury. Ona będzie miała podbite oko czy coś innego, nie wiem.

– Oko nie, złamany paznokieć lepszy – zaprotestowała Ewa.

– No tak, paznokieć. Potem powiemy o terapii, potem, że się zeszlśmy, i już. Będziemy na pierwszych stronach gazet.

– Tabloidów – sarknęła Ada.

– Właśnie – ucieszyli się. – My umiemy zarabiać.

– No dobra, ale mnie bardziej interesuje, co wiecie na temat tych dwóch zamordowanych kobiet.

– Na temat zamordowania tej pierwszej nic, na temat tej drugiej też nic. Nie mamy z tym nic wspólnego.

– Nie pytałam o to, co wiecie na temat morderstwa, tylko co wiecie na temat tych kobiet. – Ada zadała im cios poniżej pasa, raczej ze złośliwości wykazując im, że jednak coś za bardzo się bronią. Nie spodobało jej się to, bo znała się na ludziach. Gdyby pytała o morderstwo, to jeszcze, ale tak?

– Ja się babami nie interesuję – odburknął Adam. – Nawet nie mogę, bo zaraz ktoś by mnie posądził o zdrady i takie różne. Nie, nie.

– Ja tym bardziej się nie interesuję, bo zaraz by ktoś mnie posądził o te jakieś LGBT, nie mogłabym sobie na to pozwolić.

– Co wy wygadujecie?! – Ada była zaszokowana tymi dwojgiem.

– Jesteśmy świadomi tego, jak działa świat i jak działa sieć. Chwila moment i wrzuci pani na Pudelka jakiś tekst o nas, żeby zarobić i nas skompromitować.

– Nie wrzucę!

– Każdy tak mówi.

– Ale ja nawet nie wiem, co to pudelek, o ile nie chodzi o psa, zresztą dobrze, ale głusi nie jesteście? Czy mam napisać o waszej głuchocie na pudelku? Chwila, moment i producenci aparatów słuchowych zaczną was oblegać.

– Nie, no co pani! Nie jesteśmy! Niech pani tego nie pisze.



– To gadać mi tutaj wszystko, co słyszeliście, widzieliście, wszystko, co was nie zainteresowało, a najbardziej to, co było wam całkowicie obojętne.

– No więc ta Natalia to się ze wszystkimi kłóciła, wariatka, ale taka wie pani, asertywna.

– Asertywna wariatka?

– No bo jak tylko coś ktoś do niej miał, to tylko „nie ma mowy”, no więc umiała odmawiać, musiała być asertywna.

– A dlaczego wariatka?

– Podobno samotnie chciała zrównać z ziemią. Nasz terapeuta mówił, że niby dobry pomysł, bo sala do terapii by była większa, można by więcej zajęć robić, a nawet tych praktycznych też, ale jednak szacunek do kultury jest ważny.

Ada popatrzyła na nich z zaciekawieniem po raz kolejny. Kultura i stosunek do niej nie zainteresowały jej aż tak bardzo.

– Praktyczne zajęcia? Na terapii małżeńskiej? Z czego?

– No w sumie z jujitsu, ale seks i karate też są brane pod uwagę. Nam się wydaje, że to ta matka ją zabiła. Bo one się nienawidziły straszliwie.

– No wiecie, kochały się czy się nie kochały, to inna sprawa, ale Natalię by zabiła?

– Ta Natalia to popełniła samobójstwo! Ja mówiłam o tej drugiej. Tej, co matka jej chłopa ukradła, i ta matka ją zabiła. O.

Ada postanowiła sprawdzić, czy można sobie samemu wbić nóż w plecy, bo jakoś to samobójstwo jej nie pasowało, ale miała to zrobić dopiero wieczorem. Teraz skupiła się na kobiecie znalezionej pod szpitalem.

– To matka tej Chrobotek tu była?

– I jest.

\*\*\*

W czasie kiedy Ada rozmawiała z Rajami, panowie postanowili przepytac alienistę, czyli psychoterapeutę Alberta.

I zupełnie im to nie pasowało, czuli się jakoś nie tak. Nie że źle, ale jakoś zupełnie dziwnie, jakby byli nie na miejscu. Niby to było to, co robili od zawsze i tak samo jak to robili kiedyś, ale właśnie to ich jakoś uwierało.

Właśnie teraz, a właściwie już przy poprzednim przesłuchaniu, czuli się jakoś nie tak.

– Wiesz, że to mi nie pasuje? – stwierdził Hubert, wskazując gestem dookoła siebie. Początkowo go nie zrozumieli, bo skoncentrowali się na wystroju wnętrza, a to, mimo pewnych wad, najgorsze nie było.

– Co znowu? – zdziwił się Mundek, ale to była jego zwykła reakcja na wszelkie takie pytania, wołał się dopytać, niż domyślać, bo potem wychodziło z tego coś, co nazywał kocopołami.

Hubert mógł przecież mieć na myśli wszystko, włącznie z pogodą, która chyba akurat zaczęła się psuć.

– To wszystko. – Wskazał ręką dookoła. – Ten pokój, ten posterunkowy siedzący jak dupa z nami, to udawanie policjantów! Wszystko! Nie czujesz się jak jakaś podróba? Bo ja tak! Kiedyś, jak byliśmy policjantami, to pasowało, ale teraz mnie wkurza. Nie pasuje, jest sztuczne.

– I masz rację – zgodził się Edzio. – To jest do dupy. Ludzie nas nie traktują jak policjantów, ale jak jakieś... gówno. Zresztą po prawdzie nie jesteśmy policjantami, stąd kłopot.

Już w czasie poprzedniego przesłuchania czuli dziwny dyskomfort, ale sądzili, że kucharz po prostu puścił bąka.

Oni zresztą wcale nie chcieli być traktowani jak policjanci. To dość skomplikowane. Ludzie policjantów nie traktują zbyt dobrze, ale ci policjanci w zamian mają pewne możliwości reakcji oraz przymusu, a oni nie mogli się nawet obrazić, bo nic by to nie dało, a na dodatek nic by na tej obrazie nie zyskali.

– Ale mieliśmy... – Mundek nie wiedział, co powiedzieć, ale też miał obiektywne wątpliwości.

– Mieliśmy pracować, a nie udawać, że jesteśmy policjantami, że pracujemy. To nie jest tak, jak powinno być! Nie w tym układzie. No bo co? Zaprosimy go tutaj, on siądzie, będzie pieprzył, co chcemy usłyszeć albo co mu ślina na język przyniesie, a i tak gówno się dowiemy, to jakiś erzac!

– To co możemy zrobić? – zapytał Edzio, może nie aż tak bardzo chętny do działania, ale jednak dość rzutki w pewnych kwestiach.

– Zróbmy to po swojemu! – zaproponował Hubert, uśmiechając się pełną gębą człowieka, który wynalazł kwadratowe koło.

– Bez wiedzy Purchawy?! – Edzio się ucieszył i odrobinę przestraszył zarazem, bo kontakty z Purchawą to była jego działka. Nie chciał jej nadepnąć na odcisk.

Nadeptywanie na odcisk tej kobiecie mogło się skończyć dwojako: mogła ich wyeliminować ze sprawy, co byłoby paskudne, mogła też się wściec prywatnie,

co dawało szansę na ograniczenie kontaktów z Edziem, co byłoby cudowne, ale najprawdopodobniej po prostu by ich powystrzelała.

No, w każdym razie próbowałyby.

– Właśnie. Z wiedzą czy bez, nie ma znaczenia, ona nas ogranicza! Robi z nas idiotów, a my robimy z siebie jej sługusów. Nie chodzi o to, że to źle, chodzi o to, że to nie działa! Zupełnie nie działa! I nie zadziała, dopóki czegoś nie zmienimy! Powinniśmy wypracować własne podejście, własne metody, a nie siedzieć tu, jakbyśmy pracowali na jakimś wymagowanym komisariacie.

Własne podejście i własne metody to bardzo ważna sprawa, tak w biurze detektywistycznym, jak i na posterunku, tyle że detektywi, ci prywatni, mieli więcej swobody; mieli, mają, bo nie muszą się przejmować zwierzchnikami, procedurami, papierologią ani żądaniem przelożonych, a oni ot tak z niczego z tej swobody zrezygnowali i naprawdę nie byli z tego zadowoleni.

To znaczy nie od razu zdali sobie z tego sprawę. Początkowo odebrali to jako swego rodzaju powrót do źródeł, dopiero teraz zrozumieli, że te źródła były chyba zatrute.

– No ale co mamy zrobić? Zaraz powinniśmy wziąć tego Alberta i go przepyttać. Jak się w takim razie do tego zabierzemy? Jakoś trzeba się z tego wykara-skać.

Ich miny mówiły dokładnie to, co kryły ich stare, nadal jednak policyjne serca, nie mieli najmniejszego pojęcia, jak wybrnąć z impasu, ale o ile istnieją osławione złe godziny, to nie oszukujmy się, istnieją też te dobre, które mogą się potem okazać jeszcze gorsze. Nigdy nic nie wiadomo.

Nagle otworzyły się drzwi do ich zaimprovizowanego biura i pojawiła się w nich głowa Alberta.

Zamarli.

– Panowie, zbieram chętnych na Festiwal Brzuchów Piwnych, jedziecie? – zapytał wesółym głosem i ucieszył ich jak najbardziej, i to w trójnasób: po pierwsze nie musieli go przesłuchiwać tu i teraz, po drugie nie musieli nic kombinować, samo wyszło, po trzecie festiwal!

Ten pomysł spadł im jak manna z nieba.

– A możemy? – zapytał zaskoczony Hubert, bo mimo że tu czasowo mieszkali, nie należeli do objętych programem rozrywkowym turystów płacących za swój pobyt.

– Jasne, bus z kierowcą jest. Czeka! Sami faceci! No to jak?

Zachwyt na ich twarzach ucieszył Alberta. Nie ma to jak męska rozrywka. Podłana piwem.

Ludzie myślą, że mężczyźni to troglodyci, a kobiety to anielice, wcale tak nie jest, w każdym razie nie zawsze, ale każdy od czasu do czasu lubi się odmóżyć. Bo jak inaczej można nazwać festiwal, na którym królują męskie brzuchy, piwo i kielbaski?

Można kochać operę, można szaleć za Chopinem, można szlochać z zachwyty nad muzyką sfer, ale czasem trzeba też zaspokoić i te niższe instynkty.

– Fajnie, że pan o nas pomyślał – podziękował Mundek.

– A co miałem nie pomyśleć?! Przy okazji będziecie robić za widownię naszego konkursu piwnych piękności. Jestem jednym z jurorów.

Szaleństwo zajrzało im w oczy i serca.

Ten pomysł jeszcze bardziej przemówił do ich wyobraźni. Afrodyta mogła się przecież wyłonić z piwnej piany. Nieprawdaz?

Mężczyźni w każdym wieku chętnie łapią się na taką zbitkę słowną, „piwne piękności” toż to aż wołało o zachwyty.

Przynajmniej w tej chwili.

\*\*\*

– Ale jak to możliwe, żeby ludzie się tak w aptecę tłukli?! To nie do pomyslenia! – wysapała Melka. – Toż to po prostu nielogiczne.

– Kiedy nie macie racji, to jest całkiem logiczne. Całkiem – odpowiedziała farmaceutka. – Właściciel nasz z Prasławca jest, więc jak się tu pojawił, to wszyscy chcieli mu sprawy, że tak powiem, po naszymu przedstawiać i jakoś tak poszło, bo to z każdej strony przedstawiali.

– Czyli to jakaś nowa apteka jest? Niedawno ją otworzyli?

– Nie, apteka stara, z pięć lat ma, ale właściciel nowy, kupili z żoną nie tak znowu całkiem dawno temu. Na nową drogę życia, to znaczy może to i głupie aptekę sobie na nową drogę życia kupować – zerknęła do tyłu, jakby nie chciała, żeby właściciel ją usłyszał – ale on żonę bardzo kocha.

Przy ostatnio wszechobecnym zalewie reklam suplementów diety, leków bez recepty i całkiem nowych produktów, które kryją się pod nazwą wyrobów medycznych, naprawdę nie jest trudno pomylić lekomanie z dbaniem o zdrowie, a usiłowanie otrucia z miłością.

Zresztą miłość, no cóż, mówi się, że kocha się kogoś na zabój, czyż to trochę nie to samo?

– I stąd ta apteka? – zdziwił się Mateusz, wyłażąc spod lady i patrząc, jak pracownicy sprzątają pozostałości po mnisiej furii. – Ja bym kupił coś bardziej

romantycznego – westchnął, wiedząc, że finansowo nie stać go w tym momencie nawet na leki na rozwolnienie.

– Ano, ale wiecie, jej to się te leki nawet przydają. Masażery, kremy, suplementy takie jakieś, dużo tego zużywa, żeby się mężowi podobać. No musi, taka kolej rzeczy!

– A tam musi! – Melka się wściekła, bo jej dość feministyczne, choć wybiórczo, podejście do życia aż nią zatrzęśło. – Co on taki osiemnasty cud świata?!

– No niby nie, ale młody jest! A ona stara rupa! Starą babę sobie wziął, starszą tak o dwadzieścia lat jak nic!

W społeczeństwie istnieje przekonanie, że miłość nie patrzy w kalendarz i wiek dla niej to nic ważnego, ale to dotyczy tylko mężczyzn. On może być od żony straszny i o czterdzieści lat i nikomu nic do tego, no może tylko faceci zadrzeczają, ale gdyby to żona była starsza, to już ta zasada nie działa.

I wcale nie musi być starsza o czterdzieści lat, w tym układzie nawet pięć to skandal.

– Ale dlaczego właściciel policji nie wezwał? Przecież dostałby odszkodowanie.

– A ja wiem? Może nie lubi policji? Sam wszystko załatwia po swojemu. Wyraźnie mu to pasuje. I ta żona też nie lubi przepychanek z policją. A rządzi nim!

Deszcz przestał padać.

Melka i Mateusz postanowili wrócić do zajazdu, trochę się ogarnąć, przebrać, wysuszyć i dopiero wieczorem iść do Lipcowej.

Droga powrotna była mało przyjemna, bo wszędzie było pełno kałuż, wiał przenikliwy, zimny wiatr, a nogi Melki, obute w japonki, lądowały co chwila po kostki w błocie.

Mateusz, co prawda, nie był w japonkach, ale jego sportowe buty też były całe w błocie, poza tym oboje byli bardzo zdziwieni wydarzeniami w aptece.

Cała wioska wiedziała, że żaden mnich nie istnieje, a równocześnie ta sama wioska próbowała nie zauważać tego faktu.

To dość znamienne, ale często tak bywa. Zarobek to wartość nadrzędna, a im mniej wiadomo o mnichu, tym większe daje to możliwości, bo można sobie z jego wizerunkiem robić, co się chce.

I nikt tego nie kontroluje.

Mnich może być łysy i zezowaty, a i tak ludzie kupią kubki z mnichem, talezryki z mnichem, długopisy z mnichem, zresztą majtki też schodzą na pniu.

Nawet zapalniczki, popielniczki i temperówki.

Jeden przedsiębiorca nawet chciał przechytrzyć wszystkich i opatentować mnicha, ale mu się nie udało.

Turystyka wymaga atrakcji. To już nie te czasy, kiedy wystarczyła knajpa, o nie, nawet dobra restauracja to teraz nic ciekawego, trzeba czegoś, co przyciągnie. Stąd na przykład Esterka, domniemana kochanka Kazimierza Wielkiego, ma domy w całej Polsce, choć nawet nie wiadomo, czy istniała naprawdę.

A mnich, choć może nie jakaś postać historyczna, to zawsze coś. Im bardziej szalony i tajemniczy, tym bardziej przyciąga. Bo co innego mogło przyciągać do Mnichowoli?

Nie odeszli daleko od apteki, a Melka już zaczęła kichać.

\*\*\*

Festiwal Brzuchów Piwnych odbywał się w miejscowości Zagórów, leżącej ledwie o kilkanaście kilometrów od Mnichowoli. Wszystkim tam przybywającym kojarzył się z Zasiedmiogórogrodem, tak był bajeczny w czasie festiwalu i tak był nastawiony na piwne szaleństwo.

Ta nazwa nieodmiennie kojarzyła się ze Shrekiem, może to dziwne, ale miało to podstawy. Organizatorzy zorganizowali „piwne błotko”, czyli dziurę błotną z piwnymi zlewkami, w której jak ludzkie ogry taplali się mężczyźni. Początkowo nawet nie byli w kolorze zielonym, potem owszem, bo po sporej ilości piwa i kilku dawkach bigosu oraz grochówki puszczały malownicze bąbelkowce niepospolite i to śmierdziało tak bardzo, że aż robili się trochę zieloni.

Impreza trwała cztery dni, ale główną atrakcją był konkurs.

Trzeba przyznać, że był to dość szowinistyczny festiwal, bo kobiet było zdecydowanie mniej niż facetów.

Choć trzeba powiedzieć też, że poza konkursem piękności były i inne szaleństwa. Wielkim powodzeniem cieszyły się piwne jacuzzi, bo siedzący w nim panowie próbowali jednocześnie w piwie się kąpać i to piwo pić, aż się wydało, że jednak nie jest to dobry pomysł, bo kilku turystów do tego jacuzzi nasikało.

Kiedy się to wydało, było sporo zamieszania, ale w końcu jakoś się wszystko uspokoiło, choć to i toje przetrwały z ledwością. Był też basen do nurkowania w piwie, no i oczywiście stragany. Jedne sprzedawały przeróżne produkty, inne karmiły chętnych.

Na placu za remizą ustawione były namioty, stoły oraz scena, na której coś grało. To coś było tutejszą Kapelą Pijną, nazwaną tak na potrzeby festiwalu i na potrzeby festiwalu stworzoną, bo zdecydowanie nie grało za dobrze.

Nie trzeba dodawać, że muzyka trzeźwi nie byli.

Jako że muzyka pijna nie jest wymagająca, zwłaszcza po spożyciu, ograniczali się do kawałków weselnych, ale było to tylko brzęczenie w tle, bo i tak nikt ich nie słuchał.

– No to jak? Po kielbasce? Dwie? – zaproponował Hubert, szczerze zachwycony imprezą, bo od lat nie widział nic podobnego i zrobiło mu się rzewnie. Mężczyznom też się to zdarza.

Przypomniały mu się młode lata, kiedy to jako posterunkowy uczestniczył w tego typu imprezach. Oczywiście jako zabezpieczający, ale mimo wszystko. Ludzie idealizują czasy młodości, a jeżeli są byłymi policjantami, ich idealizacja wygląda czasami mniej więcej tak:

– Co to teraz za mordercy są? Kiedyś to morderca potrafił jedną ręką zrobić sieczkę z ofiary, a nie to, co dziś, ledwie dźgnie i ucieka! Czasy teraz paskudne, złodzieje kradną byle co, a napad z bronią w rękę? Były siekiery, tasaki, normalnie obrzyny, a dzisiaj? Wiecie, co ostatnio zakwalifikowali jako broń? Zwymkły pistolet!

– No pistolet to jest broń.

– Tak, ale ten był na wodę.

Mimo tych rozdzierających serce, rzewnie miłych wspomnień postanowili jednak coś zjeść, licząc, że choć jedzenie będzie takie jak kiedyś.

No i tu nie padało. Nie że nigdy, jak w Kalifornii, ale często kiedy w Mnichowoli łało, tu było sucho i odwrotnie.

– Flaki, kielbaska, pajda ze smalcem, kiszony i piwo! – zakomenderował Edzio. – Dla każdego! – dodał ochoczo, machając pieniędzmi.

– I kaszanka! – dopowiedział Mundek.

Byli straszliwie głodni, może nie tak naprawdę, ale okolicznościowo. Zapachy wwiercały się im w trzewia, a widoki w mózg. Chcieli spróbować wszystkiego.

– I ten, no, co tu jeszcze jest? Bigos! I szaszłyk!

– No może być i bigos. Szaszłyk to może być z kota, ostatnio czytałem o takich masakrach, ale co tam, spróbujemy.

Ten cały zestaw imprezowy trochę kosztował, ale pozwalał im nie myśleć o tym paskudnym, eleganckim jedzeniu w zajeździe. Oni się do takiego menu

nie nadawali, dla nich jedzenie miało być jedzeniem, mięso miało przed przyrządzeniem mieć nogi, ewentualnie skrzydła, a nie siedemnaście par oczu i macki. A warzywa powinny być kapustą, ewentualnie ziemniakami, i być zwęglone.

– I jak, panowie? – Albert wyraźnie czuł się tu bardzo na miejscu. Za to dwaj mężowie z zajazdu, ci z małżeńskich terapii, uwolnieni dość niechętnie przez żony, jakoś nie umieli sobie poradzić z wolnością. Chyba nie byli do takiego czegoś przyzwyczajeni.

– Jest dobrze – oświadczył zadowolony Hubert.

– A będzie jeszcze lepiej! – Albert się roześmiał. – Zaraz zaczyna się konkurs piwnych piękności! No, idę jurorować.

Konkurs piwnych piękności trochę wszystkich zaskoczył.

Ze sceny dało się słyszeć werble i jakąś fanfarę, po czym zaimprovizowana kurtyna z reklamą zimnego piwa się rozsunała.

Spodziewając się cudów, stanęli oniemieli i bardzo zaskoczeni.

Na scenie nie było ani jednej kobiety. To nie one miały być pięknościami, tylko brzuchy. Męskie, piwne, napęczniałe, prawie ciężowe brzuchy.

– Stroje plażowe! – wykrzyknął konferansjer.

Siedmiu dobrze nadętych, wysmarowanych oliwką panów, wystawiając swoje potężne brzuszyska, wyszło w tym momencie na scenę, każdy miał na nadgarstku numer.

Ich stroje plażowe ograniczały się tylko do dolnych partii ciała, wiadomo przecież, jak mężczyźni ubierają się na plażę.

Na tyłku każdy miał spodenki kąpielowe albo majtki, jeden nawet stringi, ale piwnych obszarów nic nie zasłaniało.

– Proszę się przedstawić.

Panowie jeden po drugim recytowali swoje imiona, dodając do nich krótką charakterystykę swoich dotychczasowych osiągnięć, fascynacji albo pomysłów na życie, żywcem jak z konkursu piękności dla kobiet.

– Kocham piwo kraftowe i cebulowe krążki w panierce oraz koty. Nie czytam książek, bo szkoda mi czasu, ale potrafię naprawić żyrandol i mikser – oświadczył jeden.

– Przeczytałem kilka komiksów i dwie instrukcje obsługi, przyznam, że były pouczające, nienawidzę piwa bezalkoholowego.

– Kocham piwo i wszelkie wyzwania, trzy lata temu startowałem do księgi rekordów Guinnessa, dwadzieścia sześć piw jedno po drugim w dziesięć mi-



nut – pochwalił się następny.

Kilku panów przedefilowało po scenie, energicznie kręcąc brzuchami i wyginając się zalotnie.

Zniknęli kolejno za kotarą.

– A teraz panowie zaprezentują nam stroje wieczorowe! – zawołał konferansjer.

W siedzącym za stołem jury widać było poruszenie.

Po chwili uczestnicy konkursu znów wyszli na scenę.

Byli ubrani.

Dwóch zaprezentowało żonobijki, siatkowe podkoszulki na ramiączkach, trzech piżamy, jeden dres. Ostatni wyszedł w koszuli nocnej i szlafmicy, co powitano głośnymi brawami.

Edzio pierwszy skończył swoją kielbaskę i poszedł po drugą, po drodze dobierając jeszcze kaszanki i flaków. Wszyscy trzej zachowywali się, jakby od wieków nic nie jedli.

– Pychota – mruzczał Hubert, oblizując zatłuszczone palce – ale żeby jakby co, to niby jest w porządku, ale czy myśmy nie mieli pracować? – zapytał, bo był z tych bardziej obowiązkowych.

To spowodowało pewne przetasowania.

– No dobra – westchnął Mundek – to ja biorę zarcie i się przesiadam.

W chwilę potem siedział koło Adama i Mefju, którego imię, jak mu się zdawało, było makabrycznym spolszczeniem imienia Mateusz w wersji angielskiej, nie był tylko pewny, czy tej makabry dokonali rodzice czy sam pan Mefju, kiedy już dorósł. Mundkowi nie zależało na wiedzy na ten temat, a nawet obawiał się o to pytać, żeby nie zdenerwować mężczyzny.

Żeby cokolwiek z niego wyciągnąć, musiał zyskać jego zaufanie. Nie liczył na cuda, nie sądził, że Mefju dysponuje jakąś wiedzą, którą się z nim usłuźnie podzieli, liczył raczej na przypadek, przejęzyczenie albo coś, co dla Mundka byłoby wiedzą, a dla niego tylko plotką, albo pustą gadką.

– A pan to znał tę Natalię? Wie pan, tę zamordowaną? – zapytał Mundek na zachętę. – W zajeździe – dodał, bo teraz w mediach tyle jest o mordowaniu, że bał się, iż mężczyzna pomyśli o jakiejś innej, też ostatnio zamordowanej Natalii, co wcale nie było niemożliwe.

– No jasne, każdy ją znał. – Mefju czknął, bo wystarczyło pół godziny, a męska wolność zaszumiała mu w głowie w postaci kilku pospiesznie wypitych piw, więc rozluźnił się aż za bardzo.

Siedzący koło niego Adam z trudem koncentrował wzrok na kaszance i wcale się nie odzywał.

Mężczyźni chwilowo pozbawieni żon i do tego nieprzyzwyczajeni zachłystują się wolnością i zdecydowanie przesadzają. Dlatego tak ważne jest, aby żony pozwalały im tę wolność czasami poćwiczyć.

Wystarczyłoby nawet kilka minut dziennie.

Żony zawsze mają do mężów pretensje, że wystarczy ich spuścić na pięć minut z oka, a oni już zdążą się nawalić jak messerschmitty. To prawda, mają wolne, w końcu takie pięć minut nie trafia się codziennie, więc korzystają, a jak już któremuś się trafi pół godziny, to z przyzwyczajenia wlewa w siebie piwo tak szybko, że trzeba go potem znosić z murawy, i to głową w dół, bo wszystko z niego wycieka.

Mefju był jeszcze w stanie rozmawiać. Ba, był prawie całkiem przytomny i logiczny.

– Bo to wie pan, mówią, że ją niby ten mnich zajeżdżał, ale mnie się wydaje, że to nie mógł być on.

– A to dlaczego?

– Bo pan popatrzy, jak on by wszedł?

Pytanie, nad którym głowili się wszyscy, choć trochę w innym kontekście, tu padło prosto z mostu i zadziwiło Mundka. No bo gdyby jednak, to akurat w tym przypadku nie miało zastosowania.

– No, nie rozumiem.

– Przecież szyby to plastik, drzwi plastik, nawet okładziny na ścianach też taki jakiś plastik. Nie mógł.

– To znaczy? – Możliwości ducha w sprawie przechodzenia przez ściany przeszły oczekiwania Mundka.

– Przecież mnichy takie są jak duchy, nie przenikają przez plastik, każdy to wie! One tylko naturalne rzeczy tolerują. To nie mógł być mnich! On przecież nie żyje.

W tym momencie Mundek pomyślał, że ludzie bywają naprawdę pokręceni.

– No a człowiek? Człowiek przecież też nie mógł wejść! – wykrzyknął, nieco rozdrażniony, były policjant, nieprzyzwyczajony do rozpatrywania spraw natury aż tak bardzo nadnaturalnej.

– No człowiek też nie bardzo.

– To w takim razie kto to był? Bo ktoś przecież ją zabił. Sama sobie noża w plecy nie wsadziła!

Mefju wybekał z siebie nadmiar gazów piwnych mocno, głośno, po męsku, po czym stwierdził:

– Tak sobie z żoną pomyśleliśmy, no ani to, ani to, chyba że jest tam jakieś inne dojsie, ale teraz wszyscy pracują zdalnie, to może i on może?

\* \* \*

Ada po rozmowie z Rajami postanowiła zagadać z obecnymi w zajeździe dwiema kobietami, ale gdzieś jej umknęły. Marcelina zażywająca odnowy duchowej podobno poszła do siebie, zresztą zajęć w tym momencie nie było, więc mogła robić, co chciała, a Letycja ćwicząca uspokajającą moc oddechu poszła się przejść w celach terapeutycznych z tej samej przyczyny.

Dlatego Ada zdecydowała się iść po nóż i sprawdzić, czy da się go sobie własnoręcznie wbić w plecy.

Zakładała, że nie, była pewna, że to niewykonalne, ale wołała jednak sprawdzić.

Nóż pożyczyla z kuchni, ale na wszelki wypadek wzięła nóż do masła, taki z zaokrągleniem na końcu, oczywiście tępy, bambusowy czy drewniany, bo mimo wszystko samobójstwa popełniać ani się poświęcać za bardzo dla pracy nie zamierzała.

Nie zamierzała robić tego z żadnego powodu, a już najmniej przypadkiem, a taka by była kwalifikacja czynu, czyli jej śmierci, gdyby niechący udowodniła, że samodzielne wbicie sobie noża w plecy jest wykonalne. Byłoby to samobójstwo przypadkowe, a to naprawdę jej się nie uśmiechało.

Gabinet denatki, to znaczy miejsce zbrodni, pozostawiono do dyspozycji Ady, poszła więc tam i usiadła za biurkiem w pozycji mniej więcej takiej, w jakiej tę denatkę tam znaleziono. Nie były ani takiej samej postury, ani wzrostu, ale Ada liczyła, że czegoś się dowie albo choć coś zrozumie.

Najpierw próbowała zaklinować trzonek noża w oparciu krzesła, ale nic to nie dało.

Potem chciała jakoś go sobie wbić za pomocą ściany, ale zdawała sobie sprawę, że nie da się zaklinować noża w ścianie, sądziła, że aby go wbić, i to śmiertelnie, musiałby być właśnie zaklinowany. Nie miała świerzbę na plecach, nie chodziło, o to, że chciała się podrapać, choć nożem to by było dziwne, ale nawet; nie, ona chciała zobaczyć, czy można ten nóż, a właściwie jakikolwiek nóż, sobie samemu wbić w plecy.

Jak na razie czuła, że nie.

Nagle wpadła na całkiem ciekawy pomysł.

A jeżeli denatka zaklinowała nóż w książkach, rzuciła się na niego plecami, wbiła go sobie, a potem poszła i usiadła za biurkiem?

Bardzo, ale to bardzo niemożliwe, ale Ada nie byłaby sobą, gdyby nie spróbowała tego dokonać.

Oczywiście nie zabijając się przy tym.

\*\*\*

– No tak. Zastanawiałem się, wiem, kilka razy widziałem, jak przechodziłem, i tak sobie myślałem, po co ona trzyma te durne encyklopedie i słowniki wyrazów obcych tak o, na podłodze, przecież w Internecie wszystko jest, a nawet jakby, to w ogóle komu to potrzebne?

– Ale jakim cudem pan to widział?

– Zwyczajnie! Przecież było widać. Książki miały napisy na grzbietach.

W tym momencie siedzący obok Adam przestał się koncentrować na kaszance i padł w nią twarzą, po czym usnął.

– A żona to niczego nie zauważyła?

– Moja żona? Panie, ona widzi wszystko, nawet to, czego nie ma. Lepiej nie pytać.

– Przestańcie pierdolić głupoty! – wrzasnął Edzio. – Tam się biją!

\*\*\*

Ada podeszła do regału, wsunęła trzonek pomiędzy jeden a drugi tom dwóch ustawionych obok siebie kryminałów Mroza. Nóż tkwił stabilnie i całkiem dobrze, więc stanęła przed półką, plecami do noża, i rzuciła się na ten nóż tak, by ostrze trafiło mniej więcej tam, gdzie trzeba.

Nóż do masła, niestety, zamiast choć próbować się wbić w jej plecy, wbił się tylko mocniej trzonkiem pomiędzy książki.

Ada pomyślała, że to wina półki, była zbyt głęboka. Wydłubała go z trudem pomiędzy Mrozów i przeszła dalej, w miejsce gdzie stały płytsze regały.

Tam powtórzyła swoje poprzednie czynności, po czym z ochotą i wigorem rzuciła się swoimi pulchnymi plecami na morderczy w zamiarze, choć nieco tępy sztuciec.

– O kurwa! – zdążyła tylko wrzasnąć, kiedy posypał się grad książek i wielki, choć płytki grzebał ją pod swoją zawartością.

Przez chwilę myślała nawet, że śmiertelnie.

\*\*\*

– O kurwa! – usłyszała zziębnięta Melka z oddali nieco, bo właśnie wróciła do siebie i usiłowała się przebrać w coś cieplejszego, ale przeszkadzał jej dygot.

Zanim zdołała się wydostać z mokrych ubrań, po czym z telepawką podobną do tańca świętego Wita wtłoczyć się w dres, przed jej drzwiami pojawiła się Kościuchowa z siatką na motyle.

– No i nie ma – oświadczyła. – Nigdzie nie ma – dodała z żalem.

Melka nie wiedziała, o co jej chodzi.

– Motyle w taki deszcz pani chce łapać? Na tarasie? – zdziwiła się w ogóle samym pomysłem łapania motyli, a fakt łapania ich w zajeździe, i to w czasie deszczu, zaskoczył ją bardzo, ale jak to się mówi, klepki nie są dane raz na całe życie, szczególnie ta piąta. Zresztą Kościuchowa robiła wrażenie osoby, której brakowało tej klepki od dawna.

– A nie, to na psa – oświadczyła i chciała się oddalić, kiedy Melka zagadnęła zza na wpół otwartych drzwi:

– Co tam się odpierdala? Kto wrzeszczy?

– Nikt! To tylko ciotka. – Kościuchowa wrzuciła ramionami. – Chciała sobie nóż w plecy wbić, ale szafę sobie wbiła – powiedziała i truchtem pobiegła w deszcz, bo przecież od rana nie mogła znaleźć Wyciora.

\*\*\*

Bójka zainteresowała wszystkich obecnych.

Była po prostu fajną, spontaniczną akcją. Mężczyźni kochają takie.

To nie była nawet jakaś drastyczna bójka czy coś, co można nazwać jatką. Nic z tych rzeczy – zwykła babska bójka w błotku. O faceta, bo z wykrzywionych ust raz po raz padały zapewnienia, że „On jest mój”, „Nie dostaniesz go, ty zdziro” i „My się kochamy”.

O ile pierwsze zapewnienie nikogo nie zaszokowało, zawsze takie padają, drugie też było mocno zwyczajne, to ostatnie było znaczące. Takich rzeczy nie mówi się przecież kochance czy współkochance. To jest zdanie zarezerwowane dla matki albo żony. Jednak jako że mało kto bije się z własną matką w błocie (choć to pewnie by było lepsze niż długoletnie zapiekle hodowane w sercu konflikty), pozostawała żona. Z tego wynikało więc, że była to walka żony z kochanką. Kobiety to tylko szarpanina i wrzaski. Tak było i tym razem: powyry-

wane włosy, podrapane twarze, potem odrobina zapasów w półparterze, a na koniec basen piwny.

– Człowiek, człowiek w... człowiek za... Kobieta! – wykrzykiwali wszyscy, stojąc dookoła basenu do nurkowania i nie mogąc się zdecydować, czy to człowiek za burtą, skoro burty nie było, czy człowiek w piwie, co kojarzyło się jakoś za bardzo kulinarnie.

I w zasadzie nikt nie wiedział, co robić. Basen był płytki. Nic nikomu nie groziło. Najpierw zabulgotała ta pierwsza, potem trochę się zakrzuszyła ta druga, ale zabawa była przednia.

– O szlag, o szlag! – krzyknęły jedna po drugiej, następnie znów się rozkasały na stojąco, bo nie ukrywajmy, basen był płytki i mały.

Jedna usiłowała wyjść na brzeg basenu. Rozpłakała się. Druga rzuciła się na nią i pociągnęła ją w piwną otchłań tak mocno, że aż razem o mało się nie utopiły.

Tym bardziej że ta pierwsza się broniła.

W końcu jedna wylazła na brzeg i zaczęła uciekać.

– Hmm – mruknął Adam, odrywając twarz od kaszanki. – Letycja? A co ona, do jasnej kurwy, tu robi? – zapytał, po czym znów poszedł spać na miękkim podłożu z krupnioków i ogórków kiszonych.

\*\*\*

Kościuchowa biegła jak oszalała, chcąc złapać psa. Nie miała pojęcia, jak tego dokonać, a wiele świadczyło o tym, że chyba nawet za bardzo nie ma ochoty zanadto się przykładać. Miałyby większe szanse, gdyby zamiast siatki na motyle w rękę trzymała coś do jedzenia, ale kombinowała tak, że jeżeli psa znajdzie, spędzi z nim kolejną noc, kolejną oczywiście bezsenną, trzeba dodać, a jeżeli go nie znajdzie, prawdopodobnie się wyśpi, co w zasadzie bardzo ją kuśilo.

Dodatkowo pies nie był ze złota, nie miał rodowodu i chyba był po psiemu pełnoletni, więc powinien był sobie jakoś sam poradzić gdzieś tam w świecie, albo raczej we wsi, a jeżeli nie, to choć wrócić do zajazdu z głodu.

Czynności, które ostentacyjnie wykonywała, czyli machanie siatką na motyle, były tylko pozorowaniem poszukiwań i miała nadzieję, że nikt nie pomyśli, że usiłuje złapać tego psa w chmurach, bo siatką majtała raczej wysoko.

Zeszła z tarasu przy pokoiku Melki i ruszyła na obchód terenu.

Teren oczywiście znała. Tak jakby znała. Właściwie znała, wszystkie te określenia były prawidłowe.

Kościuchowa tak naprawdę znała tylko właścicielkę, a jak do niej przyjeżdżała, to przecież nie łąziła po krzakach ani nie robiła inwentaryzacji dziur w podłożu, tylko siedziały i gadały.

Teraz postanowiła obejrzeć włości Olgi niejako innym wzrokiem, czyli szukać takich miejsc, w których mógł schować się pies.

Oczywiście to też było działanie zastępcze, bo pies był podobny do wyciora i bardzo żywotny. Długo w kryjówce by nie wysiedział, a jeżeli nie byłaby to kryjówka, tylko jakaś pułapka, niecelowa oczywiście, toby szczekał, wyl i piszczał.

Poszła w kierunku samotni, w której nigdy nie była.

Była to budowla taka sobie. Niby stara, niby nowa, ale nie zachwycała. Tyle że zachwyć nikomu nie był potrzebny, potrzebny był mnich, więc zrobiono wszystko, żeby samotnię ozdobiło wszystko, co rustykalne: daszki, płotki, rzeźby, świątki, wycinanki, malowanki, w każdym razie wszystko w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Samotnia była kiczem.

I jako taka była potrzebna. Ludziom ze wsi, na pewno nie właścicielom. Z tym że oni nie mieli nic do gadania, bo idea zaczęła żyć własnym życiem.

Kościuchowa pomyślała, że Natalia miała rację, chcąc się pozbyć tego potworka. Teren był ładny i mógł na siebie zarabiać. To, co proponował zajazd, było w o wiele lepszym stylu i na wyższym poziomie niż to, czym była samotnia, i jakkolwiek by patrzeć, ludzie, którzy przyjeżdżali do zajazdu, nawet jeżeli byli zaciekawieni jego historią, to jednak takiego folkloru nie uznawali. Nie że folklor jest całkiem zły, ale ten był aż nazbyt folklorystyczny.

Plastikowy wręcz, choć prawie bez plastiku.

No i trochę nie taki. Trudno jest pogodzić coś, co udaje Kurpie, pogania Podhale i do wszystkiego jeszcze zawiera odniesienia do Gwiezdných wojen oraz elementy kaszubskie.

Były to oczywiście działania Lipcowej i podobnych jej kobiet z okolicy, a Olga miała za mało samozaparcia, żeby z tym walczyć. Jeżeli jest się właścicielką zajazdu, i to takiego, a nawet i mniejszy by wystarczył, trzeba z okolicznymi mieszkańcami dobrze żyć i iść (albo wręcz chodzić) na ustępstwa, bo jak nie, to można naprawdę mieć kłopoty, może nie jakieś istotne, ale rażenie upierdliwością też męczy, no i zawsze znajdzie się jakiś idiota z zapalkami, a tego nikt nie chce.

Nieco dalej była lekko zmurszała studnia.

Dookoła rosły kępy krzaków, całe połacie pokrzyw i, ku wielkiej rozpaczy Kościuchowej, buszował szczęśliwy pies.

Co daje psom szczęście? W zasadzie wszystko: deszcz, błoto, pokrzywy, ale mokra ziemia do rozkopania to największa przyjemność. Mogą być też kości. Nawet te ludzkie. Psy nie są w stanie rozróżnić. Ludzie też nie, no chyba że trafią na czaszkę albo są antropologami sądowymi, co jest jednak rzadkością.

\* \* \*

Kiedy już ucichły zachwyty nad damską walką, a kilka filmików poszło w sieć, Mundek wrócił do Mefju. To znaczy wrócił mentalnie, bo fizycznie stali obok siebie i podziwiali akcję tak jakby ratowniczą.

– Coś pan wspominał, że żona widzi wszystko? – zagadnął Mundek.

– Ale mówiłem też, że lepiej nie pytać...

– Lepiej nie lepiej, ja w sumie muszę. Co takiego ona widziała?

– Bo patrzy pan. Ona, żona moja, ta Dżesika. Jechała drogą tam koło waszego, znaczy nie waszego, tutejszego szpitala. Wjechała w jakiś samochód, bo gdzieś coś tam jej znaki się pomyliły, no i że wypadek. Policji nie wzywały. Wymieniły się danymi i tyle. No i potem moja postanowiła zadzwonić, a tu „Nie ma takiego numeru”. Obejrzała sobie dokładnie nazwisko i adres, okazało się, że w dawną koleżankę z klasy wjechała. To co moja żona zrobiła? Pojechała do niej do domu. Otworzyła matka tej koleżanki. No więc, wie pan, ona w ten dzień, dzień dobry i te rzeczy, ja do córki, a wtedy matka w ryk. Że córka nie żyje od siedemnastu lat.

– Zwidy miała?

– Całkiem możliwe, ale moja żona to nawiedzona jest, to wie pan, mogła to zmyślić, żebym jej nie opierdolił za zderzak. No bo jakby nie była nawiedzona, to po co byśmy tu przyjeżdżali?

– Na terapię małżeńską? – zapytał Mundek niepewnym głosem.

Zawsze dziwili go ludzie, którzy z kłopotami małżeńskimi szli nie do specjalistów, ale do przeróżnych kolczów, trenerów i szarlatanów albo kolegów od kieliszka, którzy, jak to głosi fama, mieli największy wpływ na takie sprawy.

– No takich terapii to jest od zajebania wszędzie i są o wiele tańsze, ale się mojej zachciało mnicha. Bo że pewnie jakieś moce ma, to nas naprawi.

– Ale czy wy, że tak zapytam – odezwał się stojący obok Edzio, który nie bardzo wiedział, na czym się skoncentrować, bo robił wszystko, żeby zagłuszyć



wyrzuty sumienia, tego dietetycznego, które objawiały się mdłościami i bólem wątroby – macie jakieś poważne problemy? Nie żeby to miało znaczenie, tak tylko pytam.

– Mamy, nie mamy? Zapytajcie żony, co? Ja tam nie wiem. Mnie się zdawało, że nie, ale skoro tu jesteście, to pewnie tak, ale to wicie, nigdy nic nie wiadomo. To tak jak z tą Letycją. Taka wielka pani z terapii oddechowej, taka ą, ę, a tu się w piwie szarga? No, to wręcz nie pasuje. Nie powinna nawet tu być. To nie jest dla ludzi z zajazdu. To nie ta klasa, nie ten szyk, za niskie progi...

– No ale pan też...

– No ale ja jestem facetem i nigdy nie udawałem, że krem do twarzy tańszy niż dwie stowy to żałosna bieda i czarna rozpacz poniżenia.

\*\*\*

Ada przez chwilę leżała ogłuszona wśród tomów poezji współczesnej i reportaży z nożem wbitym w plecy i przyklepanym regałem. Cieszyła się, że jednak to nie były kryminały Mroza, bo są o wiele cięższe.

Nóż nie wbił się naprawdę, takie noże nie mają wielkich możliwości, wbił się tylko trochę. Ada była pulchna, a nóż zaokrąglony, ale jego drewniana natura sprawiła, że pękł i czuła go teraz w ciele, w okolicy łopatki.

Melka i Mateusz jako pierwsi dotarli do ciotki przez taras, ale żeby się nią zająć, musieli najpierw zdjąć z niej regał, co nie było łatwe. Niby był dość lekki, ale spory.

Na szczęście ciotka dawała oznaki życia.

Były typowo polskie.

– Ożeż kurwa! Szlag! Co, do mendy? Jak tak można? Cholera jasna! Zabiło mnie! No! Zabiło!

Część z tej litanii przeznaczona była dla regału, część dla Melki i Mateusza, a część, ta najmniejsza, dla własnych celów, gdyż Ada chciała powiadomić siebie samą, że bycie kretynką zabija.

W końcu wyciągnięto ją spod zwalów książek i desek.

Regał odwalono i rzucono na bok, bo nie było jak go postawić. Groził ponownym upadkiem, gdyż jego górna część, dotąd przykręcona do ściany, spory kawał tej ściany wyrwała... hmm... ze ściany.

Nie że tynk, ale bardziej jakby obudowę ściany, pod nią pokazała się inna. O wiele starsza i oczywiście brudna. I gdyby to jeszcze była ściana. To były drzwi. Zapleśniałe, zjedzone przez korniki i stare, ale nie zabytkowe.

Olga też przybiegła.

Biegając, majtała dredami jak batem.

– O matko jedyna! – wyjęczała, widząc zniszczenia.

– Co to jest? – zapytała Ada, pokazując braki w ścianie.

– Masakra! To jest masakra! – zawołała Olga, po czym już spokojniej do-  
dała: – Tu były wcześniej inne zabudowania, myśmy to tylko zaadaptowali –  
wyjaśniła, choć jej wypowiedź dosłownie niczego nie wyjaśniała.

Inne zabudowania, a właściwie te części pod spodem, dotąd niewidoczne,  
wyglądały brzydko. Były bure i brudne.

– Ale co to jest? – nalegała Ada, chcąc poznać odpowiedź na to jedno, i to  
dość konkretne pytanie, na które Olga jakby nie zamierzała odpowiadać, choć  
wyglądało na proste. Czasami tak bywa, że proste pytania wcale nie chcą gene-  
rować prostych odpowiedzi.

– Nie mieliśmy pieniędzy na rozbiórkę, nie było możliwości zrobić tego po-  
rządnie, walnęliśmy prowizorkę, ale się trzymała, nadal się trzyma.

Olga znów odpowiadała tak, żeby nie odpowiedzieć. To całkiem dobry spo-  
sób odpowiadania na pytania o to, o czym opowiadać się nie chce, który często  
zbacza z tematu, zahacza o dinozaury, ale za cholerę niczego nie tłumaczy.

Ada odrobinę krwawiła, ale nie chciała odpuścić.

– Ale co to jest?! – próbowała nadal.

– To ja może pani opatrzę te plecy, bo nóż z pani wystaje? – zaproponowała  
Olga.

– Niech sobie robi, co chce! Proszę odpowiedzieć wreszcie na moje pytanie.

– No, dobra, ale pani nie mówi nikomu. – Właścicielka zajazdu skapitulo-  
wała bardzo niechętnie.

Ada aż zastrzygła uszami z zachwytu. Spodziewała się czegoś spektakular-  
nego.

– Co tam macie? Tajne przejścia czy tajemnicze skarbcze? A może burszty-  
nową komnatę?

– Ale co pani?! Nie, nic z tych rzeczy! To są szafy, stare szafy ścienne! – jęk-  
nęła Olga. – Wiem, powinnam była je wyrwać, ale nie miałam pieniędzy na fa-  
chowców, robiliśmy po kosztach, na kopa, żeby zaczęło na siebie zarabiać, ka-  
załam zabudować, no ale...

– Szczuryyyy! – wrzasnęła Melka, która zobaczyła właśnie jakiegoś gryzonia  
przemykającego po książkach. Nie był zachwycony, światło wyraźnie mu nie  
służyło.

Olga zbladła i złapała się za biust.

– Oj, dobra już, dobra! Proszę bardzo, zniszczcie wszystko! Zabijcie mnie! Serce mi wyrwajcie jak ta kretynka Natalia! Proszę bardzo! – Rzuciła się do Melki, malowniczo rozrywając bluzkę i stając w pozie à la Rejtan.

Wszyscy patrzyli, nie rozumiejąc.

Mało kto z takim samozaparciem broni honoru zapleśniałej i zaszczurzonej szafy ściennej.

– Ale o co pani chodzi? – Melka nie pojęła przesłania.

Młodzi rzadko pojmują takie sprawy.

– O wszystko! – wrzasnęła właścicielka. – Nie dociera? Włożyłam w to wszystko! Wszystko, co miałam! Trzeba było pójść na kompromis, i to niejeden! Nie mogłam sobie pozwolić na całkowity remont, a ta wciąż: „mamo szczury, mamo dziury, mamo chałtury”... Przecież nawet jej mężowi dałam pracę, ale on przynajmniej rozumie zasady.

– Pani Olgo! Ja zupełnie nie ogarniam, o co pani chodzi! W ogóle! Nic a nic!

– O co mi chodzi? – warknęła Olga. – A o co ma mi chodzić?! O to, że pewne rzeczy są... No, nie do przecenienia, a inne można, jak najbardziej.

– Jakie inne? Chodzi pani o inne szafy? Na przykład gdańskie? Trzydrzwiowe?

– Nie, o bataty!

Tego to już nikt nawet nie próbował zrozumieć.

– Co pani wyskakuje tu z tymi batatami? One mają jakkolwiek sens? Teraz? Przecież mówimy o szafach?

– Jasne, bataty są tylko przykładem, z szafami można to samo! To proste. Bierzemy ziemniaki, cukier, kurkumę, sok z marchwi i ze zwykłych ziemniaków za dwa złote od kilograma robimy bataty za co najmniej szesnaście, ludzie jedzą, zachwycają się, kucharz milczy, a ja mam superopinię i oszczędności!

– I ma pani zamiar za pomocą soku z marchewki sprawić, żeby ta szafa była jadalna? O ja pierdziu! – Mateusz aż się do tego pomysłu zapalił. Wszelkie pomysły tego typu wywoływały u niego natychmiastowy odzew. Lubił udziwnienia, choć o jadalnych szafach jeszcze nie słyszał.

– Nie! To tylko przykład! Po prostu muszę ciąć koszty! Muszę to robić inteligentnie i tak, żeby ludzie nie widzieli, a nie tak, jak ona chciała, na hurra. Nie mogłam jej na to pozwolić, bo ona uważała chyba, że pieniądze rosną na drzewach!

– I dlatego ją pani zabiła? Żeby ciąc koszty?! Własną córkę? – Mateusz aż jęknął. Wiedział, że oszczędności są strasznie ważne, ale żeby aż tak?

– Zwariował pan?

– No bo...

– Nie, nie zabiłam jej, choć jej zniknięcie jakby ułatwiło mi życie, komuś innemu musiała bardziej zająć za skórę niż mnie, ale gdyby nie ta śmierć, to ona by mnie zamęczyła. Wykończyła. W ogóle...

– Nie kochała pani własnej córki?! – wrzasnęła Ada z wielkim, wręcz agresywnym zdziwieniem i potępieniem.

– Kochałam, jasne, że kochałam – odburknęła Olga nieco zalęknionym głosem – ale miłość to nie wszystko! Ona była niereformowalna!

– Bo chciała samotnie zlikwidować? Dlatego? O to poszło?

– Samotnia to gównno, wszystko chciała zrywać, odnawiać ściany, likwidować szafy, dziury, wszystko, a mnie nie było na to stać.

– A ją?

– Nie wiem dokładnie, bo jeszcze przecież nie było sprawy spadkowej, ale jakieś pieniądze miała, tyle że jej pieniądze to pryszcz, to jest moja własność i nie zamierzałam jej się pozbywać. Nie zamierzałam pozwalać jej się szarogęsić.

Mateusz od razu chciał zapytać, czy białogęsić by jej się pozwalała, ale uciżyła go gestem ręki.

– Nie! To nie wchodziło w rachubę, no może jakieś drobiazgi, ale na pewno nie rozwalanie wszystkiego.

– To dlaczego nie chciała pani jej pozwolić choć trochę działać?

Olga podeszła do Ady, wyrwała jej drzazgę noża z pleców, a właściwie z tłuszczu pomiędzy łopatką a pachą i cisnęła ją na ziemię.

– Tu potrzeba milionów, a nie takich groszy, po co się pakować w coś takiego? To bezsens. O wiele lepiej jest zarobić, sprzedać i ruszyć dalej. To o wiele prostsze.

– No ale ktoś ją zabił – rzuciła Melka.

– Tak, ktoś to zrobił. – Olga nie wyglądała na zrozpaczoną matkę, ale życie to nie Internet, ludzie nie zawsze reagują tak, jak inni się tego spodziewają.

– Ale kto? Nie ma pani pomysłu? Podejrzeń, nic?

– Nie mam i wszystko mi w sumie jedno. I wiem na pewno, że on czy tam ona nie mógł tu wejść, w żaden sposób nie mógł! Czyli ta śmierć nie jest taka całkiem normalna.

– Morderstwo nigdy nie jest normalne – zauważyła Melka z wyższością. Zawsze chciała pokazać, jaka to ona jest trendy, na czasie i mądra jak mało kto.

– No, a jakby się ukrył w tej szafie? Tej ściennej, o tu – zaproponowała, robiąc obrzydzoną minę, kiedy patrzyła na ścienne królestwo szczurów.

– Zjadłyby go, bo musiałby tu siedzieć z pięć lat! Stąd nie było wyjścia – burknęła Olga.

– A inne takie miejsca?

– Co z nimi? – Olga nie rozumiała pytania albo udawała, że nie rozumie.

– No są, prawda? Gdzieś są? Istnieją?

– Jasne, wszędzie. Przecież mówiłam, nie babrałam się z remontem, kryłam wszystko, jak leci.

– I może one, te inne miejsca, mają jakieś wyjścia? Przejęcia?

– Nie mają! To nie była Narnia, tylko stara chałupa z dobudówkami – warknęła Olga. – Zapytajcie Lipcowej, ona pamięta, jak tu było.

– O kurczę! Lipcowa! – zawołali Mateusz i Melka, rozgrzani na tyle, że chcieli już lecieć z powrotem do wioski.

– Ej, zaraz – mruknęła Olga. – Ciotka wam krwawi. Idźcie do Chrobotków i kupcie jakiś plaster albo opatrunek. Mnie się w apteczce wszystko wykończyło.

– Do jakich Chrobotków?

– No do apteki! Przecież mówię. – Olga pokręciła głową z niedowierzaniem, jak to ludzie potrafią niczego nie rozumieć, nawet jeżeli nie mówi się do nich hieroglifami.

– Ale jakich Chrobotków?! – wrzasnęła Ada, po czym złapała Olę za ramiona i potrząsnęła nią. – Jakich, pytam?!

Kobieta nie rozumiała chyba, o co jej chodzi.

– No jak to jakich? Zwykłych! Tak się nazywa aptekarz i jego żona. Chrobotek. Nic więcej nie wiem. Chrobotek – powtórzyła, zdziwiona.

– Tak samo jak ta zabita kobieta spod szpitala? – rzuciła natychmiast Ada, łącząc obie sprawy.

– A, tak – odpowiedziała Olga. – No tak. Tak samo.

– A czy oni byli jakąś rodziną?

– Patologiczną. – Olga, jakby nadal nie rozumiejąc, roześmiała się odrobinę złośliwie. – Właścicielką apteki jest jej matka, ta, co wyszła za jej byłego męża.

– No szlag! – stwierdziła Ada, spojrzawszy w okno i zemdląwszy.

Szczęśliwy pies latał po chaszczach i wykopywał, co się dało, z rozmokłej ziemi.

Było tam sporo kości, bo prowadzone po kosztach gospodarstwo trochę oszczędzało na wywozie śmieci kuchennych.

To był ten rodzaj gospodarowania, który naprawdę z wierzchu wygląda dobrze, żadnej fuszerki, żadnych niedociągnięć, żadnych potknięć, ale od środka nieco się psuje.

Jak piękne, czerwone, nawoskowane jabłko z wielkim robalem w środku. Fakt, taka sytuacja nie może trwać w nieskończoność, ale póki trwa, nikt niczego nie widzi.

Wycior, szczęśliwy pies, rozkopał wszystko dookoła. Szalał, biegał, skakał i tarzał się, ale złapać go nie było łatwo, szczególnie w siatkę na motyle, którą Kościuchowa jednak usiłowała go dopaść.

Odebranie mu kości nie było trudne. Kobieta wyrwała mu z pyska czaszkę mamuta i kość udową dinozaura, a przynajmniej takie miała wrażenie. Niestety, nie mogła mu wydrzeć z pyska błota.

Ani z pyska, ani z reszty ciała, bo cały się w nim wytaplał.

Ba, do zabawy wciągnął nawet Kościuchową.

I to dosłownie.

Złapał zębami za siatkę i pociągnął. Kościuchowa z pluskiem padła w błoto i z wrzaskiem wytaplała się w pokrzywach, które choć na mokro parzą mniej, to jednak robią, co mogą.

Psa udało się złapać po dobrej godzinie.

Kościuchowa wygrzebała się z błota. Nie było na jej twarzy, no może poza oczami, miejsca, które nie byłoby czarne i ubąblone. Cała reszta też była ubąblona i ubłocona.

Wściekłość wychodziła z niej warczeniem.

Takiej Kościuchowej nikt by nie chciał poznać.

Pies rzucił się do ucieczki.

Nie docenił swojej przeciwniczki. Tym razem nie miała dla niego litości. Dopadła go, złapała, wsadziła pod pachę i ruszyła do zajazdu.

Jedyny problem stanowiło jednak błoto i ten psi odruch, który kazał mu robić błotny prysznic dookoła, jak tylko wyczuł trochę luzu pod pachą. Tego luzu nie było na tyle dużo, żeby uciec, ale sporo, żeby napaskudzić.

Kościuchowa postanowiła wrócić do zajazdu, ze względu na psa musiała przejść tarasem.

Nawet nie wiedziała, dokąd ma iść, ale wymyśliła sobie, że jak wejdzie tarasem do pokoju Ady, bo do swojego nie mogła się w ten sposób dostać, to choć psa wsadzi pod prysznic i przemyje. Łazienkę sprzątnie pokojówka, wszystko pójdzie na Adę, w końcu to jej pies, a Olga się nie wścieknie za upaprane ściany.

Pomysł był niezły, ale kiedy szła pod tarasem, poczuła, że coś grzmotnęło, potem usłyszała wrzask i łomot, następnie krzyki, jak weszła na sam taras, to jednak poszła za głosem i zamiast pod pokojem Ady, wylądowała pod gabine-tem Natalii.

Stała w oknie. Nie usiłowała pukać, bo całkiem możliwe, że nikt by w tym rozgardiaszu nie usłyszał. Stała po prostu i stała w nieco zapadającym już wieczorze, bo jakoś przegapiła lunch, ale obiadu jeszcze nie było. Niby w tym momencie do zachodu słońca było daleko, ale niekiedy chmury potrafią zasnuć niebo na amen.

Wyglądała jak wielka czarna Buka z wyrazistymi oczami i zębami pod pachą.

Nieźle się nawet zdziwiła, widząc, jak Ada pada zemdlona na jej widok. Nie widziała się przecież w żadnym lustrze, może to nawet i lepiej.

Olga zresztą też jej nie poznała i wrzasnęła na jej widok straszonym głosem:

– Mnich! Mnich!

To wywołało zdziwienie w oczach Melki, która była ezoterycznie rozwinięta i od razu wpadła w ekstazę. Nie rozumiała jedynie, jak to możliwe, że Olga wy-czuła mnicha, a ona, Melka, wcale.

Za to Mateusz nie rozumiał, dlaczego mnich merda ogonem spod pachy i szczyrzy kły z miejsca do tego zupełnie nieodpowiedniego oraz, co najważ-niejsze, dlaczego Olga, która przecież twierdziła, że nie wierzy w mnicha, na-gle tak straszliwie zbladła.

Możliwe, że mając jedną możliwość na milion, Melka wyciągnęła telefon i zaczęła trzaskać fotki, bo jednak mnich na Instagramie mógł wiele zdziałać.

– Przestań, kretynko! – wrzasnęła Kościuchowa, co w jej ustach utaplanych błotem także ciut wewnętrznie zabrzmiało bardzo mistycznie, głucho i groź-nie.

– Eeeaaa, eyyyyooo!

Mnich splunął kilka razy i zaczął walić pięścią w okno tarasowe.

Pisk, który wydarł się z ust Olgi i wracającej właśnie do zmysłów Ady, rozwścieczył psa.

Mnich zaczął szczekać.

– Pani Kościuchowa, co pani wyprawia? – zapytał nieprzyjemnym głosem Edzio, który wraz z ekipą właśnie wrócił do zajazdu i szukając Ady, dotarł do gabinetu nieboszczki Natalii.

Jego słowa odczarowały nieco sytuację, choć musiało minąć jeszcze dobre pół godziny, zanim wszyscy zebrali się na dole, to znaczy wszyscy bez psa, Kościuchowej i Olgi. Musieli też zebrać myśli.

\*\*\*

Melka i Mateusz szykowali się do wizyty u Lipcowej, ale to nie przeszkodziło im uczestniczyć w naradzie.

– Czyli co? Coś wiemy? – zapytała Ada tylko dla rozpoczęcia wymiany informacji, bo w końcu musieli coś ustalić, jakiegokolwiek, bo nie wiedzieli nic, a Purchawa nękała ich telefonami.

– Wiemy, że Natalia weszła do gabinetu, zamknęła drzwi tarasowe, zastała drzwi wejściowe książkami. To były jakieś encyklopedie, ale to prawdopodobnie nie ma znaczenia.

– Nie ma, ale raczej zrobiła to sama, bo zawsze tak robiła, kiedy była wściekła i nie chciała interakcji z ludźmi.

Ada westchnęła.

– Jej śmierć, gdyby pominąć nóż w plecach, doskonale pasowałaby do samobójstwa.

– Była w depresji? – zapytała Melka, poczytawszy sobie coś w telefonie.

– Nie, była wariatką! Była wredna, ale nie miała żadnych skłonności w tym kierunku. Ponadto nóż w plecach to nie jest częsta metoda samobójców.

Wszyscy się skrzywili, bo to było śmieszne, ten nóż i samobójstwo, a równocześnie z takich rzeczy nawet nie wypada się śmiać.

Bo zaraz człowieka posądzą o to, że jest psychopatą albo, co gorsza, zbrojcem.

– Tylko jest coś, co mi tu nie pasuje. Gdyby to choć jeszcze wyglądało na samobójstwo, to owszem, ale nawet nie próbowało, to po co to wszystko? Cała ta maskarada, to całe zamieszanie, ten nóż, książki i ta krwawa łapa... To jest po coś. Takich rzeczy się nie robi dla jaj, w chwili kiedy ciało stygnie, a ktoś może



w wejść i coś zobaczyć. No i nie chcę myśleć, co by było, gdyby ktoś zajrzał w tym czasie przez okno tarasowe!

– Czyli ktoś wiedział, że ma czas. Wiedział, że nikt nie zajrzy ani przez drzwi, ani przez okno, znał zwyczajnie, wiedział, co i jak, a na dodatek Natalia się go nie bała.

– I mając takie udogodnienia, zamiast uciekać, wydurniał się z mnichem i łapą. To musiało być mu potrzebne...

– A właśnie, co z tą łapą?

– Nic, to krew ofiary, żadnych odcisków.

– A książka?

– Nic szczególnego. Pytałem techników – stwierdził Mundek. – To był kryminal Joe Alexa.

– Chyba nie ten? – Melka aż podskoczyła z zachwytu, bo mimo młodego wieku o dobrą literaturę się otarła, to zawsze dobrze wygląda, nawet na wybiegach dla miss, a cóż dopiero w CV, no może nie czytała za dużo, ale przynajmniej wiedziała, o co chodzi.

– No właśnie ten. *Jesteś tylko diabłem.*

– O ja pier... kurwa... dołą! – jęknęła Ada w zachwycie. Usiłowała przestać kłać, bo wszyscy uważali, że kobieta w jej wieku i z jej pozycją oraz tuszą kłać nie powinna, powinna zachowywać się jakoś między „ciupem a małdzykiem”, bo deprawuje wszystkich dookoła. Próbowwała. Nic jej z tego nie wychodziło. Właściwie to nawet kłęła jeszcze bardziej, bo tak się starała pilnować, żeby nie kłać, że oczywiście cały czas myślała tylko o przekleństwach. – Przecież to jest chore!

– Jak najbardziej – zgodził się Hubert, który kłać mógł, bo był mężczyzną, więc nie, nawet się nie starał.

– Eeech. Intuicja, moja babska, mówi mi, że... – Ada usiłowała coś zasugerować.

– A ja nic z tego nie rozumiem. – Edzio miał dobre podejście, ale babskiej intuicji nie miał, ba, nawet jej nie szanował, no, nie wierzył po prostu, że istnieje.

Owszem, intuicja jako taka tak, istniała, ale dla niego nie miała płci.

– Bo patrzcie. Ktoś zadał sobie sporo trudu i zmarnował dużo czasu, a po morderstwie czas jest cenny, żeby zorganizować to wszystko tak, żeby wyglądało na niemożliwe do wykonania. Powinien po prostu uciekać, a nie bawić się makabrą... i pozorować nielogiczne samobójstwo.

– Dobra, jasne, ale wbił jej nóż w plecy! Czyli chciał, żeby było widać, że to nie jest samobójstwo, tylko niemożliwe morderstwo! Upozorował wszystkie cechy samobójstwa, a pokazał, że to morderstwo. Po jaką cholere?! Gdyby ją otruił, może to miałyby sens, ktoś mógłby się nabrać, a tak nie ma! I jeszcze ta diabelska łapa na książce. Co on chciał nam pokazać?

– Że Natalia jest wredną suką? – zapytała Melka, zadowolona.

– A tam, to przecież każdy wiedział – odburknęła Ada. – Własna matka miała jej dość! Nie, tu chodziło o to, żeby pokazać, że zabiła ją magia. Mnich, jakaś siła nadnaturalna. Bo nie było jak wejść, a jednak coś weszło i wbiło jej nóż.

– Czyli po prostu ktoś chciał kogoś przestraszyć.

– Właśnie. I nie kogoś, ale wszystkich, wszystkich, którzy o tym usłyszą. Wszyscy, którzy, no nie wiem, zrobią to, co ona? Coś à la porachunki mafijne, zdradziłeś, dopadniemy cię. Chciał powiedzieć: „Patrzcie, co potrafisz, zabiłem ją, zabiję wszystkich, bo jestem... jakiś nadprzyrodzony czy coś. Przechodzę przez ściany, nikt się nie ukryje”. Żebyśmy tylko wiedzieli, za co on ją zabił!

– Albo ona.

– Nie, no, tylko bez genderowania, mnich to facet! Więc on!

– Czyli jednak to jest sprawka mnicha?! – zapytał Hubert, trochę skrzywiony, bo on też przedawkował smakołyki wytaplane w tłuszczu i bolała go świadomość, że mimo kilku profilaktycznie połkniętych raphacholinów wątroba wkrótce go za to ukarze. Na tę karę ze strony wątroby czekał z takim samym przejęciem, jak kiedy był dzieckiem i słyszał od mamy „Poczekaj, niech no ojciec wróci”. Tyle że teraz brzmiało to: „Czekaj, niech no tylko wątroba się odezwie”!

– W pewnym sensie. Tu chodzi o tego mnicha, ale nie wiem w jaki sposób – westchnęła Ada. – Macie coś przeciwbólowego? Bo mnie ta rana po nożu napierdziela jak szlag!

– No mieliśmy iść do apteki...

– A właśnie! Apteka! Ta zabita kobieta nazywała się Chrobotek, a jej matka wraz z jej byłym mężem są właścicielami tej apteki, też się nazywają Chrobotek, czy to wam się jakoś nie kojarzy? Ciekawe, jak do tego doszło?

Oczywiście wszystkich interesowało z wielu powodów, czy matka i były mąż mieszkali tu od lat. Czy może tu właśnie się ukryli przed byłą żoną i w pewnym sensie była córką, bo jakoś na matczyńsko-córczyne uniesienia nikt pomiędzy nimi jakoś nie liczył, czy ta zamordowana przyjechała tu przypadkiem, czy celowo? Czy wiedziała? Czy się kontaktowała? Czy chciała się na mamusi mścić? A może na wiarołomnym mężu?

Trauma, jaką musi przeżyć kobieta, której męża odbiera kobieta starsza i grubsza, jest wielka, jeżeli to na dodatek jej najlepsza przyjaciółka, to istny koszmar, ale matka? Jeżeli to jest własna matka, to naprawdę trudno się po tym pozierać, ale czy to prowadzi do aktów przemocy? I to tak ostatecznej?

– Tylko dlaczego to ją zabiło? Prędkiej ona powinna by kogoś zabić. Byli już po rozwodzie, a więc chyba i po podziale majątku, ona nic nie mogła im zrobić? Nie powinna być dla nich zagrożeniem. Gdyby to ona kogoś zabiła, to byłoby logiczniejsze. Zemsta i tak dalej.

– Po co w ogóle ona tu przyjechała?

– Oficjalnie to na jakąś terapię, ale może chciała dobrać się do rodziny?

– A spotkała się z nimi?

Tego nikt nie wiedział, bo chyba nawet policja nie przesłuchała byłego męża i matki denatki.

– Zaraz, czy ktoś w ogóle z nimi rozmawiał? Wydaje mi się, że Purchawa jakoś ich ominęła, ciekawe dlaczego, ona nie jest zapominalska, może zostawiła ich sobie na koniec?

– To ja się tym zajmę – stwierdził Hubert – i to zaraz.

– Zaraz to kolacja będzie – burknęła Ada. Ona nie była na festiwalu i nie napchała się tłustym dobrem narodowym, za jakie uważa się kielbasę zwyczajną i flaki.

– Jestem napchany – wyjaśnił swoją rezygnację z posiłku.

– Mnie za to bardziej ciekawi, co powie Lipcowa.

– O nie! Pójdziemy do niej, jak zjemy! My akurat jesteśmy głodni, skoro o tym mowa.

– Na kurczaka po meksykańsku?

– Na kurczaka nawet po chińsku, rusku i turecku! Buldoga nie mogliśmy jakoś zjeść – burknęła Melka, która w trakcie lunchu cały czas, mimo że widziała wołowinę, miała przed oczami piękny pyszczek buldożka francuskiego i słyszała jego posapywanie, a jak tylko zbliżała widelec do talerza, w głowie słyszała pisk przerażenia, bólu i grozy.

Nie była w stanie tego zjeść, w sumie nawet dobrze się stało. Potrawy koreańskie są bardzo ostre, a Korneliusz stosował się ściśle do przepisów, dlatego tego dnia płonęły wszystkim usta, następnego dnia miało zapłonąć coś innego.

– No, dobra, zjecie i pójdziecie. A mnie jeszcze fascynują te drzwi – westchnęła Ada.

– Te znaczy te tu czy bardziej te tam? – Edzio wskazał na sufit, bo przecież stąd nie widzieli żadnych drzwi gabinetu Natalii, ale wydawało się, że o nie właśnie chodzi.

– Te i tamte! – odburknęła Ada. – Ty zadzwoń może do Purchawy i dowiedz się, jakie książki tam były pod drzwiami?

– A to ma znaczenie? – Edzio od telefonów do Purchawy usiłował się wymigać, nie zawsze się dało, ale tu wydawało mu się, że to akurat sensu nie ma. – Po co nam to? Nawet jeżeli zamiast encyklopedii były romanse, to jakie to ma znaczenie dla sprawy?

– Pewnie żadne, ale zadzwoń – nalegała Ada.

Edzio chciał wyjść na korytarz, żeby nikt nie mógł usłyszeć rozmowy. Purchawa albo go wyzywała, co było dla niego poniżające, albo mu kadziła miłośnicie, co wywoływało rumieńce zażenowania na jego twarzy. Ani jednego, ani drugiego pokazywać nikomu nie zamierzał.

Niespodziewanie uratował go Hubert.

– Jadę do domu po gacie na zmianę, zanim pogadam z Chrobotkami – stwierdził niby bez związku, ale jednak to miało sens. – Zajadę na posterunek, popytam, bo Purchawa ma swoje za uszami, może nie wszystko nam udostępni? A może po prostu czegoś się dowiem poza oficjalnym obiegiem informacji?

Edzio chciał go wycalować, ale oczywiście walnął go tylko pięścią w plecy, po przyjacielsku, ale mocno, co po ostatnich przejściach z kaszanką i bigosem spowodowało niechciany efekt.

– Bee – beknął Hubert.

– Świnia! – mruknął Mateusz, jego słowa nie wywołały sprzeciwu.

– No, a te drugie martwią mnie o wiele bardziej. – Ada kontynuowała swoją przemowę.

– Nie, no, nie musiały mieć znaczenia. – Mundek był zły na zapędy Ady, bo o ile w domowych, a nawet bufetowych pieleszach jej przywództwo oczywiście uznawano, to jednak w takim śledztwie na wychodźstwie, albo bardziej na występach gościnnych, nie powinna się zachowywać, jakby była szefową, choć nią była.

Pozory teraz w naszych dziwnych facebookowo-instagramowych czasach bardzo zyskały na znaczeniu i już nikt nawet nie udaje, że są po to, żeby jakoś ukrywać prawdę; one ją zastępują na całego.

– Nie jako drzwi – mruknęła Ada.

– Jeżeli nie jako drzwi to jako co? Tort czekoladowy? – Melka ryknęła śmiechem. – Dla szczurów?

Ada przez chwilę myślała, jak ująć to w słowa.

– Jako przejaw nadrzędności jednych spraw nad innymi i rozbieżności celów.

– Ciotka? Pogięło cię? – Melka nie miała litości.

– Chodzi mi o to, że tu naprawdę coś mogło być. Jakieś miejsce, coś ważnego, coś z tym mnichem, coś, co Olga załaziła betonem, zarzuciła tynkiem, a to miało jakieś znaczenie i teraz ludzie coś z tym robią.

– Nie! To nie tak. Właśnie odwrotnie – burknęła Melka.

– Czyli?

– Przecież ktoś zabił Natalię.

– A powinien Olgę?

– Nie, ale Natalia chciała tu coś zmieniać. Gdyby chodziło o to, co mówisz, to ludzie by się cieszyli, że wszystko wróci do normy.

– Nie, bo ona chciała to wszystko zrównać z ziemią! Czyli stan, jaki jest, jest pakadny, ale ona chciała jeszcze pogorszyć. Kto mógł ją zabić?

– Mąż?

– Dlaczego?

– Bo wszyscy mężowie to zawsze mordercy! – zaśpiewała Melka na melodię „Bo wszyscy harcerze to jedna rodzina”.

– Ty, Melka, przestań, bo ci przywalę. – Mateusz się wściekł.

– To były mąż, ale dobra, mąż, matka...

– Lipcowa?

– Może być i Lipcowa.

– A reszta?

W całej sytuacji to nie mógł nikt, choć właściwie każdy mógł, bo Natalii nikt nie lubił, ale też jeszcze nie nadeszły czasy, kiedy z powodu odlajkowania postu na Facebooku kogoś się zabija, niestety niewątpliwie kiedyś te czasy nadejdą, dlatego odlajkowujemy, co się da, już teraz.

– Bo to jest jakieś dziwne. Kogo nie zapytać, wszyscy są za zmianami: i Korneliusz, i Albert, a tylko Olga i Lipcowa przeciw, to tak jakby tylko one dwie miały motyw, z tym że Olga nie chciała zmian ze względu na pieniądze, co da się zrozumieć jako naturalne, choć przyziemne, a Lipcowa ze względu na mnicha.

Mimo wszystko jednak do tego, aby kogoś zamordować i odwalić taką maskaradę, trzeba jakiejś bardziej konkretnej przyczyny, poza tym to było trochę jak porachunki mafijne.

Ta śmierć miała komuś coś pokazać.

Ktoś zrozumiał jej przekaz.

Bo niewątpliwie był to właśnie przekaz. Przecież morderca nie liczył raczej, że nieistniejący mnich da mu alibi.

No chyba że sądził, iż przestraszy policjantów.

Może zresztą by i przestraszył, ale akurat GBŚ nie było takie lękliwe w zakresie ezoterycznym.

Mieli do dyspozycji Melkę.

– No, dawaj, mała. – Ciotka Ada tym razem bezpośrednio zwróciła się do siostrzenicy, odnosząc się do jej zainteresowań. – Co ty o tym sądzisz? Duchy i te sprawy ciebie jakoś bardziej dotyczą niż nas.

– No ale to jakieś mało mistyczne. – Melka aż się zdziwiła tym pytaniem, tak że nie wiedziała, co powiedzieć. – Przecież to nie ten mnich ją zabił, ktoś to upozorował dla odstraszenia. Czyli nawet ten ktoś w mnicha nie wierzy.

– Komuś zależało, żeby nie było przebudowy? Czy tylko żeby niczego nie ruszać? Czy chodziło o to, żeby nic nie zniszczono, czy żeby nic nie zbudowano?

– Trzeba zapytać Olgi, na ile to było w ogóle realne, bo to wiele zmienia.

\*\*\*

Obiad podano i był jak zawsze piękny. Piękno dań jest teraz często ważniejsze od ich smaku i zawartości, o pożywności nie mówiąc. Dawno zniknęły bure potrawy w trzęsących się brązowych sosach, nakrapiane brunatnymi ochłapami mięsa. O nie, teraz nikt by tego nawet nie tknął. Teraz wszystko jest kolorowe, nawet za cenę chemicznych dodatków. Wszyscy kochają fioletowe kluseczki, szmaragdowe jajka czy zielone naleśniki, a kucharz, który potrafiłby pięknie podać kaszankę w kolorze tęczy, mógłby dostać nawet Nobla kulinarnego, gdyby taki istniał. I gdyby degustatorzy przeżyli.

Takie restauracje jak ta w zajeździe mają to do siebie, że potrafią sprawić, iż człowiek czuje się, jakby zjadał dzieła sztuki. Cudne półmiski z kurczakiem (choć po tym, co mówiła Olga o batatach, mogły to być pieczone koty albo wieiórki, bo bezpłatne) wyglądały i pachniały oszałamiająco.

Jadalnia jednak ziała pustkami.

Adam padł po krupniokach i dogorywał w pokoju, choć jego żona się zjawiała, Mefju też zwracał na siebie uwagę odgłosami w łazience i nie był w stanie niczego przelknąć, Hubert wyjechał, były za to Letycja i Marcelina, Albert alienista i trener, a ostatnio juror piwnych piękności, Korneliusz, który nie wiadomo dlaczego jadł wraz z nimi, zamiast latać po kuchni i warzyć na podkuchenne, i żona Mefju wściekła na męża, a więc na cały świat.

I to było całe tutejsze towarzystwo, bo nie przyszła Lipcowa, choć na kolację podobno często przychodziła.

Tym razem jednak zapowiedziała, że jej nie będzie.

Zawiadomiła ich o tym Olga, wściekła, bo zostało jej za dużo kurczaków, które i tak wyliczała na styk.

Oczywiście najważniejsze było, żeby nie zabrakło, ale za dużo też nie było dobrze, bo drugi raz nie poda, wyrzucić nie wyrzuci i będzie musiała kombinować.

– Też za ostre – stwierdziła.

Przez chwilę nikt nie zrozumiał, o co właściciele chodziło, ale po chwili jakoś to jednak dotarło.

– Której? – zapytała Ada.

– Lipcovej. Powiedziała, że i tak ma spotkanie strażniczek, więc nie przyjdzie.

Wiść o spotkaniu strażniczek ucieszyła Melkę i Mateusza, bo dawała im szansę na pociągnięcie sprawy zabójstwa, a może i zabójstw, i rozwiązanie zagadki. Mocno wierzyli w swoje możliwości i zaangażowanie Lipcovej, która według nich była bardzo podejrzana.

– A one, te strażniczki, to jakie są? – zapytał Mateusz z ciekawością człowieka szykującego się na pierwsze starcie z niebezpiecznymi istotami.

– Głupie? – zapytała Olga złośliwie. Nie miała dobrego zdania o tej grupie mieszkanek Mnichowoli.

– A nie, to akurat nieważne, chodzi nam o wiek! – wyjaśniła Melka.

– Dwudziesty pierwszy! – warknęła Olga. – Dwudziesty pierwszy wiek, a one takie zabobony odprawiają! No, aż się płakać chce. I przecież młode są – westchnęła. – Żadna nie skończyła nawet siedemdziesiątki!

No cóż, punkt widzenia to sprawa skomplikowana.

– Hubert, gdzie jesteś? – Ada zadzwoniła do kolegi, bo chciała się w końcu czegoś dowiedzieć, a ten wyjechał i jakoś nie dawał znaku życia. Co prawda, nie było go dopiero pół godziny, ale Ada bardzo się niecierpliwiła.

– Jak dokładnie chcesz wiedzieć? – zapytał Hubert złośliwie.

– Bardzo dokładnie! – zażądała nieopatrznie.

– W kibelku – odpowiedział Hubert. Lubił robić takie kawały i nie zawsze były niewybredne, ale tym razem jednak Ada się wkurzyła.

– Przestań, świntuchu! Ty lepiej powiedz, kiedy będziesz na posterunku. Przecież miałeś się czegoś dowiedzieć! Rusz dupę! – rozkazała.

– Na posterunku już byłem, teraz tylko zabieram gacie i jadę do Chrobotków.

– Dowiedziałeś się czegoś?

– Że ten idiota kłamał! Tych tytułów wcale nie było widać zza okna!

\* \* \*

Jedzenie było pyszne, mimo sporej dawki ostrości.

Melka aż sphywała potem, ale pakowała w siebie meksykański przysmak, choć nie był w zasadzie aż tak bardzo meksykański, tylko dość zwyczajny, a meksykańskość nadawały mu po prostu tona ostrych przypraw i kukurydza. Wiadomo jednak, że dobry kucharz bywa cudotwórcą.

Mateusz też ledwie był w stanie zjeść to piekielnie ostre danie.

Z pewnym zdziwieniem przyjąłby do wiadomości, że ten „meksykański” wizerunek został wymuszony nie pierwszą i chyba nawet nie drugą świeżością kurczaka, choć podobno druga świeżość nie istnieje. Już Bułhakow o tym pisał.

Ale przyprawy nie raz i nie dwa ratowały nadgryzione zębem nieświeżości dania, skutecznie maskując niezbyt kuszący zapach albo smak.

To częsta praktyka nie tylko w restauracjach.

To samo przecież zdarza się w przypadku niektórych morderstw. Przyprawy są w stanie zamaskować smak niejednej trucizny.

Ada nie przepadała za takimi daniami, a Kościuchowa zażądała kolacji do pokoju, bo bała się wypuścić psa, którego właśnie wykąpała.

Kąpiel zabarwiła na czarno ściany i kafelki w łazience, i kobieta zastanawiała się, jak z tego wybrnie. Finansowo, bo malowanie ścian potrafi drogo kosztować.

Ada, nie denerwując się zbytnio, wyszła na korytarz, gdzie spotkała Alberta.



Niby jej koledzy już z nim rozmawiali, ale ona nie wierzyła w tym wypadku ich intuicji. Obawiała się, że zadawane mu pytania ograniczą się do tematu morderstwa, a na każde „czy zabiłeś” on z pewnością odpowie, że nie. Ona chciała się dowiedzieć czegoś innego.

– A pan to był za rozbudową, w sumie przebudową, czy przeciwko? – rzuciła niezobowiązująco.

Nie był głupi, ale liczyła, że może się z czymś wychyli. Jakos jej się wydawało, że stosunek do tej sprawy może mieć znaczenie.

Totalnie ją zaskoczył.

– Byłem za – uśmiechnął się, widząc nieprzeniknioną minę Ady – ale też i przeciw.

Tego zrozumieć nie mogła.

– To jest całkowicie niekompatybilne – powiedziała, zaszokowana. W obecności terapeuty nawet jej język zaczynał wspinać się na wyżyny elokwencji. Albert był typem mężczyzny, który zmuszał do wysiłku.

– Ależ nie ma pani racji. – Uśmiechnął się znowu, tym razem nieco pobłaźliwie. – Wie pani, ile jest takich gabinetów terapeutycznych? W Polsce?

– Takich? Jakich takich?

– Takich niemedycznych, nie z lekami, takich no...

– Rozumiem, takich, które potrafią człowiekowi wyleczyć przede wszystkim to, na co nie choruje.

– O właśnie. Pani to rozumie. To jest biznes. I właśnie o to chodzi. Gabinetów jest sporo, klientów nie przybywa, a zarabiać trzeba.

– Więc co robić?

– Są dwie możliwości: albo tworzymy klientów, albo tworzymy coś niezwyklego, czego gdzieś indziej nie ma.

– Ale co to ma...

– Ależ ma! To ma do tego, że klientów nie da się tworzyć na kopa, bo wmańwanie nieistniejących chorób to poważna sprawa. Za to terapia to jest cud. I to jest to. Owszem, nowa sala, nowe gabinety, nowe możliwości to supersprawa, tylko idiota by się nie cieszył, a ja idiotą nie jestem, niemniej mnich to wartość nieoceniona, tego nie ma nikt! Mnich i jego wpływ mistyczny mają ogromną siłę przyciągania, można znosić stary katafalk czy ciasne gabinety, ale za to mamy moce od mnicha! A mnich jest nadnaturalny, on nawet kurzajki wyleczy! Tradycja, mistyczne klimaty i inne wajby! Normalnie super, to jest coś niezwykłego, więc naprawdę byłoby lepiej gdyby to zostało tak, jak jest.

– No a te kurczajki – Ada popatrzyła na jeden z swoich palców – to nie lepiej po prostu iść do dermatologa?

– Ależ z pani naiwniaczka. Za przeproszeniem oczywiście, ale pani nie rozumie. Dla mnie nie lepiej. Ja zarabiam na takich, którzy nie idą do dermatologa. Leczenie u dermatologa jest niezdrowe. Nic nie daje. Wie pani, że jedna taka to przychodziła do mnie czternaście razy?

– Z kurczajką?

– No z chorobą weneryczną też, ale zarobek miałem cudny.

– I co z nią się stało?

– Nie wiem.

– Zmarła?

– Dlaczego miała umrzeć? Od kurczajek się nie umiera – warknął Albert.

– Mówił pan coś o chorobie wenerycznej.

– No tu to tak. Tu był kłopot, poddała się i zaczęła brać jakieś lekarstwa. Pewnie lekarze ją wykończyli, oni często tak mają, to znaczy nie lekarze, ale te ich dziwaczne leki, bo wie pani, leki nie leczą, one powodują kolejne choroby, żeby lekarze mogli więcej zarabiać.

– Czyli nie zabiłby pan Natalii?

– Miałbym ją zabić z powodu samotni? Ja? Poważnie pani pyta?

– Właśnie.

– Bezsens. Jakby już zdobyła pieniądze i to rozbudowała, tobym się przewalifikował.

– A czy, abstrahując od samotni – język Ady znów niechcący wspiął się na wyżyny elokwencji – pan albo ktoś inny, ktokolwiek zresztą, mógł ją zabić z innego powodu?

Albert westchnął tak, jakby był bardzo tym pytaniem zniesmaczony, właśnie tym jednym, na które jeszcze nie zdążył odpowiedzieć, ba, nawet nie wiadomo, czy chciał.

– Nie wiem. Nie wiem zupełnie. Ludzie się zabijają za kilka groszy, więc niech mnie pani o coś takiego nie pyta. Natalia zaszła wszystkim za skórę, odkład zaczęła tu pracować.

– Olga coś wspominała na ten temat.

– Zrobiła błąd.

Wzruszenie ramion Alberta wcale Adzie nie pomogło zrozumieć, czego dotyczyło sformułowanie i kto zrobił ten błąd, bo to nie było wcale oczywiste.

– Olga zrobiła błąd, zatrudniając córkę? – zapytała dla uściślenia.

– Nie, Natalia, ona zrobiła błąd, zatrudniając się w gminie, ale potem to już poszło i nie wiem, o co zresztą poszło, ale wydaje mi się, że to miało znaczenie.

Ta nie całkiem nowa wiadomość, podana jednak w nowy sposób i z innym nastawieniem, zainteresowała Adę.

Często tak jest. Jeżeli patrzy się na coś pod jednym kątem, widać wciąż to samo, a jeżeli się spojrzy z innej perspektywy, wszystko może wyglądać zupełnie inaczej.

Tak było z pewną żoną, która otruła męża.

Bo fakt. Otruła. Grzybami. Pół Polski wieszalo na niej psy, drugie pół żądało przywrócenia kary śmierci. Mężczyźni pikietowali na ulicach miast, żeby zakazać kobietom trucia mężów, a kobiety pikietowały na placach centralnych, żeby zakazać żonom gotowania zupy grzybowej.

Potem ktoś sprawdził i okazało się, że grzyby mąż sam zebrał w lesie. Sam kazał kobiecie przygotować coś z muchomorów, bo w Internecie wyczytał, że dozna od tego objawienia. Ona ugotowała zupeł, on nie doznał niczego, sam więc zrobił sobie sałatkę. A właściwie surówkę. Z muchomorów i wtedy już doznał.

Doznania były bardzo bolesne i ostateczne.

– Ta praca w gminie? Podobno pracowała tam ledwie kilka miesięcy i zupełnie nie była za nic odpowiedzialna. W jakimś okienku siedziała?

– Przecież nie mówiłem, że coś nawywijała, mówiłem, że zrobiła błąd, zatrudniając się tam. Błąd taktyczny.

– Czyli?

– Moim zdaniem, gdyby tego nie zrobiła, toby żyła. To proste.

– To ktoś stamtąd ją zabił? To pan chce zasugerować? Bo zakochała się w sekretarzu gminy, a on żonaty był i ta żona się dowiedziała? O to chodzi?

– Nie i ja naprawdę nie wiem, kto ją zabił, ale to się przyczyniło. Wie pani, skrzydła motyla i lawina? Idzie pani na przykład w lewo zamiast w prawo i spotyka pani gwałciciela. W ten deseń.

– Gdzie? Tu, w Mnichowoli?

– Nigdzie, to tylko teoria. To...

Albert swoje biologiczno-medyczne teorie zaczynał dostosowywać do losów wszechświata i Ada nie była pewna, czy coraz bardziej odrywał się od rzeczywistości, czy rzeczywiście coś chciał powiedzieć. Coś konkretnego.

– No tak, ale jak już ją zwolnili? – Ada uśmiechnęła się uspokajająco, jakby rozmawiała z uzbrojonym wariatem, który, co prawda, był uzbrojony

w dziwne teorie, ale były one ostre i niebezpieczne, a na dodatek szkodliwe. – To po co ktoś by ją zabijał?

– Widzi pani, z niektórych miejsc pracy coś można wynieść. – Uśmiechnął się szeroko i zagadkowo.

– Jezus Maria, ona kradła?! To o to chodziło z tymi pieniędzmi?! – Ada ucieszyła się niezwykle, bo to by dawało coś sprawie. Natalia mogła na przykład okraść gminę na grube miliony, wrobić kogoś, chcieć za te pieniądze przerobić zajazd, a ktoś, ten okradziony najpewniej, postanowił ją zabić, bo choć na ogół morderstwo pieniędzy na koncie nie przywraca, to jednak daje sporą satysfakcję, chwilową, bo chwilową, ale jednak.

– Ależ z pani to jest wariatka! Nie kradła! Proszę się wznieść na wyżyny intelektu i nie brać tego, co mówię, dosłownie!

Ada, pracując w bufecie policyjnym, wynosiła tylko konkrety: kawę, herbatę, cukier i papier toaletowy.

– Chodzi panu o satysfakcję?! – burknęła, a widząc jego minę, pospiesznie dodała: – Już wiem! Wrzody żołądka!

Niestety więcej się nie dowiedziała, bo Albert tylko się uśmiechnął i zatarł ręce.

– Hmm, ma pani rację! Na policyjnych wrzodach można niezłe zarobić! Policja ma czym płacić! Muszę napisać do komendanta! – zawołał i wybiegł z zajazdu.

\* \* \*

Hubert zajechał pod aptekę i wpadł do wnętrza, zaafierowany. Chciał się dowiedzieć, gdzie mieszka właściciel z rodziną, ale od razu trafił na nich oboje, bo o tej porze, tuż przed zamknięciem, szykowali się do zakończenia dnia. Pracownicy już wyszli, a oni przeliczali utarg, spisywali szkody, których tego dnia było sporo, i zastanawiali się, kiedy zarobią na wakacje na Bahamach.

Jak zazwyczaj w takich małych miejscowościach apteka była umiejscowiona w prywatnym domu, należącym, też jak zazwyczaj, do właściciela.

Nikt nie chciał przecież wynajmować pomieszczeń i płacić za wynajem obcym ludziom, kiedy można było tego nie robić, a że miejscowość była niewielka, to otwarcie apteki w prywatnym budynku nikogo nie dziwiło. W prywatnych budynkach były też inne takie punkty handlowo-usługowe: sklep, zakład fryzjerski, zakład pogrzebowy, klinika weterynaryjna, gabinet stomatologiczny i jakoś to trwało.

– Czy państwo są rodzicami pani... – Zamilkł, bo zorientował się, że trochę przesadził. – To znaczy nie, czy pani jest...

Oboje państwo aptekarzostwo stanęli, wybaluszyli oczy i popatrzyli na Huberta wrogo. Jeżeli ktoś w białym fartuchu patrzy na ciebie wrogo, to wiedz, że coś się dzieje. Huberta na chwilę sparaliżowało.

– Tak, jestem Emilia Chrobotek, ta dziewczyna znaleziona pod szpitalem to...

– Ta, co wyskoczyła – dodał szybko i jakoś tak zapobiegawczo mąż kobiety.

– To moja córka Malwina. – Kobieta westchnęła boleśnie, ale trudno było wyczuć, co tę boleść powoduje: to, że była córką, czy to, że znaleziono ją pod szpitalem, czy może to, że wyskoczyła. Wszystko było możliwe.

– A moja była żona – oświadczył aptekarz.

– Dlaczego państwo... – Nie dokończył, bo mężczyzna wyraźnie był przygotowany na to pytanie. Zresztą może nie na to, ale na każde, jakiekolwiek by mu zadano. Był nastawiony konfrontacyjnie. To dało się wyczuć.

Hubert chciał zapytać dlaczego, skoro wiedzieli, kim była ta dziewczyna, która została znaleziona martwa, i to w takim dziwnym miejscu, dlaczego nie zgłosili się na policję, ale ludzie bywają bardzo ostrożni albo dziwni. W każdym razie czasami robią wszystko, żeby uniknąć kontaktów z organami ścigania, i wcale nie zawsze dlatego, że są mordercami. Albo nie tylko dlatego.

– Bo po pierwsze nikt nas o to nie pytał, pan jest pierwszy, po drugie my już z nią nie mieliśmy nic wspólnego – wyjaśnił były mąż ofiary.

– A więzy krwi? – Hubert potrafił być upierdliwy, jak się postarał.

– Pan sobie żartuje? – prawie krzyknęła aptekarka. – Wiem, to moja córka, ale całe życie mam pokutować za jeden błąd? To już makabryczny poród nie wystarczył?

Wiele kobiet poród uznaje za coś zdecydowanie istotnego, nawet po trzydziestu latach, i potrafi się nim zasłaniać jak tarczą.

– Pani miała coś przeciwko niej? Znaczą, chodzi mi o to, że... – Hubert chciał zapytać o miłość do dziecka, ale nauczony doświadczeniem unikał wielkich słów, bo niektóre kobiety zaczynały gryźć i kopać.

– Niech mnie pan źle nie zrozumie! To moja córka i kochałam ją, ale ona była nienormalna! Ja już nie miałam do niej siły!

Oświadczenie tej kobiety dało Hubertowi nadzieję na szybkie rozwiązanie sprawy.

– I dlatego ją pani zabiła? – ucieszył się ostentacyjnie, co nie uszło uwagi obojga obecnych, ale nie wzbudziło w nich nic poza zaskoczeniem, całkiem możliwe, że szczerym.

– A to ona została zabita? – Mąż aptekarki wyraził swoje zaskoczenie w połączeniu z niedowierzaniem.

– A jak pani myśli? – zapytał złośliwie Hubert.

– Myślałam, że skoczyła. Miała takie dziwne odbicia.

Temat oczywiście w takim momencie powinien się pojawić w badaniu psychiatry, o ile do psychiatry chodziła, ale chwilowo jeszcze go nie zlokalizowali. Mogła zresztą nie chodzić, ludzie lekarzy tych specjalności unikają, dopóki nie zmuszą ich do tego okoliczności. Jeden facet przyszedł do lekarza, twierdząc, że zmusiła go do tego żona, która dziwnie na niego patrzyła. Nie dodał, że w trakcie duszenia.

– Myśli samobójcze?

– A gdzie tam. Ona po prostu terroryzowała wszystkich. Dlatego myślałam, że skoczyła.

– Żeby sterroryzować? Wszystkich? Nie sądzicie, że to dość karkołomny pomysł? Jak można sterroryzować wszystkich czymś tak ostatecznym?

– Nie, ona zabić się na pewno nie chciała, ale mogła się pomylić w obliczeniach, na przykład udawać i coś poszło nie tak?

Wielu ludzi woli nie wierzyć w oczywistość.

– Nie, muszę panią rozczarować, nie, ona została zamordowana.

– I sądzi pan, że to zrobiłam ja? Albo mój mąż? – Z ust kobiety zaczął się wydobywać wściekły charkot.

– Cóż, nie jest to myśl, która by mi nie przeszła przez głowę.

Oboje popatrzyli na Huberta oczami okrągłymi ze zdziwienia. Wściekły charkot ucichł.

– No nie wiem po co – stwierdziła kobieta. – Po co miałabym ją zabijać? No niech pan mi powie, do jasnej cholery?! Po co?

– Zemsta, spadek, wściekłość... – Hubert chciał jeszcze dodać kilka rzeczy, ale mu przerwano.

– Zemsta nie, to prędzej ona miała ochotę się mścić na nas! Za nasze szczęście! Spadek nie, nie dysponowała żadnymi pieniędzmi, a niczego innego chyba też nie miała, a wściekłość? Czy ja wiem? Była upierdliwa do znudzenia, ale za coś takiego się nie zabija.

Trudno sobie wyobrazić, za jak głupie i mało ważne rzeczy ludzie potrafią zabijać. I wcale nie chodzi tylko o jakieś marne grosze wydłubane z portfela ofiary.

– Kiedy państwo ją widzieli po raz ostatni? – Hubert w końcu zapytał o konkrety.

– Na naszym ślubie – odpowiedzieli oboje naraz. I Hubert aż się zakrztusił, bo ślub byłego męża z kimś, kto doprowadził do rozwodu, to nie jest dobre miejsce na jakiegokolwiek spotkania, a jeżeli jeszcze ten mąż, były bo były, żeni się właśnie ze swoją teściową, w tym momencie już była, to naprawdę nic nie zapowiada radosnego spotkania i szczęścia w oczach, no chyba że ktoś jest psychopatą i cieszy się, widząc okazję do podejrzenia komuś gardła.

– Zaprośiliście ją?

– Nie, zwariował pan? Aż tacy durni nie jesteśmy! Sama przyszła! Trochę nawet się awanturowała, ale tylko tyle. Wie pan, rzucała w nas kawałkami tortu i schabowymi, pluła do waz z rosółem, wywalala sałatkę jarzynową na głowy niektórych gości. Takie tam, w sumie nic krwawego. Można powiedzieć, że wszystko odbyło się dość lajtowo, bo zapowiadała krwawą zemstę.

– Kiedy to było?

– Dwa lata temu. Pobraliśmy się, sprzedaliśmy wszystko i odkupiliśmy dom wraz z interesem od właściciela, mieliśmy nadzieję, że w Mnichowoli nie będzie nas nawiedzać.

– Ale mnie chodzi o teraz. To, co było dwa lata temu, to trochę w tej sytuacji prehistoria.

– Teraz to w ogóle. Początkowo nie wiedzieliśmy, że przyjechała. Potem Olga powiadomiła nas, że siedzi u niej, no i wiemy, że była w aptece chyba dwa razy, ale tylko po jakieś leki. Ludzie nam donieśli, bo w takich miejscowościach ręka nogę myje, noga rękę... i tak dalej.

– No to trochę inaczej.

– Ja wiem, co mówię, po prostu ludzie tutaj podzieleni są trochę inaczej niż w mieście, przedsiębiorcy się wspierają. Ja na przykład zawsze dostarczam im, tym z zajazdu, leki na zgagę, opatrunki i takie tam inne drobiazgi, a oni mnie wiadomości albo czasami ciasta.

– Weterynarz przyjmuje nasze koty – wyjaśnił mąż aptekarki – bo nie mamy dzieci, a instynkt macierzyński wręcz ogromny, a my mu dajemy gryzaki po tanioci. No wiadomo. Pomagamy sobie. I Olga obiecała nie ruszać naszych kotów. Na sto procent.

– A dlaczego by miała ruszać?

– No, nie miałyby, ale plotka poszła, że podaje pieczone koty, to musieliśmy się zabezpieczyć.

Pieczone koty go zemdliły, ale nie zainteresowały. Nie wierzył w aż takie okrucieństwo. Owszem, wiewiórki, króliki, pawie mógł jeść, ale nie koty. Bardziej w tym momencie jednak interesowała go tragicznie zmarła córka aptekarki i aptekarzowej zarazem.

– Czyli ona się z państwem nie spotkała? – zapytał dla pewności.

– No właśnie nie, nawet nie dzwoniła, nie wiem, czy przyjechała tu dla nas czy z innych powodów, ale się nie skontaktowała.

I nie widzieliście się z nią?

– Jasne, że nie! Unikaliśmy jej, choć...

– No? – Hubert aż zamarł z ciekawości

– Wysłała nam SMS-a kilka dni temu, a że był dziwny, zignorowaliśmy. Wie pan, z takimi ludźmi naprawdę trudno się żyje. Mówią jedno, robią drugie, a ona była w tym mistrzynią, wiem, co mówię, przeżyłem koszmar jako jej mąż.

– Możecie mi go pokazać? – Huberta bardziej interesował SMS niż małżeński koszmar.

– Właściwie tak, chciałam skasować, ale był tłum ludzi, to zapomniałam, więc mam – westchnęła matka denatki, tym razem bolejąc nad tym, że nie skasowała tego SMS-a i może przez to zostać połączona ze sprawą córki.

Aptekarka wygrzebała spod lady telefon, poklikała chwilkę, po czym podała go Hubertowi.

„Odkryłam straszną sprawę. Oddzwon”.

– Nie oddzwoniła pani?

– A w życiu! – Aptekarka aż krzyknęła. – No co pan! Pewnie znowu chciała mnie wciągnąć w jakieś swoje pierdoły. W momencie kiedy wysłałam za jej byłego męża, nie miałyśmy już sobie nic do powiedzenia.

– Ale dlaczego?

– Bo ona odebrała to bardzo osobiście.

Hubert pomyślał, że chyba nie ma nic bardziej osobistego niż małżeństwo, ale nie mógł przecież tego powiedzieć im w oczy.

– A to nie było osobiste? – zapytał tylko zdziwiony.

– Nie, to była tylko miłość.

– No ale...



Kobieta stanęła i podparła się rękoma pod boki, jakby szykowała się do walki.

– Wiem, co pan zaraz powie! Że ukradłam męża własnej córce, że co to za matka i tak dalej, ale to nie jest pana sprawa! Niczyja, tylko moja i mojego męża i nikogo nikomu nie kradłam! On leżał odłogiem!

Hubert popatrzył na aptekarza i wyobraził go sobie leżącego odłogiem. Skojarzenia były nieuniknione.

– Mnie bardziej interesuje coś innego niż mąż leżący odłogiem... – westchnął. – Znowu chciała was wciągnąć w jakieś swoje pierdoły? Proszę powiedzieć, co chodziło. Jakie swoje pierdoły, dlaczego znowu, i co to było?

\*\*\*

Melka i Mateusz z mocno w tej chwili wyparزونymi gębami poszli w kierunku szpitala, bo tamtędy zamierzali dostać się do domu Lipcowej.

Adresu nie znali. Postanowili iść tam na „czuja”, czyli tą samą drogą, którą szli poprzednio. Oczywiście nie byli pewni, czy im się to uda, ale liczyli, że nie znajdą się pod szpitalem w charakterze malowniczych zwłok. Ponadto jak nie dotrą, to przecież zawsze potem można kogoś zapytać.

Oczywiście w wioskach wieczorami ulice są wymarłe, latarnie albo się palą, albo nie, w zależności od przypadku, a spotkanie człowieka, którego można by o coś zapytać, graniczy z cudem, bo nikt nawet psów nie wyprowadza, w każdym razie nie o tej porze, ale ludzie w pewnym wieku, a to określenie wcale nie znaczy tutaj „starzy”, ale właśnie „młodzi”, nie zdają sobie sprawy z wielu rzeczy.

Biorą życie, jakim jest, i uczą się na błędach, co bardzo sobie cenią wszyscy internetowi kołcze, ale trzeba tu zaznaczyć, że nie wszystkie błędy są pouczające. Istnieje kilka kategorii takich, które zabijają.

Mateusz kilka już wypróbował, ale Mateusz po pierwsze zawsze miał szczęście, po drugie nigdy niczego się nie nauczył.

Była już ciemna, chmurna noc. To znaczy wieczór był ciemny, bo było pochmurno, ale ta pora do miana nocy jeszcze się nie kwalifikowała.

Przeszli po znanej im już dość, rozchlapanej kałużami drodze i dotarli pod szpital, który w tym momencie wyglądał jak ciemna makabra.

Takie budynki są bardzo romantyczne, ale tylko na zdjęciach, w życiu zazwyczaj są niebezpieczne i śmierdzące.

Ten, ponieważ znajdował się daleko od jakiegokolwiek większego miasta, zazwyczaj nie był zamieszkały przez nikogo poza szczurami.

Mateusz i Melka trochę się obawiali tego miejsca, ale byli zdecydowani tam wejść. Weszli dziurą w drzwiach, jak poprzednim razem. Potem ruszyli na drugie piętro.

– Tylko licz piętra, żebyśmy się nie spieprzyli w dół, jak ta denatka, albo nie połamali czy coś?

Oboje nagle pomyśleli, że kobieta, ta, którą znaleziono martwą pod budynkiem, mogła wcale nie chcieć się zabić, ale spaść przypadkiem, mogła chcieć wejść na drugie, a weszła na trzecie. Czasami się tak zdarza. Mogła się pomylić i wyskoczyć z trzeciego, myśląc, że to drugie i jest tam ten debilny taras.

To by oczywiście oznaczało, że знаła to miejsce, ale przecież mogła je znać. Była tu przez dwa lub trzy tygodnie, a w takich miejscach z nudów można się nauczyć tabliczki mnożenia.

Albo zacząć zwiedzać ruiny.

Owszem, te historyczne byłyby lepsze, ale z braku laku?

– Ale tam było słychać odgłosy walki – burknęła Melka.

– Odgłosy to ja słyszę z twojego brzucha, to były ślady walki. A może wcale nie walki? – Mateusz zaczął swoje przemyślenia jak zawsze nie w porę i nie na temat.

– A czego?

Problem ze śladami zależy trochę od interpretacji, bo nigdy nie wiadomo na sto procent, czy ten odcisk powstał tak, jak byśmy chcieli, i tak, jak to sobie wyobrażamy. Na przykład komuś zachciało się tańczyć po pijaku, a technicy to jego pijane tango interpretują jako ucieczkę.

Komuś zachciało się skakać, a wszyscy myślą, że oszalał, mówimy oczywiście o bezkrwawych śladach, bo te krwawe są o wiele bardziej jednoznaczne, choć też nie całkowicie. Dlatego interpretacja, którą zastosował Mateusz, mogła mieć jakiś sens, zwłaszcza że nie wiedzieli, jakie ślady znaleziono, bo Purchawa nie była wylewna w udzielaniu informacji, podała jedynie, że były to ślady walki.

– Bo patrz. To mogło być zupełnie coś innego. Wychyliła się za bardzo? Ktoś chciał ją złapać, ale wypadła? Przecież oni naprawdę nie wiedzą, co to mogło być. Wiesz, nasi starszycy to świry, oni wszędzie szukają sensacji, a prostych rzeczy nie dopuszczają do siebie.

– No niby racja. Tak jak z tym mnichem. – Młodzież, nawet ta trzydziestoletnia, zawsze uważa, że ma rację, dlatego Melka zgodziła się z chłopakiem bez

większych problemów.

– Co z nim?

– On może gdzieś tu naprawdę być, ale oni w ogóle nie chcą o nim słyszeć. Chodzi mi o obecność duchową, ale duchowo to by noża nie używał.

– No nie wygłupiaj się! Mnich to mnich, jest czy go nie ma to przyszcz. – Mateusz nie umiał się zdecydować. Bardzo mu pasowało, żeby był, ale sama wiara w tego mnicha mu nie pasowała, dlatego chciał więcej konkretów. Nadprzyrodzoność kusi, jest fajna, ale wiara w nią źle świadczy o stanie psychicznym. – To już drugie piętro? – zapytał dla pewności.

– A patrz, nie liczyłam – westchnęła Melka. Podeszli do okna i poświecili lartarką z telefonu w dół. Był tam taras, czyli było to jednak drugie piętro. – Idziemy, ona mówiła, że idzie się w dół i jak się zejdzie, to prosto na jej dom.

Takie sprawy nie zawsze są bardzo proste. I tym razem nie były. Zeszli lekko obniżającym się tarasem, zwiniętym jakby w serpentynę do samego podnóża szpitala.

Taras miał być najpierw tarasem, a nie zejściem, ale się trochę obsunął, więc żeby go nie niszczyć, naprawili i zrobili z niego drogę ewakuacyjną, bezsensowną i podobną do skoczni narciarskiej, ale w takich obiektach wymagana.

Gdyby ktoś tędy spróbował ewakuować chorego na łóżku, to ten pewnie wraz z malowniczo powiewającym pielęgniarzem i samym łóżkiem wylądowałby na jakimś dachu, a wiadomości o niezidentyfikowanych obiektach latających zalałyby Internet.

Kiedy byli już na dole, musieli przejść przez zdezelowaną barierkę, bo taras był przepisowo zabezpieczony.

Stanęli w jakiś dziwnym, zarośniętym miejscu.

– Czy my nadal jesteśmy na terenie szpitala? – westchnął pytająco Mateusz. – Bo jeżeli tak, to jakim cudem miałby tu być czyjś dom?

– No nie wiem, ale jednak tam jest jakiś dom! – zauważyła Melka, wskazując ciemność. – Patrz!

Ciemność szeleściła, bo wiał potężny wiatr, i było to trochę niepokojące, bo w takich miejscach naprawdę działa wyobraźnia. Gdyby niektórzy pisarze grozy, zamiast w zaciszu gabinetów pisali swoje książki w takich właśnie miejscach, byłiby twórcami bestsellerów, możliwe, że martwymi, bo mnóstwo tam dziwnych ludzi, kleszczy, węży i pająków, a i o zawał nietrudno, ale jednak bestseller to bestseller.

– Tam są trzy domy. Zakładam, że któryś z nich należy do Lipcowej – westchnęła znów zrezygnowany Mateusz.

Rozmowa z osobą o całe dekady starszą i zdecydowanie pokreconą wcale im nie pasowała. Owszem, szanowali szaleństwo, ale nie takie, miało być pełne kolorowych drinków, wygłupów, pożerania chipsów i eksperymentów wszelkiego typu, ale nie mogło obejmować szydełkowania. To było zakazane. I druty! I lukrowane lalczki. I w ogóle to miało być młode szaleństwo, a nie starcze wygłupy.

No i właściwie ciągnęło ich do młodszych.

Postanowili, że przy następnej zbrodni zażądadają dodatku za ciężkie warunki pracy, jeżeli znów trafią im się jakieś starożytne wariatki.

Podeszli do ogrodzenia, a właściwie nieco wyliniątego żywopłotu, w którym były trzy dziury. Każda prowadziła chyba na inną posesję.

Po chwili byli na terenie jednej z nich.

Nie było pewne, do kogo należy, ale musieli którąś wybrać, poza tym zauważyli, że ta dziura była jakoś chyba najczęściej używana.

Po kilkunastu krokach stanęli pod niedużym domem. Jednym z tych parterowych, kamiennych, poniemieckich, ze spadzistym dachem i ганeczkiem oraz z niewielkimi oknami.

W domu było ciemno.

Obeszli go dookoła.

W żadnym z okien nie paliły się światła, ale w jednym z pomieszczeń widać było błękitnawy poblask.

Podeszli pod to właśnie okno, sądząc, że może to być światło telewizora, ale jednak chyba nie było.

Coś tam się działo i nie było związane z oglądaniem telewizji.

– Mnichuuu, przyjdź – huknęło jakby z głośników i zaraz potem poleciała jakaś mroczna muzyka, która po chwili ucichła.

– O ja pierdole! – jęknął Mateusz, bo nagły atak dźwięku go wręcz ogłuszył.

\*\*\*

Ada nie mogła znieść niepewności. Znów zadzwoniła do Huberta.

– Ale o co chodzi z tym, że kłamał? No? Ten Mefju czy jak mu tam było? – zapytała, nie patrząc na to, że Hubert właśnie tak jakby jest w trakcie przesłuchania, o czym wiedziała doskonale.

– Sami zobaczcie! Wysyłam wam zdjęcia – burknął, żeby sobie nie przerywać, i posłał Adzie na telefon to, co zdobył na posterunku.

Owszem, chciał im to pokazać osobiście, ale też był ciekaw, do czego dojdą. Bo miał swoją teorię na ten temat.

\*\*\*

– No i co? Nic nie działa – powiedział jakiś głos wewnątrz mrocznego domu. Wyraźnie to usłyszeli, bo stali tuż przy samym oknie. Wewnątrz musiało być kilka osób. Jedna z nich nie była zadowolona z efektów tego, co właśnie robili, cokolwiek to było. To się dało słyszeć w jej głosie.

– Zadziała, przecież nie wzywamy mnicha, tylko tych idiotów.

– To ja już nic nie rozumiem – rzucił inny głos.

– Chcemy, żeby przyszli, tak?

– No chyba chcemy – odpowiedział ktoś niepewnie – ale po co nam oni?

– Bo oni mogą nam pomóc! – wrzasnął kolejny głos, dość niezadowolony i chyba należący do Lipcowej, o ile się orientowali, ale pewni być nie mogli.

Słuchali, zagłębiając się w mroczne tematy.

Niejasne wrażenie podpowiadało im, że określenie „ci idioci” mogło oznaczać właśnie ich, ale nie rozumieli, w czym oni mogliby komukolwiek pomóc.

I to tutaj, gdzie nie byli nawet na swoim terenie.

Mroczne tematy jednak zeszyły na dalszy plan.

– A sałatka jest całkiem przesolona, ileś ty tu soli dowaliła? – zapytał ktoś wściekłym głosem. – Fuuj! To jest niejadalne!

O talerz brzęknęła łyżka, a w każdym razie coś metalowego.

– Ja? Ja dałam tylko łyżeczkę – odpowiedział ktoś niepewnym głosem. – Znowu się mnie czepiacie?!

– Ja dodałam dwie – przyznał ktoś inny. – Myślałam, że nikt nie doprawiał.

– No to same będziecie żreć to gówno! Przecież to jedna sól! – wrzasnęła jakaś osoba, zdecydowanie płci żeńskiej, i to wściekła.

– Trzeba było iść na kurczaka do zajazdu, a nie kombinować!

Przez chwilę słychać było sapanie, potem rozwścieczony syk. Ktoś się chyba obraził.

– No wiesz? Sklepowa mówiła, że kurczaki nieświeże brali, to co ja się mam truć? Wolę zjeść byle co, niż byle gówno!

– To przecież to samo!

– Ale przynajmniej sraczki nie dostanę, dawaj jeszcze raz! – zarządziła kobieta i mogło to dotyczyć wszystkiego. Nawet sałatki.

Jednak chyba nie dotyczyło.

– Mielonka już wyszła, to co mam dawać?

– Ale mielonkę? Do sałatki? Po co?

Znów coś zaburczało mistycznie. Niektóre rodzaje odgłosów w niektórych sytuacjach są naprawdę makabryczne, na przykład „oczy zielone” o trzeciej w nocy, na pełny regulator w śpiącym bloku.

Jednak tym razem to nie było to.

– Wzywam cię, przyjdź! – huknęło tak jak poprzednio jakby z otchłani, tak mocno i niespodziewanie, że Mateusz aż podskoczył.

– Mielonkę wzywają? – zapytał, zszokowany.

– Za mało ezoteryczna, chyba że głodne! – odrzyknęła Melka przez huk muzyki. Tym razem to było „ameno”.

Melka, nie zastanawiając się długo, walnęła trzy razy pięścią w szybę okna, pod którym stali.

Nie spodziewała się efektu, jaki wywołała.

Muzyka ucichła, a pisk w środku prawie ich zabił.

– I co teraz, kretyńko? I co teraz? Przyszędł! Masz, ty głupia krowo!

Zapaliło się światło. Trzy kobiety w wieku zdecydowanie zaawansowanym wrzeszczały, jakby zobaczyły ducha.

– I co teraz? Co teraz! On tu jest!

Tak to bywa z magią. Wierzysz czy nie wierzysz, zawsze istnieje pewna doza niepewności w jedną i w drugą stronę, i ta doza czasami potrafi zdziałać cuda.

Ludzie lubią powiew mistycyzmu, ale tylko powiew, a nie huragan.

– Przestańcie! Tam nie ma nikogo! Tam nie ma nikogo! – piszczała Lipcowa nie za bardzo pewnym głosem, jakby chciała zagłuszyć swoje lęki. Niewątpliwie potężne. Przebiegła po pokoju, złapała szydełkową serwetkę i założyła ją sobie na głowę, jak gdyby chciała się pod nią ukryć.

Wyglądała jak bardzo stara panna młoda.

– To kto wali w szybę?! – wrzasnęła agresywnie któraś z kobiet. – Mnicha żeś wywołała? To go sobie teraz weź!

Światło potrąconej serwetą lampy sufitowej zamigotało, ale nie zgasło, co spowodowało kolejny pisk przerażenia.

Melka i Mateusz teraz bardzo wyraźnie zobaczyli trzy starsze kobiety miotające się po salonie.

Wszystkich nie znali, choć wiedzieli oczywiście, że jedną z nich, tą serwetkową, jest Lipcowa. One same, gdyby nie zapaliły światła, mogły jeszcze cokolwiek za oknem zobaczyć, niestety przy zapalonym nie widziały niczego.

Melka z rozmysłem znów walnęła trzy razy, stosując dość długie odstępy pomiędzy uderzeniami, co jeszcze bardziej kobiety przestraszyło.

Zabrzmiało jak odgłosy z horroru.

Jak dźwięk z krypty.

– To on! – pisnęła jedna z kobiet. – To on! Ratunku!

– Kto on? – warknęła serwetkowa.

– Gdzie ta mielonka, gdzie mielonka?! – wrzasnęła druga z nich, chyba najbardziej przerażona. Albo chciała wprowadzić odrobinę normalności do tej nienormalnej sytuacji, albo zwariowała.

– Mnich, interesuje nas mnich, nie mielonka! – burknęła Lipcowa, rozglądając się niepewnie naokoło. Zdjęła serwetkę z głowy.

– Przestańcie! – ryknął zza okna Mateusz.

Pewnie dźwięki wcale nie muszą być straszne, żeby być przerażające, wystarczy tylko atmosfera, nastawienie i trochę paniki.

Lipcowa złapała się za serce i usiłując zemdleć jak najbezpieczniej, zaczęła się rozglądać za odpowiednim do tego miejscem.

– To ooon! – wrzasnęły dwie pozostałe.

Teraz Mateusz zaczął walić w okno już systematycznie.

– To ja, to ja! – krzyknął Mateusz jak każdy gość czy znajomy do domofonu, ale gdyby to był seryjny morderca, też mógłby tak powiedzieć.

Przerażony pisk kobiet sprawił mu niemalą satysfakcję.

\*\*\*

Zdjęcia zrobione pod różnymi kątami obejmowały gabinet i rzeczywiście nie było na nich widać tytułów książek zgromadzonych pod drzwiami. Jedynie te na samym wierzchu były nieco bardziej widoczne, i to o ile zrobiono zdjęcie z bliska, bo te robione zza okna tarasowego tytułów ani grzbietów nie pokazywały.

Książki były ułożone w dość wysokich słupkach i przystawione do drzwi w taki sposób, że nie można było tam wejść ani stamtąd wyjść bez przesunięcia tych stosów, a nawet najprawdopodobniej rozsypania książek, bo po prostu by się nie utrzymały.

– Czyli co?

– No dobra, facet kłamał – oświadczył Edzio. – Nie wiem, co to ma do rzeczy, ale kłamał. Celowo? Dla żartu? A może się po prostu pomylił. Tyle. Nie widzę w tym niczego szczególnego.

– A może po prostu widział to kiedyś, a nie wtedy – zastanowiła się Ada – i poszedł za myślowym ciosem.

– No właśnie, powiedzcie, co to nam daje? – Mundek wzruszył ramionami. – Bo sama jego skłonność do konfabulacji jakoś nie wydaje mi się ważna. I po co ktoś kłamie w takiej sprawie?

Ludzie kłamią w wielu sprawach i z wielu powodów, ale rzadko, tylko w przypadku pewnych zaburzeń chorobowych, kłamią dla przyjemności; zazwyczaj kłamią po coś. I to po coś ma zawsze jakiś sens. Kłamstwa dotyczą alibi (niekoniecznie zaraz w sprawie morderstwa, alibi przydaje się też przy kochance albo kumplach i piwie), co tu nie miało zastosowania, swojej wielkości, też nie pasowało, albo seksu, w każdym razie ludzie kłamią w jakimś celu, chcą kłamstwem coś uzyskać, a tu było to tak głupie, że aż nielogiczne.

– A gdyby nie kłamał? Bo jednak raczej nie miał potrzeby.

– To książki musiałyby stać inaczej. To proste – odparła Ada. – Poczekajcie. Pani Olgo! – zawołała, widząc kobietę, która przemykała obok stołówki. – Czy pani córka lubiła robótki ręczne?

Edzio aż się zagotował. W ogóle chodził podminowany z powodu Purchawy, ale teraz wkurzył się na Adę. Nie był w stanie zrozumieć, co ona wyprawia.

– Ada, ty jesteś pierdolnięta – wysyczał na tyle cicho, żeby usłyszała to tylko sama zainteresowana. – Odwala ci czy wiek robi swoje? Po co zadajesz takie durne pytania w takim momencie?! No?

Ada skrzywiła się odrobinę. Na jej twarzy pojawił się grymas ni to pogardy, ni to złośliwości, po czym warknęła:

– Obejrzyj zdjęcia dokładniej! Taki z ciebie detektyw, a nie widzisz tego, co masz pod nosem!

– Bo te pieprzone zdjęcia latają jak pojebane!

To była prawda, bo na smartfonach jakoś tak mieli zrobione ustawienia, że ze zdjęć robiły się czasami wiatraki, zdjęcie w pionie, myk w poziomie, myk w pionie.

– Puknij dwa razy i powiększ! – rozkazała Ada, jakby miała do tego prawo. – Obejrzyj dokładniej.

– Ale które?



– Dobra, zróbmy inaczej, chodźmy z nimi do laptopa, wrzucimy je, to podobno łatwe, i będzie lepiej widać.

\*\*\*

– Czyli tak: nie widzieliście się z nią, z tą znaczy pani córką, ale wiedzieliście, że tu jest? – powtórzył sobie Hubert. – I wysłała wam SMS-a: „Odkryłam straszną sprawę. Oddzwoń”. Nie wiecie, co mogła odkryć? W ogóle co mogła mieć na myśli? Macie jakiś pomysł? Cokolwiek? Choć jakiś cień podejrzenia?

Oboje, były mąż i matka, popatrzyli na siebie, jakby chcieli coś powiedzieć, ale jakby się obawiali, czy jest sens mówić albo czy to będzie dobrze wyglądać. Takie obiekcje często paraliżują ludzi, bo o wielu sprawach mówić nie wypada.

Ludzie chronią swoją prywatność, choć wcale nie zawsze tak, jak trzeba. Ogłaszają na przykład, kiedy wyjeżdżają na wakacje, co daje włamywaczom realne szanse na porządny łup z włamania, wpisują swoje dane, gdzie popadnie, i to dane naprawdę wrażliwe, co sprawia, że oszuści są w stanie wziąć na nich kredyt, ale nie podadzą, ile ważą czy ile mają lat, bo to za bardzo wstydliva informacja.

– Normalnie to było jakby o mnichu, tak mi się wydawało, ale co tu jest do odkrycia, jedynie to, że ten osławiony mnich to wymysł, ale...

– No właśnie. – Mąż przytaknął i pokiwał głową.

– Co właśnie?

– No bo widzi pan, ona była racjonalna. Mogę powiedzieć o niej wiele złego, wiele różnych wad dałoby się u niej znaleźć, ale ona była zdecydowanie racjonalna, nie sądzę, żeby uwierzyła w mnicha, a nawet jeżeli uwierzyła, to nie przypuszczam, żeby miało to dla niej znaczenie.

– Jak wiara w coś takiego może mieć znaczenie albo go nie mieć? Chyba albo się wierzy, albo nie. Nie rozumiem, o co wam chodzi. – Hubert potrzebował uściślenia.

Długo trwało, zanim mu go dostarczyli.

– Po prostu jeżeli uwierzyła w mnicha jako w postać realną, może nawet historyczną, to cóż, mogła, ale nie miałyby to dla niej znaczenia, bo nie miała natury kogoś, kto siada na ławce tylko dlatego, że sto lat temu siedział na niej znany pisarz. Po prostu byłoby to dla niej jedynie faktem, natomiast ta cała otoczka, ta mistyczna obecność, to nie, ona w takie coś by nie uwierzyła. Nie była wariatką, to znaczy, przepraszam, była, ale nie aż taką. – Eksmąż znów zamilkł. – Jeszcze nie tak. Była wariatką i aż taką też, ale nie w tym kierunku. O!

Jest ostatnio spora mania w społeczeństwie, żeby na co drugim domu wiesztać tabliczki, że tu mieszkał jakiś Iks lub Igrek, dobrze by było, żeby był choć trochę znany. Tyle że domy to jeszcze, ale są też ławki, parki, drzewa, pod którymi stał i w ogóle, coś na kształt kultu jakiegokolwiek jednostki. Ludzie liczą na to, że takie coś przyciągnie turystów, ale turystom jest naprawdę wszystkim jedno, kto przed nimi siedział na tej czy innej ławce, byleby po sobie posprzątał.

– Czyli ten SMS: „Odkryłam straszną sprawę. Oddzwoni” raczej nie dotyczył mnicha, ale był straszną sprawą. A co dla niej byłoby straszną sprawą?

Bo przecież dla jednych będą to ceny w markecie, dla innych zdrada małżonka, dla jeszcze innych globalne ocieplenie i szczepionki depopulacyjne.

– To mogło być coś związanego z morderstwem – westchnął aptekarz.

Hubert bardzo się ucieszył. Tego właśnie mu było trzeba, jakiegoś związku, konkretnego, czegokolwiek, co łączyłoby się z morderstwem. Liczył, że wreszcie czegokolwiek się dowie. Jakiegoś malutkiego, marniutkiego czegokolwiek, które pozwoli mu ruszyć sprawę z impasu.

– A, jeżeli o to chodzi, no to tak, to miałyby sens. Tylko skoro mieliście takie podejrzenia, to dlaczego nie oddzwoniliście? – zapytał, wiedząc z doświadczenia, że takie tematy interesują praktycznie wszystkich, więc powinny zainteresować też matkę albo byłego małżonka. Dlaczego więc jednak nie zainteresowały? Ludzie są dziwni, na tekst „Ratunku, mordują” wszyscy zamykają się w domach, ale na wieść „Wczoraj w godzinach porannych zwłoki przemaszerowały ulicami miasteczka” wszyscy klikają i nikt się nie zastanawia, jak bardzo ta wiadomość jest bzdurna.

Dlaczego więc nie oddzwonili?

– Właśnie dlatego – wyjaśnił mąż. – Nie mieliśmy ochoty mieszać się w takie rzeczy. My żyjemy sobie spokojnie, dość dostatnio, i tylko o to nam chodzi. Kręcą nas nasturcje i hortensje w ogrodzie, pomidory z własnej działki, a nie jakieś morderstwa! Jesteśmy zwykłymi, porządnymi ludźmi!

Hubertowi w głowie się to nie mieściło. Nawet porządni ludzie powinni sobie pomagać, a tu jeszcze na dodatek chodziło o rodzinę.

– Zdajecie sobie sprawę, że gdybyście oddzwonili, może ona by przeżyła?

Nie do końca wierzył w to, co mówi, ale nie było to niemożliwe.

– Jakim cudem? – burknęła z niedowierzaniem matka ofiary, bo takie sformułowanie sprawy stawiało ją w pozycji „złej” matki, a to naprawdę trudno znieść.

Kobiety szczególnie się tym przejmują, zwłaszcza że jest w tej dziedzinie pewna nierówność społeczna; mężczyźni o wiele rzadziej bywają uważani za złe matki i nikogo nie interesuje, że w ogóle rzadko bywają matkami.

– Morderca mógłby zrezygnować – wyjaśnił Hubert, choć sam w to nie bardzo wierzył. Chciał wprowadzić odrobinę zamętu do tego ich miłego, porządnego świata.

– Ta, jasne. Żartuje pan?! Jeżeli ktoś chciał ją uciszyć, to i tak by ją uciszył! – stwierdziła autorytatywnie aptekarka.

– No to przynajmniej my byśmy wiedzieli, kim on jest. – Hubert westchnął, nie uzyskawszy zamierzonego efektu. – A tak nie mamy pojęcia, komu zależało na tym, żeby ją uciszyć.

– Wie pan co? To ja od razu panu powiem. To mój mąż. – Aptekarka wskazała na stojącego obok mężczyznę, a Hubert aż się prawie zakrztusił z wrażenia.

– Jak to? On zabił pani córkę?

– Nie.

– To co pani opowiada?

– Co ja opowiadam? Co ja opowiadam? Mówię, komu mogło zależeć, żeby ją uciszyć. Ona srała na niego, jakby miała zmutowaną sraczkę, wygadywała straszne rzeczy. Dla niej był najgorszy na świecie, twierdziła, że nawet kota molestował, a ją gwałcił ekonomicznie, kradł jej życie, prześladował ją nawet przez sen. Od razu wiem, co by powiedziała, gdyby mogła. Powiedziałyby, że jej mąż był widziany w zajeździe wtedy, kiedy zginęła Natalia, i że on ją zabił, a nawet że miał rogi. Dlatego baliśmy się z nią rozmawiać. Nawymyślałyby takich cudów, że szkoda słów!

Jak twierdzi Facebook, unikanie pewnych osób w celu ochrony swojego zdrowia emocjonalnego to nie objaw słabości, ale rozsądku.

Hubert pomyślał, że takie prewencyjne unikanie kontaktu jest dziwne, jak się nie ma nic do ukrycia, ale układy to układy, może ta córka ich prześladowała?

– Ależ, kochanie – jęknął mąż, niezbyt zadowolony z tego, co powiedziała żona. – Z kotem naprawdę przesadziłaś. Wiesz, co ludzie robią w takich wypadkach? Lepiej w ogóle nie wspominać o kotach. To grozi okropnymi konsekwencjami!

Każdy, kto choć kilka minut spędził na Facebooku, zna to prawo. Owszem, możesz pokazać zdjęcie kota, ale musisz się liczyć z konsekwencjami. Natychmiast posypią się setki zarzutów, że kot wygląda na chorego, że znęcasz się

nad biedakiem, że pewnie go głodzisz, a nierzadko komisja z Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami na drugi dzień tłucze w drzwi z nakazem aresztowania, bo nawet nie raczyłeś zapytać biednego futrzaka, czy masz jego zgodę na udostępnienie jego wizerunku. Nie daj Boże w trakcie porannej toalety.

– A ja panu powiem uczciwie. Jego tam wtedy nie było! Był na zjeździe w Prasławcu! – oznajmiła triumfalnie żona.

– Kochanie, to nie tak. – Aptekarz dość nieśmiało położył rękę na jej ramieniu.

Widać było, że jest coś, co mu leży na sercu albo na wątrobie, że jest coś, czego jej nie wyznał.

– Co nie tak? Co nie tak? Ty byś się dał jej zrobić we wszystko, takie cięły je-  
steś!

Waleczna żona broniąca męża przed nim samym zazwyczaj nie wzbudza sympatii, bo ta obrona bywa często formą kontroli.

– Kochanie, ja tam byłem.

– Na zjeździe w Prasławcu!

– Nie – westchnął mąż. – W zajeździe w Mnichowoli.

– Co ty bredzisz? – Żona jakoś nie chciała mu uwierzyć.

– I to prawda, rzeczywiście byłem widziany, więc... – Aptekarz niepewnym głosem przyznał się żonie do czegoś strasznego, porównywalnego do zdrady małżeńskiej, otóż zrobił coś, o czym ona nie wiedziała. To jej się naprawdę nie spodobało. Bo to znaczyło, że ją okłamał.

– Zabiłeś ją?! – wrzasnęła z paniką w głosie. – O Boże, jak ja ludziom spojrzę w oczy?!

– Oszalałaś? Nikogo nie zabiłem!

Hubert nagle pomyślał, że aptekarz jest trochę podejrzany. Po pierwsze zabić żonę mógł chcieć, mało który były mąż nie ma takich ciągót, po drugie... Był w zajeździe w czasie pierwszego zabójstwa, a więc mógł także zabić Natalię. No tak, ale jeżeli zabił Natalię, to dlaczego? I dlaczego okłamał żonę?

Okłamywanie żon to sport z taką historią katastrof i tak znany, że jego pojawienie się niknie w mroku dziejów, odkąd jakiś jaskiniowiec przyniósł do domu całkiem żywą kobietę i powiedział, że pomylił ją z lampartem.

A potem obrażony nawet nie chciał jej skosztować, choć pieczona była wymienita.

– A ta Natalia? Pan ją znał? – zapytał Hubert dyplomatycznie, nie chcąc pytać wprost o to, czy facet ją zabił. Takie pytania oczywiście czasami się spraw-

dzają, ale jest to na tyle rzadkie, że nie warto ryzykować. No i, na litość boską, nie pyta się o to przy żonie, bo to tak, jakby pytać o seks pozamałżeński.

Aptekarz nie wyglądał na uspokojonego, ale odpowiedział raczej spokojnie:

– Jasne, każdy ją znał. Przecież mamy kontakty z zajazdem! Współpracujemy, poza tym, wie pan, należymy do tutejszej elity. Przecież ludzie na poziomie zawsze trzymają się razem! Doktorostwo, weterynarz z żoną, my i ci z zajazdu to taki zaufany krąg, choć Natalia do niego nie należała.

– Miał pan z nią jakieś zatargi?

– Nie, oczywiście, że nie! – odparła żona, ale mąż tylko skinął głową, zupełnie tym gestem zaprzeczając żonie.

Wyraźnie było widać, że małżeństwo tylko z wierzchu jest monolitem.

– Oczywiście, że miałem! – burknął aptekarz, nie patrząc na małżonkę. – Ona chciała tu założyć centrum terapeutyczne i to nawet w sumie mi nie przeszkadzało. Chciała wyburzyć samotnię i coś tam jeszcze, jakąś chatę czy coś, i zbudować korty oraz centrum odnowy duchowej, spory budynek, zresztą zanim by to wybudowali, to jeszcze dałoby się przemyśleć strategię, problem w tym, że chciała w tym centrum mieć też market farmaceutyczny. A tu strategia nic by nie dała. Miał być bardzo duży. Plus hurtownia na kilka hal i sala z samoobsługą. To by nas wykończyło. Wywaliłoby nas z rynku jak nic, więc owszem, miałem do niej pretensje, początkowo twierdziła, że odda mi go pod zarząd, a potem ciach i postanowiła wziąć kogoś innego. No nie było to dobre, ale nie, nie zabiłem jej z tego powodu.

– A z innego?

– Też nie, innych powodów po prostu nie było! – Aptekarz roześmiał się nerwowo.

– A pani?

– Co ja? Co, do cholery, ja? Mnie pan w to nie wciągnie, nie zabiłam ani tej krowy, ani tej drugie! – burknęła i poszła na zaplecze.

Była bardzo rozczarowana sytuacją. Czasami obcy ludzie sprawiają, że możemy się wiele o sobie dowiedzieć i o swoim małżeństwie też.

Hubert, chcąc nie chcąc, westchnął i ruszył do wyjścia.

Aptekarz poszedł za nim. Wyglądało na to, że chce po prostu zamknąć za nim drzwi wejściowe, ale on wymknął się przed budynek i złapał Huberta za rękaw.

– Musiałem wyjść, bo u nas jest monitoring, a żona czyta z ruchu warg, no więc, chodzi o to... – Tu mężczyzna rozejrzał się trwożnie dookoła, jakby się

bał, że nawet na zewnątrz jest jakiś podsłuch, podgląd, cokolwiek, a może wręcz jakieś urządzenie szpiegowskie.

Hubert zastanawiał się, co tamten chce powiedzieć. Jeżeli mąż robi z czegoś takie tajemnice przed żoną, to z pewnością chodzi albo o seks, albo o pieniądze, a czasami i o to, i o to.

– No bo ja z tą Natalią trochę kombinowałem – powiedział wreszcie aptekarz, wypuszczając z płuc powietrze, które uszło z niego jak z nadętego balonika. Jak tylko żona zniknęła, on przestał udawać aż tak pewnego siebie.

Hubert właściwie mógł się tego spodziewać, takie niewielkie środowiska, przekonane o swojej wyjątkowości i elitarności, bywają złudnie porządne i równie złudnie praworządne. Takim ludziom często się wydaje, że są tak skrajnie inteligentni, że nikt i nic nie jest w stanie im dorównać. Często się mylą. Najczęściej ze skutkiem śmiertelnym. Hubert już sobie wyobrażał żonę aptekarza z tłuczkiem. Niekoniecznie aptekarskim.

– Romans?

– A gdzie tam, nie! No co pan, oszalał pan? To był tylko seks. Z żoną nie bardzo się da. Niby nie jest jakaś nieprzystępna, ale raz na trzy miesiące to dla mnie za mało. Ja jestem rozbudzony seksualnie. Ona nie przepada, a ja bardzo lubię. Tyle że wołałbym, żeby nie wiedziała, bo mi viagrę zacznie wylizywać, a ja muszę, naprawdę muszę, czasem się zabawić. Co ja mam z tego życia? Pomidory i nasturcje? Pan żartuje? No a przecież nie zacznę narkotyków brać!

Ta odpowiedź nasuwała pewne przypuszczenia dotyczące szczęścia małżeńskiego, ale nie musiały być one prawdziwe. Hubert za eksperta się nie uważał. Owszem, doceniał swoją wiedzę, szanował intuicję, ale zdawał sobie sprawę, że nie jest Bogiem, i to często go ratowało.

– To po co się pan z nią żenił? – Hubert chciał pewne sprawy uściślić. – Zakochał się pan z nienacką w swojej teściowej? I stąd ten ślub? Bo to, sam pan przyzna, spora rzadkość.

– Nie, no co pan, nie jestem aż takim dziwadłem! Nie, nie zakochałem się, zwariował pan? Żona jest bogata, to się liczyło i nadal liczy. – Westchnął i popatrzył na Huberta z miną spaniela. – Jakby co, to nic jej pan nie powie o tym seksie? Prawda? Bo jak nic mnie zabije, już raz przywaliła mi moździerzem, i to tylko dlatego, że się do sprzedawczyni w sklepie za często uśmiechałem.

– No, w sumie, postaram się, ale pan nic więcej, jak by to powiedzieć, nie ukrywa? Bo wie pan, lepiej się przyznać od razu, niż tak cykać, to łatwiej będzie to wszystko jakoś połączyć. – Hubert kłamał jak z nut, choć to też mogła być jakaś prawda.

Dzięki Internetowi i mediom społecznościowym nauczyliśmy się, że prawda jako taka nie istnieje. Jest plastyczna i zmienna. Że można ją obracać na wszystkie strony i pokazywać, jak się chce, czasami poprzez filtry, czasami przez fake newsy, a czasami przez przemilczenia. Dlatego trochę oszukiwał, wiedząc, że i on jest oczywiście oszukiwany.

Aptekarz wyraźnie się na to złapał.

– A, jeżeli o to chodzi, to tak jakby ukrywam jeszcze coś – wyznał niepewnym głosem. Potem zaczął dłużyć nogą w błocie przed wejściem do apteki.

– Co? Co lub kogo pan ukrywa? – zapytał Hubert, żeby tamten nie zmienił zdania.

– Fryzjerkę Jolkę, sprzedawczynię Martę, przedszkolankę Ninę, dwie Kaśki z urzędu gminy i to wszystko. – Zamilkł, patrząc nadal błagalnym wzrokiem na Huberta, potem nagle spoważniał, złapał się za usta i jęknął: – A nie, jest jeszcze ta Aldona z przychodni. I to już naprawdę tyle. Więcej grzechów nie pamiętam. – Roześmiał się niepewnie. – Tyle że, wie pan, to nie są wielkie grzechy, to tylko małe przyjemności, żadnej nie obiecałem małżeństwa.

Hubert pomyślał, że w takich sytuacjach wcale nie jest to konieczne, wiele kobiet sobie takie rzeczy obiecuje, nie pytając wcale kochanków o zdanie. Szczególnie kiedy „żona go nie rozumie i wcale ze sobą nie śpią”.

Hubert popatrzył na mężczyznę, który na macho nie wyglądał, piękny nie był, mięśnie jakies musiał mieć, bo się poruszał, choć widać ich za bardzo nie było, ale za pomocą niebieskiej tabletki oblatywał erotycznie pół wioski i okolice.

– A ciąża? – rzucił Hubert coś, co jako pierwsze mu się nasunęło przed oczy wyobraźni.

– Jaka ciąża? – Aptekarz spanikował tak, że aż zbladł i zaczął drżeć.

– Nie wiem, jakaś niechciana? – Hubert znów rzucił od niechcienia: – Zabezpiecza się pan?

Aptekarz spurpurowiał.

– No ja nie, ale...

– No i widzi pan? – Hubert przyjął pouczający ton. – A co, jeżeli?!

– Nie, no niech pan mnie nie straszy, bo zawału dostanę. Nie. Na pewno nie, niemożliwe! Nie, no co pan?

Jego zaprzeczenia były tak gwałtowne, że Hubertowi aż zrobiło się go żal.

– Dobra, tak czy tak, trzeba pomyśleć, co na to żona.

– Chodzi o ciążę?

– Nie, no tylko o sytuację. Myśli pan, że ona nie wie? Nie podejrzewa?

Aptekarz milczał przez chwilę, zastanawiając się nad rzeczoną sytuacją.

– Chybaby je wszystkie zabiła! – burknął i aż zamarł. – Ale z byłą żoną nie sypiałem! A też nie żyje!

– Nigdy pan z nią nie sypiał? Nigdy, zupełnie?

– O Jezus Maria! Myśli pan, że ona tak może?

– Niektóre kobiety potrafią być zazdrosne o całe lata wstecz. A żona jest zazdrosna?

– Panie kochany! Straszliwie – jęknął aptekarz. – Pan myśli, że ona by...

Hubert nie myślał, albo raczej wolał nie myśleć, co by było, gdyby albo co było, kiedy, bo przecież...

Żona aptekarza robiła wrażenie bardzo zakochanej i trochę tą miłością ogłupiałej, takie kobiety wytrzymują wiele, ale jak już przestaną, to naprawdę zioną ogniem, nawet tym piekielnym, i powodują trzęsienia ziemi. Czy w tej chwili wiedziała i zabiła obie te kobiety (w tym własną córkę) z zemsty? Na razie nic na to nie wskazywało, ale przerażenie w oczach aptekarza sprawiło Hubertowi ogromną przyjemność. No cóż, mężczyźni też potrafią być zazdrośni i wredni.

\*\*\*

Melka poszła pod drzwi domu Lipcowej, które znajdowały się z drugiej strony budynku, i nacisnęła dzwonek.

Lipcowa zdjęła serwetkę z głowy i poszła otworzyć.

– Nieee – pisnęły jej dwie koleżanki – nie rób tego! To może być on! Nie otwieraj!

– No co wy? Zglupiałyście? Mnich nie używałby dzwonka! – odparła i ruszyła do drzwi.

Przed nimi stała Melka, a po chwili dołączył do niej stojący dotąd pod oknem Mateusz. Razem weszli do saloniku, w którym Lipcowa na szybko usiłowała zrobić atmosferę, ale jej się nie udało. Strasznie trudno o mroczność, kiedy na stole znajduje się sałatka jarzynowa.

Nie pomogły nawet czarne świece.

– Siadajcie – westchnęła Lipcowa, wskazując im miejsca na kanapie przy stole. Z jednej i drugiej jej strony sterczały jak cerbery dwie strażniczki, a Lipcowa krążyła dookoła. Melka i Mateusz postanowili wreszcie czegoś się dowiedzieć, bo wszystko to zakrawało im na jakąś mistyfikację, a oni mieli misję i czuli, że jeżeli przyniosą cenne wieści, to będą traktowani jak prawdziwi



członkowie GBŚ. To byłby niewątpliwie pierwszy przypadek radości z powodu starości, i to w wieku około trzydziestki.

– My, no wie pani, chcieliśmy się dowiedzieć... – Takie teksty zazwyczaj niczego nie załatwiają, ale tego trzeba się nauczyć, to przychodzi wraz z doświadczeniem, którego oczywiście nie mieli.

– Dowiedzieć... jasne – burknęła zawiedziona gospodyni – może i się dowiecie.

– Ale? – Mateusz wyczuł wahanie.

– Możecie, albo nawet musicie, nam pomóc – walnęła ni z tego, ni z owego jedna z kobiet, choć miny obojga młodych wcale nie obiecywały zbyt wiele, a na dodatek aż raziły niewiedzą.

– Nie, no weź, Jadźka, co ty? Tak od razu? Przecież tak nie można! – ofuknęła ją gospodyni.

– Oj, nie można, można, niech powiedzą i już. – Kobieta o imieniu Jadźka wyraźnie nie należała do tych, które się certolą.

– Ale co mamy powiedzieć? My bardziej chcieliśmy, żebyście wy nam powiedziały coś o mnichu – odparł Mateusz.

– Mnich jest bardzo potrzebny – oświadczyła Lipcowa takim głosem, jakby mówiła o kanalizacji, co nie pasowało do istoty mistycznej.

Obie kobiety jej przytaknęły.

– Jeżeli oni zniszczą samotnię, to będzie katastrofa – wyjaśniła Lipcowa, choć związek pomiędzy tymi sprawami jasny nie był. Przynajmniej dla Melki i Mateusza. Przecież mnich nie był ptakiem gniazdującym, który po zniszczeniu gniazda musi się gdzieś przenieść. W ich mniemaniu duch, albo jakiś byt mistyczny, nawiedza to, co ma pod ręką, a jak mu to zniszczą, nawiedza coś innego, czyli to, co zostaje zbudowane na miejscu tego, co zostało zniszczone. Tak było przecież z duchem straszącym w szalecie miejskim w jednym z pobliskich miasteczek.

Oczywiście nie mogli tego powiedzieć, bo jak znali życie, a trochę to życie jednak znali, wszystkie trzy kobiety by się oczywiście obraziły. Ludzie zawsze się obrażają, kiedy ktoś wspomni o szalecie miejskim.

– Bo?

– Bo to jedyne miejsce gdzie on pasuje! Co, wyobrażacie sobie mnicha w sklepie? Koło masła? Czy w aptece?

– No ale...

– Mnich jest, ale tak jakby go nie było. To legenda, ale taka sobie, ledwie żywa, a ożywianie starodawnych legend jest ważne, choć starodawność to sprawa względna. Ja mam sklepik z plastikowymi mnichami – oznajmiła Jadźka. – Mnich jest mi potrzebny. Co ja zrobię z toną tego badziewia, jak się okaże, że nie ma mnicha?

– O właśnie, a ja ostatnio wydałam za własne pieniądze broszurę *Przepowiednie Mnicha z Mnichowoli*, kto mi je kupi bez mnicha? Ha? – zapytała druga. – Wywaliłam dobre kilka tysięcy. Co? W błoto ma pójść?

*Przepowiednie Mnicha z Mnichowoli* sprzedawały się dobrze po dwadzieścia dziewięć dziewięćdziesiąt dziewięć, bo zawierały to, co wszyscy teraz tak kochają – niezrozumiały bełkot, który można sobie tłumaczyć według własnych potrzeb i zapatrywań.

– No ale co to ma do samotni? – zapytała zdziwionym głosem Melka.

– To, że jak ją zniszczą, a mnich nie spuści im łomotu, to w ten sposób okaże się, że jest niewiarygodny, i koniec z legendą. Kto przyjedzie do wioski mnicha, który nawet nie potrafi zawału spowodować, o wybuchu nie mówiąc?

– A nie spuści? Dlaczego pani sądzi, że nie spuści im łomotu? A te morderstwa?

Kobiety pokręciły głowami.

– Żadne nie odbyło się w samotni. Nic tego nie łączy! Niestety! Musi być porządny łomot!

Niektóre babcie bywają bardzo zdecydowanie i krwiożercze.

– A on im go nie spuści?

– Chyba że naszymi rękami, ale wie pan, za podpalenie idzie się siedzieć, a ja nie mam ochoty, lepiej, żeby zostawili samotnię spokoju i już.

– Ale chyba Olga nie chce jej niszczyć, Natalia chciała to zrobić, nie Olga! – Mateusz był przekonany, że dobrze rozumie układy, ale chyba jednak nie rozumiał.

– Nigdy nic nie wiadomo. Naprawdę, Olga ma swoje za uszami! Po prostu trzeba dmuchać na zimne.

Melka jakby mniej myślała o samotni, a bardziej chciała zrozumieć, co i po co robią koleżanki Lipcowej.

– No ale te strażniczki i w ogóle – zaczęła. – O co w tym chodzi? Powiecie nam? Bo lata pani, wrzeszczy, wieszczy, w domu jakąś masakrę uskutecznicie, a my nie wiemy nawet, w czym rzecz – burknęła w końcu i nie wzbudziła tym zachwyty kobiet.

– Młodzi jesteście, to nie zrozumiecie – westchnęła Lipcowa i pokręciła głową. – Co mamy robić? Tu jest pustynia! Dla starych tylko kościół i cmentarz, a mnich jest choć zabawny i można latać i ludzi straszyć.

Westchnęła tak rozdzierająco, że aż zrobiło im się jej żal.

– On może latać i ludzi straszyć? O to chodzi? I tylko o to?

Lipcowa skrzywiła się jak nauczycielka widząca bezrozumne spojrzenie ucznia, któremu po raz szesnasty tłumaczy, że dwa plus dwa to nie może być dwadzieścia pięć, nawet jeżeli znawcy na Facebooku tak twierdzą.

– On może sobie robić, co chce, pozwolenia mu nie trzeba, chodziło o nas, my możemy latać i ludzi straszyć.

– Na miotłach? – zapytał Mateusz.

– Na dupach! – jęknęła Jadźka. – Matko, ale kretyn! Kogoś ty nam tu zwłokła, przecież oni się do niczego nie nadają!

Takie postawienie sprawy młodych wkurzyło, bo od zawsze byli przekonani, że to oni są mądrzejsi i bardziej szaleni niż jakieś staruszki-babuszki.

Ta zniewaga wymagała krwi, wiadomo, szczególnie przy tej różnicy wieku i panującej dyskryminacji ze względu na wiek, zwanej ageizmem, w której rówieśnice Jadźki, Lipcowej czy tej trzeciej po prostu są starymi babami i jako takie się nie liczą. Tak więc Melka postanowiła przestać być miłą.

– No dobra, straszyć, latać, ale zabijać? Tak się nie robi! – rzuciła oskarżeniem jak rękawicą.

Kobiety się zanadto nie przejęły.

– Chcieć, rzeczywiście, chciałyśmy, ale móc nie bardzo! Jak miałybyśmy tam wejść? Przez ścianę? Zdurniałaś, dziewczyno? Nie dałybyśmy rady, no i zabicie Natalii niespecjalnie załatwiało sprawę. Niby ona najbardziej chciała remontu, ale reszta tak jakby jest podzielona. Niestety. I był kłopot z wejściem. Żaden normalny, cielesny byt nie dałby rady! Gdyby tylko się okazało, że to on, Boziu droga! Toż to byłby cud! Turyści, całe autokary turystów, telewizja, dziennikarze, to by załatwiło sprawę, no i łomot by nie był potrzebny, ale nikt, a już najmniej policja, nie potwierdzi czegoś takiego!

Wyglądało, że kobiety się miotają między wiarą a niewiarą.

– To wy się w końcu zdecydujcie! On jest czy go nie ma? I po co by zabijał? No on to chyba nie z powodu samotni? A może?

Trzy kobiety popatrzyły na siebie z pewnym niepokojem, a do Melki i Mateusza dotarło, że właściwie ten mityczny mnich miałby naprawdę dobry motyw.

– No tak na sto procent to nie wiemy. Możliwe, że jest, ale też możliwe, że go nie ma, choć wiecie, jak jest, lepiej nie drażnić takich bytów, bo a nuż weźmie nóż?

Z tym nożem to oczywiście przesada albo nawet takie tylko gadanie, o wiele większy problem jest z wiarą i nie chodzi o wiarę w sensie i znaczeniu religijnym, ale w ogóle. Bo teraz przy całym tym zalewie internetowych fake'ów i użytego do nich bełkotu paranaukowego człowiek nie wie, komu wierzyć, bo ma za małą wiedzę, nie jest pewien, czy monotlenek diwodoru to naprawdę zwykła woda, a H<sub>2</sub>O to nie jakaś chemia, choć jednak chemia, i stąd bierze się podejście, że może? Kto wie? Może jest w tym jakieś ziarno prawdy? Wielkie, niewielkie, ale jest? I tak ta fake'owa niewiedza i wiara rozprzestrzenia się na wszystko dookoła, nie omijając amerykańskich generałów, bo przecież kopciuszką są na świecie i połowa smutnych, zawiedzionych w miłości kobiet po sześćdziesiątce myśli sobie „Dlaczego to nie mam być ja?”, a jak już się przejdzie przez generałów i wszelkie reklamy, które też językiem jak z horroru sprzedają produkty, w które trzeba wierzyć, bo przecież tylko wtedy zadziałają, to objawiają się horoskopy, mistycyzm, duchy i cała sfera zjawisk, które mogą nie istnieć, ale przecież nie wiadomo, a jeżeli nie wiadomo, to może jednak mogą?

Dlatego taki mnich to ktoś, w kogo może głupio jest wierzyć, ale niebezpiecznie nie wierzyć, bo co, jeżeli istnieje?

A co, jeżeli się zemści?

Takie istoty to nawet Pegasusa nie potrzebują, żeby cię podsłuchać, ba, one mogą znać nawet twoje myśli, więc taka wiara, nie do końca pewna, jest naprawdę doskonałym zabezpieczeniem.

No fakt, zbliża się niebezpiecznie do szaleństwa i manii prześladowczej, ale takie mamy czasy.

\*\*\*

Wycior i Kościuchowa musieli znów wyjść z domu, mimo uciążliwości z tym związanych, bo szalony pies musiał przecież załatwić swoje potrzeby, a na dodatek jedna z pokojówek coś wspomniała o Towarzystwie Ochrony nad Zwierzętami i o karze grzywny, bo Kościuchowa przysypiała w fotelu w recepcji zamiast, jak Bóg i weterynarz przykazywał, iść wypacerować psa.

I w ogóle go nie głaskała! Nawet pod szyją!

I nie mówiła do niego uspokajającym głosem.

I nie miziała.

A już najgorsze było to, że w kieszeni nie miała psich smaczków, tylko parówkę.

Kto to widział, żeby psu dawać takie świństwo? Przecież tego nawet ludzie nie powinni jeść!

Kiedy Kościuchowa chciała napić się drinka, barmanka popatrzyła na nią przerażonym wzrokiem i wybełkotała z najprawdziwszą zgrozą:

– Jak to? Drinka?! Ma pani psią istotę niepełnoletnią pod opieką, nie podam! Klauzula sumienia mi nie pozwala! Właściciel zwierzęcia powinien być trzeźwy! Pani się kompromituje! Jak pani może? Pies to wrażliwe stworzenie, a nie jakiś tam człowiek czy coś!

I tak Kościuchowa została pozbawiona wszystkich praw.

I to była wina tego psa, który dla wszystkich był najważniejszy na świecie.

Często tak bywa.

Usiłowała się bronić, twierdząc, że chyba przesadzają, w końcu nie zamierza upijać jego, tylko siebie, ale to wywołało jeszcze większą awanturę.

– On się męczy! – krzyknęła barmanka na widok leżącego obok fotela Wy-ciora, który przysypiał wraz ze swoją tymczasową właścicielką.

– No co pani, przecież śpi – westchnęła Kościuchowa. – Jak może się męczyć, kiedy śpi?

– On cierpi, jego mina mówi wszystko! Czy wie pani, że pani się nad nim znęca?! Ja pani... Ja panią... Ja tego tak nie zostawię! To jest okrucieństwo!

Kościuchowa nie wiedziała, o co chodzi, ale bała się, że zaraz się dowie, więc podreptała po buty, bo była w kapciach, i po smycz, bo nie mogła sobie pozwolić na to, żeby pies znów jej się wytarzał w błocie. Zresztą w czymkolwiek miałby się wytarzać, zamierzała temu przeszkodzić.

Była na niego wściekła. Przez tego durnowatego psa nie uczestniczyła w życiu. Nie mogła! Ze wszystkiego ją wykluczył! Była psią służącą. Są ludzie, którzy takie sytuacje kochają, są tacy, którzy nienawidzą. Kościuchowa chciała żyć, a nie spacerować po krzakach z tym szczekającym wrzodem na dupie.

Początkowo liczyła na podlane drineczkami wieczory, nocne detektywów rozmowy, spacer z duchami albo choć z mnichem w tle, pościgi, niebezpieczne zadania, walki wręcz i na noże, albo przynajmniej widelce, burze mózgow i boleści wątroby, a tu nie! I to sama się w to wpakowała, gdy zdecydowała się zostać opiekunką tego szczotkopodobnego stwora.

Nic na to nie mogła poradzić, ale zrozumiała, że musi usunąć się ludziom sprzed oczu albo musi zamknąć się w pokoju, albo wyjść na spacer, bo inaczej dosięgnie ją karząca łapa psiej sprawiedliwości.

Wyszła z zajazdu i poszła w okolice samotni, bo to było w sumie ważne miejsce, a poza tym było blisko, jako tako oświetlone i, jeżeli nie zbaczać z drogi, bez żadnych błotnych pokus dla psa.

Owszem, z drugiej strony były, ale nie od przodu, i tego postanowiła się trzymać.

Mimo awantury nie wyrzuciła z kieszeni parówki, bo pies był psem i naprawdę lubił parówki, a smaczki jadł, jakby robił komuś łaskę, często wypluwał je z pogardą. Zdecydowanie był dziwnym psem albo pani z recepcji była dziwną wielbicielką, która uważała, że psy są robione od linijki, a ona ma monopol na psią prawdę ostateczną.

Takie przemyślenia, mniej lub bardziej filozoficzne, na nocnym spacerze z psem, którego się za dobrze nie zna, to niezbyt szczęśliwy pomysł.

– Hauuu! – wrzasnął Wycior, pociągnął smycz i wskoczył na drzewo za wieiórką. Albo kotem. Nie wiadomo, bo było ciemno.

Co w tym czasie robiła Kościuchowa, trudno powiedzieć.

Z pewnością była zanurzona w swoich mrocznych i pełnych rozżalenia myślach.

Potem na pewno poczuła się, jakby złamała rękę, obięła sobie twarz i podarła spódnice, ale wstała dzielnie, otarła się, otrzepała, rękę naprawiła i ściągnęła psa z pniaka. Nie wszedł za wysoko.

– Hauuu! – zawołał pies i wskoczył do dziury za szczurem, którego zobaczył obok ścieżki.

Trochę już zabezpieczona Kościuchowa, świadoma swoich praw i obowiązków oraz niebezpieczeństw, zdarła sobie kolana, poharatała policzek i wpadła głową do wody. W dziurze. Przeżyła.

Po chwili wstała, otrzepała się i ruszyła dalej.

– Aauuu! – wrzasnęła nagle, zupełnie jakby upodobniła się do Wyciora, bo ten podciął jej nogi i powalił ją na ziemię.

Nic sobie nie zrobiła, obięła tylko kość ogonową, odbiła nerkę, płuca, zgubiła szczękę, ale przeżyła.

– A co to, do cholery, jest? – zapytała samą siebie, bo z psem nie miała ochoty rozmawiać.

– Hauuu – odpowiedział jej Wycior, niepytany.

Pod samotnią, pod oknem coś leżało. Początkowo z zawodem w oczach stwierdziła, że niestety nie są to zwłoki, ale jedynie majtki wyszczuplające, potem jednak dostrzegła coś jeszcze.

Ada usiłowała przerzucić zdjęcia na laptop, niestety to wymagało pomocy Mateusza, którego nie było.

Inni na takich sprawach się nie znali, bo nie musieli, mieli od tego Mateusza, który, kiedy chcieli się troszkę doszkolić, mówił:

„Dajcie, ja to zrobię” – i tyle było nauki, do której się zresztą wcale nie garnęli.

Teraz Mateusz próbował ich doszkolić zdalnie.

– Kabel do gniazdka i powinno być w porządku – oświadczył.

Ada się ucieszyła. Takie rzeczy potrafiła.

– Dobra, kabelek do gniazdka. Już się robi – stwierdziła, po czym wetknęła kabelek do gniazdka.

Zgasło światło.

– I co? Idzie? – zapytał Mateusz, słysząc piski w oddali.

– Jakoś chyba nie, korki nam wywaliło.

Mateusz przez chwilę zastanawiał się, jak to możliwe, żeby podłączenie kabełka do gniazdka w laptopie mogło spowodować coś takiego.

– Moczyłaś kabel w wodzie? – zapytał, chcąc się dowiedzieć dokładnie, skąd katastrofa.

– Nie, a co? Powinam? – Ada nie rozumiała, jak ktoś tak durny jak Mateusz jest w stanie ogarnąć to, czego ona nie umie.

– Nie! W żadnym wypadku!

– Bo wiesz, do lewej włożyłam, a może trzeba było do prawej? Co?

– Skąd ty wzięłaś tam dwie dziurki?

– A ty nie wiesz, jak wygląda gniazdko?

Mateusz aż się złapał za głowę.

– A, to nie to gniazdko! – oświadczył, niezbyt dobrze maskując przerażenie.

– To drugie jest za szafą, nie dosięgnę – jęknęła Ada.

– W laptopie z boku jest takie gniazdo. USB.

– Ty gówniarzu – warknęła Ada – jak śmiesz mi tu z SB wyjeżdżać, smarku!

– Tak się nazywa to gniazdko, takie no, płaska dziurka – westchnął przejęty.

– Płaska? Dziurka? Jaka dziurka... Już widzę!

Mateusz usłyszał sapanie, mlaskanie i jęki. Nie był pewien, czy to dobry znak.

– No i? – zapytał dla pewności.

– Nie wchodzi – jęknęła zasapana Ada.

– Mocniej wciśnij.

Ada zdecydowała, poszła do kuchni, po czym wróciła do laptopa. Po chwili Mateusz usłyszał coś, co wcale mu się nie spodobało.

– Co tam tak łupie? – zapytał niepewnym głosem, bo nigdy takich dźwięków z komputerem nie łączył.

– Młotek wzięłam, ale i tak nie chce wejść.

– Jezu nie, tylko nie młotek! – sapnął Mateusz w telefon, cały spocony.

– Dobra, idę po śrubokręt. Jest dość płaski, może coś da?

Po chwili usłyszał chrobot. I jakieś ciche rozmowy, w stylu „Nie, zaraz, nie tutaj, daj, ja zobaczę, no, teraz, bokiem, tu, mocniej! Aua! Uważaj! Nie w oko! Łaaaa”.

– Może wziąć wiertarkę? – zapytała Ada, w sumie nie wiadomo kogo.

– Nieeee! – Wrzask Mateusza z oddali trochę ją ogłuszył.

– To co mam robić?

Mateusz postanowił jej to wytłumaczyć.

– Ładowałaś kiedykolwiek telefon? Prawda? To weź ten kabelek od ładowania. Wetknij go do laptopa. Rozumiesz?

Zrozumiała, włączyła ładowarkę do prądu, który właśnie wrócił za sprawą Olgi, a drugą stroną kabelka do laptopa.

– Które gniazdko?

– Nie wiem, pierwsze albo drugie – odparł Mateusz – które masz wolne.

– Dziwnie iskrzy – oznajmiła Ada. – No i dobra, ale gdzie do tego mam podłączyć telefon? Do tego w przedłużaczu czy do tego, co iskrzy?

– Do żadnego! – Mateusz zrozumiał, że wielka pokoleniowa wyrwa zagnieżdżyła się w ich relacjach na dobre. – Wiesz, jak się wysyła zdjęcia na pocztę?

– Głosową?

O tym nie pomyślał. Chyba tylko Ada mogła wpaść na pomysł, żeby wysłać zdjęcia na pocztę głowową.

– Dobra, a do mnie? Do mnie potrafisz?

To akurat umiał Edzio.

– I co z tego, że to wyślemy tobie?



– Ja wysłę wam.

– My to już mamy.

– Ale nie tam, gdzie powinniście.

– W dupie? Chodzi ci o dupę? – zapytała Ada, podejrzewająca złośliwość ze strony Mateusza, ale jednak nie.

Jemu chodziło jednak o coś innego.

– Wiesz co? – stwierdziła Ada zaniepokojonym głosem. – On mi się coraz bardziej nie podoba.

– Mateusz? Przecież pomaga? – zdziwił się Edzio.

– Tak, ale zaczyna być niezastąpiony, a tego byśmy nie chcieli. Potrzebny jest nam kurs komputerowy.

Oczywiście nie zamierzała kursu robić tu i teraz, tylko kiedyś. Nieszczęsny informatyk, który zostanie do tego zatrudniony, jeszcze nie wiedział, jakie straszne rzeczy czekają go w życiu. Co prawda, kupił sobie *Przepowiednie Mnicha z Mnichowoli* i przeczytał:

„Zło, uwaga zero jeden, do piecowe spódnic, nie należy się ADA po imieniny Gluchowola informatyce, który go zabić, zabić, zabić”.

Nic nie zrozumiał, ale to było fascynująco prorocze.

\* \* \*

– Niektóre kobiety potrafią być bardzo zazdrosne – powtórzył Hubert, wcale nie kryjąc przyjemności, jaką sprawiała mu przerażona mina aptekarza – ale może o własną córkę nie była?

– Była jeszcze bardziej! Straszliwie – jęknął aptekarz. – Ona się bała, że ja do niej wrócę, nie że tak mówiła czy coś, bo o niej się nie rozmawiało, to trochę taki temat tabu był, że niby nic, ale ciągle coś. A czy lepiej gotowała, a czy w łóżku była lepsza, a czy to, czy tamto, a czy umiała Excela obsługiwać, wie pan, taka sztafeta pokoleń, ona po prostu chciała jakby ją zakasować.

– Albo skasować. – Hubert gwizdnął z wrażenia.

– To znaczy, nie że całkiem chyba?

– Kto wie?

– No to teraz mnie pan przeraził! Całkiem. Przecież jeżeli moja żona, ta obecna, o Boże, ratunku! – pisnął. – To ona może i mnie... O Boże, ratunku! Czy mógłby mnie pan aresztować? Tak odrobinę?

Hubert się nie zgodził.

Uważał, że pozostawienie aptekarza w domu sprawi, że ten skruszeje. Oczywiście, o ile przeżyje. Nie, nie sądził, że żona go zabije, sądził, że może to zrobić niebieska tabletką, wyobraźnia albo na przykład zawał, ale to już nie była jego sprawa.

\*\*\*

Mateusz usiadł na kanapie spocony jak mysz, może nawet i kościelna, bo w czasie rozmowy wyobrażał sobie wszystko, co się działo w zajeździe, a w wyobraźni zagościły mu takie pomysły jak pożar, porażenie prądem oraz wydłubanie sobie, albo komuś, oczu śrubokrętem.

W możliwości ciotki (jako że była ciotką Melki, to tak ją nazywał) wierzył w tym zakresie aż za bardzo.

Po chwili jednak dźwięk wiadomości sprawił, że odetchnął z ulgą. Oczywiście ulga mogłaby być przedwczesna, ale założył, że o katastrofie najpierw powiadomiliby pogotowie, ewentualnie straż pożarną, więc szybki odzew oznaczał, że żyją.

– Co tam dostałeś? – zapytała Lipcowa, jak wszystkie starsuszki wrednie ciekawska, a że Mateusz miał dość, po prostu odesłał szybko zdjęcia na pocztę, nie, nie na głosową, Geriatrycznego Biura Śledczego, a potem pokazał je wszystkim. Nie były chyba tajne.

Zresztą, nawet jeżeli były, to on był na tyle zmęczony, że nie miał siły opierać się zakusom Lipcovej i tańczącym wokół niego starszkom.

– A co tam masz? Pokaż, pokaż? Fajne? Seks jakiś? No? Dawaj! – poganiały go starsze panie, rozochocone jak dzieciaki.

Zdjęcia nie były pornograficzne, co bardzo je zawiodło.

– Hmm, też mi coś! Po co komu takie zdjęcia? Lepsze w gazetach są – powiedziała zawiedziona Jadźka.

Melka popatrzyła i też wzruszyła ramionami.

Lipcowa zerknęła i otworzyła usta ze zdziwienia, następnie dość spektakularnie wybałuszyła oczy. Dla niej te zdjęcia chyba miały jakieś znaczenie bo aż się zasapała, po czym wypiszczwała w panice coś, co Mateusza zaskoczyło.

– A co tam robią moje druty? – Wskazała na jedno ze zdjęć, które Mateusz puknął palcem dwa razy i w ten sposób powiększył.

– Jakie pani druty? – zapytał, bo jako rasowy mężczyzna na drutach się nie znał.

– No nie widzisz? Takie do robótek – wyjaśniła Lipcowa, chyba nie wiedząc, czy się martwić, czy cieszyć. Martwić się chciała, bo były jej, a cieszyć zamierzała się dokładnie z tego samego powodu, co prawda, mogło to sprowadzić na nią jakieś posądzenie, ale też i dać jej centralną pozycję i uwagę wszystkich, a o uwagę zabiegała bardzo.

Starsze panie spychane kulturowo na margines istnienia walczą o uwagę czasami aż zanadto. Często makabrycznymi metodami. Czasami są to zdjęcia wnuków, którymi zasypują przygodnych rozmówców, czasami paskudne choroby, które sobie wymyślają, czasami akty wandalizmu modowego, jak na przykład cerowanie podartych jeansów albo dziergane pokrowce na fotele samochodowe.

Teraz wszyscy skupili się na zdjęciach.

Rzeczywiście obok książek, a właściwie jakby pomiędzy nimi, leżały, a właściwie nawet bardziej tkwiły, druty. Takie do robótek wymagających robienia na okrągło. Druty z żyłką. Specjalne.

Mateusz przyjrzał się im, ale nie zrozumiał.

– No i mam dwa pytania. Co to za problem i skąd pani wie, że to pani? Jakież podpisane są? Bo mnie się wydawało, że takie rzeczy produkuje się masowo, mogą należeć do każdego.

Lipcowa wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, co to za problem, ale wiem, że są moje, bo sama je przerabiałam, były na dziewięćdziesiąt centymetrów, a ja je połączyłam i potem miały sto osiemdziesiąt, nawet widać łączenie na środku, robótka się trochę na tym zacięła, ale były świetne. Niezwykłe, można było na nich chusty robić.

– Były?

– Były, bo zginęły. Obszukałam całą chałupę i nic, nie ma. Zginęły.

– Jak dawno?

– A bo ja wiem? Szukałam ze trzy tygodnie temu, to ich nie było, ale zginąć mogły wcześniej. Czy ja wiem?

– A może pani je gdzieś zgubiła?

– A może jesteś świrem? – Lipcowa był wściekła. – Jak można zgubić takie druty? Przecież na ogół jest na nich robótka, a robótka do sklepu się nie zabiera! Nigdzie się nie zabiera! Więc ktoś musiał je ukraść z mojego domu.

– I teraz okazuje się, że pani druty były na miejscu zbrodni? – zapytał Mateusz.

– A to jest miejsce zbrodni? O szlag! Jak to się stało? Dlaczego? Po co? Co one tam robią i dlaczego są gołe?

\*\*\*

To samo pytanie w tym samym czasie zadawała sobie Ada, która ściągnęła Olgę i pokazała jej zdjęcia.

Nie pytała oczywiście dlaczego druty są gołe, bo nie wiedziała, że powinny być ubrane i że istnieje coś takiego jak drutowa pornografia. W tym zakresie nie miała doświadczenia, ona była bardziej szydełkowa.

– Nie, Natalia nie dziergała – stwierdziła matka denatki. – Uważała, że to postarza. Wie pani, taki jakiś przesąd czy co? Że jak druty weźmie w rękę, to od razu już babuleńka. A ona jeszcze czuła się młoda. To znaczy nie, czuła się stara, ale chciała czuć się młoda. To się czasem nie udawało, ale postarzać się nie zamierzała, w każdym razie nie dzierganiem.

– A czym jeszcze można się postarzyć?

– Ano językiem. Bo jak ktoś piszczy: „o jejkę jejkę”, „laboga” albo coś w tym stylu, to się postarza, a jak rzuci porządnie mięsem, od razu młodnieje.

Stereotyp dziergającej staruszki to coś tak utrwalonego, że nie sposób przejść koło tego obojętnie; okulary, kok i druty to niemalże obowiązkowe atrybuty starszej pani. Natalia młoda nie była, ale od koka, okularów i drutów stroniła.

– A te druty tutaj? Co one tu mogą robić? Nie należały do niej?

– Zupełnie nie wiem, ale może były dla niej jakąś zakładkę? Ona potrafiła wszystko włożyć jako zakładkę. Znalazła, włożyła, i tyle.

SMS od Mateusza wyjaśnił wszystkim, także Oldze, czyje druty widzą na zdjęciu.

Mateusz nie byłby sobą, gdyby natychmiast nie pochwalił się swoim odkryciem. Było to odkrycie istotne i ważne dla sprawy, a takie coś dodaje splendoru.

– A więc to tak! Lipcowa! To ona zabiła moją córeczkę! – krzyknęła Olga z takim straszliwym rozżaleniem, jakby zapomniała, co jakiś czas temu sama mówiła na temat córki. – To ona! Zabiła ją! Zabiła! Krowa!

– O ile to prawda, to dlaczego by to zrobiła?

Zawsze we wszystkich rozważaniach sprawę mąci motyw. Wredny, paskudny, zagrażający wszelkim przemyśleniom motyw. Bo jak nie ma motywu,

wszystko się sypie. Ludzie nie zabijają się bez powodu, ale powody są różne, czasami tak dziwne, że aż trudno uwierzyć, niemniej jednak muszą istnieć.

– Bo ona sypiała z aptekarzem – stwierdził Hubert, wchodząc. Jak wielu ludzi zatopionych we własnych przemyśleniach, nie zdawał sobie sprawy, że inni ludzie gdzieś w innym miejscu myślą o czymś zupełnie innym.

– Jezus Maria, Lipcowa? Przecież on jest od niej młodszy o dobre trzydzieści lat!

Obraz, jaki wszystkim ukazał się przed oczami, był bardzo paskudny. Wyobrażenie sobie Lipcowej nago było porażające, choć nikt z obecnych nigdy jej nago nie widział.

– Jak ona mogła?

– Ale co? Sypiać z aptekarzem?

– Nie, zabić Natalię!

– Ale kto?

– Lipcowa! No przecież mówię, Lipcowa! – jęknęła Olga.

– Aptekarzowa – jęknął Hubert – nie żadna Lipcowa, tylko aptekarzowa mogła, z zazdrości!

– Przynajmniej to nie mógł być mnich – stwierdziła Ada, zamyślona.

Takie podejście bardzo podobne było do burzy mózgów, ale trochę zwichrowanej, bo w takiej prawdziwej wszyscy mówią o tym samym, ale każdy inaczej, a tutaj każdy myślał o czymś innym, ale dokładnie tak samo.

– Bo co? Bo mnisi nie dziergają? Czy chodzi o plastik? – zapytał Mundek, przypominając sobie wywody, które usłyszał od Mefju na Festiwalu Brzuchów Pivnych.

– Jezus Maria, baby! – krzyknęła Ada. – Zupełnie o nich zapomnieliśmy!

Takie rozmowy są dość skomplikowane i do niczego nie prowadzą, bo za męt, jaki wywołują, przywodzi na myśl stare chińskie powiedzenie „dziad o niebie, baba o chlebie”, no może nie chińskie.

– Zapomnieliśmy? O babach? O jakich babach? – Zaskoczona Olga nie bardzo wiedziała, o kogo chodzi. – Ze wsi?

– A gdzie tam, z zajazdu!

Obrazu majestatu wyraźnie wypełzła na twarz właścicielki.

– Tu nie ma żadnych bab! Tu są same panie! – rzuciła wściekle. – A panie siedzą w salonie i drinkują! Elegancko! – podkreśliła, wychodząc.

Ada postanowiła iść jak najszybciej do salonu porozmawiać z kobietami, bo tak jakby nikt za bardzo ich jeszcze nie przesłuchał. Zatrzymała się jednak

w drzwiach i rzuciła:

– Wszyscy zakładali, że to mnich, bo tylko on mógłby się dostać i wyjść po morderstwie z pomieszczenia w sposób nadprzyrodzony. Okazuje się, że nie było to konieczne. Już wiemy, jak można było stamtąd wyjść!

– Ja nie wiem – westchnęła Olga, która też się zatrzymała na widok wychodzącej Ady, ale stała trochę dalej w korytarzu.

– To proste, za pomocą tych drutów.

– Wydziergał się z pokoju? To tak jak u Chmielewskiej, w *Całym zdaniu nieboszczyka*. O to chodzi?

– Nie. Tam było szydelko – obruszyła się Ada – a tu chodzi o coś innego. Dla tego nie było widać tytułów na grzbietach książek!

– Wariatka – rzuciła cichutko Olga.

– Ada, tobie chyba naprawdę odbija – westchnął Edzio, który z wielkim zapalem śledził zupełnie nie to, co trzeba, bo zapatrzony był w okno.

\* \* \*

Przesłuchanie kobiet, które w czasie zbrodni przebywały w zajeździe, nie mogło być oficjalne, bo to oficjalne już było i nic nie dało.

Purchawa się tym zajęła i oczywiście nie uzyskała żadnych ciekawych informacji, za to dodatkowo zyskała cztery zapiekłe wroginie na śmierć i życie.

Panie Purchawę znienawidziły od pierwszego wejrzenia.

Było to tym łatwiejsze, że ona nie lubiła eleganckich kobiet, bo zawsze się wywyższały, więc na wszelki wypadek pokazała im, kto tu rządzi. Takie podejście niewiele daje, jeżeli szuka się informacji, a nie wrogów, ale Purchawa miała to gdzieś.

Po przesłuchaniach Purchawy okazało się, że panie nie wiedziały ani nie widziały niczego istotnego.

Ada jednak podejrzewała, że wiedzą. Wiedzą i ukrywają, wiedzą, ale nie wiedzą, że wiedzą, wiedzą, ale boją się powiedzieć, bo coś im z tego powodu grozi, albo wiedzą, ale nie mogą powiedzieć, bo coś im w tym przeszkadza. Na przykład jest coś lub ktoś, kogo kryją. Mężów albo siebie nawzajem.

Ciotki, ciociotki, królika sąsiadki, w każdym razie nie powiedzą, żeby temu komuś nie zaszkodzić, choć możliwe, że to i tak nie ma znaczenia.

Mówi się, że kobieta, która wie, to wiedźma, a ta, która nie wie, to niewiasta, Ada postanowiła je wszystkie traktować jak mniej więcej przestępczynię, dla eleganckich pań takie traktowanie bywa całkiem dobrym zimnym prysznicem.

O ile jednak Purchawę znienawidzić mogły, bo była policjantką, Ady znienawidzić nie mogły, bo była znajomą właścicielki.

Po prostu nie wypadało. To było nieeleganckie.

Zresztą ludzie zapomnieli, że elegancja to elegancja, czyli moda, maniery czy drogie perfumy, ale reszta to przecież całkiem to samo. Tyle że nagle się wydaje, że elegancka dama nie udusiłaby prostytutki, a byle jaka nieelegancka baba już tak. Nic bardziej mylnego! Duszenie nie podlega prawom mody ani nie jest reglamentowane! Każdy może udusić prostytutkę, choć nie należy tego brać dosłownie. Owszem, duszenie hrabiny do pewnego stopnia może być przyjemniejsze, ale tylko do pewnego stopnia, bo potem to już w sumie bez różnicy, no i w więzieniu też niewiele zmienia.

Eleganckie panie siedziały w salonie.

Ada weszła nonszalancko, podeszła do stolika z alkoholem, naląła sobie wódki, chlapanęła jednym haustem pół szklanki, po czym, widząc wybałuszone oczy eleganckich pań, złapała się za głowę.

– No tak. Zapomniałam zagryźć – powiedziała – ale nie mają tu ogóreczków. No dobra, wiecie, że to znalazłyśmy? – rzuciła, patrząc na panie takim wzrokiem, że wszystkie zbladły.

To taka pułapka myślenia, każda natychmiast wyobraziła sobie, że to, o czym mówi Ada, dotyczy właśnie jej.

Elegancja nie chroni przez pokusami czy posiadaniem mrocznych tajemnic.

Dżesika, teraz bez swojego męża Mefju, i równie zamężna Ewa, żona Adama, siedziały razem z dwiema paniami bez mężów (w każdym razie w za-jeździe ich nie było, choć w życiu mogli istnieć) Marceliną i Letycją. Wszystkie były eleganckie.

Wszystkie zbladły, usłyszawszy, co powiedziała Ada. I wcale nie chodziło o zagrychę.

Ludzie mają tajemnice. Każdy je ma. Niektóre są bardzo przyziemne, takie jak „Zeżarłam trzy pizze”, mimo że byłam na diecie albo „Zeżarłam trzy pizze hawajskie”, mimo że elegancja tego zabrania, albo inne, nieco mroczniejsze. Tajemniczość tajemnic bywa po prostu względna. Jedni ukrywają wrastające paznokcie, inni zwłoki w wersalce.

Ada liczyła, że jej słowa wywołają jakiś wymierny efekt.

Nie było to bardzo celowe, chciała powiedzieć, że znalazła druty, ale jakoś nie zdążyła, bo panie zaczęły wyrażnie same z siebie, jedna przez drugą, się tłumaczyć.

– No i co? – obruszyła się Ewa, żona Adama. – No i co? To nie jest karalne! Nie rozumiem, dlaczego detektywi się tym interesują, może jeszcze policję wezwiecie?

Takie postawienie sprawy natychmiast zwróciło na nią uwagę Ady, bo jak ktoś aż tak podkreśla, że coś nie jest karalne, to bardzo się czegoś boi, a nuż to coś może i rzeczywiście karalne nie jest, ale wstyd przynosi jak najbardziej gigantyczny, a wstydem da się manipulować.

Wyraźnie było widać, że coś ją gryzie.

– No możliwe, że nie jest, zresztą to kwestia podejścia, ale żeby na miejscu zbrodni? Dlaczego tam? – Ada rzuciła pytanie, żeby sprowokować dodatkowe odpowiedzi, pograżające kobietę w bagnie katastroficznej niby-spowiedzi.

– To nie była żadna zbrodnia! – krzyknęła kobieta. – Nawet niech pani tak nie mówi, mamy jedno życie! Zrobiłam to i nie żałuję.

Takie wieści są czymś jak najbardziej pożądanym.

– Czyli przyznaje się pani? – Ada triumfalnie popatrzyła dookoła, czując na swojej głowie wieniec laurowy z żeberkami w marynacie piwnej. Jako była policyjna bufetowa niestety nie umiała pozbyć się skojarzeń.

– Oczywiście! Człowiek musi mieć choć trochę cywilnej odwagi – warknęła tamta, jakby to, co powiedziała, dodawało jej siły, pewności siebie, ale i waleczności.

– Ale dlaczego? – zdziwiła się Ada i zaczęła przeć w kierunku motywu.

– To było silniejsze ode mnie, normalnie jak narkotyk – westchnęła kobieta i oklapła jak przekłuty balonik.

Ada się nie ucieszyła. Takie gówniane motywy z podtekstem psychiatrycznym jak „Coś we mnie pękło”, „Nie dawałam już rady”, „Ona miała żółte majtki” są bezsensowne.

Oczywiście wiele osób tłumaczy w taki sposób swoje zachowania, niekiedy nawet mordercze, ale rozsądni sędziowie zazwyczaj nic sobie z tego nie robią. Zresztą jak by to wyglądało?

– Nie pieprz – burknęła Letycja. – Zaraz narkotyk. Nie musiałaś! Kobieta powinna się szanować – walnęła z tak zwanej grubej rury.

To, co powiedziała Letycja, dawało nadzieję, że ona wie, co i dlaczego się stało, oraz że tamta kłamie. To mogło wiele zmienić. Wielu morderców zaraz po morderstwie, a bardziej po jego odkryciu, udaje chorobę psychiczną, bo wolą psychiatryk niż więzienie, no i z psychiatryka łatwiej uciec albo wyjść na przepustkę, a udowodnienie kłamstwa nie jest sprawą łatwą.



– Nie, moje drogie, takie sprawy to poważna rzecz, ja rozumiem. – Dżesika postanowiła robić za rozjemczynię. – Każda z nas wie, co to miłość, ale żadna dla niej nie zabija. To przecież jednak nie wypada. Prawda?

– Wypada tylko dysk i sztuczna szczeka – burknęła Marcelina. – Nikt się o tym nie dowiedział, więc uważam, że nie miało to znaczenia.

Ada powoli traciła chwilową nadzieję, że cokolwiek wydobędzie z tych pań. Owszem, informacje i oskarżenia padały, ale Ada nie miała pojęcia, z czym były one związane.

– A jak, do cholery, ktokolwiek miał się dowiedzieć? Przecież każda się kryła, jak mogła, i każda kryła swojego faceta. To normalne!

– No właśnie. Inaczej się nie dało, żona go śledziła! Jasne, że wołałabym bez tego, ale nic się nie dało zrobić.

– Żony w ogóle są do dupy, zwłaszcza te stare rupy!! – zrymowała Dżesika, zapominając na moment, że sama jest żoną.

– Szczególnie kiedy już nawet nie mają na nic ochoty! – dodała Ewa. – No przecież seks jest ważny!

– No fakt. Ten mój to geniusz w tej dziedzinie! Normalnie wirtuoz, no nie mam zamiaru żałować, że doprowadził mnie do orgazmu raz za razem! – jęknęła Marcelina.

– Drutem?! – krzyknęła Ada, zupełnie nie rozumiejąc, ale wszystkie cztery panie nagle zamilkły.

– Jakim drutem? Jakim, do cholery, drutem?

Pomysł doprowadzenia kobiety do orgazmu drutem był nieco psychodeliczny i podchodził pod sadyzm. Ada nie wiedziała, co powiedzieć.

– No ktoś zgubił – jęknęła, nie chcąc być podejrzana o sadystyczne skłonności czy zboczone praktyki seksualne, bo te są w naszym społeczeństwie o wiele bardziej potępiane niż skłonności mordercze.

– Majtki wyszczuplające zgubiłam, jak z moim szalałam, tyle, ale to nie jest problem, przecież nie zgubiłam ich w aptece!

Wszystkie panie nagle zamarły. Wspomnienie o aptece jakoś je zaintrygowało i trochę zmroziło.

– W aptecę?! Chrobotek? – zapytała Dżesika.

– Chrobotek? – zapytała Marcelina ze skamieniałą twarzą.

– Jezus Maria, czy to Chrobotek? Czy on przeleciał nas wszystkie? Naprawdę? Obiecał, że się ze mną ożeni, to znaczy uśmiechał się obiecująco, jak pytałam.

– Nie, nie mógł ci obiecać, bo to ja byłam z nim po słowie. Tak bardziej, choć oczywiście nie miał rozvodu. Jeszcze, ale to była kwestia chwili.

– A to gnój! Rozpustnik, przecież on ma żonę! To grzech! – wrzasnęła Ewa; jak wiele kobiet o własnym grzechu chwilowo zapomniała.

Cztery ofiary chuci aptekarza Chrobotka zaczęły nagle blednąć, czerwienić, a potem z zaciśniętymi pięściami wstawać z krzesel.

Tylko Letycja była nieco mniej zmieszana. Jakby mniej się obawiała albo przejmowała. Może była rozsądniejsza albo może bitwa w basenie piwnym nieco ją otrzeźwiła?

O swoich podbojach opowiadały sobie nawzajem ze szczegółami, nie wiedziały tylko, że mówią o tym samym facecie.

Były dość pijane, żeby zacząć awanturę, i za mało, żeby zadziałało powiedzenie „pijanego Pan Bóg strzeże”, toteż miały wszelkie szanse zrobić sobie krzywdę.

– Ale mnie chodziło o druty – jęknęła Ada, mimowolna sprawczyni katastroficznego zamieszania.

Do rozwścieczonych, choć zdecydowanie eleganckich kobiet nic nie docierało.

– A do tego on sypiał z Natalią! – stwierdziła Ada.

Nie słuchały. Postanowiła nimi odrobinę potrząsnąć.

– Czy któraś z pań zabiła Natalię z zazdrości?

Nadal nic nie docierało, a w ich rękach pojawiły się przedmioty różnego, choć w tej chwili możliwe, że morderczego, przeznaczenia.

Jedna chwyciła za nóż do masła, bo innego nie było pod ręką, jedna za łyżeczkę do kawy. Ewa dzierżyła widelczyk do ciasta i ten mógł być zdecydowanie niebezpieczny, bo jego ząbki były dość ostre i można nimi było coś komuś wydlubać. Może oczy, a może mózg.

Brały to pod uwagę i Ada, i Ewa, choć podejście miały zdecydowanie różne.

Dżesika złapała telewizor i ruszyła z nim do walki. Był zdecydowanie obronny.

– Edek! Hubert! Ratunku! – zawołała Ada, bojąc się katastrofy, choć telewizor nie miał wybałuszonego kineskopu, co wykluczało wybuch, ale i tak był niebezpieczny. Kobiety stanęły do walki o... hm. Chyba o miłość. W takich układach często tak właśnie jest, że dla jednego to tylko seks, a dla drugiego o wiele więcej.

Panowie wpadli do salonu i grzecznie rozbroili wszystkie panie. Najtrudniej im było odebrać telewizor, bo Dżesika była tak wciekła, że aż dostała szczęko – i rękościsku.

Kiedy minął pierwszy szok, wszystkie naraz zaczęły płakać. Nic dziwnego, właśnie na głowy zawaliły im się intymne światy, w których układały sobie swoje życia od nowa.

Wielkie miłości i porywy serca odeszły w siną dal, a został wstyd. I to wcale nie chodziło o samą zdradę, bo tego się nie wstydziły, raczej o to, że dały się nabrać. W taki właśnie sposób z romantycznych pań robią się zimne suki, a mężczyźni potem się dziwią, skąd takie kobiety się biorą. Z wykopalisk oczywiście, łózkowych.

Panie płakały, chlipały i obrzucały się wyzwiskami.

– No ale te druty, wiecie może coś o drutach? – Ada nie odpuszczała, choć nie miała wielkich nadziei.

– W moich majtkach nie było drutów.

– Chodzi o takie do dziergania – westchnęła Ada.

Ewa zanosila się płaczem jak mała dziewczynka.

– Jasneee, zeee wieeemyyyy – jęknęła, wycierając nos w serwetkę, w tej chwili elegancja całkowicie je zawiodła, więc się nią nie przejmowały.

– Co wiecie?

Odpowiedź wcale nie była zaskakująca.

– Taka wielka robótka leżała pod samotnią, ale że to była chustka, a chustki są dla starych bab, to nawet nie oglądałyśmy za bardzo i chyba już drutów nie było, nie byłam pewna. Pomyślałam, że szkoda, bo mogłabym je sobie wziąć – wyznała z zawstyżeniem Ewa.

– To ty robisz na drutach? – jęknęły wszystkie trzy pozostałe z takim niedowierzaniem graniczącym z dezaprobatą, że aż Ada się zdziwiła. Nie sądziła dotąd, że takie zajęcia mogą wywoływać takie kontrowersje.

– Nie, no co wy? Tylko kretynki robią, stare babuchy, ale...

– Nie kłam! – Wyraźnie ta sprawa wymagała wyjaśnienia, bo kobiety się zdenerwowały.

– No dobra. Robię i co? Muszę się uspokoić czasem, a te leki, co mi alienista daje, gównno pomagają.

– Daje pani leki? Alienista? Przecież on nie jest lekarzem.

– Daje, pewnie, że daje!

– A ma uprawnienia? – Edzio, który ten babski armagedon stworzony z miłości i łez obserwował zza trzymanego wciąż w rękach telewizora, bardzo się zdziwił, bo jednak uważał, że leki to sprawa lekarzy, a nie różnej maści alienistów czy szarlatanów.

– Jasne, że nie ma! – warknęła Ewa. – Przecież te leki to nie są leki! No co pan!

– To co to jest?

– No takie jakby coś, suplementy chyba, ale drogie strasznie, bo on daje, ale nie daje, znaczy trzeba kupić i jak już nie dają rady, to biorę druty i chechłam od rana do nocy.

– Pomaga?

– Jasne, nawet bardziej, oczywiście że tak, tylko wstyd się z drutami pokazać, a już z robótką? No bo wiecie państwo, elegancja zobowiązuje.

– No, ale proszę mówić dalej. Co z tymi drutami?

– No nie było ich, ktoś je zabrał, a były superdługie. Czyli to nimi ktoś ją zabił? Uduśli? Zadźgał?

Ada westchnęła, ucieszyła się, że chwilowo sprawy miłosne przegrały z drutami, że panie przestały chcieć zrobić sobie krzywdę, że nie miały ochoty iść zabijając aptekarza, ale...

– Ja coś wiem! – powiedziała Ewa. – Coś widziałam. To znaczy, nie że teraz, już wcześniej widziałam, ale nie chciałam nic mówić, bo wiecie panie, wtedy jeszcze miałam nadzieję.

Ada aż zastrzygła uchem, a właściwie uszami.

– Widziałam Chrobotka, jak szedł z tymi drutami po korytarzu. Poważnie. Naprawdę jak najbardziej go widziałam.

To oświadczenie mogło być cenne, tyle że nie było pewne, czy wynikało z wiedzy i z prawdy czy może z chęci zemsty.

Skrzywdzone kobiety potrafią widzieć naprawdę o wiele więcej, niż to wynika z ich możliwości.

– Tak! Tak, ja też go widziałam, po korytarzu szedł, aż mu dyndały. I krew... Tak, ciekła z nich krew.

I sprawa się ryła. Gdyby ciekła z nich krew, musiałby iść z nimi po morderstwie, a tymczasem odkryto je na miejscu zbrodni, tak więc nikt ich stamtąd po morderstwie nie zabrał.

No chyba że...

Ada nagle zdała sobie sprawę, że przecież te druty to wcale nie jedyne druty na świecie. Mogło ich być kilka par. Niby może nie takich samych, może nie sto osiemdziesiąt centymetrów, ale nikt w tym korytarzu chyba ich nie mierzył.

O ile w ogóle to była jakakolwiek prawda.

– A to był Chrobotek?

– Na milion procent! – z pogwałceniem matematyki zawołała Letycja.

No i sprawa się ryła po raz kolejny, ale też, co oczywiste, trzeba było ją sprawdzić.

– Hubert, idź ty zadzwoń do Chrobotka, co? Zapytaj go o te druty.

Wszystko może by się jakoś ułożyło, gdyby nie pewna okoliczność, niestety nie łagodząca.

\* \* \*

– Mam do pana jedno pytanie – zapowiedział Hubert po wybraniu numeru aptekarza, kiedy ten tylko odebrał połączenie. Hubert nie chciał się bawić w konwenanse, dlatego po prostu przeszedł do rzeczy, tym bardziej że dosłownie chwilę wcześniej z Chrobotkiem rozmawiał.

Odpowiedziało mu coś bardzo dziwnego.

– Ouuu, um, eeeooe... – Głos był na pewno głosem Chrobotka, natomiast bełkot... No cóż, był to też bełkot Chrobotka, ale jakoś dziwne to się wydało Hubertowi.

– Przepraszam, że przeszkadzam w kolacji – westchnął i dopiero w tym momencie zrozumiał, dlaczego wszystkim dzieciom się powtarza, żeby nie mówiły z pełnymi ustami. – To może ja zadzwonię później – stwierdził, nie uzyskawszy żadnej zrozumiałej odpowiedzi ze strony Chrobotka. Wtedy telefon ktoś przejął.

– Nie porozmawia pan z nim, pan Chrobotek jest na SOR-ze w Prasławcu. Będzie miał drutowaną szczękę.

– Ale co się stało? – zapytał Hubert, choć w cichości ducha jakoś chyba podejrzewał.

– Nie wiem, mówił, zanim spuchł, jak jeszcze mógł cokolwiek powiedzieć, że żona go zrzuciła ze schodów, ale pani aptekarzowa to bardzo miła pani, więc nie wydaje mi się. Ona mówi, że się potknął na ogórku kiszonym. I tego będziemy się trzymać.

Przemoc domowa miewa różne oblicza, najczęściej są to ogórki i schody, bo ludzie się wstydzą. Nie wstydzą się tego, czego powinni, ale tego, że ktoś ich

bije – jak najbardziej.

No i nikomu nie chce się wierzyć, że ten miły pan albo ta miła pani pobili lub pobiła żonę czy męża.

Hubert ucieszył się, że nie jest żonaty.

– I wie pan co? – Osoba po drugiej stronie aż westchnęła z rozrzewnieniem. – Te małe społeczności są naprawdę bardzo, bardzo żyte!

Hubert nie rozumiał, do czego pije rozmówca, którego podejrzewał o to, że jest chyba pielęgniarzem.

– Ale co to ma do rzeczy? – zapytał, lekko zdziwiony, nie wiedząc, co powinien zrobić.

– No bo tam ludzie się szanują! Pan Chrobotek niby tylko aptekarz, nic wielkiego, a wie pan, ile osób stoi pod szpitalem i czeka na wieści o jego zdrowiu? Kilkanaście samochodów, cały parking zajęty!

– Naprawdę? No to rzeczywiście. – Hubert nie bardzo wierzył w aż takie cuda, w końcu to nie była Wigilia, nie padał śnieg, a aptekarz nie był Świątym Mmikołajem.

– Normalnie aż przyjemnie popatrzeć – kontynuował pielęgniarz. – Aż sam bym tam zamieszkał! Ludzie się znają, szanują, kochają!

Tak, z pewnością się kochają, pomyślał Hubert, ciekawe, jak szybko wszystkie te panie pod szpitalem zorientują się, o co chodzi.

Nie miał złudzeń.

Nic nie powiedział, bo jakoś dziwnie się mówi o takich sprawach przez telefon, i to wtedy, kiedy dotyczą kogoś, kto leży w szpitalu pobity przez żonę.

– No wie pan co? Muszę kończyć – oznajmił pielęgniarz. – Coś się dzieje na parkingu. Nie wiem, czy dobrze widzę, ale chyba tam jakieś kobiety zaczynają się bić. O, jedna wali torebką drugą, niemożliwe. Kurczę, nie wiem, co robić. O! Jakaś inna przejechała drugą, ale ona wstaje. O, kamienie, Boże kochany, kamienie poszły w ruch i cegłówki. Rozebrały paletę kostki brukowej! Ratunku! – wrzasnął pielęgniarz i się rozłączył.

Hubert jeszcze raz poczuł, że miło jest nie być żonatym.

Reszta pań, czyli cztery elegantki przebywające w zajeździe, którym oczywiście powiedziano, co się stało z ich wspólnym kochankiem, chciała natychmiast jechać do szpitala, ale im to odradzono.

Obraz zniszczeń pod szpitalem był tak poważny, że jeszcze tego samego wieczora lokalna prasa pisała o rozruchach w Prasławcu.

Nikt oczywiście poza samymi zainteresowanymi nie znał powodu tych ruchów. Dlatego dziennikarze musieli znaleźć sobie powody zastępcze. Nie mogła to być miłość, bo nie przeraża, w takim kontekście najwyżej bawi, a współczesne dziennikarstwo bawić nie powinno! Ono ma zupełnie inne cele. Ma powodować paniczny strach, palpacje serca i skręt wątroby, panikę i szaleństwo, wtedy jest dziennikarstwem na odpowiednim poziomie.

Dlatego rozruchy były spowodowane przez szczepionki, dzięki którym jakaś kobieta doznała oświecenia i zrozumiała, że jest kosmitką.

\* \* \*

– Zaraz, zaraz, a jego żona? – zapytała Ada, kiedy panie trochę jakby ochłonęły.

– Co z nią? – rzuciła Letycja naprawdę nieprzyjemnym tonem. Przecież nikt nie kocha żony swojego kochanka, ba nawet jej nie szanuje, bo to oczywiście wszystko jej wina. To ona nie daje rozwodu, śledzi, szantażuje, grozi...

– Przecież nie żyje – westchnęła Ada, bo zastanawiała się, jak to mogło się odbyć. Bo jeżeli kobiety mówiły prawdę albo jeżeli choć jedna setna tego, co powiedziały i co trzeba było sprawdzić, było prawdą, to jak to się miało do drugiego morderstwa?

– Wow! Ktoś zabił aptekarkę? – Panie rozjaśniły się w radosnym uśmiechu, który usiłowały ukryć.

Ada musiała je nieco zawieść, ale tylko nieco.

– Nie, chodzi o jego byłą żonę. Tę znaną pod szpitalem. Zdaje się, że ona aptekarką nie była.

– A, no tak – westchnęły, naprawdę zawiedzione. – Aptekarką rzeczywiście nie była, ale pojebana to była kosmicznie.

Panie popatrzyły na Marcelinę z wyższością i dezaprobatą, była to dezaprobatą elegancka, a wyższość zimna, ale to chyba nie miało znaczenia.

– No co? – Marcelina oczywiście musiała się bronić. – A jak latała i wyzywała, to co? To przyszcz?

– Ale na Chrobotka?

– Nie, na naszego alienistę! Bo spuchła.

– A co on miał do tego?

– Nic nie miał, dał jej kapsułki uspokajające, zażyła i spuchła.

– Alergię miała na jakieś coś. Nie wiem na pewno, na co, ale miała.

– Pokarmową?

– A skąd ja mogę wiedzieć? Chyba tak. Jeżeli zjadła i spuchła, to chyba pokarmową. Latała i wyzywała, a na twarzy to rzeczywiście wyglądała jak ludzik Michelina, ale ja to uważam, że się niepotrzebnie uniosła, ona używała kosmetyków za grosze, to wcale nie musiała być ta kapsułka od terapeuty, tylko jakiś durny krem z dyskontu, kto, do jasnej cholery, smaruje się czymś, co kosztuje ledwie sto sześćdziesiąt złotych za tubkę?

– Ale co to ma do rzeczy?

– No bo ona w nocy taka spuchnięta poszła do niego, tam poszła, pobiegła! A wrzeszczała! „A ja tego tak nie zostawię” i takie tam.

– I co?

– I nic. Poszła, wróciła, pewnie jej dał do wiwatu, bo się zamknęła, i tyle.

– Bo ona to chyba z nim miała romans. To naprawdę uwłaczające, nie uważa pani, pani Ado?

Przyganiał kociol garnkowi, pomyślała Ada, bo rzeczywiście te panie własnych romansów nie traktowały z aż tak wielką naganą jak romanse innych pań, ale oczywiście tych, których w pobliżu nie było.

– Ale dlaczego uwłaczające?

– Bo ona za nim łąziła, a nie on za nią.

– To znaczy to była trochę inna sytuacja! On był, to znaczy jest, terapeutą, tak się nie robi, nasz Chrobotek – podzieliła się prawami własności do byłego już raczej kochanka – był spoza zajazdu, a tu? No przecież to nie pasuje. No i ona potem strasznie się czegoś bała. Chyba kucharza?

– Ale dlaczego kucharza?

– Bo po mojemu to ona nie od tych suplementów spuchła, tylko od czegoś, co kucharz jej dodał do zarcia. W każdym razie zrobiła się taka jakaś nie do życia.

– A tam, kucharza się bała. Mordercy się bała!

– A skąd go wzięła?

– A zobaczyła gdzieś, jak łąziła po nocy.

– To mógł też być kucharz.

– Bzdury opowiadasz. Kucharz jest strasznie podtatusiały. Nie łązi po nocy.

– Jasne, to może nasz terapeuta?

– Też durne. On nie nadaje się na mordercę. To musiał być ktoś o wiele sprytniejszy i jakby bardziej morderczy.

– Chrobotek?

– Zaseksilby ją na śmierć, to możliwe, ale nożem? Eee, to nie w jego stylu.



Edzio nadal stał i patrzył w okno.

– Dziwne to – powiedział i odłożył telewizor na podłogę.

\* \* \*

Kostka brukowa się skończyła i kamienie pod szpitalnym oddziałem ratunkowym przestały śmigać. Kobiety przestały nawzajem się wyzywać i tłuc sobie szyby w samochodach, bo każda w obliczu stresu i tej przykrej sytuacji zdała sobie nagle sprawę, że nie, tak być nie może! Nie wolno robić czegoś takiego, trzeba w siebie wierzyć, jak mawiają Internety. To ona jest najważniejsza, sam tak mówil! A ona musi mu wierzyć, trudno nie wierzyć takiemu kochankowi. Inne się nie liczą, trzeba wierzyć w siebie!

Bo kto, jak nie ty, to znaczy ja, w sumie nawet ona.

Wszystkie zdecydowały się w tym dość kruchym rozejmie czekać na wieści ze szpitala.

Chrobotek został poddany procedurom medycznym i, prawdę powiedziawszy, nie wiedział, co dokładnie się dzieje.

Jego żona jak troskliwa opiekunka siedziała u jego szpitalnego łóżka i zarazem łóżka boleści, popłakując.

Była przekonywająca.

– O Boże, ja nie wiem, jak to mogło się stać! – powtarzała co chwilę i wszyscy musieli tego słuchać, bo jednak aptekarzowa miała donośny głos. – Jak on nastąpił na tego ogórka, na schodach? No ja tę naszą sprzątaczkę rozliczę! No przecież to aż niemożliwe! Ona zrobiła to specjalnie, suka jedna!

Chrobotek przez mgłę bólu ze zdziwieniem odkrył, że mają sprzątaczkę. Do teraz nawet o niej nie słyszał.

– No i żeby tak strasznie się potłuc? Okropne? Prawda?

Aptekarz był na wpół przytomny i właściwie nie miał możliwości tego nie słuchać.

Oczywiście wiedział, co się stało i dlaczego się stało. Jego żona musiała słyszeć to, co powiedział detektywowi, mimo że bardzo się starał, żeby nie usłyszała.

Założyła mu podsłuch?

A może coś innego, może któraś z jego kobiet się wygadała? Do momentu ataku stolnicą w twarz telefon miał przy sobie, więc nie mogła przeczytać jego SMS-ów. Inna sprawa, że ostatnio do domu wróciła cała mokra, cuchnęła pi-

wem i ziała ogniem, ale sprawy rodzinne to jedno, a apteka to drugie, zajęła się pracą, więc nie wiedział, o co poszło ani że o coś poszło.

Tak czy tak, dostał za swoje.

Przez chwilę słuchał wrzasków i huku na zewnątrz.

Potem jakiś zbląkany kamień walnął w szybę, ale na tyle delikatnie, że nie doszło nawet do pęknięcia.

– O, a e e eee? – zapytał, w ogóle nie otwierając oczu.

– O, nic takiego, to pęka kolejne damskie serce – powiedziała przez szczękościsk żona – ale tym się nie martw. Ja to załatwię!

– O tak – przytaknęła pielęgniarka w dobrej wierze. – Niech się pan niczym nie martwi! Żona wszystkim się zajmie!

– Aaaaa! – wrzasnął, przerażony tą perspektywą.

Żona roześmiała się cichutko. Aż zadrżał.

– Wiedziałam, że jesteś zwykłym złamasem na niebieskich tabletkach, ale nie wiedziałam, że to aż tak daleko zaszło! Rozumiałabym, że moja córka czy ta głupia Natalia, ale żeby inne? Tyle? Przeleciałeś pół wioski, i to tylko dlatego nie całą, że drugie pół to faceci? Wiesz, że będę musiała położyć temu kres!?

Nagle Chrobotkowi pociemniało w oczach.

– Dopadnę je wszystkie! Zobaczysz – obiecała żona tonem, który nie dawał mu wielkich nadziei na długie, spokojne życie i budził skojarzenie z pokemonami.

Ożenił się z nią dla pieniędzy. Nie było to małżeństwo z miłości, ale żyli sobie spokojnie i dostatnio, wręcz dobrze i przyjemnie, i gdyby nie pewne skłonności do zazdrości...

Ona miała chyba jakąś chorobę psychiczną!

Taka zazdrość jest nieuzasadniona!

Nie można tak kontrolować żywego, normalnego człowieka, nie wolno się znęcać nad mężem! Nie dawał jej powodu do kontroli. No może pociupciał trochę tu, trochę tam, ale to było tylko tak rekreacyjnie...

Przesadziła.

Zastanawiał się, jak bardzo przesadziła, i nagle aż zeszytywniał.

Nie, nie w ten sposób. Tym razem zeszytywniał zupełnie inaczej.

– A jeżeli ona zabiła Natalię i własną córkę z zazdrości? – zapytał sam siebie, nie artykułując niczego, bo nie mógł, ale i tak by tego nie zrobił, bo po co miałby ją pytać o jej własne morderstwa? Przecież by mu się nie przyznała. Wiedział, że istnieje zespół Otella, i to jest choroba głównie mężczyzn, a nawet

alkoholików, taka chorobliwa zazdrość, on z pewnością tego nie miał, ale u kobiet chyba też jakoś to się objawiało. No, co prawda, w każdym takim wypadku zazdrość jest całkowicie nieuzasadniona. No właśnie! Dokładnie tak jak tutaj, u niego, żona nie miała podstaw do zazdrości, bo o zdradach nie wiedziała!

Poza tym to było chore. Na takie małżeństwo to on się nie pisał. Przecież między nim a tymi kobietami nie było żadnej chemii, poza oczywiście tą z niebieskiej tabletki. Nic do nich nie czuł, a ona takie coś mu zrobiła?

Wiedział, że taka zazdrość może zabić.

Nagle coś zrozumiał.

Ona mogła zabić tamte kobiety, a teraz może zabić i jego!

A on uziemiony, usztyniony, obandażowany i zdrutowany nie będzie się mógł bronić, a na dodatek ona go zabije tutaj, żeby nie było na nią, ale na niekompetencję pielęgniarek.

I to tych ładnych!

Udał, że śpi. Owszem, był opuchnięty jak baniak, ale ręce i nogi miał sprawne, choć ramię trochę straciło ruchomość i puchło.

Kiedy żona wyszła do łazienki, ukradł jej kluczyki do samochodu.

Postanowił się uratować.

Do ratunku potrzebna mu była pomoc jednej lub drugiej kobiety. Te ze wsi tłoczyły się pod szpitalem, tak więc nie wchodziły w rachubę.

Postanowił pojechać do zajazdu.

\*\*\*

Melka i Mateusz pominęli milczeniem gołe druty do robótek.

– Ale pani tam chodzi codziennie – stwierdził chłopak oskarżycielskim tonem.

– No i co z tego? – Lipcowa jakoś się tym jego oskarżycielskim tonem nie przejęła.

– To z tego, że nienawidziła pani tej Natalii.

– Oj tam, oj tam, nienawidziłam jej durnych pomysłów! Cała wieś została przez nich przejęta! Przez nią, jej mamunię i całą tę durną ekipę. Nic już nie jest nasze, nawet mnicha zawłaszczyli dla siebie! Wszędzie tylko oni, a jak człowiek chce coś zrobić...

– I zarobić?

– A co to? Zakazane? Jasne, że zarobić też, to zaraz że śmietnik, że disco polo, że nieeleganckie, a ja w dupie mam tę ich elegancję, wieś jest nasza, a nie ich! Nie zgadzamy się na to, żeby oni ją sobie przywłaszczali! To jest wieś dla ludzi ze wsi! A nie dla turystów.

– No ale na turystach chcecie zarabiać?

– Jasne, przecież nie ma zakazu, każdy chce, ale nie tak, że tylko oni mogą! A tu co chwila coś! I wcale nikogo nie nienawidziłam! Już prędzej ta Chrobotek ich nienawidziła. Ta martwa.

– Przed śmiercią? – zapytała bezwiednie Melka.

– A jak myślicie? Po śmierci może też, ale tego nie da się sprawdzić.

– Ale dlaczego?

– A bo to ktoś wie? Może po śmierci już takie emocje opadają? – Wzruszyła ramionami. – Raz latała w nocy po zajeździe, że coś jej tam dali i że ona nie popuści. Jakiejś alergii dostała, spuchła czy coś?

Melka i Mateusz zbierali się już do wyjścia, wściekli, że spotkanie strażniczek okazało się niewypałem. Oni liczyli na jakieś inkantacje, demony, tajemne rytuały, a to były wymysły trzech podstarzałych wariatek.

– I co to zmienia? Przecież z takiego powodu się nie zabija, jak to sobie pani wyobraża? Spuchła i poszła zabić Natalię? To durne. Tym bardziej, że ta Natalia niczego jej nie dawała. Jeżeli ktoś, to chyba tylko terapeuta, nie?

– A nie, to znaczy tak, terapeuta, ale to było już po jej śmierci, to znaczy po śmierci Natalii. No i to było dziwne, bo potem ta Chrobotek była taka przerażona, że aż się kuliła. Ciekawe, że nazwiska nie zmieniła po rozwodzie, nie?

Trzy kobiety pokiwały głowami.

– No bo tam coś było, że ta matka jej chłopą ukradła, a ona nie chciała czy coś? Nie dojdziemy.

– Ale bać się bała – westchnęła Jadwiga.

– No, ale dopiero potem. Najpierw się nie bała i latała po nocach, i wrzeszczała, że chce komuś zrobić koło pióra, a potem tak się bała mordercy, że aż prawie dupy z zajazdu nie ruszała.

– No ale morderca to naprawdę poważny powód do strachu. Może coś widziała?

– Ale co? Co mogłaby zobaczyć?

– A na przykład kogoś z drutami wchodzącego do Natalii? – Mateusz usiłował wszystko uporządkować.

– Wiesz co? – Melka popukała się w czoło. – Mati, ty znów dałeś sobie zrobić wodę z mózgu naszym staruszkom. – Zerknęła na wściekle miny trzech nomen omen staruszek, które staruszkami być nie chciały. – Myślałam o naszych geriatrycznych detektywach! – wyjaśniła. – Czy na drutach był podpis? Nie było! Data? Żadnej? Te druty mogły tam leżeć sto lat, a teraz wszyscy, że morderca je przyniósł, nie musiał. Mogły tam być od zawsze!

– Nie mogły – burknęła Lipcowa. – Jeszcze kilka tygodni temu je miałam. O tu, w domu! Pamiętam, bo miałam taką gripę, że na oczy nie widziałam. Nawet gotować nie byłam w stanie.

– No to mogły nie mieć nic wspólnego z zabójstwem, krwi na nich nie było, a poza tym to wcale nie muszą być pani druty, pani Lipcowa. Ktoś mógł wpaść na podobny pomysł.

– Ale...

\* \* \*

Ledwie żywy, obolały i tak spuchnięty, że prawie nic nie widział, z bolącą szczęką, na wpół przytomny Chrobotek wiedział tylko jedno.

Musi uciec, bo żona go zabije albo okaleczy, widział to w jej oczach.

Z pewnością to ona zabiła Natalię, a także swoją własną córkę. Dlaczego nie miałyby zabić jego? Kochała go, pewnie początkowo zamierzała wyeliminować jedynie swoje rywalki (choć eliminowanie swojej własnej córki, a tym samym jego byleż, naprawdę bardzo byleż, żony zakrawało na paskudną przesadę), ale kiedy się zorientuje, ile kobiet powinna zabić, pewnie dostanie wstrząsu i obróci się przeciw niemu, a poza tym już poczuł, do czego jest zdolna, kiedy zrzuciła go ze schodów. Tyle że to jednak nie była cała prawda.

Nie zrzuciła go, tylko zwyczajnie pobiła, ale takie coś to wstyd.

Mężczyźni nie płaczą i nie pozwalają, by kobiety ich biły. To podstawowa zasada męskości. Tego trzeba się trzymać.

I nie wolno o tym mówić, więc mówi się o schodach i o ogórkach.

Żona wcale nie zrzuciła go ze schodów.

Ona walnęła go drewnianą stolnicą w głowę, nawet nie wałkiem, niestety, zero tradycji! Walnęła go trochę z boku, dlatego bolała go nie tylko szczęką, ale i ramię.

I męska dusza.

Uderzyła go z całej siły.

– Tu chuju niemyty – powiedziała, patrząc mu w oczy z taką miną, że prawie się posikał ze strachu. – Ty namiastko faceta, ty viagroźerny debilu, ty ćwoku!

I po każdym „ty” waliła go stolnicą.

Nic dziwnego, że trafił na SOR, dokąd sama go zawiozła, by twierdzić, że mąż pośliznął się na ogórku kiszonym. Na schodach.

Nikt o nic nie pytał, nawet o to, co ogórek kiszony robił na schodach i czy oni nigdy nie sprzątają, skoro zdarzają się takie dziwne rzeczy.

Nawet facet od rentgena powiedział tylko, że ogórek był zdecydowanie śliski.

Pani aptekarzowa przecież jest taka miła i tak zapatrzona w męża.

Dlatego teraz Chrobotek postanowił uciec. Gdzie go oczy poniosą. Niestety, ze względu na opuchliznę oczy nie miały większego pola do popisu. Niewiele widział.

Ucieczka przed żoną musiała być jednak ostateczna. Nie tak, że do domu, tam już powrotu nie miał. Miał za to miejsce, gdzie przetrzymywał zapasy niebieskich tabletek.

Tajne miejsce. Tajne zapasy. Tajne życie.

Począł, aż małżonka wyjdzie do łazienki.

Na szczęście przy łóżku zostawiła torebkę.

Wymacał w niej kluczyki.

I ruszył do samochodu.

Kiedy dojechał do wsi, zostawił samochód, a sam poszedł piechotą w kierunku zajazdu, ale od tyłu, bo pod samotnią miał skrytkę.

To było świetne miejsce, bo nikt się nie dziwił na widok aptekarza idącego do terapeuty i zbaczającego z zamyślnym spojrzeniem w kierunku romantycznej studni.

Postanowił, że jak tylko dopadnie skrytki, to zje ze trzy tabletki, żeby potem dobrać się do którejś z pań i w ten sposób trochę się seksualnie odstresować.

Oczywiście nie mogła to być żadna z żon, to znaczy mężatek z wyraziście obecnymi współmałżonkami, to by było zbyt widoczne, ale któraś z dwóch wolnych jak najbardziej, ponieważ nic o sobie nie wiedziały, mógł udawać zmęczonego wędrowca, a po drodze coś sobie z życia ukręcić. Na przykład jakieś małżeństwo.

Lubił być żonaty. To świetny status, oczywiście dopóki nie bierze się go zbyt poważnie.

Tyle że bigamia odpadała, dlatego trzeba było zacząć od początku.

Rozwód, podział majątku, nowe życie!

Z jakąś chętną, zamożną nową żoneczką? To byłoby cudne. Z tą obecną bał się nawet zostać sam na sam w jednym pomieszczeniu.

A teraz szedł zapokrzywionymi chaszczami, podmokłym terenem po ciemku i trochę po omacku bez latarki i nagle coś na niego wpadło.

Było wielkie, mokre, ekspansywne i kudłate. Nie spodziewał się tu spotkać diabła tasmańskiego.

A ten prowadził za sobą jakąś zdyszana kobietę.

Padł w błoto. Chrobotek, diabeł nie.

Przeleciał po nim z warkotem i pobiegł gdzieś dalej.

A on nie mógł wstać.

Nie żeby bardzo chciał, ale był słaby jak dziecko.

To, co mu dali na ból, pewnie też było trochę na spanie.

Ziewał na potęgę.

\*\*\*

Kościuchowa pobiegła za psem, bo Wycior właśnie dopadł majtek wyszczuplających i doskonale się nimi zajął, jak to tylko pies potrafi. Tarmosił je, gryzł, ciągnął, warczał i szalał.

Kościuchowa trochę się nawet ucieszyła, bo prawda była taka, że pies wybiegany, albo choć zmęczony, da jej pospać do rana i są mniejsze szanse, że wyciągnie ją na spacer o piątej rano, w przeciwieństwie do psa, który przez cały dzień zażywał wypoczynku i wyspał się tak dokładnie, że w nocy musi choć trochę poszaleć.

Tyle że wszystko tu teraz wydało się kobiecie podejrzane. Wszystko łączyło się ze zbrodnią, było podejrzane, niebezpieczne, straszne, krwawe i w ogóle. Niepewne. To właśnie ta niepewność była najgorsza, bo nawet morderca jest poniekąd lepszy. Bardziej konkretnie jednoznaczny. Człowiek wie, co robić. Po prostu ucieka, a w sytuacji niepewności nie ma żadnego punktu odniesienia. Uciekać? Iść dalej? Krzyczeć? No i istnieje ryzyko, że zrobi z siebie kretyna, uciekając przed krzakiem.

Początkowo z zawodem w oczach stwierdziła, że to, co widzi, to chyba nie zwłoki. Owszem, najpierw w centrum jej uwagi znalazły się majtki wyszczuplające, którymi zajął się pies, ale potem dostrzegła coś jeszcze.

Była to ręka.

Ciężka, dziwna, na wpół bezwładna, ale ręka.

I nie była plastikowa.

I była jakby z czymś połączona, a to coś do niej mówiło straszne rzeczy. I wrzeszczało.

– Aaaaooaaeee eee aaayyy!

Nic z tego nie rozumiała, ale brzmiało groźnie. Najpierw myślała, że to może być dzik, ale dziki jednak nie mają rąk.

Zanim pies zdążył dopaść tej ręki i ją, powiedzmy, odgryźć, dopadła jej ona. Ucieszyła się w tym momencie z majtek, które zafascynowały psa tak bardzo, że aż podziękowała za nie losowi. Potem usiadła na ziemi.

Zemdlilo ją, kiedy się zorientowała, że ręka jest całkowicie ludzka.

Ostatkiem sił i zdolności umysłowych wybrała numer Ady.

– Pani Ado, czy wam tak jakoś nie brakuje szczątków? Zwłok, czegoś? Kogoś? – zapytała, nie wiedząc, co powiedzieć. – Takich ludzkich? Jakichś czy coś?

Adzie szczątków nie brakowało, wcale za nimi nie tęskniła, a że nie wiedziała, o co chodzi, rzuciła ze śmiechem:

– Nie, pani Czesiu, a co? Pani ma nadmiar?

– No tak jakby znalazłam jakiegoś takiego, znaczy ja to tylko jednego członka, ale jest tego więcej. W pokrzywach.

Wyobrazenie sobie składowiska członków w krzakach Adzie się nie spodobało. Nie była zboczona, poza tym to byłoby spore marnotrawstwo.

– Męskiego?

– Nie wiem – westchnęła Kościuchowa, odsłaniając w krzakach coś, co powinno być głową, a było jakby spuchniętą maską.

– A może być inny?

– No to chyba damski członek, ręczny!

Kościuchowa nie była w stanie się wystawić.

Damski członek ręczny się w głowie Ady nie mieścił.

– Damski członek ręczny – powtórzyła głośno. – Hubert, z czym ci się to kojarzy?

– Z wibratorem?

– Pani Czesiu, o wibrator chodzi z tym członkiem?

– Nie! Całkowicie nie. Ludzie mają członki, tak? To właśnie o to mi chodzi. Ręka. Damska. Wygląda, że to chyba jakaś babka po operacji plastycznej, wiecie, z takich, co sobie usta na pół twarzy robią, bo nie widzę i ciemno, i coś mi tu bełkocze.



– Mnie się wydaje...

– Niech się wam wydaje, co chce, ale ja to znalazłam! Damską rękę, nie rozumiecie? Czyli damski członek ludzki, wyraźnie mówię! Nie rozczłonkowany! – wrzasnęła i prawie zemdłała.

– Ojej, jest odrąbana? – zapytała Ada, powodując mdłości u Kościuchowej, która nigdy aż takiej rzeczowości u Ady nie podejrzewała. – Odcięta? Co z nią?

– A co ja wiem? Trzyma się, ale nie za bardzo działa. Taka jakby bezwładna jest. I jak ciągnę, to strasznie wrzeszczy.

– Proszę niczego nie ciągnąć! – zawołała Ada, bo bała się zanieczyszczenia materiału dowodowego.

– Chyba za późno – jęknął Edzio. – Ona macha do nas ręką. – Patrzył zaczarowany przez okno.

– A czym ma machać? Nogą?

– No ale ta ręka nie jest jej! Strasznie jakby długa, no i trzyma ją w obu swoich, a pies tarł coś obok niej.

– No to Purchawa nas zabije!

– A ona co do tego ma?

– Przecież tam muszą być jakieś zwłoki!

– Kościuchowa nie mówiła nic o zwłokach, tylko o ręce. To wcale nie muszą być zwłoki.

Kościuchowa wcale nie machała do nich ręką, choć oczywiście machała, aż taka odważna i głupia równocześnie nie była, ale musiała ratować tę rękę przed psem. Rękę, nogi, a potem też i wielką głowę, bo jak tylko się poruszyła, to dopadł ją pies.

Kościuchowa się bała, że Wycior to coś, albo bardziej tego kogoś, a może tę biedną panią, pogryzie, bo bardzo źle reagował na bulgot wydobywający się z wielkich, spuchniętych ust ukrytych w pokrzywach.

Dlatego wzięła rękę w kawał podartych majtek i podniosła wysoko. W ten sposób sprawiła, że wyglądało to na machanie.

Właściciel ręki przyczepionej do uszkodzonego ramienia zemdłał, ale tylko na chwilę. Z bólu.

Czekała na pomoc z zajazdu. Nie wyobrażała sobie spaceru z psem i z tym czymś, nawet gdyby wstało.

– No dobra, ale o co chodzi? – zapytał Mateusz, patrząc na zdjęcie. – Ty coś z tego rozumiesz?

– Wydaje mi się, że tak. – Melka też popatrzyła na zdjęcie.

\* \* \*

– Pani Czesiu! Zaraz do pani idziemy, proszę się stamtąd nie ruszać! – zawołała Ada do telefonu, jakby Kościuchowa w ogóle brała to pod uwagę.

Nie mogła. Po pierwsze to coś w krzakach było na wpół przytomne, po drugie pies szalał.

\* \* \*

Edzio westchnął, podszedł do laptopa i popatrzył na zdjęcia.

Nie były w żadnym razie ciekawe. Ot, stosy książek, trzy stosy, przystawione do drzwi, bo zdjęcie zrobiono zaraz po wejściu przez wyważone drzwi tarasowe. Książki stały, druty tkwiły pomiędzy nimi, a właściwie nie same druty, ale żyłka. Druty z nich oczywiście zwisały tak tuż nad podłogą.

– Nie do końca rozumiem.

Mundek też popatrzył.

– Tu w aktach mamy, że ona miała taki zwyczaj, że zastawiała drzwi stosami książek, żeby nikt jej nie przeszkadzał, bo coś było z zatraskiem nie tak, w każdym razie jak chciała się odciąć od wszystkich, szła tam, zastawiała drzwi, zamykała wejście na taras i siedziała tak, czytała chyba. Nie wolno było do niej pukać ani dzwonić, bo dostawała szału. Była wredna, wyzywała ludzi strasznie, nawet matkę, tyle że, wiecie, matka to matka, prywatny układ rodzinny, nie wolno, nie wypada, ale jak coś, to jednak nikt się nie czepia, bo w rodzinie różnie bywa i nikt nie zamierza się wtrącać do takich spraw, ale ona wyzywała też pracowników, a to już pod paragrafy podpada, no i nawet miała sprawę o mobbing. Niby rozeszło się po gościach, ale nikt nie chciał powtórki.

– To nie mogli jej jakoś przemówić do rozsądku? – zapytała Ada, świadoma, czy nie, że gdyby jej samej ktoś chciał w jakiejś sprawie do rozsądku przemówić, też odszedłby z kwitkiem, a w pewnych konkretnych okolicznościach może również z podbitym okiem.

– A kto niby miał to zrobić? Któryś z pracowników? Oszalałaś? Ludzie mają pewien dystans do zwierzchności, a w pracy szczególnie. Po prostu praca jest zbyt ważna, żeby ją stracić przez taką durnotę.

– No to matka?

Niektórym ludziom się wydaje, że matka może wszystko, ale nie biorą pod uwagę, że ta prawda jest ograniczona czasowo. Jak dziecko ma pięć lat, to może zadziałać, ale jak ma pięćdziesiąt – niekoniecznie.

– Nie no, Natalia była furiatką. Była wściekła po rozwodzie, że ta matka dała pracę jej byłemu mężowi.

– Nie powinna?

– Wiesz, jak jest? No nie było to jakieś superpożądane. Nie rozstali się po to, żeby codziennie się spotykać. Nawet w pracy.

– I ona sobie wymyśliła rozwój, ekspansję ekonomiczną, chciała objąć swoimi mackami całą wieś. Wielkie centrum terapeutyczne to było jej marzenie, takie z siłownią, salami do medytacji, gigantyczną apteką i hurtownią, taką ze wszystkim. Z suplementami i ziołami. No i tu powstały pierwsze kłopoty, bo ksiądz z ambony jej zarzucił, że propaguje New Age, a to jest grzech, że w zażędzie uprawia się jogę, a to powinno być zakazane, i że medytują, a medytacja to wołanie do szatana po imieniu.

Ksiądz to jakoś tak trochę okolicznych podburzył, ale do morderstwa nie nawoływał. Nic z tych rzeczy. Za to Chrobotek bał się tej hurtowni farmaceutycznej, bo jeżeli to nie on by ją prowadził, toby przepadł z kretesem razem ze swoją wiejską apteką, bo ceny hurtowe by go zarżnęły. A poza tym konkurencja. W takiej małej miejscowości nie ma popytu na dwie piekarnie, a co dopiero na dwie apteki!

Mówiło się po wsi, że Natalia chciała też zrobić korty. Takie eleganckie, tenisowe. Ale to nie była całkiem prawda, wszędzie mówiła, że korty, ale chciała mieć tu też pole golfowe, a tego już nikt nie mógł znieść, bo ktoś puścił plotkę, że się krowy piłeczkami dławia.

No i golf to tylko dla milionerów.

A milionerów nikt tu nie chciał. Bo to trochę tak: jak ktoś jest bardzo bogaty, jak to turysta, no wiadomo, nie miejscowy, to kupi drogą marchewkę, superdrogą swojską kielbasę czy ręcznie robiony koszyk z wikliny za cenę złota. To jest dobre i to ma sens. Niestety, milioner w tym miejscu i w tym układzie nie ma sensu, on nie kupi takich gówień. Dla niego marchewka musi być nawożona wodą z płukania diamentów, kielbasa ma być z wołowiny z płatkami złota z krów żywiących się wyłącznie kwiatami maku polnego, a koszyk musi być wyplatany z księżycowej platyny.

Dlatego ludzie nie chcieli tu pola golfowego.

Ani milionerów.

Istniała też grupa ludzi, którzy pomyśleli, że takie coś jak rozwój da zarobek ludziom z wioski, ale w sumie nie wszyscy w to wierzyli, bo tacy eleganccy milionerzy plastikowych mnichów nie kupią, kwaśnego mleka nie zjedzą, piwem się nie upiją. Cały układ polegał na tym, że wieś, owszem, chciała rozwoju, ale na pewnym dość ograniczonym poziomie.

Swojskiego.

Chcieli turystów, którzy będą szukać zajazdów, knajp, barów i karczm, a nie pięciogwiazdkowych przybytków kulinarnych. Chcieli ludzi zwyczajnych, którzy kupią zwyczajne śmiecie, a nie celebrytów, którzy będą szukać brylantów. Śmiecie o wiele łatwiej zdobyć, a potem sprzedać.

Natalia miała wizję bardzo konkretną. Taką współczesną, możliwe, że sponzorowaną przez producenta kostki brukowej, bo jednak wieś to błoto i krzaki, a tego bogacze nie pragną. Chciała mniej więcej wszystko zrównać z ziemią, a potem zabetonować i wybudować tu jakieś Las Mnichas na przykład.

Najpierw planowała, że wyburzy domy koło zajazdu, łącznie z domem matki i samotnią, potem te we wsi, które udałoby się odkupić, a w końcu i sam zajazd, ale dopiero kiedy zbudowano by coś bardziej odpowiedniego, czyli coś w stylu plastik, chrom i szkło.

Wywód Mundka trochę uporządkował sprawy, ale oni się spieszyli. Tam czekała Kościuchowa i to spuchnięte coś. Nie wiadomo dokładnie co.

– Ale po co nam to mówisz? – zapytała Ada, ogarniając pomieszczenie roz-targnionym wzrokiem.

– Bo jak Natalia dostawała swoich napadów szału, to zostawiali ją w spokoju i tylko przez okno tarasowe zerkali, czy już odsunęła stopy spod drzwi i czy już można zapukać czy lepiej nie.

– No i?

– Ona zawsze te stopy ustawiała w drugą stronę! – westchnęła Ada, jakby to miało jakieś znaczenie dla sprawy.

– To znaczy?

– Grzbietami do środka pokoju, a te stoją odwrotnie, grzbietami do drzwi.

– Jesuuu, ale co to zmienia? – Edzio popatrzył i nie zrozumiał, bo jednak wy-strój wewnątrz rzadko zabija sam z siebie, choć czasami z pewnością może być przyczyną zbrodni.

– Wszystko! – Ada się uśmiechała, wkładając kurtkę przeciwdeszczową. – Ktoś to zrobił, a nie ona. Ktoś wszedł, zabił ją, wyszedł, a potem – podkreśliła to wyraźnie – dopiero potem zasunął te stopy pod drzwi, żeby sprawić wrażenie,

że nie można było tam wejść ani stamtąd wyjść bez rujnowania tej misternej barykady.

– Z korytarza? Zasunął te stopy z korytarza? Już po wyjściu?

– Właśnie.

– Ale jak? – Było to trochę niejasne.

– Za pomocą drutów! Nie rozumiecie? Przełożył druty z żyłką przez dolną książkę ze spodu stosu, a potem przez szparę pod drzwiami. Złapał za oba końce i pociągnął. Proste. Były trzy stopy, musiał albo mieć trzy takie druty na żyłce albo wszystkie trzy przysunął za jednym razem, to drugie jest bardziej prawdopodobne, ale mu drut utknął.

– Tylko po co tracił czas na te cuda zamiast uciekać? Wyobraźcie sobie, tam leżą zwłoki, krew sika, okno tarasowe jest niezastłonięte, ktoś może podejść i zobaczyć, a morderca nie ucieka? Nie szuka sobie alibi? Dziwne, nie?

– I to wszystko dla mnicha? – zapytał z powątpiewaniem Mundek.

Ada popatrzyła na niego z urazą.

– Ubierajcie się, zimno jest – pogoniła kolegów – ale tak czy tak, ta mistyfikacja była właśnie po to, żeby ożywić mnicha.

– A nie dla alibi?

– Nie, to chyba nie ma nic wspólnego z alibi, ten ktoś czuje się silny i dobrze zabezpieczony, raczej to właśnie to, mnich jest ważny, ta łapa na książce, to wszystko miało pokazać: jestem, istnieję, nie wolno mi się sprzeciwiać, tradycja rzecz święta, nie wolno nic zmieniać.

– Czyli? Lipcowa?

Wszyscy pomyśleli o staruszce biegającej z wrzaskiem dookoła posesji.

– Lipcowa? Niekoniecznie. Ale to fakt, komuś bardzo zależy na tym, żeby nic nie zmieniać.

– A na ile te zmiany były możliwe? – zapytała Ada, trochę jakby zakręcona, bo ludzie mają marzenia, ludzie o tych marzeniach lubią mówić, lubią się nimi chwalić, ale często są to tylko marzenia, a nie jakieś realne możliwości.

Wielu jest takich, którzy marzą o zdobyciu Mount Everestu i opowiadają o tym marzeniu przy każdym piwie i na każdej imprezie, ale nawet oni wiedzą, że nigdy się nie odważą, i to nie tylko dlatego, że nie mają kondycji czy pieniędzy, ale też nie mają ochoty, by zrealizować swoje jedyne marzenie, bo potem pozostaliby bez marzeń, a to naprawdę smutna perspektywa.

Przez chwilę zastanawiała się, komu właściwie zadała to pytanie.

Żaden z jej kolegów chyba nie był w stanie na nie odpowiedzieć. Wyszła więc na korytarz i zawołała:

– Pani Olgo! Pani Olgo! Pani zajdzie tu na chwilę?

Pani Olga nie była zachwycona takim kursowaniem pomiędzy różnymi częściami zajazdu. Odkąd nie było Natalii, to choć był cudny spokój, jednak przybyło jej trochę pracy.

– No? Czego pani chce, pani Ado? – zapytała, nie do końca grzecznie, ale można jej było to wybaczyć, bo wraz z kucharzem taszczyła na wpół upieczonego prosiaka na taras, żeby tam zrobić ognisko i go dopiec.

Takie atrakcje mimo minimalnego obłożenia, a może właśnie dzięki niemu, były ważne, bo nie ma kobiety, która nie pochwali się na Instagramie, że uczestniczyła w mięsnym bestialstwie, ani mężczyzny, który nie pochwali się mięsnym szaleństwem, w ten sposób informacja o zajeździe trafi do wszystkich – i wegan, i mięsożerców, a potem już jakoś pójdzie, nieważne, jak mówią, ważne, że mówią. I była to genialna reklama, która kosztowała jedynie odrobinę więcej niż kolacja, którą przecież oczywiście i tak by musieli podać, ale, nawet gdyby była najcudowniejsza, to żaden z gości by jej nie uwiecznił i nie wstawił na Insta, bo to nieeleganckie.

Nie znaczy, że całkiem, nie, ale osoby z pewną klasą kolacji nie fotografują, a imprezy tarasowe fotografuje każdy.

No i mięsne bestialstwo, które wywołuje jednocześnie ślinotok i łzy w oczach, powoduje zawsze szeroki odzew.

Nie chodziło oczywiście o taras jako część budynku, ale taras jako oddzielny specjalne zadaszony, elegancki teren rekreacyjny zaopatrzonego w ławki i ruszt oraz ceglane grille.

– No przepraszam, chodziło mi o to, czy te pomysły Natalii były do realizacji, to znaczy czy były możliwe finansowo, to jedno i czy ktokolwiek brał je pod uwagę?

– Nie no, realne to było tylko trochę, bo ja nie zamierzałam tego robić, ale też w moim wieku? Chciałam iść na emeryturę, możliwe, że wtedy. Natalia potem mogła zrobić wszystko, więc trochę tak, ale nie teraz i nie natychmiast. Kiedyś?

– Ale gdzie tam! – Były mąż Natalii aż się zeżłościł z drugiej strony prosiaka, który rozsiewał fascynujące, wprost narkotyczne zapachy dookoła. – A pieniądze? Skąd by wzięła pieniądze? Nie miała takiej kasy, a dochody zajazdu nie pozwalały na coś takiego, choć to prawda, że jakby, no cóż, szykowała się dość ostro. To było widać. Wyglądała, jak gdyby miała zamiar to zrobić. Mogła mieć kogoś z pieniędzmi, jakiegoś cichego współnika czy coś?

– Pani Olgo? – zapytała Ada, nie konkretyzując.

– No właśnie, pieniądze – odpowiedziała kobieta. – Niby właściwie nie miała majątku, w każdym razie nie takie pieniądze, ale mnie się wydawało, że jakby... No, chyba coś miała na oku? Zachowywała się, jakby pieniądze nie grały roli.

Były mąż Natalii, kiedy jeszcze byłym mężem nie był, wraz z nią i teściową pracował przy budowie i urządzaniu zajazdu. Był złotą rączką i zasadniczo robił wszystko od ścian po piwnice, od kranów po wstawianie okien. Po rozwodzie jednak stał się jednym z tych nieszczęśliwców, którzy, jak się tylko uwolnili z okowów, albo lepiej oków, małżeństwa, zdecydowali się na terapię. Terapia odbywała się w zajeździe i tak jakoś się złożyło, że mimo rozwodu wciąż w jakiś sposób on i Natalia oraz teściowa byli razem.

Tak więc praca była właściwie wypadkiem.

W ogóle to małżeństwo też było jednym strasznym wypadkiem.

Przedtem pracował jako kucharz w knajpie z kebabem, ona przyszła coś zjeść. Przypadkiem potknęła się o jego nogę, kiedy szedł, niosąc dodatki do potraw, wpadła twarzą w miskę, w której niósł ostry sos. Trafiała do szpitala.

Odwiedzał ją, bo czuł się winny.

A potem już jakoś poszło. „Jakoś” w tym wypadku nie znaczy dobrze.

Od tej pory nigdy nie zrobił ani jednego kebaba.

Nawet na specjalne zamówienie.

To było zbyt bolesne. Wierzył, że gdyby kucharze przestrzegali przepisów BHP w pracy, byłoby mniej nieszczęść na świecie.

\* \* \*

– Chodźcie tutaj! – zawołała Kościuchowa, widząc w oddali Mateusza i Melkę wracających do zajazdu żwawym krokiem, trochę po skosie na skróty. Zawołała ich, bo już miała dość siedzenia koło tego bełkotliwego stwora.

Odejść nie mogła, siedzieć nie chciała i tak się miotowała między chęcią ucieczki a obowiązkiem, że szukała tylko jakiegokolwiek pretekstu albo choć odrobiny pomocy.

Melka i Mateusz się nie kwalifikowali ani jako pierwsze, ani drugie, ale mogli być pomocni w przeczekaniu.

– Co pani tam ma? – zagadnął Mateusz, z doświadczenia wiedząc, że kobiety w wieku Kościuchowej zazwyczaj nie siedzą wieczorem w pokrzywach bez powodu.

– Nic, ktoś tu leży i bulgocze, ale nie jest mój, jakiś obcy.

Melka poświęciła sobie latarką z telefonu.

– O kurczę. Strasznie spuchnięta albo, czy ja wiem, spuchnięty?

– Eee ooooo – powiedział Chrobotek, chcąc się przedstawić, ale każdy ruch ust sprawiał mu ból, a szczęką nawet nie był w stanie ruszyć.

Dodatkowo ból ramienia wręcz go obezwładniał.

– On musi tak leżeć? – zapytała Melka, patrząc z naganą to na Kościuchową, to na Chrobotka, choć nie miała pojęcia, kim on jest.

– Nie wiem, ale jak go ciągnę za rękę, to wrzeszczy.

– Dobra, to może inaczej – zaproponował Mateusz. – Ja podejść od tyłu, a wy ciągnijcie za obie ręce?

– Nie wolno! Ada mówiła, żeby zwłok nie ruszać!

– Ale to nie są zwłoki. Trzeba chyba dzwonić po karetkę, powinni go zabrać do Prasławca.

Na wzmiankę o karetce i Prasławcu Chrobotek wręcz oszalał.

– Eeeeeee! – wrzasnął i się rozplakał.

Wierzył, że tam z pewnością czeka na niego żona. Wściekła oblubienica. A każdy wie, że nie ma nic bardziej mściwego od zdradzonej kobiety. A co, jeżeli jest zdradzona po wielokroć i dowiaduje się o tym wszystkim naraz, o wszystkich zdradach i kochankach? Naraz? Toż jej wściekłość jest spotęgowana, zwielokrotniona, sprowadzona do eksplozji atomowej. Taka kobieta już nie jest wkurzona, ona staje się kwintesencją wściekłej grozy.

I właśnie ta kwintesencja grozy pojawiła się przed zajazdem, przywieziona przez kogoś, i ruszyła w kierunku samotni.

Nie była głupia. Od razu się zorientowała, jak, gdzie i dlaczego schował się jej wiarołomny małżonek.

– Macieju Chrobotek, ty mendo jebana, gdzie jesteś?! – krzyknęła głosem jak z otchłani piekielnych. – Pokaż się, bo jak cię znajdę, to zabiję!

Chrobotek wiedział, że nie ma szans.

Szła wielkimi krokami osoby zdecydowanej na wszystko i na wszystko postawiała.

– Macieju Chrobotek! Jak mi Bóg miły, przysięgam, że i policja ci nie pomoże! Pójdę siedzieć, ale będę choć wiedziała za co, zostanę ikoną feministycznej martyrologii! Pokaż się wreszcie, ty mendo wszawa. Natychmiast!

Obecni przy domniemanych zwłokach nie mieli pojęcia, że Chrobotek ma na imię Maciej. Nie mieli nawet pojęcia, że to, co kryje się w pokrzywach, jest Ma-



ciem Chrobotkiem. Nie mieszkali w Mnichowoli, ale nawet gdyby mieszkali, to jednak też by nie wiedzieli. Był tak zrośnięty ze swoim zawodem, że ludzie byli wręcz pewni, że sypia w swoim aptekarskim fartuchu. Nie rozpoznawali go bez niego.

To znaczy nie. Kobiety go rozpoznawały, nawet kiedy zdjął wszystkie ciuchy, ale to już z zupełnie innego powodu. I wcale nie dlatego, że był jakiś szczególnie. Nie, on się tam podpisał.

Jego tatuaż na strategicznym organie głoszący „jestem twój” świecił triumfy. Był taki osobisty!

Wszyscy popatrzyli na domniemane zwłoki, które skuliły się, zasłoniły rękoma i nie patrząc na pokrzywy, zasłoniły się nimi z jękiem, nawet nie broniąc się przed oparzeniami.

– No tak – westchnęła Kościuchowa. – To musi być on.

– Może i on, ale o co chodzi? – Mateusz, nieświadomy pewnych życiowych sytuacji z racji jeszcze dość krótkiego, choć intensywnego na innych polach życia, nie pojął się i w tej sytuacji.

– Popatrz na nią, posłuchaj, co mówi.

– Widzę, słyszę, nadal nie rozumiem.

– Brzmi jak zdradzana żona. – Kościuchowa wzruszyła ramionami.

– Eeeee! Auuuuu – wydukał. – Auuuu. – Popatrzył na wszystkich oczami zaspianego spaniela, błagalnie i przerażająco smutno, i zaczął płakać.

Chyba zrozumieli.

Ludzie o wiele bardziej i częściej żalują zdradzających facetów w tarapatkach niż płonących sprawiedliwym gniewem zdradzanych żon.

Dlaczego?

Może dlatego, że faceci są zabawniejsi? A może dlatego, że zdradzane żony same sobie są winne?

Takie panuje podejście.

Ale najbardziej dlatego, że płonące żony, sprawiedliwym czy też tylko wyimaginowanym, ale jednak zapiekłym gniewem, bywają niebezpieczne, a faceci to urocze stworzonka. To jak wybór między ziejącym ogniem krostowatym smoczyskiem a puchatym szczeniakiem, który potrzebuje opieki.

– Co robimy? – zapytała Melka niepewnym głosem. – Tu nas znajdzie!

Z oddali jeszcze, ale jednak dość szybko nadchodziły nieubłagane pomruki gniewnej żony.

\*\*\*

– Wy idźcie tam do Kościuchowej, ja tu jeszcze zostanę – rzuciła Ada, chyba lekceważąc problem. – Zaraz do was dołączę. Wy sprawdźcie, czy trzeba wzywać Purchawę!

Policjantkę zwaną Purchawą, niewątpliwe Edziowe nieszczęście, musieliby wzywać tylko wtedy, gdyby to dziwne zjawisko, o którym zawiadomiła ich Kościuchowa, było zwłokami. W innym przypadku nie było to konieczne.

Pobiegli.

Liczyli na cud. Nikt nie chciał tu Purchawy. Ani zwłok. W sumie jednak, gdyby nie konieczność zawiadomienia tej ostatniej, to zwłoki były do przyjęcia, ona nie.

\*\*\*

– No rzeczywiście. – Olga przytaknęła zza zadu pieczonego prosięcia. – Tak jak teraz pomyślę, to wyglądało na to, że miała jakieś pieniądze, miała albo miała mieć? Ale wiedzieć tak całkiem czy oficjalnie, to nie. Nie wiem.

– Ale może wiadomo, skąd te pieniądze? – Ada natychmiast zaczęła się zastanawiać nad źródłem tych dochodów, bo jak są legalne, to może, choć się tym nikt za bardzo nie chwali, jednak matce, czy koleżance coś powie, może nie ile zarabia, ale chociaż że zarabia, a jeżeli matka nie wie, to jakaś nielegalność aż się sama narzuca. Inna sprawa, że kontakty matek i córek bywają trudne, a w wieku powyżej pięćdziesiątki (o wieku córki mowa) nie jest wcale łatwiej.

– Na pewno nie ode mnie! – zakrzyknął były mąż, bo chyba tylko on mógł w tej chwili coś takiego powiedzieć, skoro nikt inny się rozmowie nie przysłuchiwał.

– A od kogoś innego? Nic? Nikt?

– Może i miała, tylko że to nie mógłby być nikt stąd. Tu ludzie nie mają takiej kasy.

Oczywiście nie było właściwie wiadomo, o jakie pieniądze chodzi, ale każdy średnio rozgarnięty człowiek wie, że taka rozbudowa pochłonęłaby miliony.

Te rozważania zakłócił im tupot.

– O, pięknie pachnie! – zawołała pokojowa Maryśka, która przebiegała tarasem z naręczem prześcieradeł, choć o tej porze nie powinna była, bo pokoje sprzątano zazwyczaj rano.

– Co ty tu robisz? – Właścicielka chyba też się jej nie spodziewała.

– No jak to co? Pani Olgo, przecież gabinety sprzątałam. Terapeutyczne! One strasznie dużo prześcieradeł zużywają – stwierdziła z taką miną, jakby to była wina Olgi.

Ada, nieobznajomiona z rodzajem terapii stosowanych w ośrodku, trochę się obruszyła.

– Ale że dlaczego? Prześcierała? Poważnie? Na terapii?

Przez chwilę miała podejrzenie co do rodzajów terapii, bo z prześcieradłami to raczej kojarzył jej się masaż, a masaż oczywiście z seksem, więc pomyślała, że to może po prostu jakiś dom publiczny, ta samotnia, i dlatego ludzie jej bronią, bo jednak taka agencja w pobliżu załatwia wiele spraw.

Wyszło jednak, że chyba nie miała racji.

– No a jak? – Maryśka aż się obruszyła. – Te o zapachu płynu lawendowego idą na uspokajającą moc oddechu, wieszane są i człowiek sobie leży i wdycha, i czuje się, jakby sobie na łące leżał, a te drugie to są od odnowy duchowej, podwójna moc płynu do płukania, żeby były duchowo miękkie, i one się trochę bardziej gniołą, bo człowiek się w nich tarza, jakby leżał na łące i tarzał się w miękkości.

– Jakby leżał na łące, a nie może na łące? – Ada podeszła pragmatycznie do terapii.

– Na łące są robale – odpowiedziała natychmiast Maryśka. – Mnie nie przeszkadzają, ale tym miastowym to już tak, nawet bardzo.

Ludzie chłoną kulturę „jakby” i usiłują z niej wyciągnąć wszystko. Na przykład z łąki lubią tylko chemiczny zapach płynu do prania o zapachu lawendy, unikając laskoczących traw, robaków, żmij i owadów.

Jedzą jakby tekturę o smaku mięsa, bo bycie mięsożernym jest niemodne, a mięso kusi. Sojowe bobki w formie schabowych udają mięso, ale smakują jak rozmoczona tektura...

– Dobra, idź z tym cholerstwem stąd – burknęła Olga. – Sami widzicie, ten terapeutyczny interes i cały ten układ jest naprawdę drogi, dlatego nie rozumiem, co Natalia w tym widziała, żeby chcieć to rozwijać. Ja tam zostawiłabym jak jest, dobra kuchnia, trochę terapii, bo bez tego to rzeczywiście się nie da, trzeba czymś się wyróżniać, czyste powietrze to za mało, jakieś wiejskie spacerki i tyle, po co komu więcej? Natalia była szalona.

– Ona? – Były mąż popatrzył na byłą teściową z miną typowego byłego zięcia. – To była wariatka! Naprawdę! Pojebana wariatka, jakich mało!

– Wcale nie tak bardzo, pani Olgo – powiedziała ze śmiechem Maryśka i ruszyła w kierunku pralni zapatrzona w pieczonego prosiaka.

Po chwili pieczony świniak leżał na płytkach tarasu, przymały wózek, na którym go ustawiono, na Marysće, a prześcieradła na Adzie, Oldze i byłym zięciu tej ostatniej.

– Maryśka, ty kretynko! – wrzasnęła Olga. – Jezu, dobrze, że z tacą spadł, bo byłby do wyrzucenia.

– A tam, zaraz do wyrzucenia. Pani się nie przejmuj, odkrobie to wszystko tak, że nie będzie widać! Wszystkie paprochy i tak ogień spali.

Takie podejście było normalne i stosowane zawsze, w końcu wyrzucenie pieczonego prosięcia z jakiegokolwiek powodu nie było możliwe, ale przy gościach, a Ada była jakby gościem, stosowano zdecydowane mydlenie oczu.

– Zamknij się, Boże, zamknij się! – zawołała Olga, niepewna wrażenia, jakie zrobi ta przemowa na Adzie jako osobie z zewnątrz, która o tego typu sprawach nie ma najmniejszego pojęcia. Takie osoby zaraz sobie wyobrażają cuda. Na przykład w stylu brudnych ścierek, plucia do garów czy myszy w potrawce i niejednokrotnie mają rację.

– Oj tam. A niby dlaczego? Natalia mówiła, że trzeba sprawy brać we własne ręce.

– I chodzi o prosiaka czy o co chodzi? – zapytała Ada.

– Nie no, co pani? Nie o prosiaka, prosiak to przyszcz. Ja tylko mówię, że trza się sprężyć, Natalia zawsze tak mówiła, i że nie ma co liczyć na drapane, tylko samemu sobie kasę i dojścia wydrapać.

– A skąd ona niby miała coś takiego sobie wydrapać?

– Nie wiem, ale powiedziała mi, że widzi zwłoki chodzące po ulicy. To żem trochę się przestraszyła, bo wie pani, z wariatami to nigdy nic nie wiadomo, a ona, że takie zwłoki są bardzo korzystne, bo można na nich zarobić.

Wieści o zwłokach chodzących po ulicy wszystkich zaszokowały, bo przed oczami pojawiły im się obrazy naprawdę makabryczne.

– No nie przesadzajmy – burknęła Olga. – Tak mówiła? Poważnie? Żartowała.

– A gdzie tam, nie żartowała! Jak to do mnie dotarło, to ja jeszcze bardziej żem się posrała, tak imaginacyjnie, nie normalnie, bo pomyślałam, że pani Natalia to jakiej wariacji dostała, znaczy, choroby psychicznej, bo widzenie zwłok na ulicach nie jest całkiem normalne, no a potem to jeszcze pomyślałam, że ona chce, czy ja wiem, w grabarza się bawić. Nawet do proboszcza żem poszła, a on też powiedział, że to ciekawe, on ostatnio też miał tak samo.

– Zwariowali tu wszyscy czy jak? – Ada skrzywiła się niepewnie.

– A pani to zwłok na ulicach nie widzi? – zapytała z nadzieją w głosie Maryśka, nie wiadomo, czy licząc na to, że odpowiedź będzie na tak, czy na nie. Było to pytanie ogólne, więc nie wiadomo do kogo skierowane.

– Ja widzę czasem – stwierdziła Ada – ale moje zwłoki nie chodzą!

– A nie, to chodzi o takie bardziej, że chodzą.

– Nie. – Olga popatrzyła na dziewczynę jak na wariatkę, wstała, zebrała prześcieradła, rzuciła je na nią z odrazą. – Też wymyślasz! Zwłoki. Na ulicy... Nie, ja nie widuję zwłok na ulicy, ale że Natalia? Nie wiedziałam, że coś takiego. Moja własna córka mi nawet nie powiedziała?

Była wyraźnie rozżalona.

– Co? Czego nie powiedziała? O zwłokach?

Olga prychnęła z urazą.

– No, że chorowała. Zaprowadziłabym ją do lekarza – wyjaśniła, jakby prowadzenie do lekarza pięćdziesięcioletniej córki było takie proste.

– A pani myśli, że ona by poszła? Nie, ona się cieszyła z tych zwłok! – odparowała pokojówka. – Jej się one nawet podobały.

– Ale jak? Dlaczego?!

– Bo chciała na nich zarobić! – wrzasnęła Maryśka spod prześcieradeł. – Pani Olgo, zostawcie te zwłoki, trzeba świniaka ratować, bo jacyś ludzie idą, nie może leżeć tak na ziemi. Nawet jeżeli leży na tacy. Ktoś zobaczy i zaraz będzie, że karmimy ludzi świństwami albo że brudne żarcie im dajemy. Pani się ogarnie, co?

– Dobrze, tak, ale z tym zarobkowaniem to chyba przesadzasz? – Olga tego akurat zrozumieć nie mogła, nie tylko dlatego, że to dziwne, ale też dlatego, że nieeleganckie.

– Ta, jasne! – rzuciła, krzywiąc się, kobieta, przedstawicielka zasadniczo tej bardzo rzadko spotykanej, a też bardzo pożądanej warstwy społeczeństwa, czyli ludzi, którzy stąpają mocno po ziemi, zamiast błądzić z głową w chmurach.

Pomysł zarobkowania na zwłokach w naszej kulturze jest dość niekonwencjonalny, w zasadzie nawet grabarzy nie lubimy, choć przecież to potrzebny zawód i nie ma bez nich żadnego pogrzebu, a pogrzebów, niestety, uniknąć się nie da.

A tu takie podejście.

Coś jak hiena, może nie cmentarna, ale jednak ze zwłokami w tle.

– A kiedy wróci katafalk? Bo te prześcieradła się w nim dobrze składało – zapytała na koniec Maryśka, z westchnieniem zabierając się do składania prześcieradeł.

– Jak to wróci?! – zawołała Olga, zdziwiona.

\* \* \*

Nie wiedzieli, co zrobić. Kościuchowa, Mateusz i Melka czuli, że muszą ratować opuchlaka przed tą pracą w ich stronę i klnącą na czym świat stoi i leży kobietą.

– To może być jego żona – stwierdził Mateusz, widząc przerażenie Chrobotka, o którym oczywiście nie wiedział, że jest Chrobotkiem.

Jako mężczyzna wyczuwał to skrajnie męskie zagrożenie. Poczucie grozy aż zalewało mu duszę. Zresztą przerażenie, które przyczaiło się w całkiem prawie zapachniętych oczach i skulonych ramionach opuchlaka wiele mówiło.

– Co robimy? – zapytał chłopak, bo tkwienie w tym miejscu na niewiele się zdawało, trzeba było coś z tym zrobić, tylko właściwie nie wiedziano co.

– Musimy go ratować! – stwierdziła Melka jak każda przedstawicielka płci żeńskiej w takiej sytuacji. Nikt nie wie, dlaczego tak jest, nawet amerykańscy uczeni nie zdołali zbadać, jakim cudem w okolicach rozwodu mężczyźni nawet najwredniejsi otoczeni są przyjazną pomocą kumpli i ich żon, przyjaciółek i przyjaciółek ich przyjaciółek, starszych pań i koleżanek, dosłownie wszystkich, a kobiety, najczęściej zdradzane żony, spotykają się z ostracyzmem. Ostracyzm mężczyzn opiera się na tym, że ta wredna baba zraniła ich kumpla, tak, to on zdradzał, ale mogła przymknąć oczy. Ostracyzm koleżanek swoich i nie swoich pojawia się, bo nagle jako singielka może zainteresować się ich mężami. Tak, to jej mąż ją zdradzał, a nie ona jego, ale ona na pewno jest rozpusztana i chce teraz za wszelką cenę złapać chłopca. Cudzego!

Tak czy tak, zdradzane żony mają naprawdę pod górkę.

– To co robimy? – zapytała Kościuchowa zrezygnowanym tonem.

– Nic, niech pani złapie psa. Ktoś idzie od ośrodka, widzę, że faceci, to pomogą go przenieść, a żona skrzyła jakby w kierunku tego domu z tyłu.

– I to jest ta żona? Tego Chrobotka? Aptekarza? Ona podobno starsza od niego o całe stulecie. A tu na taką starą nie wygląda – stwierdziła Melka.

– To żmija. Jad konserwuje! – syknęła Kościuchowa, wpisując się w zwykły babski scenariusz.

Edzio, Mundek i Hubert parli na światła samotni. Tylko w ten sposób mogli się jakoś nakierować na cel, bo inaczej nie bardzo się dało, owszem, były tu latarnie, ale były eleganckie, udawały oświetlenie gazowe, miały powyginane kształty i działały tak, jak chciały, to znaczy jakby bardzo nie chciały. Może chodziło o oszczędność prądu, może o nastrój, a może coś się zepsuło, ale było naprawdę dość ciemno.

Wiedzieli, że zwłoki gdzieś tam są.

Pomyśleli, że mogli zabrać nosze, ale przecież liczyli, że nie będą to takie całkowite zwłoki. Niemniej to było głupie, bo zwłok nie mogliby przenieść bez wiedzy Purchawy, a takim niecałkowitym zwłokom, które trzeba przenieść do zajazdu w celu udzielenia pomocy, z pewnością nosze byłyby potrzebne.

Teraz jednak inna sprawa zakłóciła im spokój. Przez park ktoś szedł. Wielkimi krokami szedł i złorzeczył. Czasami przekleństwa były wyraźnie słyszalne, czasami nie, ale to na sto procent były przekleństwa.

I na sto procent była postać żeńska.

Bardzo to ich ucieszyło, bo od tych kilku dni, odkąd tu chwilowo zamieszkali i zaczęli się zagłębiać w tutejszy, związany z mnichem folklor, wszystko wydawało im się mnichem. A tym bardziej kobiety, bo nie wiadomo dlaczego mnisi nie mogą nosić spodni. I nie chodzi o mnichów katolickich ani tybetańskich, w sumie chyba nigdy i nigdzie nie spotkali mnicha w spodniach. Co bardzo ich zastanowiło.

To musiało mieć jakieś znaczenie, ale nie wiedzieli jakie. Niestety, mnicha się bali, nie jako osoby, ale jako tutejszej tradycji, więc nawet jakby postanowił wymordować pół wioski, to i tak podchodziliby do niego jak do jeża. Oczywiście o ile byłby mnichem. Tym konkretnym magiczno-mistycznym stworem, bo wszystkich innych mogli spokojnie aresztować, jego nie.

– Patrz. – Hubert wskazał w kierunku kobiety kroczącej przez trawnik i wzywającej coraz ciszej, ale coraz bardziej soczyście. – To żona aptekarza. Biedna kobieta – westchnął. – Przecież ten jej mąż to jakiś buhaj rozplodowy na niebieskich tabletkach! Żebyście słyszeli, jak mi opowiadał i co mi opowiadał! Nawet nie wiecie, z jakim tłumem bab on sypia. Z jakim tabunem bab ją zdradzał. No, biedna kobieta.

Mężczyźni rzadko bywają litościwi w stosunku do kobiet.

– A tam, zaraz biedna, pewnie niedotykałska jakaś, a facetowi się chce. – Edzio od razu zniszczył z kretešem miłosierną wizję Huberta. – Ale to i tak

pewnie tylko erotoman. Nic więcej! Nawet w jego wieku to jednak aż tak się nie da.

– Na tabletkach się da.

– Nawet jeżeli, to jak się dowiedziała? Chwalił jej się?

– Co ty, ona go pilnuje jak złotych zębów. Ma w domu monitoring. Śledzi go.

– Prawie każdy teraz ma – westchnął Mundek. – Teraz to konieczność. Ludzie się boją. Wolą mieć podgląd na to co, się dzieje na posesji, pod drzwiami. Nawet na ulicy, a jak jeszcze ktoś z domu często wychodzi, to tym bardziej.

– Ale ona go śledziła! Czytała z ruchu warg i w ogóle kontrolowała go strasznie. Straszliwie. Poważnie.

Spojrzeni na Huberta podejrzliwie, bo już nie wiedzieli, co on chce osiągnąć. Czy chce pokazać, jaki biedny był ten mąż i jaka świrnięta żona, czy może jaka biedna żona, a okropny mąż, bo z tego wszystko można było wywnioskować.

Inna sprawa, że ta wściekła wędrownica żony w nieznanym kierunku, w obcom jej terenie i dość ciemną porą była zagadką.

Teoretycznie szukała męża. Miała jakieś rozeznanie. Musiała coś wiedzieć.

– Wiecie co? – zaczął Edzio. – Hubert, ty najsprytniejszy jesteś, idź za nią, co? Pamiętasz jeszcze stare, dobre czasy, kiedy się przestępców śledziło?

Stare, dobre czasy były dość odległą przeszłością i Hubert nie rozumiał, dlaczego nie mówi się stare, złe czasy, bo śledzenie przestępców w deszczu wcale mu nie dawało przyjemności nawet wtedy. Dawało za to kilka dni zwolnienia z powodu przeziębienia oraz nawracające lumbago.

– Jasne, że pamiętam, ale tu się nie da nikogo śledzić! W takim miejscu wszystko widać, krzaki są, nie będę się, do cholery, czołgał w pokrzywach, to już nie te czasy, ona mnie odkryje jak nic.

– Nie musi wiedzieć, kim jesteś – stwierdził rozbawiony Edzio. – Udawaj turystę.

Udawanie turysty czołgającego się nocą w krzakach w odludnym terenie to bardzo zły pomysł.

Co tam udawanie, gorzej, nawet bycie turystą w takim miejscu jest niebezpieczne, przekonał się o tym pewien Fin, który dostał łopatą trzy razy od właściciela terenu, zanim ten się zorientował, że facet się tylko zgubił.

– Co ty? Ona mnie zna, wie, kim jestem. Przecież z nią rozmawiałem. Może Mundek? Będzie bezpieczniej. Ona go nie kojarzy, będzie mógł udawać przechodnia. Turystę, nawet miłośnika grzybów halucynogennych. Nocą...



Strasznie dziwnie udaje się przechodnia w krzakach, ale Mundek się zgodził.

Cichutko, z ledwie słyszalnym szelestem ruszył za kobietą, chciałoby się powiedzieć, ale nie była to prawda.

No nie, tak pięknie to nie było, Mundek oczywiście chciał cichutko i z ledwie dosłyszalnym szelestem oddzielić się od grupy i pójść za kobietą, ale stare, dobre czy nawet stare, złe czasy to była naprawdę przeszłość.

Mundek tak bardzo chciał być cicho, że oczywiście nie dał rady.

Każdy, kto próbował, wie, że im bardziej chcesz, tym mniej się udaje. Toteż Mundek zrobił pierwszy krok, w kierunku zejścia ze ścieżki. Nie wiedział, że trawniki i wszelkie tereny zielone są tu obramowywane. Niektóre oponami, ale oczywiście nie tak, żeby było te opony widać, nie. To jest nieeleganckie, więc opony, które od setek lat obramowywały...

No nie, to było chyba tylko dwadzieścia lat, ale i tak nikt nie miał ochoty ich wykopywać, bo utylizacja czegoś takiego sporo kosztuje, a było ich setki.

Zachwiał się i natychmiast wyładował z twarzą w trawniku.

– Jezu, dobrze się zaczyna – jęknął z bólu.

– Prawdziwego mężczyznę poznaje się po tym, jak kończy, nie jak zaczyna – zauważył Edzio.

– Jasne! Już kończę! – powiedział Mundek, wstając, przelożył nogę, wdepnął w dziurę i poleciał na twarz jeszcze raz. Bez jęku tym razem, bo nie chciał przecież zaalarmować śledzonego obiektu. Obiekt usłyszał huk, a właściwie odgłos upadku, ciężki, dudniący, i wrzasnął:

– Nie ukryjesz się ty bydlaku!

Słowa nie były przeznaczone dla śledzącego obiektu Mundka, ale i tak go za-bolały.

W tym momencie gdzieś w pobliżu zahukała sowa.

Kobieta się przestraszyła.

Sowy bywają uważane za złowróźbne.

Złapała kamień i walnęła na oślep w drzewo.

Nie było możliwe, żeby trafiła, ale kamień się odbił i walnął w leżącego nie tak bardzo daleko Chrobotka, omijając wszystkich tam obecnych.

Zemsta zdradzonej kobiety bywa straszna.

Mundek szedł za kobietą, zastanawiając się, dokąd i po co idzie.

\*\*\*

Edzio i Hubert dotarli do leżącego na ziemi Chrobotka i trochę go podtrzymując, trochę wlokąc, postanowili zabrać go do zajazdu.

Owszem, planowali wezwanie karetki i zawieszenie delikwenta do Praslawca do szpitala, ale się nie zgodził.

Co prawda, posługiwał się bardzo ograniczonym językiem składającym się tylko z bełkotu i samogłosek, ale mógł kręcić głową i mógł pisać.

Miał telefon.

– Nie wzywać karetki! – napisał w SMS-ie i pozwolił się wlec do zajazdu.

Bardzo dziwne było to, że żona Chrobotka, mimo że przeszła nie tak bardzo daleko od miejsca, gdzie leżał, wcale tego wszystkiego nie zauważyła.

Podejrzewali, że albo nie szuka go jakoś specjalnie, albo w ogóle go nie szuka, tylko przyszła tu po coś innego.

\*\*\*

Mundek kocimi ruchami z tętentem zdziczałego bizona parł za kobietą, nie wiedząc ani dokąd, ani po co idzie, co było logiczne, gdyby wiedział, nie musiałby jej śledzić.

No, ale skoro się podjął, postanowił to zrobić najlepiej, jak umiał. Tyle że nie umiał. Już wcale nie umiał.

Nie dawał rady pogodzić kocich ruchów i tętentu bizona, zdziczałego na dodatek, o ile nie czuł się wcale źle w roli śledczego, to w roli śledzącego jednak się nie odnajdował.

Już nie.

Zresztą nawet za młodych lat tego nie lubił.

No i nie nocą. Kocich oczu natura mu poskąpiła, więc dwa lub trzy razy włądował w krzakach, raz czy dwa w kałuży, a siedem w rowach, których tu się zupełnie nie spodziewał, ale natychmiast, kiedy padał, żeby nie wzbudzać podejrzeń, udawał sowę, jego pohukiwania jednak były bardzo nieprofesjonalne

– Uhu, uhu.

– Kurwa, co to jest?! – wrzasnęła aptekarka, nie przejmując się niczym za bardzo, choć sowami się chyba jednak przejmowała, bo kojarzyły jej się z mrokiem i grozą. – Jakieś samobójcze te pieprzone sowy.

Poszła pod samotnię, ale od zupełnie innej strony, od tyłu, idąc pomiędzy zabudowaniami. Podeszła pod dawno nieczynną studnię, pochyliła się nad nią i...

Mundek nie wiedział, co robić. Oszalał.

Zrozumiał, że jest świadkiem czegoś ostatecznego. Kobieta, zdradzona, zalamana, oszalała z rozpaczyny postanowiła prawdopodobnie zakończyć swój ziemski żywot.

Dlaczego teraz w pewnym sensie rozumiał, dlaczego w ogóle też, ale dlaczego tu i w taki sposób?

Jest wiele naprawdę wygodniejszych metod popełnienia samobójstwa, ale kto zrozumie kobiety?

Samobójstwo tej jednej, której pilnował, wydało mu się nie do przyjęcia.

Postanowił ją złapać, zanim ona to zrobi, zanim rzuci się do studni i zrobi sobie coś strasznego.

Wystrzelił z krzaków w swoim geriatrycznym stylu i podbiegł do studni, chcąc złapać kobietę, zanim ta przechyli się przez cembrowinę na tyle mocno, żeby spaść. W otchłań. W przepaść. W toń.

– Niech pani tego nie robi! – wrzasnął, wywołując u niej chwilę zawahania, po czym dopadł ją w ostatniej chwili.

Ostatniej przed tym, jak cembrowina się posypała i wraz z nimi obojgiem runęła w dół.

– Kretyyyyyn! – wrzasnęła kobieta, a studnia odpowiedziała jej echem.

Nie lecieli długo.

Poobijani wylądowali zaraz potem, może z półtora metra niżej na stercie śmieci i kamieni.

Posypały się na nich jakieś papiery i inne paskudztwa.

Między innymi woreczek z niebieskimi tabletkami.

O tym, że są niebieskie, przekonali się dużo później, to znaczy on się przekonał, ona to czuła, mimo że było ciemno.

– A to chuj niemyty! Wiedziałam! – wrzasnęła kobieta, siedząc dość wygodnie na Mundku.

– Zejdzie pani ze mnie? – wysapał ledwie żywym głosem. Kobieta była dość ciężka.

– To nie było do pana! – ryknęła wściekle Chrobotkowa.

– Do kogokolwiek to było, to jednak siedzi pani na mnie! Nie mogę się ruszyć! Przecież nigdy stąd nie wyjdziemy!

– I dobrze, po jaką cholere wepchnął mnie pan do tego pieprzonego grobu? No ja nie rozumiem. Po co, do cholery?!

– Ja panią? Wepchnąłem?

– A kto? Może ja pana? Przecież to pan się na mnie rzucił z chucią! I od razu mówię: będę walczyć. Mam nóż! Nie pozwolę się zgwałcić.

Mundek nie chciał jej gwałcić. Nigdy nikogo nie chciał gwałcić, był bardzo spokojnym i kulturalnym człowiekiem i grzecznym mężczyzną. Nawet w czasach świetności nie miał za bardzo śmiałości do kobiet, a cóż dopiero w wieku emerytalnym. No i ta tutaj była bardziej smoczyką niż kobietą.

– Z jaka chucią? Oszalała pani? – bronił się, sapiąc i dysząc pod jej ciężarem. Zrozumiała to opaczne.

– Jak to z jaką? A jaka jest chuć? Tylko seksualna, zboczeniec pierdolony! Przecież słyszę, jak pan sapie!

– Ratowałem pani życie! – Sapanie trwało, ale nie miało wiele wspólnego z chucią.

– Ciekawe jakim cudem? I przed czym? No?!

– Przed samobójstwem! Widziałem, co chciała pani zrobić! – powiedział poważnym głosem, wiedząc, że choć teraz kobieta jest bezpieczna, nie wiadomo, jak długo taka pozostanie.

– Ja? Samobójstwo? Odwaliło panu czy co?

Gdyby Mundek trochę bardziej się wczuł w to, co ona mówi, a może jeszcze bardziej w to, jak mówi, pewnie by się domyślił, że przeważają w jej nastroju instynkty mordercze, a nie samobójcze, ale on we wczuwaniu się nie był dobry.

– A kto chciał wskoczyć do studni? – zapytał zaczepnie.

– Zdurniał pan? Wskoczyć? I do jakiej studni? Ja nigdzie nie chciałam wskoczyć i tu? Znam o wiele przyjemniejsze sposoby na samobójstwo, ty idioto!

Pierwszy szczur pojawił się w chwilę potem i wywołał taki wrzask i taką panikę, że kobieta wstała i zaczęła tańczyć na Mundku kankana, a jej stopy, obute w czółenka na obcasach, nie omijały nawet najbardziej strategicznych części jego ciała.

Wycie Mundka zagłuszyłyby nawet wycie syren, ale i tak nikt go nie usłyszał.

Ten tupot białych mew, albo bardziej nosorożca, po jego podbrzuszu sprawił, że coś się zapadło i po chwili jakaś część śmieci, na których wylądowali, dość gwałtownie runęła w dół.

Tyłek Mundka zapadł się o kilka centymetrów w podłoże.

*Ratujcie* – napisał im na kartce Chrobotek. *Studnia. Idźcie tam. Moje skarby. Idźcie tam.*

Nikt nie wiedział, dlaczego mówi do nich per „moje skarby”, toteż zmierzili mu gorączkę.

Wrzasnął, kiedy Melka nauczona serialami medycznymi chciała mu włożyć termometr w odbyt. Problem w tym, że był to elektroniczny termometr bezdotykowy, który wyglądał jak pistolet.

Termometr po krótkiej walce Melki z Chrobotkiem wyłądował w akwarium i po raz ostatni w swoim życiu zmierzył temperaturę.

Glonojadowi, który był zdrowy.

Za to Chrobotek szalał.

*Tabletki!* – napisał na kartce. *Niebieskie* – dopisał pod spodem.

– Ecstasy? – zapytał Mateusz, obeznany z nowościami i tendencjami rynku.

*Viagra!* – odpisał, ale minę miał taką, jakby chciał kogoś zabić. Pisanie to paskudna rzecz, nawet nie daje szans na przekleństwa.

– Nie mamy – odpowiedział Edzio.

*Ja mam! W skrytce. W studni. Ona tam poszła!* – pisał tak szybko, że aż omdlewała mu ręka, a twarz puchła jeszcze bardziej.

– Kto? Gdzie? Niech pan się zdecyduje – westchnęła Ada zmęczona sytuacją.

*Ona. Żona! Moja. Ta krowa! Ukradnie mi.*

Teraz zrozumieli dwie rzeczy, po pierwsze żona Chrobotka jego samego aż tak bardzo nie szukała, po drugie była zimną suką, która chciała się zemścić jeszcze bardziej, niż wypadało, pozbawiając go leków ratujących życie, po trzecie знаła te tereny, i to chyba bardzo.

– Czy ona mogła kogoś zabić?

– Yhym – powiedział, kiwając głową jej mąż, po czym złapał za kartkę i długopis.

*Mogła* – dopisał, choć i tak wszyscy zrozumieli.

Kartka była lepsza niż telefon.

– A tam, panie kochany. – Kościuchowa zostawiła psa w pokoju i wróciła do salonu, żeby choć tym razem nic jej nie umknęło, niestety umknęło jej otwarte okno, ale to okazało się potem. – Własną córkę? Może i każdą inną, ale córkę? Pan przesadza!

– Yyy! – wrzasnął wściekle spuchnięty mężczyzna, jakby słowa Kościuchowej zraniły go w samo serce i wyrwały mu duszę, a może odwrotnie, bo chyba duszy wyrwać się nie da. – Ooooo!

Jego wściekły, szalony wzrok spod spuchniętych powiek ciskał gromy i raził nienawiścią.

*Mogła i Natalię mogła* – napisał w szale na serwetce. Korespondencja z Chrobotkiem utrudniała rozmowę, ale inaczej się nie dało. Po chwili nawet położono mu na twarzy kompres i jeszcze bardziej odizolowano go od reszty rozmówców.

\*\*\*

– Widzi pani, do czego mogą doprowadzić myśli samobójcze? – Mundek twardo trzymał się swojej narracji.

– Nie wiem! Nigdy nie miałam żadnych myśli samobójczych, kretynie!

I nagle zamilkli.

Ktoś szedł.

Powinni zacząć krzyczeć, żeby ten ktoś ich wyciągnął, bo choć się nie zabili i nie byli uziemieni specjalnie głęboko, to jednak ktoś musiał im pomóc wyjść, bo sami by nie dali rady. Są jednak takie chwile, że ludzie milkną. Nie wiadomo dlaczego, nie wiadomo po co, ale milkną zamiast wrzeszczeć. To może być wybiórczy stosunek do ratownika, bo w końcu niby nieważne, kto cię ratuje, byle uratował, ale czasami taki ratunek całe życie potem odbija się czkawką.

– Cśśś – sapnęła kobieta, przykładając palec do ust, czego oczywiście nie zobaczył, ale na szczęście przestała tańczyć kankana i dzięki temu on mógł się nieco odsunąć i przytulić do cembrowiny, co uratowało mu wzrok, bo jeszcze chwila, a oczy z bólu dosłownie wystrzeliłyby mu z orbit jak korki od szampana.

Wstrzymał oddech. Może nie był to strasznie głośny oddech, ale tylko tyle mógł zrobić.

Rzeczywiście ktoś szedł. I coś mówił.

Dlaczego to ich zainteresowało?

Nie byli pewni.

– Czyli dobrze – powiedział ten ktoś do kogoś albo, co też możliwe, do telefonu – znikajcie. Macie, co trzeba. Nie znajdą was, a my się, jakby co, nie znamy.

Przez chwilę słyhać było tylko kroki, a potem ten sam głos, prawdopodobnie męski, choć nie było to całkowicie pewne, powiedział:

– A pieprzyć ich wszystkich! Gównu wie i gównu się dowie. Nic nie znajdzie.

Przez chwilę znów milczał, po czym jeszcze raz się odezwał, tym razem jeszcze bardziej ożywionym tonem.

– Mnich! A kto, jak nie mnich?! Tylko mi plotek nie roznoście! Żona nie żona, nie ma i już. Padły ofiarą mnicha. Tak ma być, tak jest i tak będzie!

Głos się oddalił. A właściwie nie tyle głos, bo zamilkł, ile ten, kto mówił. Teraz czuli, że była to rozmowa telefoniczna, bo słyszeli tylko jeden głos. Wtedy kobieta kotłująca się w studni razem z Mundkiem zaczęła się pieklić. Drżała cała z wściekłości.

– To mój mąż! – wrzasnęła. – To był on!

Mundek, który z aptekarzem nigdy nie rozmawiał, głosu nie rozpoznał, ale w takich warunkach nie rozpoznałby własnej matki, bo stres, studnia i strach zawsze jakoś upośledzają postrzeganie rzeczywistości.

Nie był pewien, czy jej wierzyć, ale zakładał, że kobieta powinna rozpoznać głos własnego męża.

Prawdopodobnie założył, że to, co jemu upośledzało postrzeganie, jej nie dotyczyło.

– To czego pani nie krzyczała?! Może by nas wyciągnął! – Obraził się, bo w studni było ciasno, wilgotno i obrzydliwie. No i wciąż grasował tu szczur.

Nikt nie kocha takich szczurów.

– Wołać? Jego?! Nigdy! O nie, co to to nie! On teraz zajmuje się tymi sukami, jeszcze by mnie zabił! Przecież on teraz ten swój harem musi rozwiązać.

– Ale dlaczego?

Mundkowi wydało się to dziwaczne, bo skoro żona już wiedziała o haremie, to rozwiązywanie go było najmniejszym z problemów. Aptekarzowa dość nieskładnie i chaotycznie wprowadziła go w historię swojego życia i tajniki związku, jak każda załamana zdradą kobieta, która musi, naprawdę musi opowiadać o swojej traumie wszystkim, ludzi stojących w kolejce do kasy w Biedronce nie wyłączając.

– Dlaczego? Ha!

Aptekarzowa zagrzechotała woreczkiem z tabletkami.

– A jak pan myśli?

Pytanie było retoryczne, ale Mundek przez chwilę usiłował znaleźć na nie odpowiedź, po czym zrezygnował.

– Ja w ogóle nie myślę – przyznał się, mocno zaniepokojony tym, co usłyszał. Nie było to prawdą. Myślał, ale w swoich myślach był w zupełnie innym miejscu.

– To niech pan ruszy te swoje szare komórki, bo jeszcze chwila, a mąż przyniesie tu jakąś broń albo bombę i nas wysadzi w powietrze albo jeszcze gorzej! To zimny suk!

– Zimny kto?

– No, zimny, wyrachowany... bezczelny i morderczy... Suk! Jest suka, to może być i suk! Przecież nie powiem, że zimny pies! Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby to on zamordował te dwie kobiety. Natalię i moją córkę!

W sytuacjach bliskich rozwodowi wszystko staje się prawdopodobne. Małżonkowie, którzy dotąd chrapali uroczo i cudnie kichali, a nawet gadali „takie słodkie głupstwa”, nagle drą ryja, charczą jak piła tarczowa, warczą jak kosiarka i pieprzą jak potluczeni, cóż. Wszystko, co było miłe i urocze, staje się paskudne. Czasami nawet mordercze.

Tak to działa i nie ma na to rady, dlatego wszyscy się śmieją, że wychodzimy za misiaczków, a rozwodzimy się z knurami. W przypadku kobiet stosuje się najczęściej żmije.

Mundek postanowił wezwać pomoc.

Przypomniał sobie, że ma przy sobie telefon.

Jego ręce zaczęły nerwowo macać wszystkie miejsca, w których mógł się znajdować, włącznie z tymi zmasakrowanymi kankanem.

– Pani na pewno przesadza – powiedział, chcąc ją uspokoić, chcąc siebie uspokoić, a poza tym w sumie tak wypadło, ale niestety nie wypadło to najlepiej.

– Bierzesz, szmacciarzu, jego stronę?! Taaak?! – Jej „taaak” było naprawdę groźne. – Może jesteś jego kochankiem?! – wrzasnęła kobieta tak, że wrzask ze studni buchnął dookoła echem.

– Nie jestem niczym kochankiem! – jęknął Mundek, nienawykły do takich sytuacji. – Ale nawet gdyby, to i tak wszystko mi pani tak skopała, zdeptała, uszkodziła, że nie byłbym w stanie.

– A więc się przyznajesz?! – Ogień zapłonął w jej oczach.

Mundek w panice wreszcie wymacał w kieszeni telefon i modlił się w duchu, żeby upadek, a potem tańce podkutych (na sto procent podkutych) obcasów kobiety nic w nim nie uszkodziły.

Siniaki zawsze się jakoś zagoją, zraniona duma i męskość też jakoś to przeżyją, ale on dłużej z wariatką w studni siedzieć nie zamierzał.



Ktoś musiał ich, albo choć jego, stamtąd wyciągnąć.

Mogli właściwie próbować sami wyjść, ale skazane to było na niepowodzenie. Mundek już na rękach by się nie podciągnął, a wejście na górę po plecach kobiety chyba odpadało, choć potem by ją jakoś wytaszczył.

Odwrotnie też nie było dobrze, bo owszem, ją może by i podsadził, ale ona potem by go nie wyciągnęła.

\* \* \*

Olga zapomniała chwilowo o katafalku, bo szykowała imprezę i ustawiała stoliki na tarasie, przesuwając je z okropnym zgrzytem w jego zadaszoną część, a świniak, właściwie prosiak, piekł się na rożnie, choć upieczony był już dawno.

Kucharz poszedł się przebrać i wrócił pięknie i profesjonalnie ubrany w ubranko, którego nienawidził, ale jednak używał. Teraz kręcił się koło prosiaka, kręcąc prosiakiem, bo niewiele miał do roboty. Wszystko było właściwie gotowe, no może skórkę można było trochę osmalić dymem, przemieszać sałatki, poukładać chleb i bułki w koszykach.

Taka tradycja.

Dookoła ludzie się nie tłoczyli. Owszem, przyszła Lipcowa z koleżankami, zapłaciła za nie wstęp, co było często stosowaną praktyką, bo jednak przy tak marnym obłożeniu nie można było się spodziewać, że prosiak zostanie w całości skonsumowany, a kosztował sporo pracy i zachodu.

O pieniądzach nie wspominając.

Na te sześć osób z terapii i siedem z Geriatrycznego Biura Śledczego prosiak był za duży, dlatego Olga zgodziła się na kilka dodatkowych osób, gdyby chciały, to mogły, za odpowiednią, i to niezbyt dużą opłatą dołączyć, a kto nie lubi biesiady przy ognisku?

Miał też być kucharz (jako kucharz już był), ale miał też być jako człowiek i uczestnik, oraz alienista, no i Olga.

Po co taka impreza dla tak nielicznego grona?

Marketing jest najważniejszy, a psychologia w nim stosowana niejednego wyniosła na szczyty oraz na manowce, ale kto nie próbuje, w kozie nie siedzi.

Ognisko z pieczonym prosięciem, jako swojskie, ale eleganckie, miało sprawić, że obiekt pieczony zniknie w żołądkach, ale w umysłach i wspomnieniach zamaskuje zwłoki, te ludzkie.

Olga oczywiście mogła nie robić prosiaka, ale musiała jakoś się pokazać. Żeby jej goście, kiedy stąd wyjadą, opowiadali nie tylko o makabrze.

Wiadomo było, że prosiak zwłok tak całkiem, całkiem nie przebiję, ale może choć się do nich dokleić.

Jeżeli ktoś teraz pomyśli, że to nieeleganckie, Olga poradziłaby mu, żeby się zamknął i poczytał tabloidy. Świat się zwichrował i albo się człowiek dostosuje, albo zniknie. Ona zniknąć nie zamierzała.

To proste.

Psychologia kulinarna, którą w webinarach studiował ich kucharz, mówiła, że jak coś takiego się dzieje, co przesłania kulinarne aspekty rzeczywistości, trzeba tej rzeczywistości dawać z grubej rury, żeby nie wygrała, albo choć nie wygrała całkiem.

I tak chodzi o to, żeby ktoś, kto przypomina sobie coś złego z pobytu, musiał od razu skojarzyć to z czymś dobrym. To działa tak mniej więcej jak to, co się działo w Londynie. Gdy w jednym z eleganckich hoteli pojawiły się szczury i naprawdę było ich sporo, to kucharz natychmiast polecił kupić dwa kilo kawioru. I co? I się uratowali.

Bo potem, jak tylko ktoś wspomniał o szczurach, to każdy natychmiast dawał:

– A to było wtedy, kiedy podali ten najdroższy kawior! Pierwszy raz w życiu jadłem. Łyżkami, normalnie, jak król jakiś!

I kto wygrał? Kawior, choć szczury nie zniknęły od razu. Szczerze mówiąc, kawior trzeba było kupować jeszcze kilka razy i zbankrutowali, ale kawior był przepyszny. No i zbankrutowali z powodu kawioru, a nie z powodu szczurów, a to jednak lepiej wygląda. Bo jakby co, to zbankrutowali, gdyż za bardzo dbali o klientów, a nie za mało o higienę.

Poza Lipcową i dwiema starszycami oraz dwiema kobietami z terapii, które dość nieśmiało przycupnęły z boku, nie było jeszcze nikogo, ale prosiak już rozsiewał swoje zapachy i wszyscy inni zaraz powinni byli się pojawić.

Po chwili zjawiła się Ewa, a za nią przydreptała Dżesika. Obie były trochę podenerwowane, bo mężowe, wyraźnie teraz ze sobą zaprzyjaźnieni, już dawno mieli wrócić z miasta, a jakoś jeszcze nie wrócili.

Wtedy zadzwonił telefon Ady.

Całe GBŚ, wszyscy oprócz Mundka, choć tęsknie popatrywali w okna, wzywani zapachem pieczonego, nadal siedzieli jeszcze w salonie i kotłowali się dookoła Chrobotka.

Ada wyszła na zewnątrz.

Dzwonił Mundek i choć nie wiedziała, z czym dzwoni, wyszła, żeby porozmawiać z nim bez świadków, a właściwie tego jednego pokiereszowanego świadka.

\*\*\*

– To był Mundek – oświadczyła, wchodząc do salonu, gdzie wokół Chrobotka kotłowali się Edzio i Hubert oraz młodzież i Kościuchowa, na całe szczęście bez psa, który uciekł z jej pokoju, coraz bardziej nagabywany zapachami dochodzącymi zza okna, ale po szaleństwie trochę się zmęczył i poszedł sobie spać, niestety nie w pokoju. Tylnie siedzenie otwartego samochodu było przyjemniejsze.

Teraz kiedy Ada już wiedziała, o co chodzi, mogła o Mundku rozmawiać nawet przy Chrobotku.

– Co z nim? – zapytał Edzio, nieco nawet zdziwiony, że kolega zamiast sam się zjawić, sprawy przekazuje telefonicznie, mogło to być coś istotnego, bo Mundek raczej leniwcem nie był.

– Wpadł do studni.

– Bulgotał? – Mateusz wydał z siebie chichot.

– Ty mi zaraz będziesz bulgotał, jak cię walnę w łeb. Pytał, czy ktoś nie zniknął z zajazdu, a ja nie wiem. No i trzeba go wyjąć, zanim...

– Zanim utonie? – pisała Melka. Wiadomo, skojarzenia to druga natura.

– Zanim go zakatuje jakaś wariatka. On dwuosobowo wpadł do tej studni. Samobójczyńnię ratował, a teraz ona go tratuje.

– Ratuje, chciałaś powiedzieć?

– Tratuje, chyba mówię wyraźnie. Kankana mu na klejnotach tańczy. Na obcasach.

– A woda?

W studni zazwyczaj powinna być woda. Od tego po prostu są studnie, ale jak woda znika albo wysycha, albo w jakiś inny sposób przestaje istnieć, studnia nadal pozostaje studnią.

– Tam nie ma wody. Tam tylko jakieś śmieci i szczury są – westchnęła Ada.

*Moja kryjówka! Tabletki* – napisał Chrobotek, podkreślając straszliwym jękiem swoje przerażenie i całkiem możliwe, że ból po stracie najlepszych przyjaciółek, tych niebieskich.

Bez nich jego męskość nie nadawała się do użytku częściej niż raz na miesiąc, i to o tyle, o ile, bo ani w stresie, ani kiedy był zmęczony, ani kiedy mu na

tym bardzo zależało.

A jemu zależało bardzo na tym, żeby być męskim, żeby przelecieć połowę populacji wioski (na początek), żeby o nim pośpiewano pieśni jako o największym kochanku, który się mężom nie kłaniał i u którego Casanova powinien brać lekcje podrywu.

Choć nie. Podryw nie był jego mocną stroną, od podrywu miał pieniądze, a kobiety lubią drogie prezenty, nie było w tym nic czarującego ani wyrafinowanego. Mógłby w ogóle z tego zrezygnować, tylko sobie zrobić sypialnię taśmową. Łóżko, seks, myk, następna.

On chciał być mitem, baśnią. Legendą!

Super, gigahot jebaką. Teraz to najbardziej się liczy.

Seryjny morderca albo seryjny jebaka. I jedno, i drugie karalne. Jedno przez sądy, drugie przez żony i wcale nie jest powiedziane, kto jest gorszy.

W zasadzie chyba jednak żony, bo sądy nie skazują na kary cielesne.

\* \* \*

Ada znów poszła do Olgi wraz z Kościuchową, żeby ją zapytać o obecnych lub nieobecnych gości, a ta ostatnia, jako że była jej przyjaciółką, miała służyć Adzie za bufor, bo nie było wiadomo, jak się kobieta zachowa. Nie była bardzo wrażliwa, albo przynajmniej swojej wrażliwości nie okazywała w sprawach rodzinnych na przykład, ale zajazd był dla niej bardzo ważny, a to dotyczyło właśnie zajazdu.

– Nie no, co pani? – zdziwiła się Olga. – Nie! Wszyscy są. Nikt nie zniknął. Zaraz przyjdą na prosiaka. To znaczy te dwie żony mężów od dwóch godzin szukają, bo mieli wrócić za chwilę i zabrali klucze, ale tylko tyle.

Właśnie czegoś takiego bała się Ada, bo nie chciała niczego sugerować. Chciała zobaczyć reakcję. Olgi też, ale i wszystkich, którzy będą przy okazji koło nich, a tu nic.

– Bo tak jakby... Pomyślałam. – Ada nie chciała powiedzieć, co usłyszała ani od kogo, zresztą właściwie nawet nie wiedziała, co dokładnie zostało powiedziane. Do kogo ani na jaki temat. Stwierdzenie, że ktoś tam gdzieś skądś zniknął, wcale nie musi być jednoznaczne i wcale nie musi dotyczyć tego, co ktoś akurat ma na myśli.

Mundek optował za zajazdem, bo było coś o mnichu, ale prawda była taka, że mnich nie był własnością zajazdu, a dotyczył całego miasteczka.

Trzeba było pytać tak, żeby w pytaniach nie było żadnych sugestii.

Pies ulokował się na tylnym siedzeniu i zaczął dreptać, żeby zakopać się w koc, ale że siedzenie nie było aż tak duże, zrzucił koc na podłogę i zanurkował w nim wraz z głową, choć nos zostawił na zewnątrz.

W chwilę potem samochód ruszył.

Coś zgrzytnęło. Droga przyjemnie kołysała uśpionego psa. Głosy pasażerów, a właściwie kierowcy i pasażera, też koily jego skolatane nerwy.

– Ja już, kurwa, nie mam siły! W życiu! Nigdy więcej, kurwa, moja żona to jest normalnie pojebana suka! Nie wrócę do niej, żeby mnie kroili!

– Pierdolisz! Dżesika to dopiero jebana świruska, ale masz rację, nigdy więcej. Żadnych bab!

– Zmienisz preferencje?

– A w życiu, ale nie ożenię się nigdy więcej! Baby są porąbane!

– Co ty wiesz o porąbaniu! To moja trzecia, ale takiej pierdolniętej to jeszcze nie miałem, nigdy więcej celebrytek, instagramów, rozwoju duchowego, żadnego awokado, tylko pierogi i kaszanka!

Spokojna, kulturalna rozmowa kołysała sny psa, choć ten od czasu do czasu otwierał oko i zerkał na zewnątrz.

Spoglądał w okno i znów zasypiał. Psy nie cierpią na zaburzenia snu. Po jakimś czasie samochód odrobinę zwolnił.

Pies zerknął na zewnątrz.

Wielka biuściasta baba uśmiechnęła się do niego z banneru reklamowego.

– Auuu! – zawył pies, w końcu był psem na baby.

Niestety, wszelkie niespodziewane odgłosy w jadącym samochodzie powodują pewne zachowania, które później trudno wytłumaczyć. Odruchowo naciśnięty pedał hamulca, następnie gazu, a potem znowu hamulca wywołał wrzask pasażera i zgrzyt na dachu, potem zgrzytnęło jeszcze bardziej, piszcząco i piskliwie, łupnęło o asfalt i zaczęło przeraźliwie wyć, ale mechanicznie, jakby ktoś rysował kredą wielkości ciężarówki o jeszcze większą tablicę. Albo bardziej nożem o tafle szkła. Dźwięk tego wycia spowodował szok u psa. Ten zawył ponownie i zamienił się w diabła tasmańskiego, bo jego uszy odbierające znacznie więcej dźwięków niż ludzkie po prostu eksplodowały, więc i on eksplodował i rzucił się na kierowcę, a właściwie na jego szyję. Odgryzł mu kawałek ucha. To spowodowało kilka skrętów oraz jedno czy dwa zderzenia. Z boku nagle zapłonęła łąka. Pasażer rzucił się na kierownicę, pies na pasażera, kierowca wypadł przez okno.

Wszyscy przeżyli.

Nawet trzej pasażerowie dwóch samochodów z naprzeciwka, co uznano za najprawdziwszy cud, bo jeden wylądował na drzewie, drugi na budzie z pierogami.

\* \* \*

Ada, na wszelki wypadek wraz z Edziem, poszła obejść zjazd, żeby sprawdzić co i jak, zanim ekipa ratunkowa w postaci Huberta i Mateusza ruszy na ratunek do studni, zwińcZYwszy sukcesem poszukiwanie drabiny.

Edzio niechętnie odnosił się do obu małżeństw na terapii, czego nie omieszkął powiedzieć Adzie.

– Od początku tego Adama i Ewę podejrzewałem – stwierdził – choć Dżesika i Mefju też są dla mnie trochę dziwni.

– O co ich podejrzewałeś, o zabójstwo? – zapytała Ada, chyba tylko po to, żeby podtrzymać rozmowę, bo można było wszystkich podejrzewać właściwie tylko o to. Nic innego tu się nie działo.

– Nie, raczej o to, że coś kręcą. Tacy jacyś dziwni i do tego jak to możliwe, żeby tak się nazywali, toż to grubymi nićmi szyte. Te ich nazwiska to jakaś mi-styfikacja. Oni musieli zmienić sobie dane na potrzeby terapii, pewnie się wstydzili czy jak? Adam i Ewa Rajowie? Nieprawdopodobne. A Dżesika i Mefju Karolak?

– No nazwisko jakie takie, ale imiona... No może nie powinnam, ale nie za dobrze o rodzicach świadczą. Szczególnie zapis tych imion.

– Bo ty byś chciała, żeby każdy miał na imię Franciszka albo Stanisław i żeby kochał Sienkiewicza i żeby lubił pierogi ruskie.

– No cóż, lubię tradycję. – Ciotka wzruszyła ramionami.

– To nie tradycja, to przedpotopizm – warknęła Melka, dodając jeszcze jeden „izm” do wciąż wzrastającej ich liczby. – Lub sobie, co i jak chcesz, ale nie każ innym, ciotka!

Ta wypowiedź Melki trochę Adę wkurzyła. Ludzie lubią niektóre rzeczy, innych nie lubią. Ona w zasadzie lubiła rzeczy proste.

Stała, obejrzała się za siebie i fuknęła do idącej za nimi Melki:

– Po co tu leziesz? Ktoś cię prosił? – warknęła wściekła na wypowiedź dziewczyny.

– No idę z wami. – Melka wzruszyła ramionami. – Nie mam ochoty zostać sam na sam z tym spuchniętym buhajem! Nie zostanę z nim sama za cholere!

– Jak ty się wyrażasz?! Powinnaś mieć trochę współczucia, on cierpi! Jak możesz być taka bez serca! Został pobity, i to przez własną żonę.

– No, ciotka, trudno się dziwić, facet mózgiem nie myśli. Widziałaś, co mi napisał? Jest zboczony...

– Jak zwykle przesadzasz! Ty chuć widzisz wszędzie! Oj, Melka, Melka, powinnaś wydorosnąć, a nie tylko wszędzie widzieć seks!

Dziewczyna się roześmiała złośliwie i wyciągnęła przed siebie dowód rzeczowy.

– Patrz!

Przysunęła w kierunku ciotki karteczkę, jedną z tych, na których niemogący się wysławić Chrobotek pisał do nich swoje teksty.

– Masz piękną duszę – przeczytała ciotka.

Tekst jakoś jej się z seksem nie skojarzył, ba, nawet nie wydał jej się obrzydliwy, była to z pewnością forma podrywu, ale nie jakiegoś nachalnego raczej, tyle że facet ze zdrotowaną szczęką, pokiereszowany przez żonę, podrywający dziewczynę na łożu boleści? Trochę to było dziwaczne. Zakrawało na jakąś obsesję.

– Ha? Widzisz? – burknęła Melka triumfalnie, ale w środku aż się zagotowała.

– Ale „masz piękną duszę”? O to chodzi? To cię tak wkurzyło? Co w tym takiego paskudnego, że aż tak się zdenerwowałaś? – Ada chciała się czegoś dowiedzieć, choć kwestia duszy Melki, pięknej czy też nie, w tej chwili wcale nie wydawała jej się istotna.

Melka stanęła, zacisnęła pięści i wrzasnęła:

– Dupę miał na myśli! – krzyknęła. – Dupę!

W tym momencie Ada przystanąła.

– Ciekawe, kto tu jest bardziej zboczony!

\*\*\*

Olga nagle zmartwiała.

– Zaraz, ale... – Przypomniwała sobie to, co mówiła Maryśka.

Pobiegła do kuchni, gdzie spodziewała się znaleźć pokojówkę.

– Ty coś mówiłaś o katafalku? – zapytała niepewnie, widząc Maryskę na podguchach z podkuchennymi.

– No, że zniknął. Mówiłam. To znaczy pytałam, kiedy wróci, bo wróci, tak? Zabrali go do renowacji. Tak mi tych dwóch mówiło.

– Jakich dwóch i do jakiej renowacji?

– No tych, co tu są, z żonami. Tak mówili, jak go nieśli. Że renowacja, bo cenny i się elektrody od wibracji poprzepalały i ktoś ich poprosił o pomoc.

Olga zawyła.

– Jakie elektrody?!

– Mistyczne – wyjaśniła Maryśka.

Wrzask wyrwał się z trzewi Olgi straszliwy. Rzuciła się do wyjścia, tratując, kogo się dało. Biegła zdyszana ku samotni.

Za nią pobiegli inni. Całe GBŚ. Truchtem. Ciężko kłapiąc buciorami w błocie.

To, co zobaczyli w samotni, przerosło jej oczekiwania.

To znaczy to, czego nie zobaczyła.

Owszem, Olga wiedziała, że ludzie kradną. Kradli popielniczki, ręczniki, łyżeczki, nawet suszarki do włosów, ale nigdy jeszcze nie zniknął jej katafalk! I telewizor. Taki wielki do medytacji, na którym puszczano dżunglę i morza szum oraz fale.

Telewizor był nie bez znaczenia, tyle że katafalk z masażem o wiele trudniej wynieść.

– Cholera jasna! Ci dwaj wyrwali katafalk! Był umocowany w podłodze! – Krzyk Olgi był tak potężnie piskliwy, jakby zobaczyła ducha, a ona tylko nie zobaczyła telewizora i katafalku, choć fakt, było to dziwne.

– Skąd pani wie, że ukradli? – zapytała Ada, bo nie bardzo wiedziała, o co pytać, więc to pytanie przynajmniej konkretyzowało sprawę.

– Skąd wiem? Przecież widzę! Maryśka mówiła, że poszedł do renowacji, ale to kłamstwo!

– Ale zaraz – Ada podeszła do niej – kto? Co? Kiedy? I najważniejsze: jak?!

Pewne rzeczy wydają się łatwe i proste, ale kradzież katafalku do nich nie należy, nawet kradzież telewizora z hotelu też nie. Jest tu zbyt dużo ludzi, żeby dało się wynieść niepostrzeżenie coś tak dużego. W końcu sześćdziesięciocalowy telewizor nie mieści się w kieszeni czy w plecaku.

Olga była poruszona, jakby po raz pierwszy ktoś tak strasznie ją oszukał. No, trzeba przyznać, że kradzież była dla zajazdu kosztowna.

– Ale kto? – Edzio, który nadszedł albo dotruchtał zaraz za Adą, miał minę kogoś, kto dobrze wie, co się stało.



– No ci faceci! Żony są, ale mężowie zniknęli. To na pewno oni! Maryśka mówiła. – Olga aż się splakała. – Znaczący pokojowa mówiła, że... że... że... – Zachłysnęła się łzami. Takiego żalu nie widzieli u niej jeszcze nigdy. Nie znali jej za dobrze, ale wyraźnie ceniła rzeczy materialne o wiele bardziej od tych niematerialnych.

– Ale przynajmniej wszyscy żyją. – Kościuchowa podzieliła się tekstem z Facebooka, chcąc pocieszyć przyjaciółkę, ale spotkała się tylko z agresją.

– A niech sobie zdychają, mnie nic do tego! Tylko niech oddadzą mój katafalk!

Wszyscy wrócili do zajazdu. Olga poszła sprawdzić do recepcji, czy klucze zostały oddane, ale to nie przesądzało sprawy, bo goście często oddawali klucze, wychodząc do wsi czy na jakiś dalszy spacer. Kluczy nie było, okazało się, że nie mają ich nawet siedzące przy prosiaku mieszkanki, mieli je mężowie, którzy mieli zaraz wrócić. Olga jednak, wiedziona niepokojem, poszła na piętro.

Pokoje były otwarte na oścież, pościel powywalana, ręczniki na podłodze.

W oczu bardzo rzucił się brak telewizora. Ten był kolejny.

– Jak to się mogło stać?!

– Sama nie wiem.

Kwestią istotną było to, że nikt na hałasy się nie skarżył.

– I nikt nic nie słyszał? – zdziwiła się Ada.

Olga zrobiła poważną minę.

– Jeżeli to było w pokoju małżeńskim, zaraz po terapii? W takich momentach nie wchodzimy do pokoju. Pozwalamy małżonkom załatwiać swoje sprawy po swojemu. Mogło być nawet głośno.

Wizja możliwej krwawej masakry pojawiła się przed oczami co bardziej świadomych zagrożenia osób.

– Pozwalacie ludziom się katować i nie reagujecie? Wiedząc, do czego może dojść?

– Jesteśmy dyskretni, to wszystko – odparła Olga z wyższością.

Takie podejście nie mieściło się w głowie byłego policjanta.

– To nie jest dyskrecja! To debilizm! Trzeba zawiadomić policję! Szybko! Jak oni się dokładnie nazywali, ci faceci? – zapytał Edzio, chcąc podać od razu odpowiednie namiary swoim kolegom, bo jako że sprawa nie miała nic wspólnego z morderstwem, zdecydował, że nie zadzwoni do Purchawy.

– A skąd ja mam wiedzieć?! – odpowiedziała dość beztrąsko Olga, co go bardzo zaskoczyło.

– To niech pani sprawdzi w książce meldunkowej! Szybko – polecił jej jako wytrawny łowca przestępców, co prawda emerytowany, ale jednak łowca. – Tam powinny być dane, nazwiska, numery dowodów, takie rzeczy. Trzeba szybko to zrobić, żeby...

Zamilkł. Przez chwilę usiłował sobie wyobrazić sytuację, jednak jego wyobraźnia poległa pod naporem obrazów, jakie pojawiły mu się przed oczami. Te obrazy dotyczyły katafalku. Był to więc katafalk z masażem załadowany na tylne siedzenie samochodu osobowego, a potem na dach, a w końcu do bagażnika. Nigdzie się nie mieścił.

– Pani Olgo, a czym oni tu przyjechali? Ciężarówką?

– E, hmm, cholera ich wie. Kto by to sprawdzał? – odburknęła, nagle zdawszy sobie sprawę, że katafalk raczej przepadł, a był cenny, bo i mistyczny, i z masażem. – Pan nie rozumie. Jesteśmy instytucją terapeutyczną, a więc z założenia przyjazną i dyskretną. Tu się takich rzeczy nie praktykuje!

– Jakich? Zdrowego rozsądku? Musiała pani sprawdzić im dowody!

– Nie. Nie musiałam. Kiedyś to Natalia czasami takimi rzeczami się interesowała, dowody kserowała, ale uważałam, że to spora przesada taki brak zaufania. To byli ludzie z problemami. Ponadto u nas się ludziom wierzy. U nas klient jest szanowany, ufa mu się. To podstawowa zasada. Ja im tu miałam jeszcze traumę dowalić?

– A sobie to pani mogła? – Skrzywił się, bo jako śledczy kiedyś jeszcze, nieraz spotykał się z ludźmi tego typu, którzy wszystko załatwiali na słowo albo na piękne oczy, a potem się dziwili, że takie podejście w najlepszym wypadku nie działa, w najgorszym szkodzi.

– Wie pani chociaż, jak się nazywali? – Zrezygnował z prawienia jej banałów, bo i tak nic by nie uzyskał.

Olga wzruszyła ramionami, wyraźnie nie interesowały jej takie przyziemne sprawy jak bezpieczeństwo.

– Nie wiem, Adam Raj? Tak chyba jeden się nazywał, ale to mogą nie być oni.

Wszyscy popatrzyli na Olgę zażenowani, bo jednak nawet jeżeli zostajesz okradziony i stajesz się z automatu ofiarą, to nic nie stoi na przeszkodzie, żeby ludzie uważali cię za idiotę, jeżeli sam sobie jesteś winien.

– Tak, tylko że to mogło nie być prawdziwe nazwisko, do cholery! – westchnął Edzio.

– A czemuż to nie? – zapytał ktoś z rosnącego tłumu.

– Bo to jest grubymi nićmi szyte, to proste. Jakim cudem jakiś Adam i jakaś Ewa się spotkali i jeszcze on miałby na nazwisko Raj? To się kupy nie trzyma.

– Pan naprawdę przesadza – warknęła kobieta, wyciągając dowód i podkładając go pod nos Edziowi. – I co teraz pan powie?

Dowód, na nazwisko Ewa Rajewska, wyglądał na prawdziwy.

– No ale nie Raj...

– To tylko marketingowy skrót. Jesteśmy celebrytami. Musimy być wyraziści! – wyjaśniła kobieta w imieniu chyba swoim i męża.

– Celebryci? Wyraziści? Oddajcie mój katafalk! – wrzasnęła Olga. – I telewizory! Jak mogliście to... – I tu zamilkła, bo nie wiedziała, co powiedzieć. Słowo „ukraść” jako pierwsze się nasuwało, ale Oldze wydawało się nieeleganckie i obciążające, dodatkowo przecież nie mogła tak o w oczy nazwać ich złodziejami.

\*\*\*

– Mundek! Muuundek! – zawołał Hubert już kilka metrów przed studnią, żeby dodać sobie otuchy.

Wlókł z Mateuszem drabinę. Wiedział, dokąd idzie. Wiedział też, że ludzie martwi, w tym i topielcy, po śmierci nie używają telefonów, więc Mundek na pewno żył, a jednak trochę go to wszystko martwiło. Cały czas jakoś nie mógł sobie wyobrazić człowieka, który wpadł do studni i się nie utopił, albo choć nie zabił.

– Tuuutaaj – odpowiedział mu głos Mundka niejako z zaświatów, bo studnia zniekształciła jego głos.

– Tutaj, tutaj, szybko! Szybko! – powiedział drugi głos i Hubert rozpoznał w nim dudniący głos żony aptekarza.

Podeszli do studni i zaczęli powoli spuszczać drabinę.

– Przesuńcie się – rozkazał Mateusz – i wychodźcie, najpierw pani!

Dowodzenie tą akcją trochę go rozerwało.

Najpierw ponad cembrowiną pojawiła się głowa kobiety, a po chwili, kiedy ona jeszcze nie całkiem z tej drabiny zeszła, wszedł na nią Mundek.

Wtedy coś chrupnęło.

\*\*\*

– Ale jaki katafalk? Co się... Co się stało? Gdzie są moje ciuchy? Co tu się dzieje? O... Co wy tu robicie? I dlaczego pokój jest otwarty? Pani Olgo?

Wszyscy patrzyli zaszokowani na Ewę i Dżesikę, zupełnie nie rozumiejąc, kiedy i jak przyszły z tarasu i skąd wiedziały, że coś się dzieje.

– To wy nie...

– To znaczy...

Strasznie trudno jest komuś, kto jest twoim eleganckim gościem jadającym kawior na kilogramy, powiedzieć coś takiego, zresztą zawsze łatwiej być niegrzecznym dla słabszych, biedniejszych czy gorszych.

Sąsiedzi z okien domów bardzo często wyzywają niewielkie kobiety z yorkami od chamek, kiedy nie dość dokładnie wytrą psią kupę z trawy po tym wrednym psie, bo ich psy, te małeńkie yorki, to chodzące zagrożenie biologiczne, roznosiciele bakterii, wirusów i w ogóle.

– Tu mieszkają kulturalni ludzie – słychać wtedy jako argument podstawowy.

– Tu mieszkają dzieci! – słychać jako drugi argument.

– Idzie won stąd z tym psem, bo policję wezwę! – krzyczą sąsiedzi, co bardziej męscy i waleczni, widząc staruszki z niezbyt dużymi psami.

Co ciekawe, widząc osiłków z pitbullami, nie mówią nic.

Wiadomo, yorki i inne maluchy są o wiele gorsze od pitbulli i więcej srają.

A osiłkowi, który kup nie zbiera, nikt uwagi nie zwróci, bo to... wiadomo, „niska szkodliwość czynu” i całkiem wysoka możliwość wpierdolu.

I tu był ten sam problem. Bo jak zapytać te miłe, sympatyczne i zamożne panie, czy ich mężowie nie ukradli katafalku?

– Okradli nas? Ktoś nas okradł? – zapytała Ewa ze łzami w oczach.

Załatwiła tę sprawę sama, co bardzo ucieszyło właścicielkę. Teraz już Olga mogła zacząć zadawać odpowiednie i delikatnie skonstruowane pytania.

– Ale jak to możliwe, że tego nie zauważyliście? – zapytała Olga, bo o to już mogła zapytać.

– Nie było nas. Pojechałyśmy z Dżesiką na koncert André Rieu na retransmisję, trzy godziny w mieście, nasi mężowie mieli pojechać na ryby, jeszcze nie wrócili, choć... Może się potopili? Dopiero teraz o tym pomyślałam, trzeba było im zabronić, matko jedyna, i co teraz będzie?!...

– O kurczę. Skąd miałyście bilety, toż to nie do zdobycia! – zapytała Melka, bo, co prawda, André Rieu nie był w jej typie ani w jej guście muzycznym, ale

wiedziała, że wypada. Taka wyższa kultura zawsze o człowieku dobrze świadczy.

– Adam i Mefju zdobyli. Oni też mieli iść, ale, wstyd przyznać, woleli ryby.

W tym momencie wszyscy ruszyli hurmem do pokoju obok.

Tego pokoju nikt nie okradł, choć w zasadzie też był pusty, bo po bagażach śladu nie było.

– No, całe szczęście – westchnęła Olga. – Zupełnie już się pogubiłam, ciekawe, gdzie oni są, ci wasi mężowie?

Na to pytanie nikt nie znał odpowiedzi.

Jednak panowie, o których tak się martwiła Olga, byli całkowicie bezpieczni, i to nawet niedaleko od Mnichowoli, ale mieli trudności z kontaktem.

\*\*\*

Mundek jak małpa wskoczył na cembrowinę, bo to, co chrupnęło pod drabiną, wydało taki dźwięk, jakby cała studnia miała się za chwilę zawalić.

Nie był specjalnie sprawny, ale ten skok mu się udał.

Tylko drabina zapadła się w otchłań, aż chrupnęło, choć powinno chlupnąć.

No, zresztą właściwie tylko do połowy, ale żeby ją wyciągnąć, musieli wezwać pomoc. Oczywiście drabina nie była aż taka cenna, żeby musieli robić to natychmiast, ale nie mogli za bardzo jej tam zostawić, bo taka drabina mogła skusić jakieś dzieciaki do wyprawy w głąb ziemi, która niekoniecznie była bezpieczna.

Wyprawa, choć ziemia w tej głębi też nie wiadomo.

Teraz postanowili iść do zajazdu. Wszyscy, włącznie z aptekarzową, nieco już mniej wściekłą, która w rękę dzierżyła woreczek z niebieskimi tabletkami.

Były dla niej bardzo cenne.

Nie, nie chciała ich zażywać, nie nadają się dla kobiet, ona chciała ich użyć jako narzędzia tortur dla wiarołomnego, a nawet seryjnie wiarołomnego małżonka.

\*\*\*

– No dobra, nic tu nie wystoimy – westchnął Edzio – ale rozumiem, że dzwoniemy po policję? – upewnił się, bo decyzja należała do właścicielki zajazdu jako osoby poszkodowanej.

Olga się zawahała, ale Ewa, dokładnie właśnie w tej kolejności, natychmiast wyraziła głośną aprobatę dla tego pomysłu.

– Przecież nas okradziono! Trzeba to zgłosić!

Olga z wdzięcznością w pełnych łez oczach ucieszyła się z takiego podejścia klientek do jej straty. Rzadko spotyka się ludzi umiejących znaleźć się w takiej przykrew sytuacji, jak trzeba. Te wyraźnie należały do ludzi wrażliwych na cudzą krzywdę.

– Mnie – westchnęła Olga – mnie okradziono.

– Nas! – odparła Ewa. – Nas. Miałyśmy tu z Dżesiką całkiem sporo złota i biżuterii. Ja nigdzie się nie ruszam bez moich pereł i diamentowej koliai. Przecież ja teraz nie będę mogła się na ściankach pokazać, będę się czuła goła! Gdzie moje kolie, perły, gdzie diamenty?

Nastąpiła lekka konsternacja. U niektórych to zachowanie spowodowało grymas niechęci, ale w tej chwili nie można było stwierdzić, czy mówią prawdę, czy próbują wykorzystać sytuację.

Albo inaczej: nie można było niczego udowodnić.

– A do kina? Nie zabrała pani tego do kina?

– No wie pan, do kina? No nie, jądanie popcornu z diamentową koliają na szyi to jednak nie to, zostawiłam ją w pokoju. Miałam całkowite zaufanie do personelu. I nadal mam, zresztą zajazd jest na pewno ubezpieczony.

Uśmiechnięte przerażenie zajrzało w oczy właścicielki.

– Zostawiła pani takie skarby tu, w tym pokoju? Perły? Złoto? A nie powinna ich pani była oddać do sejfu w recepcji? – zapytała Ada obeznana z pewnymi hotelowymi sprawami, jako że kiedyś oglądała dużo filmów o wielkich tego świata. Sama oczywiście nie podróżowała tak dużo, to znaczy, z perłami, choć bez pereł też nie.

– Nie mamy sejfu – odpowiedziała Olga.

– Ale ubezpieczenie macie? – zapytała Ada.

– Nie no, co pani. Nie mamy, to znaczy ogólne tak, ale nie od kradzieży. I to nie takiej.

– No to masz przechłapanie. – Kościuchowa nie ukrywała, co myśli o koleżance. – Co tu się, do cholery, dzieje? Morderstwa, kradzieże? Przecież to jest masakra – zapiszczała. – Jak ty to znosisz?

– No właśnie nie znoszę, kretynko! – odburknęła Olga, gdyż odburkiwanie koleżance było dozwolone, nie należała do wielkiego świata i można było sobie po niej jeździć jak po starej kobyle, oczywiście gdyby sobie na to pozwoliła.

Kościuchowa jednak nie należała do osób, które spokojnie przyjmują ciosy. Co to, to nie. Zacisnęła zęby i podniosła rękę, żeby spoliczkować Olgę, co jej się oczywiście należało, ale w ostatniej chwili dłoń Kościuchowej zacisnęła się w pięść i wyładowała na szczęce koleżanki.

– Auuu – jęknęła Olga, rozcierając twarz.

– Należało ci się! Mimoza pieprzona, okradają ją, ludzi mordują, a ta stoi i patrzy. Pan dzwoni po tę policję, i to już!

Edzio bezzwłocznie wykonał polecenie Kościuchowej, wiedział, że są momenty, kiedy trzeba się poddać zupełnie nieprzewidywalnym sytuacjom, zadzwonił na posterunek i przez chwilę rozmawiał z kolegą. Dokładnie opisał to, co się wydarzyło, choć właściwie to raczej to, co zastali, bo nie był w stanie opisać tego, co się wydarzyło, wyobraźnia go zawiodła.

– No i katafalk. Z masażem... No ja nie wiem jak, ale... ukradli. Nie żartuję – zapewnił solennie.

Co ciekawe, nie usłyszał spodziewanego wybuchu śmiechu.

Kolega zamiast go wyśmiać, zaczął się dopytywać o szczegóły.

– Z masażem mówisz? Taki czarny? Taki podświetlany? Drogi?

– Za ile był ten katafalk? – Pytanie to Edzio skierował do Olgi, która, co prawda, nie chciała zgłaszać kradzieży, ale była zmuszona, bo i Ewa, i Dżesika wyraźnie się tego domagały.

– No drogi był. Gdzieś za trzydzieści tysięcy. Może ciut więcej – odpowiedziała Olga. – Służył jako stół do masażu i takie inne cuda, alienista chciał, to kupiłam.

– No tak, no więc drogi katafalk i zdaje się jakieś perły, i diamentowa kolia, i trochę złota. Dacie mi tu kogoś? Musimy odzyskać te skarby i katafalk. Jeszcze chwila i szukaj wiatru w polu! Trzeba pobrać odciski palców z ich pokoju, żeby zidentyfikować złodziei.

– Nie trzeba. – Kolega powiedział to takim tonem, że Edzio zamarł.

– Co nie trzeba? Znaczy, czego nie trzeba? – zapytał, żeby nie było, że coś źle zrozumiał.

– Odzyskiwać katafalku. Mamy go i tych facetów też. – Kolega był wyraźnie szczęśliwy.

– Macie katafalk? – Zdziwienie Edzia było tak wielkie, że aż udzieliło się wszystkim, którzy tego słuchali.

Takie rozwiązanie, szybkie i wręcz natychmiastowe nie przyszło do głowy Edziowi, bo choć kochał swój zawód, to o możliwościach policji, a właściwie

częstych niemożliwościach, wiele wiedział.

– To cudnie. Pani Olgo! Słyszę, że odzyskamy katafalk!

– A, co to, to nie – odpowiedział kolega po drugiej stronie linii nieco przekor-  
nym głosem. – On jest, ale nie odzyskacie go, to znaczy, owszem, ale w sumie  
tak jakoś, nie polecam.

– Jak to? – Edzio oklapł.

– Oj, wiesz, tylko idiota wiezie katafalk na dachu osobówki. Poza tym źle go  
przywiązali. Spadł im. Zakorkowali nim dwupasmówkę, podpalili jakąś łąkę...

– Katafalkiem?

– Iskry poszły, jak pociągnęli go za wozem. Dwa samochody w niego wje-  
chały. Trzy osoby ranne. Złom, kochany, sam złom! Nie polecam.

– No dobra, ale tych facetów, Adama i Mefju, choć macie? – Edzio wściekł się  
trochę, ale na pewne sprawy nie miał wpływu.

– Adama? Mefju? Nie, takich nie...

– No ale mówiłeś, że macie tych ludzi, co ukradli katafalk?

– Nie wiem, o kim mówisz, ale mamy tu Teofila i Bożydara Lipców. Z Mni-  
chowoli. Tak. Mili faceci, młodzi, niekarani.

\* \* \*

Spotkanie Chrobotków nie zostało zaaranżowane, a co gorsza, nikt nie pomy-  
ślał, żeby temu spotkaniu zapobiec.

Tak to już w życiu bywa, że jak między ludźmi panuje miłość, to latają ser-  
duszka i buziaczki, a jak nienawiść to noże. I jedno, i drugie jest szkodliwe, ale  
noże ranią bardziej.

Tu, na szczęście, nikt nie miał noża. On, bo leżał i nie miał go w zasięgu ręki,  
ona, bo stała nad nim i o nożu chwilowo nie pomyślała.

Choć panowała między nimi pewna harmonia. Mroczna i złowróźbna oraz  
nieco jednostronnie bolesna.

On leżał, ona stała; on wył, ona biła.

– Ty śmieciu! – zawołała, tłukąc leżącego po klatce piersiowej i nogach. – Ty  
zwyrodnialcu!

– Aeoooooooo – odpowiedział mąż (w jakimś sensie z pewnością trochę już  
były), co miało znaczyć „zwyrodniałcze”, bo Chrobotek był purystą językowym,  
ale nie był w stanie tego wyartykułować, co i tak nie zmieniłoby sytuacji.



Żona chciała zrobić mu krzywdę, ale nie miała pod ręką stolnicy, zresztą teraz chciała zejść nieco niżej i ugodzić go w coś o wiele bardziej wrażliwego. W jego męskość, tu stolnica by nie pomogła.

Wyciągnęła rękę i pomajtała przed jego oczami woreczkiem z tabletkami.

– O, widzisz, co ci zrobię?

– Aaaaaa – zawył z bólu, zdawszy sobie sprawę, że jego zapasy dostały się w ręce wroga.

Krzyk rozpaczy rozerwał mu serce na strzępy.

Ją rozradował.

Podeszła powoli, z rozmysłem, do akwarium i patrząc bezczelnie Chrobotkowi w oczy, wysypała do wody cały woreczek tabletek.

Spoglądał na to bezprawie oniemiały, a ona włożyła do akwarium rękę i z premedytacją wszystko zamieszała, chcąc rozpuścić tabletki w mętnej wodzie.

Rybki aż zawirowały.

Serce mu pękło po raz kolejny, wydał siebie wrzask straszliwy, zerwał się z łoża boleści i podbiegł do akwarium. Podniósł je i chciał wypić.

Razem z rybkami i piaskiem.

Niestety, wszystko się rozchlapało, nie był w stanie dostatecznie szeroko otworzyć ust. Słomki nie miał.

Potem stał tam i płakał.

Aptekarzowa pozbiierała rybki i wrzuciła je z powrotem do resztek wody.

Wtedy do salonu wbiegła Kościuchowa.

Po ostatniej akcji z Olgą poczuła, że ma coś do powiedzenia, że jest ważna i silna. Postanowiła to wykorzystać.

– No i co się pani nad człowiekiem znęca?! – ryknęła na aptekarzową, słysząc straszliwy wrzask i widząc pobożowisko wodno-rybno-tabletkowe. – Taki dobry mąż! Wstydziłaby się!

Takie kobiety jak Kościuchowa lubią pouczać inne kobiety.

– Zdradzał mnie! Zdradzał! – Aptekarzowa też się rozplakała. Dziwnie wyglądała, kiedy tak stała, szlochając.

Kościuchowa zawsze brała stronę biednych ofiar i jakimś cudem zawsze to byli mężowie. Nie omieszkała i teraz stanąć po jego stronie.

– No i co? Bił? Nie bił! Nawet nie pił! Pracował? Pracował? Pieniądze do domu przynosił? Przynosił! To czego się babie zachciało? Chłop to chłop, nie zmydlił się!

Takie podejście jest bardzo częste, ale coraz bardziej wkurza. Spuchnięty, ale zadowolony Chrobotek się uśmiechnął. Kobiety zawsze miały dla niego sporo współczucia. Żona nie, ale to już inna sprawa.

– I po co bić? To nic nie da! – tłumaczyła dalej Kościuchowa, ku coraz większemu zachwytowi Chrobotka. – Chce mieć pani spokój? Lepiej mu ptaka po same jaja uharatać.

Chrobotek przestał się uśmiechać

\* \* \*

– Ej, co wy tam wyprawiacie?! – krzyknęła Lipcowa, która dotąd z koleżankami siedziała przy prosiaku. Początkowo brak towarzystwa jej nie przeszkadzał, bo mogła delektować się co smakowitszymi kąskami. Kucharz grzecznie skrawał wskazane kawałki prosiaka, tak że ten wyglądał teraz trochę jak dzieło Picassa. Skórka, osmolona i przypieczona, była smakowita. Wszystkie panie się nią zjadały, ale ileż można?

Lipcowa spodziewała się nie tylko kolacji, ale i biesiady, a tu nic. Wszyscy gdzieś zniknęli, wiedziona więc instynktem przekupki, poszła za głosami i postanowiła załatwić sprawę.

– O, pani Lipcowa? A gdzie zgroza, zgroza, zgroza? – zapytała Melka złośliwie.

– Zgroza, zgroza, zgroza jest, no i co? Co wy tu robicie, zamiast być na prosiaku?

– No nic. Takie coś się porobiło. – Olga wskazała za tłumek w kierunku pokoju. – Jacyś ludzie nas okradli.

– Jacy?

– Jacyś stąd.

– Stąd to z zajazdu czy ze wsi?

– A cholera ich wie, myśleliśmy, że stąd, ale policja mówi, że są ze wsi. Teofil i Bożydar Lipiec, może pani zna?

– A jak mam nie znać? Jasne, że znam. I to oni was okradli?

– No właśnie na to wychodzi – stwierdziła Melka, wzruszając ramionami. To, czego mogła się dowiedzieć, nie miało większego znaczenia, było jedynie towarzyską oprawą sprawy, takim small talkiem potrzebnym w tej sytuacji, ale oczywiście Lipcowa nie zaczęła i od razu się obraziła.

– To niemożliwe! – wrzasnęła z nienaturalnym podnieceniem w głosie.

– A to niby dlaczego? – Tu już Melka miała ochotę się roześmiać, bo ten lokalny patriotyzm trochę ją wkurzył, no i mogła to być jakaś rodzina, ale to nazwisko jest raczej częste, więc nie musiała.

– Bo to moja rodzina! – zgodnie z rozumowaniem dziewczyny odpowiedziała Lipcowa.

– To jeszcze nie znaczy, że nie są złodziejami.

Wszyscy popatrzyli na Lipcową z dość złośliwymi minami, w których czaiło się coś na kształt „no, rodziny się nie wybiera” albo „rodzina, też mi argument”, ale ona nie dawała za wygraną.

– No cóż. – Edzio był najmniej delikatny w takich sprawach, choć gdyby lepiej przyjrzał się minie Lipcowej, to jednak by nie powiedział tego, co powiedział. – Ręczy pani za nich? Tylko dlatego, że są pani rodziną?!

Kobieta skrzywiła się złowrogo i złośliwie. Gdyby kiedyś amerykańscy uczeni zrobili badania, dowiedliby bez wątpienia, że największe pokłady złośliwości, i to wcale nie dobrotliwej, drzemią w seniorkach. W polskich nie drzemia, w polskich tańczą boogie woogie.

– Nie, tylko dlatego, że nie żyją od dwudziestu lat. To mój mąż i szwagier – dodała po chwili.

\*\*\*

– Edziu, zdaj mi tu porządnie sprawę z tego, co się dzieje. – Purchawa przyjechała szczęśliwa, że ma tak doskonały pretekst, iż ten pretekst skazał ją na wyjazd wyraźnie wieczorową porą i że przy okazji zje kawałek pieczonego prosiaka, bo Olga oczywiście ją zaprosiła.

Nawet nie udawała, że nie może, bo jest na służbie. O tej porze już nie była.

– Zresztą ja to zawsze jestem na służbie, zawsze – stwierdziła – choć czasami mniej albo tylko mniej więcej.

– Wypije pani eleganckiego drinka? – zapytała Olga, rozumiejąc, o co chodzi w tej przemowie.

– Eleganckiego nie, ale drinka wypiję – odparła Purchawa, a Edzio aż jęknął. Znał ją tak dobrze, że wiedział, czego się po niej spodziewać.

– To mówi pani, że ci złodzieje to pani mąż i szwagier? I że nie żyją? – zapytała Purchawa Lipcową, a ta zbaraniała.

– A gdzież tam. Wcale nie mówię. Pani oszalała? Oni nawet za życia za bardzo nie kradli, a co dopiero po śmierci, no i oni to bardziej tak normalnie organizowali, a nie kradli, to czego mieliby po śmierci. Jak co było niczyje, to było

ich, ale tylko państwowe brali, a nie ludzkie, prywatne. No i to może być ktoś inny, z grobu chyba nie wstali? – zapytała z lękiem.

– A co by było gdyby? – Jedna z jej koleżanek aż pisnęła w lekko podpitym zachwycie.

– No bym pietra miała, bo z terakoty chłopu grób postawiłam, a marmurowy chciał, ale to nie oni, po śmierci by katafalk kradli?

– A ile takich osób może tu być w Mnichowoli? O takich imionach i nazwisku mówię.

– Co do nazwiska to sporo, bo jesteśmy dość rozgałęzieni, ale imiona bardzo już niespotykane. Kiedyś owszem, ale teraz rodzice jakoś nie dają.

– Ale czemu ty się czepiasz tego? My tu od razu podejrzewaliśmy, że te wszystkie nazwiska są lewe, bo nikt na takie terapie własnego nie szarga.

– Rozumiem, na terapię nie szarga, na katafalk już tak? Zresztą, Edziu, jest jeszcze coś. Oni twierdzą, że niczego nie kradli. Coś ich gonilo. Zobaczyli samochód, to się w nim schowali.

– Co ich znowu gonilo?

– Jakiś mnich...

– Chyba z pancerfaustem – warknął Hubert. – Przecież nie uciekaliby przed jakimś bezbronnym staruszkciem. Byli we dwóch, o ile mi wiadomo.

– Właśnie, ale tak się przestraszyli, że jakoś odpalili i odjechali.

– Jakoś odpalili i odjechali?

– Był otwarty, a na dachu miał katafalk.

Nagle podjazd przed zajazdem się rozświetlił.

Z radiowozu, który podjechał chyba wezwany przez Purchawę, wyskoczył pies i w szalonych susach pobiegł gdzieś w krzaki.

– To i psa ukradli? – jęknęła Ada, choć nie kochała za bardzo interakcji z tym szalonym wyciorem.

Z radiowozu wysiedli poturbowani Adam i Mefju. Nie byli w kajdankach. W zasadzie nie byli pijani. Nie zrobili nic strasznego, katafalk nie był cenny, samochód nie był ich, a Purchawa miała ochotę poeksperymentować. Dlatego kazała ich wypuścić, ba, nawet przywieźć.

– Teraz interesuje nas bardziej to.

Purchawa podsunęła im pod oczy kserokopie dowodów obu zatrzymanych mężczyzn. Byli młodzi i na zdjęciach wyglądali jak seryjni mordercy, co znaczyło, że te zdjęcia robił im profesjonalny fotograf znający wymogi przepisów. Wytrzeszcz oczu, płaski nos i czoło, usta bez grama niedozwolonego przecież

uśmiechu, twarz płaska, wielka i ponura, wszystko to sprawiało, że zebrani aż się wzdrygnęli na sam ich widok.

– O ja pierdołę – jęknęła Ewa, zapominając o wymogach elegancji. – To Adam!

– O kurwa – tak samo jęknęła Dżesika. – Mefju! Piękny to on nigdy nie był, ale tu podobny jest jak dwie krople wody.

– To nie jest nasze! – krzyknął Mefju, chowając się za Adamem, a obaj za policjantami, żeby nie dopadły ich żony.

– Mówi pani, że samochód do kasacji? – syknęła jedna z nich, w sumie nieważne która, bo obie były równie wściekłe.

– O tak, volvo tego nie przeżyło.

– Przecież my nie używamy volvo, mamy mercedesa – westchnęła Ewa z ulgą.

– My też! – zawtórowała jej z równą ulgą Dżesika.

– To czyj to samochód? – zapytała Ada. – Bo, jak rozumiem, należy do złodzieja?

– Rejestracja mi mówi, że to samochód Huberta! – Purchawa uśmiechnęła się złośliwie.

Wszyscy zaniemówili.

– Wujek, znaczy stryjek... Co ci odbiło, żeby kraść katafalk? – zapytał zaszkwany Mateusz.

Wszyscy skupili się wokół niego.

– Niczego nie kradłem, i po co by mi był ten złom?! Nie kradłem! No co wy? Zdurnieliście? To oni ukradli mój samochód!

– Żeby ukraść katafalk?

– Ale dlaczego?

– Pewnie chcieli po prostu uciec od żon! – mruknęła Kościuchowa.

– Nnieeee! – wrzasnęli chórem Adam i Mefju, widząc miny swoich połowic. – To kłamstwo! Nie wierzcie im! My was kochamy, coś nas gonilo, a potem napadł na nas diabeł tasmański! Ucho mi odgryzł! Wielki, czarny i śmierdzący!

Cokolwiek by mówili, wszyscy słuchali Purchawy.

– Podejrzewam, że katafalk był zabezpieczeniem, taki mistyczny katafalk może być cenny, a samochód, no cóż, ma rejestrację, nie chcieli za bardzo być widoczni, ukradli, co było pod ręką. Po drodze pies chciał ich zagryźć. Podobno jest mistyczny.

– Pies?

– Właśnie.

Sprawa nieco się wyjaśniła, choć Purchawa nie mogła zrozumieć, skąd wzięli dowody prawdziwe, choć raczej fałszywe, i czy zabili obie kobiety. Było to tyle dziwne, że Natalię znali tylko niejako urzędowo i tylko bardzo ogólnie, a Malwinę Chrobotek może trochę bardziej towarzysko, ale też słabo. Nie mieli motywu. Może gdyby kradzież katafalku nastąpiła przed morderstwami, to jeszcze coś dałoby się sklecić, ale tak nie. Zupełnie nic nie pasowało.

Wszyscy oklapli po tych rewelacjach, choć noc nie zapowiadała się spokojnie. Dodatkowo terapeuta gdzieś się zawieruszył. Nie to, że go nie było, bo nie musiał być, ale spodziewano się go na prosiaku, a nie przyszedł.

Choć właściwie mógł sobie inaczej zorganizować wieczór, zwłaszcza że nie było dziś żadnych zajęć.

– Teraz nie jesteśmy w pracy, możemy się napić – zaproponowała Purchawa. Nigdy wódka nie smakowała Edziowi tak cierpko.

– Mam coś do ciebie, na osobności. – Puściła do niego oko i wyciągnęła go na korytarz.

Musiał za nią pójść.

Purchawa była oczywistą koniecznością ich egzystencji jako geriatrycznego, czy jakiegokolwiek innego biura śledczego, ale psychicznie płacił za to on.

Bo ona nie widziała poza nim świata,

– Szlag – stwierdziła na głos Ada do swoich myśli.

– Masz rację. Szlag. Ta wódka jest ciepła! – jęknął Mundek.

– Nie o tym myślałam.

– A o czym?

– O tym, patrz!

Przez taras biegł Edzio, a za nim Purchawa.

– No nie uciekaj! Przecież ci nic nie zrobiłam! – krzyczała, i to całkiem głośno.

\*\*\*

– I to są oni? – zdziwiła się Ada w biurze, gdzie siedzieli geriatryczni detektywi i usiłowali przemyśleć sobie wszystko, podczas gdy inni wykańczali prosiaka. Ada przybliżyła telefon do oczu, ustawiła go poziomo, potem pionowo zdjęła dowodów.

– To wszystko jest bez sensu – stwierdziła Melka. – Jakieś pomieszanie z poplątaniem, mnich morduje, oni kradną? To się łączy? Po co mordować, a potem kraść? Mordować, żeby ukraść? Nie, to jest nielogiczne, ale też taka kradzież zwraca uwagę, której morderca raczej unika. I do tego mnich. Oni kradną, a mnich morduje, tylko w odwrotnej kolejności?

Ada popukała się w czoło.

– Nie morduje żaden mnich, przecież już wiemy, że można było stamtąd wyjść, że przysunięto książki z zewnątrz za pomocą żyłki do drutów, a więc to żadna magia, ktoś chciał żeby było na mnicha, ale dlaczego?

– Żeby jakaś magia, strach, coś? Żeby się we wsi zagotowało? Żeby ktoś wpadł w panikę?

– To też, ale nikt nie morduje dla samej paniki, chodzi mi dokładnie dlaczego? Konkretnie. Co morderca zyskał?

– Wyrzuty sumienia?

– Ta, jasne, też pomyśl! Nic nie zyskał, chyba... Chyba że jednak coś...

Przez chwilę wszyscy milczeli.

– Natalia chciała zniszczyć samotnię, a ktoś nie chce do tego dopuścić.

Samotnia jako budynek była urocza, nieco rustykalna i właściwie nie wadziła nikomu. Natalii też nie wadziła, ona chciała ją tylko powiększyć, poszerzyć i zmodernizować. Co w układzie wstępnym znaczyło zburzyć, ale nie po to, żeby zlikwidować.

Jako idea, samotnia poza budynkiem była też sanktuarium mnicha, choć trochę naciąganym, ale też nic nikomu niewadzącym, a jeszcze poza sanktuarium była przestrzenią terapeutyczną, która jako taka miała wielkie znaczenie. Dlaczego budziła tyle kontrowersji, nikt nie wiedział.

– A kto tam rządzi? – zapytała Melka, która do wszystkiego podchodziła tym razem zdecydowanie racjonalnie, co martwiło Adę. Melka, ta racjonalna Melka, była czymś niezwykle dziwnym, wręcz chorym.

– W samotni? Alienista Albert – odpowiedziała dziewczynie, uważnie jej się przyglądając.

– To może on?

– Znaczy, że on morduje? – Ada pokręciła głową, choć pomysł wydał jej się interesujący jak najbardziej. Alienisty nie lubiła, a o wiele łatwiej wsadzać do więzienia kogoś, kogo nie darzy się sympatią, ale po chwili zdała sobie sprawę, że tu nie darzyła sympatią właściwie nikogo. Olga była zimna i wyrachowana, Lipcowa potłuczona jak jajko na twardo, mąż Natalii dziwnie obleśny, aż

trudno się jadło te jego potrawy, aptekarz okropnie rozbuchany seksualnie, oba małżeństwa pokręcone, a dwie babki z terapii wyniosłe i nieprzystępne.

To nie było naturalne środowisko Ady.

Ona nie czuła się tu dobrze.

Czuła się jak szesnaste koło u wozu, i to drabiniastego, jak biedna krewna, którą ktoś toleruje z litości, albo jak żebraczka z wyciągniętą po jałmużnę ręką.

I to mimo zadania, jakie tu wykonywała.

To miejsce było chore.

– Alienista? Nie bardzo, bo on tu nie ma nic, to nie jest jego. Tak czy tak dostałby nowy pawilon, lepsze warunki, więcej kasy. Nowy katafalk? On zresztą chyba jest za, a nie przeciw – wyjaśnił Hubert. – Nie że to niemożliwe, mógł zabić, miał okazję i możliwość, tyle że nie bardzo chyba miał po co.

I to oczywiście trochę im nie pasowało, bo alienista byłby świetnym mordercą.

– No też bym był za. Lepiej się pracuje w lepszych warunkach, zwłaszcza w takim interesie, gdzie trzeba czystości i elegancji. – Edzio wzruszył ramionami.

Pojawienie się Edzia wszystkich zaskoczyło, bo ostatnio widzieli, jak uciekał przed Purchawą.

– Czego od ciebie chciała?

– Nawet nie pytajcie!

– Nie, no mów! – Ada aż się rozjaśniła na samą myśl o tym, że czegoś się dowie. – Czepiała się?

– Pocałowała mnie! – jęknął skrzywiony. – Rozumiecie? Ona mnie pocałowała! Z języczkiem! Fuuuuj! Ja tego nie zniosę.

Chichot został zduszony w zarodku, bo Purchawa wróciła przecież do salonu, a więc była w pobliżu, gdzie nalewała sobie kolejnego drinka ze smutną miną.

Nie, drink nie miał smutnej miny, ona za to bardzo.

– Dalej, do roboty! – warknął Edzio, chcąc zapomnieć o potworności, która go spotkała.

– To może... – Mundek wskazał głową na pomieszczenie, w którym znów kotłowali się, mniej lub bardziej krwawo, państwo aptekarzostwo. On też próbował coś wymyślić, a tuż po spotkaniu w studni miał jak najświeższe informacje na temat co poniektórych osób.



– No właśnie. Najbardziej to mi pasuje aptekarka, aptekarz, Lipcowa, choć i inni też – westchnęła Ada, rezygnując z wymienienia jeszcze kilku osób.

– A Olga? – zapytała Melka.

– Trochę też, ale po co miałyby zabijać tę byłą żonę Chrobotka? Przecież ona nic nie miała do samotni ani do mnicha? Nie? W ogóle śmierć tej kobiety zaciemnia sprawę. Gdyby nie ona, to byłoby cudnie. Samotnia, Natalia, morderstwo i już. A ta włąza między wódkę i zakąskę i tylko spaskudziła wszystko!

Trochę tak to odczuwali, choć też trochę brali pod uwagę to, że była żoną Chrobotka, byłą żoną, ale jednak, a to odrobinę łączyło obie sprawy.

– A to musi być połączone?

– Jakoś powinno. Możemy powiązania nie widzieć, ale ono gdzieś jest, jakoś wpływa na tę masakrę. Musi być ważne – stwierdził Edzio w sumie niebyt pewnym głosem.

Zawsze stosował coś, co nazywało się brzytwą Ockhama, czyli zasadą, że nie należy mnożyć morderców ponad miarę, bo sami się mnożą. Dlatego uważał, że jest jeden morderca, a oba zabójstwa łączył jeden motyw. Takie podejście nie zawsze się sprawdzało. Kiedyś miał jedno zwłoki i trzech zabójców, i każdy zabił z innego powodu. Jeden otruił, drugi zrzucił z okna, a trzeci przejechał samochodem. Wszyscy tę samą osobę. No, ale to było w Warszawie, tam wszystko jest możliwe.

Poza tym wszyscy byli pijani, inaczej może by zauważyli, że mordują zwłoki.

– No to może ta była Chrobotkowa, choć w pewnym sensie nadal Chrobotkowa, bo nazwiska nie zmieniła, coś widziała? Mieszkała tutaj. Mogła zobaczyć, jak ktoś zabija Natalię? – Mateusz rozwinął skrzydła wyobraźni.

– I czekałaby dwa tygodnie?

– W sensie?

– No bo zabito ją dużo później – powątpiewali wszyscy.

– Czyli to nie ona czekała, tylko morderca. Może nie miał okazji?

– To nie do końca pewne, bo morderca mógł się nie zorientować, a ona może go zaczęła szantażować?

– Głupie, ale możliwe.

– Czy ona była głupia? – zapytała Melka z ciekawości. – Bo wiecie, mimo wszystko szantaż to kretynstwo. Wiele osób by się na to nie skusiło. To paskudnie niebezpieczne. – Wydęła wargi w grymasie dezaprobaty.

– Weź, ludzie są durni, a niektóre baby to już całkiem! Ja w te ich kolie i perły nie wierzę, o złocie nie wspominając, więc wiesz, ludzie, jak widzą oka-

zję, żeby się wzbogacić...

– Ale swoją drogą, ci od katafalku też inteligencją nie grzeszą. Po cholere go kradli? Przecież to debilizm, jakich mało, gdyby choć jeszcze mieli jakiś transport, ale tak?

– Bo są idiotami?

– No cóż, nie liczyli chyba, że uda im się to wywieźć? Osobówką!

– Liczyli. Może sądzili, że taki katafalk mistyczny czy coś albo da się sprzedać, albo pozwoli im zarobkować? W stylu „tajemny, mistyczny, zaginiony katafalk mnicha z Mnichowoli doskonały na hemoroidy i problemy trawienne”?

– A może to oni zabili Natalię i tamtą, a potem postanowili uciec?

– Bez sensu!

– No to Chrobotek! Pozostaje nam tylko on. Zabił Natalię, żeby nie powstała wielka hurtownia farmaceutyczna, a potem swoją byłą żonę, żeby go nie szantażowała? To miałyby sens.

– Pasowałoby, gdyby nie to, że on się do tego nie nadaje, on jest uzależniony od seksu, prędzej by te kobiety zbajerował, nawet może wykorzystał, ale zabić? Nie wydaje mi się, żeby był w stanie. Choć tu pewności nie ma, za to żona jest o wiele bardziej podejrzana.

– Bo jest kobietą? – W głosie Melki można było wyczuć feministyczny żar, ale szybko ją zgasili.

– Bo miała ten sam motyw! Nie rozumiesz?! Ten sam motyw, ale możliwości o wiele lepsze, ona jest potworną babą, dla niej zabić to przyszcz!

– A tam! Jest aptekarką. Mogła użyć trucizny!

– Jest aptekarką, zgoda, dlatego nie użyła trucizny!

– No ale córka? Przecież to była jej córka, jak mogła ją zabić?

– Jeżeli była w stanie córce ukraść chłopa, to mogła i zabić.

– A Olga?

Olga w tym wszystkim jawiła się jako osoba z jednej strony całkowicie podejrzana, z drugiej zupełnie niewinna. Natalia była jej córką. O zabicie własnej córki trudno było ją podejrzewać. Nie była taką suką jak aptekarzowa, ale też jeżeli nie chciała rozbudowy, nie chciała zmian, bała się pomysłów Natalii, to mogła, tyle że przecież istniały inne wyjścia. Prosta i zwyczajna rozmowa, kategoryczna odmowa, i tyle. Natalia nie miała prawa robić tu czegokolwiek bez pozwolenia matki, czyli właścicielki, poza tym była kwestia pieniędzy, Natalia tych pieniędzy nie miała. To znaczy twierdziła, że je zdobędzie, ale mówić so-

bie można, co się chce. A nawet gdyby je miała albo je zdobyła, wygrała w totka, to przecież i tak nie miała prawa ingerować w to, co postanowiła matka.

A ta druga? Jej zabójstwo mogło być wynikiem przypadku, coś zobaczyła, coś powiedziała. Gdzieś wlaźła i już.

– Ta młodsza Chrobotkova coś gdzieś się skarżyła na leki? Na alienistę? Jak to było?

– Mam tu zapisane. – Edzio zaczął grzebać w swoim notesie. – Ta Marcelina mówiła, że ta Chrobotek dostała od terapeuty jakieś suplementy i spuchła, odgrażała się, że go załatwi.

– I co?

– Z tego, co pamiętam, nic. Poszła tam w nocy z wrzaskiem, wróciła po cichu i sprawa się skończyła. Potem gadała z kucharzem i była przestraszona, że kucharz jej coś trującego do jedzenia dosypie. Tak mówiły te dwie babki z terapii.

– Edziuuu – usłyszeli głośne wołanie z salonu. – Edziuuu, proszę tutaj.

Kłątwa Purchawy znów dopadła biednego Edzia, ale tym razem, żeby go chronić, poszli z nim wszyscy. W sumie niewiele mogli zrobić, mogliby na przykład ostentacyjnie się odwracać, gdyby zaczęła go całować, albo posykiwać znacząco, gdyby się na nim uwiesiła, ale tylko tyle. Był, niestety, w jej władzy. Stracony na zawsze.

Purchawa była leciutko wścieta, ale nie pijana.

– Patrzcie. Te druty należały, jak mówiliście, do Lipcowej – powiedziała, rozglądając się, żeby nie było jej słyhać na tarasie, gdzie wszyscy dojadali pieczyste, gdzie nawet Chrobotek usiłował przez słomkę wypijać soki spod pieczeni, a Chrobotkova stała nad nim jak kat nad grzeszną duszą i pilnie obserwowała, co robią kobiety, które siedzą dookoła.

Taki kruchy rozejm zbudowany na tym, że on już nie miał siły, a ona chciała go nadal mieć. Owszem, na swoich zasadach, niejako na łańcuchu, ale w tej chwili nie było jak walczyć.

Tabletki przepadły, a więc i chuć się niejako uspokoiła, a Chrobotek w takim stanie ucieczki nie mógł zaplanować. Potrzebował też opieki. No i pod tą opieką nie był skłonny do składania papierów rozwodowych ani doniesienia o pobiciu. Niektóre kobiety wołają chwilowe szczęście od żadnego.

– Właśnie. Mówiła, że ktoś jej ukradł.

– Ta zabita była poniekąd na drodze do jej domu. Mogła właśnie do niej iść, kiedy została zaatakowana.

– To fakt.

– Na dodatek te papiery na nazwisko jej męża i szwagra. No i to ona walczyła jak wariatka przeciw zmianom, a więc i przeciw pomysłom Natalii. Tej Lipcowej jest tu zdecydowanie za dużo! Może to ona morduje? Nie sądzisz? – Purchawa pogłaskała Edzia po ramieniu. Wszyscy syknęli. Oderwała rękę jak oparzona.

Nie wiadomo, czy z powodu tego syku czy hałasu spowodowanego wejściem Lipcowej do salonu.

– Pani tak do mnie prywatnie czy służbowo? – Lipcowa jednak, usłyszawszy swoje nazwisko, weszła z tarasu, choć dość oddalonego, z miną bazyliuszki (chyba te stwory jakoś się rozmnażały, więc samice bazyliuszka nie powinny być wykluczone, o ile nie weźmiemy pod uwagę jaj złożonych przez siedmioletniego koguta). – Bo jak prywatnie, to niech się pani odpierdoli, a jak służbowo, to – cyknęła zdjęcie – pije pani na służbie! Więc albo, albo!

Trafiła kosa na kamień.

– Stara cholera! – syknęła Purchawa. – Idę stąd! Muszę zobaczyć tę samotnię – prychnęła obrażona, bo rzeczywiście trochę ją Lipcowa zakasowała. – Idziesz ze mną – powiedziała do Edzia, który, sądząc, że było to pytanie, tylko w panice pokręcił przecząco głową.

Purchawa aż się spieniła.

– To nie było pytanie! – warknęła i pociągnęła go do wyjścia.

– A ja idę do studni wyciągnąć tę drabinę – mruknął Mundek – to pójdę z wami.

Purchawa skrzywiła się z niesmakiem, gdyż Mundka nie chciała. Chciała odrobiny romantyzmu z Edziem, a nie wyprawy z tabunem innych, a tabun właśnie się tworzył.

– Pieprzę was! – burknęła. – Jesteście beznadziejni! Nawet na geriatryczne biuro śledcze się nie nadajecie! Wam się dupy ruszyć nie chce! Nic nie robicie! Aż żałuję, że wam pozwoliłam się zajmować tą sprawą, będę z tego miała tylko same kłopoty! I żeby mi się nie okazało, że coś zawaliliście! – wyrzeszczała i ruszyła do drzwi. Z kopyta, normalnie jak kulig w piosence, ale też zamaszycie, żeby podkreślić, że czuje się obrażona. Edzio powinien był zareagować.

Zniknęła za drzwiami jak za dotknięciem... Nie, po prostu zniknęła i wszyscy się bardzo ucieszyli.

Tyle że ta radość trwała tylko chwilę.

Nie mogli sobie pozwolić na to, żeby Purchawa się obraziła. To było okropne uczucie.

– Eee – mruknął Chrobotek, który przyszedł z tarasu. – Iiieaaaiii – oświadczył i choć nikt go nie zrozumiał, to jednak wiadomo było, że on też. Idzie. Z nimi. Do studni. Na sto tysięcy procent bez VAT.

– A idź! Idź! Zboczeńcu! – wrzasnęła rozżalona żona. – Niczego tam nie znajdziesz! Wszystko zabrałam! – Roześmiała się w sposób okrutnie potworny. To znaczy był to ten rodzaj śmiechu, w którym szyderstwo zastępuje wszelką radość.

Mateusz i Melka nie zamierzali się przyłączać, gdyż siedzieli w kącie koło prosiaka i obejmowali się czule, co wzbudziło komentarze u starszych pań, które towarzyszyły Lipcowej.

Starsze panie pilnują, żeby świat nie był miejscem zbyt miłym do życia, i robią z tego swoje powołanie.

– Nie obłapiajcie się tak na ludzkich oczach! – mruknęła Jadwiga.

– Te młode to tylko by się migdaliły w krzakach – oświadczyła jej koleżanka. – Zjedzcie coś, to wam przejdzie, a nie tak... Fuuuj! No przecież to przesada, jeść się odechciewa.

Tupały i sapaly, jakby naprawdę miały ochotę kogoś zlinczować.

Melce i Mateuszowi też się odechciało wszystkiego. Zaczęło wiać, i to tak paskudnie, że dym szalał po tarasie, wyciskając łzy z oczu i charkot z gardzieli.

Nie mieli ochoty się wędzić.

Hubert też był zajęty czym innym, dzwonił, biegał, latał to tu, to tam, żeby się dowiedzieć, co z jego samochodem, więc w innych sprawach nie był brany pod uwagę, chwilowo był zbyt zaabsorbowany swoim prywatnym nieszczęściem. Nikt, kto nie stracił tak nagle środka transportu, nie zrozumie paniki, która go ogarnęła.

– A opony? Poszły czy się trzymają? Bo z tego, co słyszałem, był przeciążony – mrucał do telefonu. – I kiedy go odzyskam?

Oczywiście nikt nie zamierzał konfiskować mu samochodu, ale chwilowo musieli jeszcze mu się przyjrzeć, było w nim sporo krwi, a krew to krew, musieli sprawdzić, czy nie należała do którejś z ofiar, choć kiedy dokładniej sobie obejrzel Mefju i Adama, wiedzieli, że to może być efekt ataku szalonego diabła tasmańskiego na ucho kierowcy. Uszy obficie krwawią.

– Chcecie wyciągnąć drabinę? Po jaką cholere? – zapytała Ada. Jej by się nie chciało.

– Bo jak znam życie, jakiś dzieciak tam wlezie i się zabije albo co... Drabina go skusi.

– Tu nie ma żadnych dzieci – uspokoiła ich Ada.

– Oficjalnie dzieci nie ma, ale one są jak szczury, wylażą nie wiadomo skąd, a potem będzie na mnie, jak się coś zdarzy. – Mundek, mimo że bardzo strato- wany, wołał się zabezpieczyć.

– Słuchajcie, nie idźmy tam teraz – jęknęła Ada, czemu zawtórowała Olga. Ada nie miała ochoty się ruszać z zajazdu, ale też widziała, co się dzieje za oknem, a co umknęło jej kolegom.

– Bo co?

– Bo sro! Alert RCB dostaliśmy, zbliża się jakiś orkan, huragan, inna cholera, w każdym razie trzeba zabezpieczyć doniczki na balkonach i unikać otwartych przestrzeni oraz nie wychodzić z domu.

– Ale to jest blisko, a my nie jesteśmy w domu, tylko w zajeździe. Przecież w ciągu minuty nic się nie stanie!

– Dobra, jak tam chcecie – fuknęła Ada. – Idę z wami! – W końcu postanowiła się poświęcić. – Ale czym wy wyciągniecie tę drabinę? Da radę dosięgnąć, czy trzeba czymś złapać?

Tu powstał problem, bo rzeczywiście drabina zapadła się na tyle głęboko, że trzeba by było ją czymś zahaczyć. Rękoma nie było szans jej dosięgnąć, nawet leżąc na cembrowinie i ryzykując skok na główkę w suchą studnię.

– Mam wieszak – oświadczyła Melka, bo ewakuując się z tarasu, trafili na grupę organizującą ratunek dla drabiny.

– Wieszak to sobie możesz w dupę wsadzić – burknęła Ada. – Potrzebna nam jakaś halabarda. Coś długiego i z hakiem.

– Oszalała pani? Skąd ja wam wezmę halabardę? Alienista ma bosak, to wiem na pewno...

I w tym momencie wszyscy nagle zamarli.

– Ty, a gdzie on jest? – zapytał Edzio, zwracając się do Ady, bo od rana właściwie go nie widzieli, a przecież wcześniej jakoś wszędzie było go pełno.

Nikt nie zauważył czarnych chmur na horyzoncie, ponieważ była noc, ale w sumie noc nocą, horyzontu i tak zza drzew nie było widać, za to za oknem zaczął wyć dość głośno wiatr. I to wiał w niezwykle potężniejszy i sugestywny sposób, wdzierając się w szpary okien tak, że tylko jęczało, gwizdało i wyło, tak jakby...

– Wyje, jakby się, kurwa, ktoś powiesił – westchnął Mundek.

– Ale co? Silnik? – zapytał, zaabsorbowany nadal swoim samochodem, Hubert.

– Wiatr.

– Wiatr to niech sobie robi co chce! – odburknął.

W tym momencie rzeczywiście powiało jeszcze mocniej i przez podjazd przetoczył się pomruk grozy.

Może w krajach tropikalnych, gdzie huragany to bułka z masłem i zdarzają się co jakieś dwadzieścia minut, ten nie wywarłby większego wrażenia, ale tu, gdzie trąby powietrzne, nieporadne jeszcze i nieletnie, choć letnie, dopiero uczą się, jak zrywać dachy domów, jakby chciały sprawdzić swoje możliwości, ten pomruk i ta groza zrobiły spore wrażenie.

Każda dorosła trąba powietrzna powinna być dumna ze swojego maleństwa, bo zachowywało się zdecydowanie dorośle.

Wiatr porwał kilka plastikowych krzesełek zostawionych tam tylko dlatego, że nikt czegoś takiego nie kradnie, oraz zerwał trochę liści z drzew.

– Mówili, żeby zabezpieczyć doniczki na balkonach – mruknęła Ada.

– To nie są doniczki – warknęła Olga. – To pieprzone krzesła, niech sobie latają.

Jedno z krzeseł przeleciało dość szybko po niebie za oknem i roztrzaskało się o ścianę.

– Trochę przesadzają z tym lataniem. No fakt, to nie jest doniczka, ale trochę mnie to martwi.

Z daleka usłyszeli pisk i chyba skowyt, coś czarnego przeleciało za oknem.

Wybiegli na taras.

Siedzący tam ludzie zbili się w gromadkę i patrzyli, jak resztki pieczonego prosiaka usiłują zakotwiczyć się na drzewie.

Znowu coś zaskowyczało.

– Jesteście pewni, że ten pieczony prosiak został zabity przed upieczaniem? – zapytała Lipcowa.

Zza rogu wytruchtała Kościuchowa, która wcześniej poszła do swojego pokoju po miskę dla psa. Kucharz zdecydowanie odmówił podania wody w jakimś kuchennym naczyniu.

– Nie bawimy się jedzeniem – oświadczył.

– To pies, nie jedzenie.

– Ostatnio mówili, że zlikwidują zakaz uboju psów, bo mięso to mięso.

Wycior po szalonej wyprawie z katafalkiem i wizycie na komisariacie był spragniony i zestresowany. To znaczy przed chwilą jeszcze był spragniony i zestresowany i był. Teraz już go nie było.

– Pies! Gdzie jest pies?! – zawołała Kościuchowa, patrząc podejrzliwie na kucharza. Przez chwilę nikt nie odpowiadał.

– Wiatr go porwał? – zapytała znów niepewnym głosem, bo takie wyjście z sytuacji było dla niej o wiele lepsze niż podejrzenia. Wołała nie wiedzieć. Wołała sobie nie wyobrażać ani zupy z Wyciora, ani potrawy, ani pierogów, nawet jeżeli nie był specjalnie piękny czy kochany.

Kucharz pokręcił głową, idąc do kuchni.

– Nie! Pobiegł gdzieś z wrzaskiem – prychnął.

– Nie mogę go znaleźć – poskarżyła się Kościuchowa.

– A o tam daleko coś się kłębi. Kotłuje i wrzeszczy, to może on, albo trąba powietrzna go porwała – oświadczyła Maryśka, która nadal tu była, mimo że pokojowe nie pracowały na nockach.

To, co się kłębiło, było rzeczywiście trąbą powietrzną albo ledwie trąbką, o puzonach jakoś ostatnio w tej okolicy nie słyszano, ale nikt o tym nie wiedział, bo było zbyt ciemno, żeby to zobaczyć. Nikt tego nie żałował, bo trąby może są spektakularne na zdjęciach i filmikach w Internecie, ale w życiu bardzo niebezpieczne.

– Pies to w sumie przyszcz. Mamy inny kłopot. Purchawa. Czy ktoś wie, dokąd ona poszła?

Wizja Purchawy w roli Dorotki z krainy Oz wirującej w trąbie powietrznej, mniej sympatycznej i zdecydowanie bardziej martwej od samej Dorotki, pojawiła się przed oczami wszystkich bez wyjątku.

A co, jeżeli przeżyje?

I dokąd polazła?

Żeby potem nie było, że to ich вина! Przeleciała przez trąbę powietrzną Purchawa mogłaby doznać obrażeń, a to z kolei spowodowałoby obrażenia u nich, i to poważne.

I tu wszyscy się naprawdę zdenerwowali, bo po pierwsze mogła pójść wszędzie, po drugie była wkurzona, po trzecie...

Chcieli czy też nie, ale musieli ją ratować.

– Czyli brak nam alienisty, psa i Purchawy – oświadczyła Ada.

– Co to nam daje?

– Nic. Dawać to nie daje nam nic, ale jak coś się stanie, to nam dopiero dadzą. W kość!

– Za psa?

– Nie, za Purchawę. Pies się nie liczy.



– I za alienistę.

– A to dlaczego?

– To proste: ponieważ go nie ma, to albo jest mordercą i uciekł, albo jest ofiarą i ktoś go zabił. Jeżeli to pierwsze, to zanim uciekł, mógł zamordować Purchawę, a wtedy to marny nasz los, naprawdę marniusi, jeżeli zaś jest ofiarą, to albo powiedzą nam tylko, że się nie nadajemy, co i tak widać na załączonym obrazku... – Hubert zamilkł.

Przez chwilę milczał, a potem wrzasnął na Edzia:

– A ty, cholerny kretynie, nie mogłeś się poświęcić? Przelecieć jej? Pójść z nią w jakieś krzaki albo choć obiecać jej małżeństwo? Nie mogłeś? Tak ci szkoda? A teraz co zrobimy, przecież ona mogła popełnić samobójstwo!

– A to niby dlaczego?

– A to cholerne wicherzysko? Wiecie, jak to działa na ludzi? A i tak powiedzą, że dlatego, że ją olałeś! I czyja będzie wina?!

Nagle Edzio naprawdę poczuł się winny.

Mundek chciał go pocieszyć, więc podszedł i poklepał go po ramieniu, ale w oczach Edzia był to gest wrednie protekcyjny.

– Przestań mnie dotykać, bydlaku! – wrzasnął Edzio, rozkojarzony, wściekły i rozedrgany jak nigdy.

Wiatr działał na wszystkich, nawet na oba małżeństwa, które nagle i wbrew sobie, choć żony jeszcze nie całkiem zdawały sobie z tego sprawę, wróciły do siebie i zaczęły odreagowywać w mocnych słowach stresy i wiatr.

Wiatr potrafi wyciągnąć z człowieka najgorsze.

– No więc jeżeli jest ofiarą, to mogą być dwie, bo Purchawa mogła coś zobaczyć albo zemdleć, ale wpaść...

– Do studni?

– Zwariowała? Na coś! Mogła na coś wpaść!

Daleki, piskliwy wrzask psa rozdarł ciszę nocy. Nie, nie było cicho, huczało, wiatr szumiał targał i wył, ale psi skowyt potrafi być bardzo głośny i sugestywny, i potrafi przebić się przez inne dźwięki.

– On tak na śmierć wyje? – westchnęła Kościuchowa, która o psach wiedziała tyle, co z książek i filmów, może też z filmików w Internecie, których nie oglądała, ale te filmiki to coś tak wkurzającego, że nawet jak się ich nie ogląda, to niestety wałą po oczach.

– Zwariowała pani, pani Czesiu? To skowyt, a nie wycie.

– Czym to się różni?

– No to tak jakby ktoś mu na ogon nastąpił.  
– Purchawa? Czy ona się znęca nad psem? Może?  
– Jesteście idiotami! Mogę o niej wiele złego powiedzieć, ale z pewnością nie znęca się nad zwierzętami. Nad ludźmi owszem, ale nie nad zwierzakami! – burknął Edzio w niechętnej, ale jednak pochwale Purchawy.

\* \* \*

Purchawa złapała psi ogon. Ścisnęła go, usiłowała ścisnąć jak najmocniej się dało. Liczyła, że to coś da.

Pies zawył straszliwie, kobieta jęknęła i usiadła. Krew zaląła jej oczy.

Pies podbiegł do niej i zawył jej nad uchem, po czym kłapnął pyskiem nad jej głową.

Ktoś inny też jakby zawył. Tyle że nie było wiadomo, ani gdzie jest, ani co to za wycie. Bolesne? Triumfalne? Żałosne?

Nikt nie wiedział kto i co, ale wycie było jakieś mroczne i bardzo nieludzkie, choć wydane przez człowieka.

Mówi się, że mrok sam w sobie nie istnieje, że jest jedynie brakiem światła. W tym wyciu więc nie było mroku, tylko brakowało w nim radości, ale to dobrze, że brakowało, bo gdyby Purchawa usłyszała w tym czymś radość, posikałaby się ze strachu, choć była bardzo, bardzo odważna.

Zupełnie nie czuła, co to może być.

Mógł to być oczywiście skowyt piezzonego prosiaka gnieżdżącego się na drzewie, ale jakoś nikt o tym nie pomyślał.

\* \* \*

– Musimy tam iść.

– Dokąd, do cholery, w taką pogodę mamy iść? Psa by z domu nie wygonił.

– Nie wiem dokąd, wiem, że musimy, a psa i tak nie trzeba wyganiać, bo sam poszedł i skowyczy.

– Co się przejmujesz psem?

– Purchawą się przejmuję.

– To przestań. Nie jest najważniejsza. Da sobie radę, ta baba to potwór z piekła rodem. – Edzio miał swoje zdanie i mimo że przed momentem stanął w obronie Purchawy, nie zamierzał tego powtarzać. Bał się, że jeszcze mu to wejdzie w nawyk i w ten sposób ta baba pokona go niejako od środka.

– Nie jest najważniejsza? Ale wierz mi, będzie, jeżeli ktoś ją zabije, to naprawdę będziemy mieli straszliwe kłopoty, o wyrzutach sumienia nie mówiąc.

Wyszli przed zajazd. Wrócili po cokolwiek. Żadne nie chciało się przyznać, że pokonała ich pogoda. Woleli poszukać jakiegoś „cokolwieka” i liczyli, że długo go nie znajdą.

– Parasol bierzesz? Na ten cholerny wiatr? Wichura wyrwie ci go razem z nerkami! – stwierdził Hubert na widok Ady z czarnym męskim parasolem z metalową końcówką.

– Biorę zamiast bosaka, ma zakrzywią rączkę, może się przyda do drabiny.

– Sądzisz, że tam dotrzemy?

Jedno spojrzanie za okno powiedziało im, że to mało prawdopodobne.

To, co do teraz było kilkuminutową wyprawą, stało się piekłem. Wiatr kwiczał. Jeszcze nie padało i nie grzmiało, ale coś dziwnego działo się z niebem. Było ciężkie. Czuli to wszyscy i było strasznie zimno.

– Idziemy?

– W to coś?

– Nie mamy wyjścia.

Pierwsze kule gradu zaczęły spadać na podjazd to tu, to tam i właściwie nawet nie leciały gęsto. Na początku nie.

Ada schyliła się po jedną z nich.

Była wielkości piłeczki pingpongowej.

– Nie jest źle – powiedziała, pokazując Kościuchowej – widywałam już większe.

W tym momencie kula lodu wielkości średniej cytryny spadła jej na głowę, jakby chciała ją ukarać za brak wiary w możliwości kul gradowych. Jakby chciała powiedzieć: „Chciałaś, to masz”.

Po chwili dookoła spadały kolejne i kolejne białe kule, większe i mniejsze, roztrzaskując się o brukowane dróżki, niszcząc, co się da, i tłukąc w samochody.

\* \* \*

Purchawa czuła, że nie jest dobrze. Z głowy sączyła jej się krew, dookoła skakał durny pies, było ciemno i nie wiedziała, gdzie jest i dlaczego jest tam, gdzie jest.

Pamiętała tylko, że obraziła się na Edzia, ale wielkiej obrazy nie czuła, bo to był manewr, a nie prawdziwa obraza, liczyła, że pójdzie za nią i początkowo sądziła, że idzie, dlatego się nie odwracała.

Dopiero kiedy zbliżyła się do studni, pomyślała, że musi do niego zagadać. Oparła się o cembrowinę i zajrzała w głąb.

I to było dziwne.

Ze studni sączyło się światło.

Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziała.

– Co to, do cholery, jest? Przejdźcie do jakiegoś magicznego świata? Ja tam widzę... maszyny? – Odwróciła się i zapytała stojącego za nią Edzia, po czym roześmiała się triumfująco. – No co o tym sądzisz? Jakoś przeżyłeś?

– Ja tak! Ale ty nie przeżyjesz – odpowiedział jej ktoś, kto z wielu względów nie mógł być Edziem.

– Zaraz! Moment! Kim pan jest?! – wrzasnęła Purchawa, ustawiając się jak do walki na pięści i wysuwając jedną nogę do przodu. Postawiła walczyć, a była w tym dobra, niestety jej przeciwnik ją widział, a ona jego nie.

Zaczęła biec w kierunku samotni. Nie było daleko, a ona nie chciała się podać bez walki.

Ktoś ją gonił, ale jakby z oddali, bo w chwilach, kiedy cichło wycie wiatru, słyszała tupot.

Otworzyła drzwi samotni. Było ciemno, ale tam przynajmniej nie padało. Odetchnęła z ulgą. Ktoś otworzył drzwi.

Nie zobaczyła twarzy. Nawet sylwetka była tylko czarnym zarysem na tle mroku.

Cofnęła się.

Niestety, z tyłu miała dziurę po katafalku, o której nie wiedziała.

Zanim się zorientowała, co się dzieje, coś ciężkiego spadło jej na głowę, a potem ona spadła w dziurę. Było to dwojakie doświadczenie, psychiczne i fizyczne, mistycyzmu w tym nie było, ale w ostatniej chwili świadomości pomyślała, że to musiał być ten pieprzony mnich, bo ludzie zazwyczaj boją się atakować policjantów.

\*\*\*

– Czuję, że jest źle – stwierdziła nagle Melka.

Ada roztarła głowę.

- Co robisz minę kota srającego na puszczy?
- Nie robię. Czuję.
- Co czujesz? Kota srającego na puszczy?
- Nie, Purchawę w niebezpieczeństwie. Z nią jest źle! Coś się dzieje. Czuję wibrację śmierci – jęknęła.
- Telefon ci wibruje – mruknęła Ada.
- Nie, słyszałam wycie. I tam coś się świeci! O, jak z zaświatów. Pali się czy co?

Popatrzyli i rzeczywiście w oddali trochę obok samotni zobaczyli świetlistą poświatę targaną wiatrem i szarpaną cieniami tańczących gałęzi.

- Studnia się pali! – wrzasnęła Mundek. – Idę tam!
- Jak studnia ci się może palić?
- No to co to jest?
- Wrota zaświatów się otworzyły. Piekło nadchodzi! Mnich! Mnich! – Lipcowa nie pozostała obojętna na możliwość głoszenia grozy. – I ogólnie, zgroza, zgroza. – Uśmiechnęła się, złapała za obrus leżący na stoliku i założyła go sobie na głowę. – Idę tam!

Obrus nie był ceratą, ale i tak był lepszy niż nic.

– Po cholere? – zdziwiła się Kościuchowa. – Choć czy ja wiem, swój ciągnie do swego...

Trzeba powiedzieć, że wrota zaświatów otworzyły się nie tylko w studni, ale w ogóle dookoła zajazdu. Huczał wiatr, małe, jeszcze niedorosłe trąby powietrzne szalały po krzakach, niebo waliło gradem, a w oddali studnia świeciła pierwotną grozą, choć światło tej grozy musiało być elektryczne.

\*\*\*

Purchawa ocknęła się w ciemnościach.

Coś po niej łąziło.

\*\*\*

– Idziemy – zdecydowała Ada uzbrojona w parasol. – Biegiem! – zawołała, po czym odważnie wybiegła przed zajazd i poślizgnąwszy się na kulkach gradu, padła. Inni mieli więcej szczęścia, a może raczej rozumu. Ruszyli powoli, uważając, gdzie i jak stawiają stopy.

– Hej! Hej tam! – zawołała ich Olga. – Nie idźcie tędy! Z tyłu jest lepsze dojście! Tam jest osłona. Tędy nie dacie rady.

Wrócili, zostawiając Acę, i przeszli przez kuchnię, a potem wyszli na taras. Przytuleni prawie do ścian zajazdu, bardzo szybko przedostali się w pobliże samotni, mijając fontannę, stąd było tylko kilka kroków do studni, ale oni zdecydowali się chwilowo na samotnię.

W dość obszernej izbie z dziurą po katafalku chcieli się zastanowić, co zrobić.

– Czy tylko ja to czuję? – zapytała Melka.

– Co znowu czujesz?

– Jakieś takie drżenie?

Przez chwilę wsłuchiwali się w wiatr.

A jednak.

Coś jakby drżało.

Nagle z dziury usłyszeli wrzask.

Odkoczyli.

– Nam, nam, nam niam niam! – wrzeszczało coś bardzo paskudnym głosem.

– Czy ten mnich jest kanibalem? – zapytał Mateusz, bo niby wszyscy zgromadzili się wokół dziury, ale nikt nie chciał do niej zajrzeć.

– A cholera go wie. Trzeba tam zajrzeć. Ma ktoś reflektor?

– Tu powinno być światło – westchnęła Kościuchowa.

\*\*\*

Zaczęło się od tego, że Letycja podeszła do Chrobotka i zajrzała mu głęboko w oczy. Rozplakana się, widząc, co mu zrobiła żona, która w tym momencie poszła do Olgi poprosić o jakiś sweter, bo przez to wszystko nie zabrała z domu nic cieplejszego i teraz marzła.

Chrobotek usiłował coś powiedzieć, ale nie był w stanie.

– Uyyy – wyjęczał, pokazując oczami w kierunku korytarza. – Oaa aa... – Nie dokończył.

– O, a ty tu co? – warknęła Marcelina na Letycję, jako że i ona chciała się zająć Chrobotkiem, odkąd pojawił się z żoną przy prosiaku. Wyczuwała, że nie jest szczęśliwy.

Kobiety czują takie rzeczy.

Ada wstała i podpierając się parasolem, wróciła do zajazdu. Wszyscy już wyszli, zostawiając ją na pastwę losu, i poczuła się niezbyt komfortowo.

Niby współpracownicy, niby przyjaciele, a nikt nie pomyślał, żeby ją „ojojać”. Po chwili użalania się nad sobą prychnęła i skarciła samą siebie za te myśli.

Zupełnie nie wiedziała, co zrobić, ale jeżeli chodzi o Purchawę, to po pierwsze sama sobie była winna, jeżeli coś jej się stało, to nikomu nic do tego, nie lata się samemu nocą po obcym terenie, kiedy jest się kobietą, tylko dlatego, że chce się wymusić na jakimś facecie cokolwiek.

No i Purchawa jako policjantka doskonale powinna to wiedzieć.

Ludzie ruszyli jej na pomoc czy na poszukiwania, czy w ogóle, bo przecież Ada nie mogła wiedzieć, jak zakończy się akcja, całkiem zresztą w tych warunkach bezsensowna, choć konieczna dla spokoju sumienia i ewentualnych konsekwencji, a takich można się było spodziewać.

Poszli wszyscy. No prawie.

W zajeździe zostali tylko dwaj nieszczęśnicy od katafalku i ich żony. Gdzieś siedział też Chrobotek i jego żona, oraz dwie panie z terapii, cała reszta ruszyła na poszukiwania.

Nawet trzy stare wariatki wraz z Lipcową, choć ich uczestnictwo w wyprawie było więcej niż żalotne, bo odpadły w przedbiegach i zmoknięte wróciły do sali jadalnej.

Było to doskonale wyjście z sytuacji, bo takie staruszki raczej nie mają wielkich możliwości fizycznych nawet w ładną pogodę, a deszcz, wiatr, grad i trąby jerychońskie, albo nawet powietrzne, bardzo ograniczają ich przydatność.

Gdzieś była chyba też Olga, bo ona nie wyglądała na osobę, która poświęca własny komfort dla czegokolwiek.

Ada się zamysliła.

To, co się działo na zewnątrz, nie podobało jej się zupełnie, ale wpływu na to nie miała, natomiast martwiło ją to, że Purchawa nie odbierała telefonu. To nie było w jej stylu, zwłaszcza kiedy ktoś dzwonił na jej telefon służbowy, a oni tak właśnie robili, zresztą czy Purchawa miała jakiś prywatny numer, i jaki był, nie wiedział nikt z GBS, może Edzio, ale im się tym nie pochwalili.

Ada zastanawiała się nad faktami.

Nie łączyły się ze sobą.

Mnich, Natalia, Malwina Chrobotek, cała ta samotnia, do tego kradzież katafalku przez tych dwóch idiotów i Lipcowa z całą swoją rodziną, martwą, fakt,

ale jednak obecna. To wszystko nie miało sensu.

Nie dało się tego połączyć.

– A gdyby tak połączyć to na siłę? – zapytała sama siebie.

– Co tak pani tu siedzi? – Olga zajrzała do pomieszczenia i zdziwiła się na widok Ady. – Daje nam w kość ta cholerna aura, jakby się coś przeciw nam sprzysięgło, co?

– Mnich?

– Nie no on chyba nie ma licencji na zabijanie, a to się piekli, jakby chciało wytłuc wszystkich. Jak szczyry.

– Ha, ha, licencja na zabijanie i szczyry? A kto by mnichowi wydał licencję? – Ada zaśmiała się dość sarkastycznie, po czym nagle zamarła. – O! Ja pier... – wydusiła, wpatrzona w ścianę jak marmurowa figura z wytrzeszczem.

Olga przez chwilę patrzyła na kobietę z przerażeniem.

– Kurwa, jeszcze nam tu zawał potrzebny! – mruknęła, szukając telefonu, żeby wezwać pogotowie, choć nie było najmniejszych szans, żeby przyjechało, bo powalone drzewa na sto procent zablokowały drogę.

– Nie mam zawału! – zawołała Ada.

– To co? Paraliż? Też mi radość! – prychnęła właścicielka obiektu, wcale nie pocieszona.

– Gównu nie paraliż! Doznałam... Doznałam olśnienia! Wiem, kto je zamordował! To znaczy nie, wiem dlaczego, ale nie do końca kto. – Ada roześmiała się triumfalnie i wyglądało to tak, jakby właśnie zagnieździł się w niej pokazny rozmiarów demon.

– O, co to, to nie! Do psychiatryka nie dzwonię – burknęła Olga.

Pomyślała, że olśnienia to tylko wariaci. Czasami też poeci, ale poeci również nie są całkiem normalni, a ponadto Ada na poetkę nie wyglądała. Nie istnieją otyłe poetki, według Olgi powinno to zostać zakazane. Poetki mają obowiązek być piękne! Olga więc szybko się wycofała, bo wariatów bała się bardziej niż morderców.

Niby i ten niebezpieczny, i ten groźny, ale morderca jakiś bardziej przewidywalny. Pokroi cię, fakt, ale z powodu pieniędzy, a nie natrętnego przekonania, że jesteś tortem żurawinowym.

\*\*\*

Marcelina i Letycja, jako że obie chciały się zająć Chrobotkiem, odkąd pojawił się z żoną, wyczuwały, że nie jest z nią szczęśliwy. Z żoną nie jest, zaś z nimi



był, na pewno by był. Miłosne myślenie życzeniowe jak zawsze wygrało. Od poczucia, że on tej żony nie chce, a kobiety czują takie rzeczy, do pomysłu, że należy go uratować, droga jest bardzo krótka.

Ponieważ Chrobotek wypowiedzieć się nie mógł, a pisać w tej sytuacji nie chciał, bo gdyby żona przechwyciła to, co by napisał, to dostałby w kość i wcale nie za to, co napisał, ale za to, że napisał. Że w ogóle się odezwał do jakiegokolwiek egzemplarza płci żeńskiej.

Doskonale rozumiał, że z tej sytuacji nie ma dobrego wyjścia. Nie chciał być ratowany, bo nikt nie mógł go uratować zupełnie.

To nie tak, że ktoś pogłaska po główce i na tym się skończy ratowanie.

Jeżeli już, to trzeba by było dać mu pieniądze i dobrą pracę, załatwić rozwód, kupić mieszkanie i zapewnić całodobową opiekę, a kogo na to stać?

Chyba tylko jego żonę w tej chwili.

A jednak obie panie, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie na niego ściągają, zaczęły się do niego przymilać.

Nie mogły brać pod uwagę jego zdania, zresztą były pewne, że nie muszą, bo je znają, przekonane, że kocha tylko... No ją. Ją jedyną.

A Chrobotek się bał.

I miał rację.

Żona bardzo źle znosiła inne kobiety, ale ich nie prześladowała. No, może słownie.

Kiedy decydował się na rozwód z żoną, tą pierwszą, jeszcze nie planował przyszłości z teściową, było mu dostatecznie źle, nie potrafił się z Malwiną dogadać, ale uważał, że ona jest po prostu wariatką. Wszyscy znajomi rzucili się na niego z hejtem, odsadzili go od czci i wiary oraz uznali za niespełna rozum, w końcu nie byli aż tak złym małżeństwem. Z wierzchu nie byli, a do środka mało kto miał okazję zajrzeć. I wtedy była teściowa pogłaskała, przytuliła, nakarmiła. Tego właśnie było mu wtedy trzeba. To współczucie i dobre słowo sprawiły, że coś między nimi zaistniało.

Nie bez znaczenia była opieka. Teściowa, już była teściowa, była zamożna i miała ochotę się z nim tym swoim bogactwem podzielić, a on po rozwodzie czuł się zagubiony. I to było zagubienie naprawdę fizyczne.

O wielu sprawach nie miał zielonego pojęcia. O istnieniu wielu innych nawet nie wiedział. Nie musiał.

Był żonaty. Lubił ten stan, kochał kobiety, mimo to nie lubił swojej żony, wziął drugą, myśląc, że problem tkwi właśnie w żonie. Teraz żony nie tylko nie

lubił, ale wręcz nienawidził i się jej bał. Problemy wcale nie zniknęły, co odkrył ze szczerym zdziwieniem.

Teraz usiłował gestami odpędzić od siebie Letycję i Marcelinę, ale jego gesty były tak paniczne, że kobiety wzięły je za wołanie o pomoc.

Żona wróciła ze swetrem.

Jak każda kochająca żona, a ona kochała go aż za bardzo, rzuciła się z pięściami na obie kobiety, by chronić swój największy skarb.

Skarb był tak przerażony, że zwałókl się z czegoś tam boleści, bo łoże to to nie było, i niepostrzeżenie uciekł w noc. To było lepsze niż żona w amoku.

Wszystko było lepsze niż ona, nawet trąby powietrzne, grad i wykluwająca się właśnie burza, a wszyscy mówią, że faceci nie doceniają swoich żon!

\*\*\*

– Zaraz, ale gdzie jest włącznik? – zapytał Hubert.

– Pewnie przy drzwiach – odburknęła Kościuchowa, niepomna, że w takich chwilach kiedy po dworze hulają trąby powietrzne, a grad tłucze w transformatory i rozbija, co się da, prądu najczęściej po prostu nie ma.

Pstryk, pstryk niewiele dało. Latarki telefonów poszły w ruch, mimo obawy, że to może wezwać jakieś wyładowania. Kościuchowa wierzyła, że komórki ściągają wyładowania elektryczne. Nie tylko w czasie burzy, na zewnątrz, ale w ogóle.

Mimo to trzy latarki skierowały swoje w sumie marne światła na dół po katafalku, który też jakiś specjalnie obszerny czy głęboki nie był.

Wyglądał jak otwarty grób, a wszystko dlatego, że katafalk był trochę za wysoki i trzeba było go wpuścić w podłogę, bo inaczej pacjentki potrzebowałyby windy, żeby się nań dostać.

Wewnątrz – dołu, nie katafalku – leżała Purchawa z rozbitym łbem oraz pies. Wycior łąził po kobiecie i chyba chciał sobie z niej zrobić poduszkę.

Ona w chwilach świadomości walczyła z nim albo łapała go za ogon, licząc chyba, że to pomoże jej się podnieść, a on wtedy skowyczał.

– Kościuchowa, pani zabierze to zwierzę! – warknął Edzio. – Musimy ją wyciągnąć.

I może by to zrobili, gdyby nie jakieś hałasy na zewnątrz.

\*\*\*

Melka i Mateusz wybiegli w noc.

Mieli ochotę się urwać od tych starych wariatów. Kościuchowa, Edzio, MundeK i Hubert, choć ten ostatni najmniej, dość już im się dali we znaki.

Pomyśleli, że ciotka, choć jest bardziej zwariowana, to jednak i bardziej życiowa. Stwierdzili, że do niej dołączą, problem w tym, że nie wiedzieli, gdzie ona jest.

Na pierwszy rzut postanowili sprawdzić studnię.

Niby nie sądzili, że mogą w niej znaleźć ciotkę, ale było tak paskudnie, że wybrali najbliższe zło.

Zabrali psa, nie że celowo, sam się z nimi zabrał.

\* \* \*

Ada podniosła się z krzesła tak gwałtownie, że aż jej się w głowie zakręciło.

– A więc to tak! – wykrzyknęła, patrząc na Olgę, z braku innych osób w okolicy. – Już wiem!

– Ale co pani wie? – zdziwiła się Olga. Jej zdziwienie było niespokojne, bo Ada miała w ręku parasol, którego metalowy czubek mógł służyć do zadawania ran kłutych, a rączka do tłuczonych.

O ile parasol był złożony, bo po rozłożeniu mógł służyć też do hurtowego wzdłubywania oczu.

– Mówiłam. Wiem, dlaczego ktoś zabił pani córkę, i wiem, dlaczego zabił Malwinę Chrobotek!

– A wie pani choć, kto to zrobił?

Jeżeli już się wie, dlaczego ktoś coś zrobił, to kwestia odpowiedzi na pytanie kto, nie jest taka trudna.

Powiedzmy, że ktoś zabił zamożnego emeryta. Jeżeli z powodu pieniędzy, to żona, jeżeli z powodu zazdrości, żona, jeżeli z powodu chrapania, no cóż, niestety żona, a jeżeli z powodu produkcji bimbru, też żona, ale tym razem żona rozpijanego sąsiada.

– Tego jeszcze nie wiem, nie całkiem, wiem na pewno, że pani tego nie zrobiła!

– Też mi wiadomość! Tyle to i ja wiem! Jezu Chryste, pani chyba nie myślała, że mogłabym zabić własną córkę?!

Ta myśl sprawiła... Nie myśl o zabiciu córki, ale o tym, że ktoś mógł pomyśleć, że ona mogła pomyśleć. No makabreska! Niby nie mamy wpływu na to, co o nas myślą inni, ani jak o nas myślą, ale świat zrobił się taki dziwny, że to ma

znaczenie. Wstawiamy zupełnie nieadekwatne zdjęcia, żeby inni pomyśleli, że nam się doskonale powiodło, i co? Czy od tego zaczyna nam się powodzić lepiej? Ależ skąd, nawet gorzej, bo na przykład wzbudzamy zainteresowanie Urzędu Skarbowego albo okolicznych włamywaczy, którym niepotrzebnie robimy nadzieję, a potem za własne pieniądze musimy wymieniać drzwi wejściowe.

A jednak Olgę to zabolalo.

To było nie do przyjęcia, że ktoś mógł pomyśleć coś takiego! Że ona? Że mordczynią? No świat schodzi na psy! Myślała, że jest szanowana!

– Nie, no co pani? Nigdy! – skłamała Ada, widząc w oczach Olgi lekki przeblask szaleństwa. – Proszę mi tylko powiedzieć, czy ta lepianka, na której zbudowaliście samotnię, to była naprawdę lepianka? Taka na ziemniaki?

– Ach, nie, to była stara chałupa, ale co to ma do rzeczy?

– Podpiwniczona?

– Jakieś coś tam było, ale wszystko zostało zamurowane.

– I jeszcze jedno – rzuciła Ada mimochodem – a macie catering?

Olga zrobiła wściekłą minę.

– Ależ pani cuduje! I to ma być do śledztwa? Czy zamierza pani coś u nas zamawiać? Jak mamy mieć catering? Kto by to woził? Czasami jak już coś, to raz na sto lat, ale rzadko. Dla zasiedziałych gości, jak choroba czy coś. Ale to ostateczność.

– Terapeuta wozi?

– Wozi, kto może. Kto ma czas, ale w zasadzie to każdy.

Ada zdecydowała się na wyprawę.

Oczywiście mogła zadzwonić, ale, niestety, nie mogła zadzwonić. Nie wiedziała, gdzie inni się znajdują, a należała do osób upośledzonych piorunicznie. Należała do kobiet, które boją się piorunów kulistych, a odkąd z jakiegoś fake newsa dowiedziała się, że mogą się one gnieździć w komórkach, starała się nie dopuścić do zagnieżdżenia się kulistego gościa w jej własnej oraz w komórkach reszty detektywów z GBS.

Nie korzystała z komórki w czasie burzy nawet w domu.

Ba, nie korzystała z komórki nawet kiedy burza było dopiero w planach.

Teraz otworzyła drzwi zajazdu, które od wiatru rypnęły o ścianę z łoskotem i których za nic w świecie nie dało się z powrotem zamknąć, ruszyła do wyjścia w pustkę nocy, waląc w chodnik czubkiem parasola, jakby była niewidoma. I trochę była, bo zaciskała oczy. O ile dotąd na zewnątrz tańczyła wichura i wa-

liło gradem, teraz na niebie zaczęły się pojawiać rozbłyски piorunów. Możliwe, że kulistych.

Z daleka widziała zarys samotni i to też nie za bardzo, bo w jej oknach pojawiały się przebłyски, ale bardzo słabe.

– Pieprzony mnisi interes! – westchnęła.

Dzika wichura kilkakrotnie przewracała ją na ziemię, ale Ada wstawała i parla naprzód w tempie zdecydowanie żółwym albo nawet ślimaczym. Była sama, a więc obawiała się, że wichura zrobi jej krzywdę i nie będzie nikogo, kto mógłby jej pomóc, za jedyne pocieszenie miała to, że przy jej wadze byle huragan nie dałby rady zrobić z niej Dorotki z krainy Oz.

A jednak nawet jej waga nie była w stanie utrzymać jej całkiem w pionie, bo waga działała na jej korzyść, ale objętość już nie. Wiatr walił w nią podmuchami jak w jakiś żagiel, łopocząc ciuchami i zapierając dech w piersiach.

Po dłuższym czasie walki z okolicznościami (a jakże) przyrody dotarła do samotni.

– I co, co tu mamy? – zapytała.

– Purchawa żyje – jęknął Edzio; nie wiadomo, czy był to jęk zawodu czy jednak szczęścia.

Ta ostatnia usiadła w grobie po katafalku i zaczęła dochodzić do siebie.

– No ja już wszystko wiem – pochwaliła się Ada. – Wiem, dlaczego ktoś zabił Natalię.

– A wiesz kto?

– Nie jestem całkiem pewna.

Usłyszeli huk przy drzwiach i jakiś szcęk.

– Ej, co się dzieje? – zapytała Kościuchowa, bo to nie brzmiało za dobrze.

Coś huknęło ponownie. Poczuli dym.

– No szlag. Podpałiło nas?

– No tak – jęknęła Purchawa, wyłażąc dość niezgrabnie z grobowca. – Nie myślałam, że to zajdzie aż tak daleko.

– Czy katafalk był pusty? – zapytała Ada Purchawy, co zaskoczyło wszystkich w tej sytuacji.

– Chodzi o tę dziurę tu – wskazała za siebie niepewna i rozkojarzona – czy o to gówno, co tamci wlekli za samochodem? Sądzicie, że leżał na nim jakiś truposz? Zapomnijcie. Spadłby jak nic!

– Nie na nim. W nim!

– Truposz?

– Nie wiem, ale ta Maryśka mówiła, że dobrze się w nim składa ręczniki.

Jęk wściekłości rozległ się pomiędzy zebranymi. Wszyscy czuli grozę, ale też nie chcieli tego pokazywać. Strach bywa pomocny, ale nie w takich sytuacjach.

Pytanie Ady wzięli za objaw paniki.

– Ada! Przestań! Wiem, jak się czujesz, ale damy radę. Rozwalimy okna! Jakś wyjdziemy!

– Widzisz mnie w jednym z tych okienek? – fuknęła Ada, wskazując na swoją nieobecną talię. Była zbyt tęga na coś takiego, a tymczasem dookoła pojawiały się smugi dymu.

Próbowali wyważyć drzwi, ale nic to nie dało.

– Ktoś założył sztabę albo jakieś drzewo się zwałiło.

– Okna?

– Od lat są zabite gwoździami. Nie otwierają się – wyjaśniła Kościuchowa. – Pieprzona pułapka.

Płomienie, trochę przygaszane deszczem, zaczęły lizać budynek.

– Uwędzą nas! – jęknął Edzio.

– I upieką! – dodała Purchawa dramatycznie. – To koniec!

Chyba usiłowała się rozpląkać, bo w tej dziedzinie raczej specjalistką nie była.

– Tak, masz rację! Przykro mi, że tak to się skończyło – westchnął Edzio, który jakoś nie czuł się dobrze w tej kulinarnej roli.

– Tobie nie powinno być przykro, to ja jestem wszystkiemu winna! Gdybym nie przyszła tu sama, to nic by się nie stało. Byłam głupia! Przepraszam – powiedziała ze łzami w głosie, w oczach pewnie też, ale oczu nie było widać.

Edzio podszedł do niej i ją objął.

Wszyscy zamarli.

Ada z podziwem spojrzała na Purchawę, czuła, ba, wiedziała, że ona kręci. Gra pod publiczność albo pod sytuację. Nigdy nie była taka uczuciowa, nigdy nie miała też chęci do przeproszania kogokolwiek. Zdziwiająca zmiana.

Wszyscy zamarli, widząc ten spektakl pełen poświęcenia i miłości, normalnie jak z amerykańskiego filmu.

A wyglądało to romantycznie, według amerykańskich schematów. Oni objęli, wokół groza z tupotem tańczy czardasza na ich twarzach.

Płomienie już objęły pół budynku, a drewniana konstrukcja mogła w każdej chwili zająć się ogniem, nic nie można już było zrobić, ale też padał deszcz, a na zewnątrz słychać było syreny.

– Ożenisz się ze mną? – zapytała Purchawa łamiącym się głosem.

– Purchawa, czy ty oszalałaś!? My tego nie przeżyjemy!

– Jasne, ale jak przeżyjemy? – Purchawa pokusiła się o trochę zbyt obcesowe pytanie.

– Mówiąc, że nie przeżyjemy, myślałem o małżeństwie! Nie chcę skończyć w więzieniu albo w wariatkowie! W żadnym wypadku! – wrzasnął Edzio i natychmiast odskoczył od Purchawy.

– Szlag! – jęknęła.

Amerykański film nie zadziałał. Ludzie czasami próbują w życiu odtworzyć romantyczne, filmowe schematy, zapominając, że ktoś, kto w chwili grozy myśli o sprawach urzędowych (w końcu legalizacja związku, to jednak sprawa urzędowa) zamiast o ratunku, powinien przerażać, a nie zachwycać.

No chyba że chodzi o spadek.

Z zewnątrz już słychać było rąbanie. Ktoś usiłował wyrąbać im drogę na wolność.

Samotnia stała w płomieniach, oni byli uwędzeni. Dusili się i kasłali, wrzeszczeli, paliły się na nich co bardziej plastikowe ubrania, ale straż pożarna dawała im nadzieję na przeżycie.

I to spore.

\*\*\*

Melka i Mateusz stali przy studni i patrzyli na samotnię, koło której zaczynały tańczyć płomienie.

Z dala widzieli kogoś, kto wyglądał, jakby dokładał do ognia.

Pies zawył.

– O ja pierdole, przecież to ten ich terapeuta! – jęknął Mateusz. – Trzeba go powstrzymać. Patrz, co on robi!

Z dala na tle płomieni widać było, jak terapeuta, o ile to był on, bo jednak zarysy to coś, co nietrudno źle zinterpretować, walił łopatą kogoś albo coś leżącego na ziemi.

Zaczęli biec w tamtym kierunku.

Z dala słychać już było straż pożarną, która nie wiadomo jakim cudem, ale jechała od Prasławca.

Czarna postać podniosła coś z ziemi i waliła tym w kogoś leżącego.

Wywołane widokiem płomieni z zajazdu kobiety, te młodsze i te starsze, te raz trochę już spacyfikowane walką z Chrobotkową, wybiegły w noc.

– Przystań! Przystań! – wrzasnął Mateusz i rąbnął terapeutę pięścią w szczękę, w zasadzie chyba w szczękę, bo niewiele było widać.

– Odwala ci? – zapytał domniemany terapeuta męskim głosem. – Kobietę będziesz bił? Pięciami?!

Mateusz zamarł.

Zarys znów się zamachnął i wałnął łopata w leżącą postać. Mateusz wytrącił łopata z rąk walącego.

– Co... ty... hm... pani? Hmm, tu robi? – Mateusz krztusił się formami, choć w zasadzie wszystko mu było jedno, ale nie wiedział, do kogo mówi, a nie chciał być niegrzeczny.

– Nic takiego. Gaszę go. Przecież się zajął. Nie widzisz? On płonie! Ratuj go!

– Łopata? – Melka aż pisnęła.

– A czym mam go gasić, jak tu nic nie ma?

– Ale kto to jest?

– No chyba terapeuta! – powiedziało to coś i zaczęło uciekać.

Za to uratowany od płomieni, którymi się zajął, człowiek leżał i jęczał, ten dzień naprawdę był dla niego dniem osobistych kataklizmów, gdyż łopata, co prawda, zdusiła płomień, ale i połamała mu kilka kości.

Czuł, że teraz tak łatwo się żonie nie wywinie.

Z połamanymi żebrami i ręką oraz obojczykiem daleko nie ucieknie, a o pomoc zdrtutowany poprosić nie da rady, teraz już nawet pisemnie.

Z samotni dosłyszeli wrzaski. Męskie, żeńskie, nijakich nie było, wszystkie były za to przerażone. Zwinęli pozostawioną łopata i Mateusz rzucił się do rozbijania okien.

Melka go powstrzymała.

– Przystań, to bez sensu, nie wyjdą przez okna, a dostarczysz do środka za dużo tlenu, podsycisz pożar! Spalą się!

– Co, wolisz, żeby się spalili czy zaccadzieli?

– Poproszę o telefon do przyjaciela – burknęła Melka.

– Oni tam rąbią ten pniak w drzwiach. Ty mi lepiej powiedz, kto to był.

– Cholera wie.

Nie zdążyli nawet dokładnie obejrzeć leżącego.



Za dużo się działo.

Na posesję, a właściwie podjazd koło zajazdu, wtoczył się wielki czerwony samochód straży pożarnej.

Ktoś w tym czasie wyrąbał otwór w drzwiach. Z samotni zaczęli wylazić ludzie, w tym Purchawa, choć nie wyglądała za bardzo po ludzku, była zalana krwią i wściekła.

Nie wiadomo, czy była wściekła, bo krew ją zalała, czy zwyczajnie, krew była poza podejrzeniem, jako że pochodziła z napadu.

Chyba nawet się nie cieszyła, że żyje, zawiedziona sobą samą. Tym, że ktoś ją załatwił, że mógł zabić, że w ogóle dała się podejść, że co z niej za policjantka.

To wróżyło bardzo źle wszystkim obecnym, bo po ostatnich akcjach Purchawa uważała się za genialną policjantkę i wcale nie zamierzała tego zmieniać, ale w tych sprawach liczyło się też zdanie jej przełożonych, a oni lubili zmieniać zdanie. Tego po prostu by nie zniosła.

Za Purchawą toczyła się, krztusząc, osmolona Ada.

– Ttto było ccelowe? – zapytała, wykasłując sobie płuca wraz z przyległościami.

– Na to wygląda – stwierdziła Purchawa i, wyrwawszy telefon Hubertowi, wybrała numer jednego ze swoich podwładnych. – Gdzie wy, do cholery, jesteście?! – wrzasnęła. – Jak to w rowie?

Przez chwilę słuchała.

– To na piechotę! Ale już! Jak mogliście zrobić coś takiego?!

Wyraźnie wypadek, czyli lądowanie w rowie w czasie zawieruchy, było według niej działaniem celowym tych nierobów, którzy wcale nie mieli ochoty pracować, a już o przemęczaniu się nawet nie było co myśleć.

Niepokojące było to, że żeby zrobić przysługę i przyjemność Oldze, mieli po drodze (tak jakby) przywieźć jej katafalk. Nie nadawał się już do niczego, nie został zatrzymany, mogli to zrobić, ale drzemały w nim jakieś siły zniszczenia, bo nawet na lawecie nie dali rady go dotransportować.

\*\*\*

Melka i Mateusz wraz z wariującym wokół nich Wyciorem stali trochę w oddali. Nie byli zamyśleni, wyglądali bardziej na zaszokowanych.

I nie patrzyli ani na Chrobotka w błocie, ani na ugaszoną już prawie samotnię, ale w bok.

Coś dziwnego działo się ze studnią.

Zachowywała się jak komin.

Nikt chyba jeszcze w życiu nie widział dymiącej studni i wcale nie powinien żalować, bo to bardzo niepokojące doświadczenie, jako że studnia z natury jest (lub powinna być) miejscem, którego podpalić się nie da, szczególnie od środka, a jak wiadomo, nie ma dymu bez ognia.

– Ty, czy ja zwidy mam? – zapytała Melka, wskazując bardzo nieelegancko palcem w kierunku studni, ale można jej było to wybaczyć, bo kiedy chodzi o zdrowie psychiczne, elegancja nie powinna się liczyć.

– Nie, tam coś... – Nie sprecyzował, bo w tym momencie za nogę złapał go wciąż leżący na ziemi Chrobotek.

– Aa yy yyyy – zawył swoją zdrutowaną i posiniaczoną paszczą, bo jednak twarzą z pewnością nie można było tego nazwać, w każdym razie nie w tej chwili.

Chwytał Mateusza za nogę, bo tylko to w tej chwili mógł zrobić, a że złapał tylko jedną ręką, dość mocno, Mateusz spieszący do studni wyrębał twarzą w dróżkę.

– Właaaaśnie! – wykrzyczał w szoku, padając. – Puść mnie, kimkolwiek jesteś – warknął, uwalniając nogę z uchwytu. – Tam dzieją się straszne rzeczy!

– To mnich? – zapytała Melka.

– Nie wiem, nie przedstawił się. Chyba raczej Chrobotek. Ciekawe, kto go tak skutecznie gasił i dlaczego? Na nadpalonego nie wygląda. – Mateusz przyrzekał się leżącemu, z którym kontakt był bardzo utrudniony.

Potem mimo krzyków sprzeciwu i przerażenia zadzwonił do Huberta, żeby posłali karetkę, bo jakaś musiała się przecież zaraz tam zjawić.

Przewidywana długość życia Chrobotka uległa znacznemu skróceniu (szczególnie ta na wolności). I nie mówimy tu o wolności społecznej, ta zagrożona nie była, bo Chrobotek robił to, co robił, dla przyjemności, a nie z chęci zysku, wzbudzał zachwyt i miłość, a nie gniew, jeżeli zaś nadużywał czegokolwiek, to sam, na własny rachunek, nikogo w to nie wciągając, a kobiety dobierał tak, że żadna nie była w wieku takim, by ktoś musiał się nią opiekować. Wszystkie za to mogły i chciały opiekować się nim.

O tę wolność Chrobotek się więc nie obawiał, on miał na myśli zupełnie inną. Osobistą, taką, która kojarzy się z prawem do decydowania o samym sobie, do wychodzenia z domu, kiedy się chce, do całowania tych, a nie innych kobiet i nieopowiadania nikomu gdzie, co, jak i dlaczego.

Mężczyźni do tej wolności dojrzewają bardzo długo i zaczynają ją cenić najczęściej dopiero po ślubie.

No ale cóż, „szlachetne zdrowie” się kłania.

\* \* \*

Wszyscy, którzy wyszli z samotni i wykastali już z siebie dymiącą traumę, nagle zwrócili uwagę na równie dymiącą studnię.

Podbiegli do studni, trując dodatkowo Chrobotka, który powiedział sobie i losowi, bezgłośnie, choć z oczyma szklącymi się od łez, że już nie ma siły, obecnie sobie pindola, bo to przecież jego wina, i już nigdy nie zaciupcia oraz nie tknie niebieskich tabletek.

Odejdzie z życia doczesnego i najmie się jako mnich w Mnichowoli, żeby straszyc niegrzecznych mężów i chutliwych młodzieńców opowieściami o swoim straszliwym losie i utraconym pindolu.

Na horyzoncie zdarzeń, za pierwszą falą biegnących ku zjawiskowej studni pojawiła się druga, z żoną aptekarza na czele. Chrobotek zaczął się czołgać w pokrzywy.

Ada biegła wraz z pierwszą falą, dysząc przeraźliwie.

– To alienista. To musiał być on. Tylko on miał dostęp do samotni. Nieograniczony dostęp.

– Ale co to zmienia? – warknęła Olga, która jako właścicielka biegła w tym samym kierunku.

– Tam są podziemia!

Purchawa niezbyt delikatnie roztrąciła obie kobiety i uzbrojona w ich spostrzeżenia, pobiegła do studni.

Buchał z niej dym i sączyły się jakieś strzępy światła, ale nie było widać ognia. Purchawa musiała dopaść mordercy jako pierwsza.

Za nią na ostatnich nogach biegło dwóch posterunkowych z wypadku, którzy ledwie żywi dotarli do zajazdu po tym, jak wygramolili się z radiowożu, który dachował w rowie przeważony przez katafalk na śliskiej jezdni.

Uważali, że to oczywiście wina Purchawy, ale przecież nie mogli tego nikomu powiedzieć.

– Jest tam! Tam! – krzyknęła policjantka, wskazując pokrzywy za studnią, do których dążył połamany Chrobotek, ale na szczęście czołgał się zbyt wolno, żeby tam dotrzeć na czas i znów odnieść jakieś obrażenia.

Olga nie miała ochoty na biegi w tłumie, skręciła w ścieżkę za krzewami, którą doskonale знаła, w odróżnieniu od innych. Ścieżka prowadziła do kompostownika, a jej się zdarzało wynosić różne rzeczy na kompost, gościom nie, więc drogi nie znali. Przebiegła trochę za studnią, trochę bardziej przez pokrzywy i całkiem prawie na ślepo, ale takie ścieżki zna się niezłe, jak się jest od lat właścicielem takich włości.

I wtedy zobaczyła kogoś, kogo z pewnością znała, ale ciemności trochę jej zaciemniały ogląd sprawy.

Może nie spodziewała się wylewnego powitania albo szalonej radości, ale też pięści nie brała pod uwagę.

– Kurwa, zajebię cię, stara pokrako – wychrypiał głosem tak paskudnym, że nie była w stanie go rozpoznać, choć uznała, że nie kryje się celowo.

Chciał ją zabić, więc nie musiał się przed nią kryć, a jednak warczał jak wściekły pies. Gorzej – nie tylko warczał, ale też skowyczał. Piszczął i wył.

No, chyba komuś zupełnie odpierdoliło – pomyślała w panice Olga, bo fakt faktem strach tak strasznie ją zmroził, że przestała się bać. Owszem, czuła, że „nadejszła wiekopomna chwila” i że nie przeżyje tego ataku, że niepotrzebnie szła tędy przez te pokrzywy, krzaki i błoto, ale ta świadomość była jej zupełnie obojętna.

Tak czy tak, nie była w stanie się ruszyć.

Mężczyzna czymś cuchnął.

Kobieta chciała uciekać, ale w takich chwilach nogi raczej odmawiają posłuszeństwa, teraz było jeszcze gorzej, ona cała odmówiła posłuszeństwa, tylko jej świadomość jakoś jeszcze funkcjonowała.

Rzucił się na nią z wyciągniętymi rękoma, jakby zrezygnował z pięści, a postanowił ją udusić, w każdym razie na pewno chciał ją zabić.

Była bardzo zdziwiona.

– Albert? Albert, to ty? – wyrzuciła z siebie, licząc, że może to jakoś zmiękczy jego mordercze serce. – Nie rób tego, to nie ma sensu.

Potem dotarło do niej, że jest z własnym mordercą na ty. To było przerażające. O wiele lepiej brzmiałoby „niech pan tego nie robi”, ale cóż, pewnych rzeczy nie da się zmienić.

– Nie musisz mnie zabijać! – dodała pokornym głosem.

– Muszę – wychrypiał i zaczął się śmiać chrapliwym śmiechem kogoś, kto przed chwilą udławił się na amen, tylko tego nie zauważył.

– Chrachlchrrrrła – usłyszała i tylko nie była pewna, czym on te dźwięki wydaje, ustami czy odbytem, bo jakoś głos mu się przemieścił.

– Chrachlchrrrrła – usłyszała jeszcze raz, a potem jego ręce zacisnęły się na jej szyi.

Usiłowała walczyć, oczywiście, że usiłowała, jak każdy w takiej beznadziejnej sytuacji, ale jak każdy miała małe szanse, a może nawet mniejsze, bo była małą staruszką i żadne nadnaturalne siły jakoś nie chciały dodać jej mocy.

– Ale dlaczego? – zdołała wydusić, zanim zabrakło jej powietrza.

Mordercy rzadko odpowiadają na takie pytania, nie dlatego że by nie chcieli, ale są po prostu w tym czasie zbyt zajęci mordowaniem i nie mają głowy do rozważań etyczno-filozoficznych.

Ostatkiem sił zgięła nogę w kolanie i wzięwszy dość rachityczny, ograniczony sukienką zamach, rąbnęła go w klejnoty.

Wydawało jej się, że nie trafiła.

\* \* \*

Melka i Mateusz zaczęli się przyglądać studni, żeby zobaczyć, skąd wydobywa się dym.

– To pewnie ma jakieś połączenie z samotnią i dlatego się tak dymi – stwierdził Mateusz.

– Podziemne! – dodała Melka.

– No, nadziemnego nie widzę – prychnął Mateusz.

Nagle Wycior stanął i zawył jak jakiś bardzo nawet rasowy wilk. Wyprostował ogon, otrząsnął się i rzucił w krzaki.

– Kurwa, trzeba iść za nim – jęknął Mateusz. – Wygląda jakby miał ochotę kogoś zagryźć.

– Może to to jego szkolenie?

– Pies na baby? Żeby tylko Purchawy nie zagryzł – westchnął Mateusz. – Przecież by go zabiła.

Pobiegli za psem, trując mokre pokrzywy, smagani mokrymi gałęziami i usiłując chronić oczy od wydlubania przez konary drzew. Pies nie miał tego problemu, biegł niżej, pod krzakami, oni niestety biegać na czworakach nie umieli.

– Ktoś tam jest! O Boże, on kogoś zaatakował! Masakra.

\*\*\*

Napastnik jednak jakby chwilowo zamarł, a potem zawył i wznosił ręce do nieba, wrzasnął, skulił się i złapał za męski skarb największy. To znaczy za wszystkie męskie skarby.

– Kurwaaa! – wrzasnął, przerażony.

Jego własne klejnoty zaczęły go kąsać.

– Wam, młam, wram! – dało się słyszeć z tych partii jego ciała, które zazwyczaj zębów nie mają.

\*\*\*

– Pewnie jest wściekły – odpowiedziała uspokajająco Melka, po czym prawie zemdląca z wrażenia pod krzakiem,

– No rusz dupę! – zaproponował szarmancko Mateusz.

Po chwili patrzyli, jak w straszliwym charkocie pies dokonuje bardzo precyzyjnej kastracji. Musiał mieć w tym szaloną wprawę, bo dokonywał tego przez spodnie.

Pies charczał.

Kastrat (już chyba) wył i krwawił.

Potem padł.

Melka i Mateusz zadzwonili do Ady. Wokół skulonego i pokąsanego mężczyzny (chyba nadal nim jeszcze był) szalał kąsający stwór.

Kiedy zwabieni wrzaskiem i telefonem młodszych kolegów geriatryczni detektywi pojawili się na ścieżce, zobaczyli, jak Wycior w całej swojej diabelskotasmańskiej okazałości robi z alienisty mielonkę.

– Ratunku – jęknął ten ostatni. – Zabierzcie to coś... On mnie zabije.

– Niech robi, co chce – warknęła Olga, która odtajała ze swojego stuporu, lekko omdlała, usiadła na ścieżce i rozpłakała się. Jej płacz nie był objawem żalu czy romantycznego uniesienia z powodu ocalenia, ale raczej bezsilności.

– Dusił mnie! Dusił! Ten chuj, nasz własny terapeuta chciał mnie zabić.

– Ja? Poważnie? Pani Olgo? – zdziwił się alienista, pojawiając się na ścieżce trochę za innymi, ale za to z wielkim reflektorem.

Ponieważ posiadanie dwóch terapeutów, w tym jednego morderczego, nie wchodziło w grę, poświecili na ścieżkę, gdzie leżał skulony, pogryziony i trochę odmęczyzniony psimi zębami napastnik.

– Korneliusz? – zdziwiła się Olga. – To ty chciałeś mnie zabić? Ale dlaczego? – Jej zdziwienie było tak wielkie jak zdziwienie każdej teściowej, byleż czy obecnej, kiedy się dowiaduje, że jest klasycznym przykładem teściowej.

Purchawa przecisnęła się przez wszystkich detektywów i skuła kucharza. Z wielkim i wiekopomnym namaszczeniem, o mało nie kazała sobie zrobić na nim zdjęcia jak na własnoręcznie ustrzelonym tygrysie.

Niestety, nie mogła.

Niedomyślność Edzia w tej materii wołała o pomstę do nieba.

– Pani uważa! Ten bydlak odgryzł mi nerkę i ten... No. Moje... Moje wszystko! Połknął to! Trzeba go wypatroszyć i mnie ratować! Trzeba to przyszyć... Jeszcze chyba nie strawił – skomlał. Jako niepełnowartościowy w tej chwili mężczyzna czuł się bardzo źle. – Jak ja się pokażę w więzieniu?!

Najwyraźniej dość rozsądnie postrzegał swoją przeszłość.

\*\*\*

Chrobotek zdołał się odczołgać ledwie kilkanaście metrów. Trudno się czołgać ze złamaną ręką.

Nie liczył na to, że mu się całkiem uda, liczył, że choć odrobinę, że się zażyje gdzieś, prześpi, potem jakoś uratuje.

Potrzebował męskiej pomocy.

Pomocy człowieka, który go zrozumie bez słów.

Nie chciał tulenia, całowania i herbatki, tylko wódki i kilku przekleństw.

Kiedy tak, dysząc i jęcząc, posuwał się w kierunku przeznaczenia, tuż przed nim pojawiły się nogi. Z poziomu podłoża tylko tyle mógł zobaczyć, a złamany obojczyk i przażerzenie sprawiły, że nie miał ochoty patrzeć w górę.

Nogi były damskie, ale nie należały do jego żony.

Nie był w stanie uciekać.

– Kochanie – usłyszał szept, jeden z tych pościelowych.

Zemdlał.

\*\*\*

– Jak mogłeś to zrobić? – jęknęła Olga. – Traktowałam cię jak... syna!

– Jak kucharza! Traktowałaś mnie jak kucharza, a ja miałem większe ambicje! Chciałem być kimś, a nie jakimś garkotłukiem, który podrabia bataty z ziemniorów i piecze śmierdzące buldogi! To wszystko twoja wina!

Jak zawsze w takich wypadkach pewne sprawy okazały się względne.

\*\*\*

Wieczór dawno już poszedł spać, a ciężka noc zagnieździła się w zajeździe. Wszyscy wraz z Purchawą czekającą na posiłki z posterunku z Prasławca, aresztowanym Korneliuszem i resztą obecnych siedzieli w salonie i pili, co popadło, ku potwornej zazdrości Purchawy i policjantów, bo, zważywszy na okoliczności, dla nich nadawała się tylko herbata.

Nie było jedynie Chrobotka, co sprawiło, że jego żona nie mogła usiedzieć na miejscu i szukała go wszędzie, a że padało, najpierw przeszukała wszystkie pokoje w zajeździe, nie bez powodu sądząc, że ukrył się u jakiejś kobiety.

Potem, kiedy już świtało, zaczęła przetrząsać krzaki i las, przekonana, że może zdradza ją na łonie natury.

– Pani przestanie tak latać jak kot z pęcherzem – burknęła Lipcowa, racząca się koniakiem.

Alkohol lał się strumieniem, ale nie był to radosny strumień, był to raczej środek na rozjaśnienie czarnych myśli i uspokojenie rozdygotanych rąk. I nóg. I serc też.

– Ona to teraz lata jak Wycior z pindolem! Z tym, co go zeżarł! – oświadczyła Kościuchowa, czym wywołała straszliwy jęk Korneliusza.

Wszyscy z niedowierzaniem patrzyli na przemilego kucharza, który okazał się mordercą, i nie mogli pojąć, jak to możliwe, że tak się co do niego pomylili.

– Zupełnie nie rozumiem, dlaczego on zabił Natalię – westchnęła Olga. – Przecież nie byli już małżeństwem! – stwierdziła z mocą, jakby zabijanie żon było o ile niewskazane, to choć uzasadnione.

Wiele osób tak myśli, ale mało kto się do tego przyznaje.

– No właśnie? I dlaczego? Dlaczego ten bydlak, cham pierdolony, głupek tak strasznie zniszczył wszystkim życie? Co? Ktoś mu kazał? – Kościuchowa nie umiała sobie poradzić z alkoholem i słowami, jakoś jedno zahaczało o drugie i wykolejało ją okropnie.

– Mnich mu kazał! Z powodu samotni!

To wyjaśnienie nikomu nie przypało do gustu, nawet Olga prychnęła niechętnie.

– Pieprzenie, nikt przecież nie wierzy w mnicha aż tak bardzo, owszem Lipcowa, tej odbija, ale ona też wierzy w niego komercyjnie, a jakoś bałwochwalczo.



– Ale to wszystko przecież nie ma nic ze sobą wspólnego – oświadczyła Ada głosem nieznośnym sprzeciwu.

– Chrobooooootek, ty mendo! – rozległo się w korytarzu. – Chrobooooootek! – To wołała żona poszukująca uszkodzonego męża, która właśnie zaglądała pod stoliki i fotele koło recepcji.

Była nieco pijana, jak prawie każdy, ale to nikomu nie przeszkadzało.

– Mnich i samotnia? Nie mają? No raczej właśnie mają – mruknęła Melka.

– Nie! To znaczy tak, mają, ale nie mają!

Takie tłumaczenie można by wziąć za bełkot pijanego wariata, ale była to wypowiedź skrajnie trzeźwej Purchawy.

– Co pani pieprzy? – rzucił do niej nieco nieostrożnie jeden Mefju, który wraz z Adamem siedział ze wszystkimi, ale pod kontrolą żon; nie uczestniczyli w życiu poza budynkiem, gdyż żony jakoś się dowiedziały, że mogłoby się to skończyć ucieczką.

– No, cicho tam, co? – Purchawa pogroziła mu palcem. – Z wami będę jeszcze rozmawiać, macie całkiem sporo za uszami. – A co do reszty, to wszyscy myśleli, że samotnia była dla mnicha, a to było odwrotnie, to mnich służył samotni.

– Czyli?

– Posterunkowy – warknęła Purchawa do jednego z nich. – Jak przeszukiwanie? No?! Znaleźliście coś?

– Tak jest! – odpowiedział słuźbiście. – Czternaście dowodów osobistych.

Wszyscy popatrzyli na Purchawę zdziwieni.

– Zwłoki na ulicach? Pamiętacie? – powiedziała i uśmiechnęła się zagadkowo. – No?

Nikt nic nie rozumiał, choć oczywiście wszyscy pamiętali, że było kilka takich momentów, gdy ktoś coś na ten temat bąknął, zdaje się, że nawet i proboszcz, o Natalii nie wspominając.

– Czy Natalia miała coś wspólnego? Z tymi zwłokami? – Olga aż się nastroszyła, bo odkąd jej córka nie żyła, stała się dla Olgi obiektem kultu wybielającego, ochrony i umiłowania.

Za życia jakoś matka o wiele gorzej się z nią obchodziła.

– Natalia chciała zrobić remont.

– Za remonty się nie zabija – westchnął Mateusz, też nieco podпиты.

– Tylko że remonty czasami pokazują niektóre ukryte sprawy, to tak jak z tymi drzwiami w ścianie w gabinecie Natalii, co się pokazały, kiedy odpadł

tynk – wyjaśniła Ada.

– A, ta wasza szcurza Narnia. – Melka roześmiała się chichotliwie.

– Właśnie. Korneliusz sam to budował, sam projektował, nie powinien się bać, on tu wszystko znał! Wiedział, że tu nic nie ma – burknęła Olga.

– Przeciwnie, wiedział, że jest, bo sam to sobie wybudował. Miał pod samotnią i pod nieczynną studnią całkiem przyjemny pokój.

– Po co? Przecież miał mieszkanie!

– Mieszkanie miał, ale potrzebował miejsca do pracy!

– Przecież miał kuchnię!

– Dorabiał sobie. – Ada się roześmiała. – Produkuje fałszywe dokumenty. Nie takie docelowe, ale pośrednie. Dowody, prawa jazdy, inne cuda. Używano ich w czasie uciezek do meldowania się w hotelach na jedną noc na przykład, na krótko, żeby przerwać istniejące ślady, a potem te dokumenty niszczone i ślad się urywał.

– A potem wyszło szydło z worka, kiedy Natalia zaczęła pracować w gminie już po rozwodzie i nagle zdała sobie sprawę, że trupy chodzą po ulicach.

– Czyli zwariowała?

– Nie! Czyli widziała w gminie jakieś papiery czy akty zgonu, a potem nagle to tu, to tam trafiała na ludzi o tych samych imionach i nazwiskach, niektórzy nawet te same pesele mieli co niedawno zmarli, zaczęła szukać i znalazła tego więcej.

– To takie dziwne?

– Trochę tak, jeżeli chodzi o Piotra Nowaka czy Jana Kowalskiego to nie problem, ale jak ktoś ma na imię Merkuriusz, a na nazwisko Ochłaj, to już budzi podejrzenia.

– No tak.

– I Natalia zrobiła całkiem głupie założenie, że jak zacznie szantażować byłego męża, to ten da jej forszę na rozbudowę, wtedy mogłaby przemyśleć sprawę i nie ruszać samotni.

Korneliusz początkowo się zgodził. Umówili się u Natalii w biurze. Tydzień wcześniej zawoził Lipcowej kolację, bo była chora, ukradł jej chustkę ze specjalnymi drutami.

Chustkę wyrzucił koło samotni, a druty zabrał. Poszedł do gabinetu i czekał na Natalię.

Spodziewała się go. Usiadła za biurkiem, chcąc pewnie spisać jakąś umowę.

– Debilka! – wrzasnął kucharz. – Na co ona liczyła? Na to, że jej dam forszę? I jeszcze że co? Że na papierze? Przecież to by było kretynstwo, może i miałem z milion czy dwa, ale nie były legalne! – zamilkł. – I już ich nie ma. Nie mam, rozdałem biednym!

Wszyscy popatrzyli na kucharza jak na zjawę w kropki.

Był czymś pomiędzy potworem a zwierzątkiem, no mordował, fakt, ale pieniądze potrafią wiele spraw złagodzić.

– Dobra, więc ona usiadła, on stanął za nią i bez jednego jęku ją załatwił, potem odbił łapę, jako kucharz prawie zawsze chodził w rękawiczkach.

Zaciągnął stopy książek i wyszedł.

– Po co te stopy?

– Żeby nikt już nie planował przebudowy zajazdu! Żeby było mistycznie, musiał trochę podrasować mnicha.

– A ta druga?

– Ta druga poszła się położyć na katafalk, wszyscy twierdzili, że to pomaga na alergię, była spuchnięta, miała ochotę zrobić awanturę, ale przysnęła na katafalku, bo to było nocą, a kiedy się obudziła, zobaczyła kucharza i usłyszała jego rozmowę z klientem. Wszystkiego się domyśliła, niestety on też.

Zaproponował jej pieniądze i umówił się z nią w wiosce, niestety była na tyle głupia, że się zgodziła. Niby wysłała SMS-a do matki, ale ta go zignorowała, gdyby choć przeczytała i porozmawiała z córką, nie doszłoby do tragedii.

Zapłaciła za to życiem.

– Ale dlaczego chciał zabić mnie? Przecież ja nic nie widziałam, nie wiedziałam, byłam dla niego jak matka! – Olga jakoś nie mogła zrozumieć, że mordowanie potrafi mordercy wejść w krew, że ta krew go woła, że mu wrze, że mordowanie staje się dla niego wielką przyjemnością.

– To nic osobistego – stwierdził Korneliusz. – Po prostu grzebiąc w papierach, które zabrałem Natalii, zorientowałem się, że po naszym rozwodzie nie zmieniła testamentu. Mieliśmy oboje dostać zajazd, tak więc po śmierci Natalii przypadłby cały mnie. Chciałem go odziedziczyć, byłoby miło, ale ten pieprzony pies wszystko zepsuł! Już drugi raz mnie pokąsał! Powinno się go wykastrować i wyrwać mu wszystkie zęby! Wredny wycior.

– Drugi?

– Łydki mi pogryzł w nocy kilka dni temu.

– Przecież ten ktoś wtedy, w nocy, był kobietą, w sukience!

– Nie, to był długi, gumowy fartuch do oprawiania mięsa. – Kucharz się skrzywił.

– Nie uwierzę, że ktoś może latać nocą w czymś takim.

– Nie musisz wierzyć. To po prostu doskonały kamuflaż. Praca to praca, klienci są wymagający, nawet gdybym ludzką głowę niósł w walizce, toby uwierzyli, że to albo tort w kształcie, albo danie specjalne, ludzie są durni!

Kościuchowa podeszła do Olgi i chciała ją przytulić, ale ta wyrwała jej się z wściekłością.

– A Lipcowa?

– Lipcowa to niepoprawna marzycielka. Chciała wierzyć w mnicha, to wierzyla.

– Chroboooooooooootek! Ty mendo! – Głos aptekarskiej dochodził raz po raz z różnych zakątków terenu przed i za zajazdem. Ze ścieżek, krzaków i różnych zakamarków. Nadal szukała męża.

Niestety, Chrobotka nie znalazła.

Teraz jednak do Purchawy zadzwoniła pomoc drogowa.

– No czego? – warknęła w słuchawkę, po chwili jednak rozpogodziła się nieco. Ustawiała na głośność, wiedząc, że temat zainteresuje wszystkich.

– Mamy ten rozwalony katafalk przywieźć do zajazdu czy odwieźć go na parking? – zapytał męski głos. – A może na złomowisko? Dokąd pani każe?

Purchawa wzruszyła ramionami.

– Dajcie go tutaj – rozkazała, widząc minę Olgi, bo właściwie katafalk w tym momencie nie był nikomu potrzebny, a zostawienie go na policyjnym parkingu generowało kupę zachodu i papierkowej roboty. Nie było sensu się poświęcać dla tego złomu.

– A walizkę też przywieźć? – zapytał ten sam męski głos.

– Jaką walizkę? – Purchawa nie rozumiała, o czym facet mówi.

– Stała obok. Nie wiemy, czy zostawić czy ruszać. Jak pani uważa.

– Mogła wypaść z katafalku? – Olga pomyślała, że to mogą być rzeczy któregoś ze złodziei.

– Nie wiem, ale hm, to jest dziwne... Otworzyliśmy, szukając adresu albo dokumentów.

Na chwilę zapadła cisza, jakimś cudem była bardzo kłępująca. Purchawa pomyślała, że w walizce jest bielizna, albo jakieś akcesoria erotyczne, bo ludzie z pomocy drogowej, co było słychać, pokasływali i jakoś dziwnie się zachowywali, co można było ocenić po wydawanych przez nich odgłosach.

– A co w niej jest? – zapytała Purchawa, nie przeczuwając niczego złego.

– Zwłoki!